Watchman Nee

ŻYCIE W CHRYSTUSIE

CZĘŚĆ I

WSTĘP

Jeśli życie chrześcijanina ma być Bogu przyjemne, to musi ono we wszystkim być dostosowane do Jego woli. Bardzo często się zdarza, że w związku z koniecznością zastosowania tej zasady w naszym życiu, kładziemy specjalny nacisk na jakiś szczegół naszego zachowania się lub naszej pracy dla Niego, a równocześnie nie zdajemy sobie sprawy z zasięgu wymaganej od nas poprawki, niekiedy też i z punktu wyjścia, od którego dana poprawka miałaby się rozpocząć. Bóg jednakowoż mierzy wszystko, od początku do końca, przy pomocy jednej tylko miary, którą jest doskonałość Jego Syna. Słowo Boże stwierdza to całkiem jasno, że Bogu upodobało się „w Chrystusie w jedno zgromadzić wszystko... w którym i do dziedzictwa przypuszczeni jesteśmy" (Efez. 1,10.11). Moją gorącą modlitwą jest, aby w rozważanich, które nastąpią, oczy nasze mogły się na nowo otworzyć ku ujrzeniu prawdy, że jedynie wtedy, gdy cały nacisk położymy na tym, aby być w Chrystusie, będziemy mogli spodziewać się wypełnienia celu, który Bóg przewidział dla nas, a jest nim: „Abyśmy byli ku chwale sławy Jego" (Efez. 1,12).

Jako podstawę naszych rozważań weźmiemy List apostoła Pawła do Efezów. Podobnie jak wiele innych Listów apostoła Pawła, ten również dzieli się w sposób naturalny na dwie części, a mia-

nowicie na część dogmatyczną i praktyczną. Część dogmatyczna (rozdziały 1 do 3) ma za swój główny temat wielkie fakty dotyczące odkupienia, które Bóg sprawił nam w Chrystusie. Część praktyczna (rozdziały 4 do 6) prowadzi nas dalej, wskazując nam na wymagania, przy pomocy których zdefiniowane jest chrześcijańskie zachowanie się i gorliwość, jakiej Bóg od nas żąda w świetle tegoż odkupienia. Obie części są ze sobą ściśle związane, ale zauważymy, że w każdej z nich nacisk położony jest na coś innego.

Część drugą, która w sposób oczywisty ma do czynienia z zagadnieniami natury praktycznej, moglibyśmy dla łatwiejszego jej przestudiowania podzielić na dalsze dwie części, stosownie do ich tematyki, a mianowicie na pierwszą, dłuższą, od rozdziału 4,1 do 6,9 i drugą, o wiele krótszą, od 6, 10 do końca. Pierwsza część ma do czynienia z naszym życiem pośród tego świata, a druga ze złym, to jest z diabłem.

Tak więc otrzymujemy podział Listu do Efezów na trzy części, z których pierwsza wyjaśnia stanowisko wierzącego w Chrystusie (1,1—3,21), druga — jego życie pośród tego świata (4,1—6,9) i wreszcie trzecia — jego stosunek do wroga naszej duszy, to jest do diabła (6,10—24).

Możemy to dla przejrzystości przedstawić w postaci następującej tabelki:

LIST DO EFEZÓW

A. Rozdziały o treści dogmatycznej 1—3.
1. Nasze stanowisko w Chrystusie (1,1—3,21)
B. Rozdziały o treści praktycznej 4—6.
2. Nasze życie pośród tego świata (4,1—6,9).
3. Nasz stosunek do diabła (6,10—24).

Z wszystkich Listów apostoła Pawła najwyższe prawdy dotyczące życia chrześcijańskiego, znajdujemy w Liście do Efezów. List ten obfituje w bogactwo duchowe, a jednak jest równocześnie i nie-

zmiernie praktyczny. Pierwsza połowa tego Listu objawia nam, że życie nasze w Chrystusie polega na naszym połączeniu się z Nim w najwyższych niebiosach. Druga połowa wyjaśnia nam w bardzo praktycznych słowach, w jaki sposób takie niebiańskie życie winno być prowadzone przez nas tutaj na ziemi. Nie mamy zamiaru studiować tego Listu szczegółowo, ale przyjrzymy się niektórym zasadom, które stanowią niejako jego serce. W tym celu wybierzmy z każdej z wymienionych trzech części jeden wiersz kluczowy, który da nam pojęcie o myśli przewodniej danej części tego Listu.

W części pierwszej zwróćmy uwagę na słowa: „Bóg... posadził" w wierszu 2,6, jako że są one jakby kluczem, umożliwiającym zrozumienie tej części Listu do Efezów, a równocześnie wyjaśniają tajemnicę prawdziwego doświadczenia chrześcijańskiego. Bóg nas posadził pospołu z Chrystusem w niebiosach, dlatego też każdy chrześcijan musi rozpocząć swoje życie duchowe od tego miejsca odpocznienia. W drugiej części wybieramy słowo: „chodźcie" (Efez. 4,1) jako wypowiedź charakterystyczną dla naszego życia w tym świecie, które jest tematem tej części Listu do Efezów. Słowo to jest wezwaniem, abyśmy w naszym chrześcijańskim postępowaniu objawiali to, co przystoi posiadającym tak wysokie powołanie. I wreszcie w części trzeciej znajdziemy klucz do naszego ustosunkowania się do wroga naszej duszy, w jednym słowie: „stójcie" (Efez. 6,11), które mówi o odniesieniu przez nas w końcu zwycięstwa.

Życie wierzącego zawsze ma trzy aspekty: jego stosunek do Boga, do bliźniego i do mocy szatańskich. Aby człowiek mógł się stać użytecznym w rękach Bożych, musi odpowiednio uregulować wszystkie te trzy zagadnienia: swoje stanowisko wobec Boga, swoje życie i swój bój. Nie dostaje mu tego, czego od niego Bóg żąda, jeśli nie docenia któregokolwiek z tych trzech zagadnień, jako że każde z nich stanowi sferę działalności Bożej, którą przewidział na chwałę sławy łaski Swojej, „którą nas udarował w Umiłowanym" (Efez. 1, 6).

Będzie to wielkim pożytkiem, jeśli zwrócimy uwagę zarówno na porządek, jak i na związek, jaki zachodzi między wymienionymi trzema częściami Listu do Efezów, używając słów: „Bóg... posadził", „Chodźcie" i „Stójcie" jako przewodników, wprowadzających nas w naukę tego Listu. Niechaj też na każdy czas upominają nasze serca.

SPIS TREŚCI

Rozdział I — Nasze stanowisko w Chrystusie (Bóg posadził...) . . . . . str. 9

Rozdział II — Nasze życie pośród ludzi tego świata (Chodźcie...). . . . . str. 19

Rozdział III — Nasz stosunek do wroga naszej duszy (Stójcie...) . . . . . str. 37

Cytaty z Nowego Testamentu według wydania szwedzkiego.

Rozdział I

Nasze stanowisko w Chrystusie

(BÓG... I NAS... POSPOŁU Z NIM POSADZIŁ)

„Bóg Pana naszego Jezusa Chrystusa... wzbudził Go z umarłych, i posadził Go po prawicy Swojej w niebiosach, wyżej nad wszelkie władze i zwierzchności i moce i państwa, i nad wszelkie imię mianowane nie tylko w tym wieku, ale i w przyszłym" (Efez. 1, 17-21).

„I pospołu z Nim wzbudził (nas), i pospołu z Nim posadził w niebiosach w Chrystusie Jezusie, ... Albowiem łaską jesteście zbawieni przez wiarę, i to nie z was; Boży to dar; nie z uczynków, aby się kto nie chlubił" (Efez. 2, 6-9).

„Bóg ... posadził Go ... i (nas) pospołu z Nim posadził." Zastanówmy się najpierw nad znaczeniem słowa „posadził". Jak już powiedzieliśmy, objawia ono tajemnicę niebiańskiego życia. Życie chrześcijańskie nie rozpoczyna się od chodzenia; rozpoczyna się ono od siedzenia. Era chrześcijańska rozpoczęła się z Chrystusem, o którym Słowo Boże mówi, że „zasiadł po prawicy Majestatu na wysokościach" (Żyd. 1, 3). Równie prawdziwym będzie stwierdzenie, że życie duchowe poszczególnych chrześcijan rozpoczyna się w chwili, gdy dany człowiek znajdzie się świadomie „w Chrystusie" — to znaczy, gdy przez wiarę ujrzy siebie samego siedzącego pospołu z Nim w niebiosach.

Większość chrześcijan popełnia tego rodzaju błąd: usiłują chodzić, w celu uzyskania możności odpocznienia w pozycji siedzącej — ale to jest odwróceniem prawdziwego porządku. Nasz naturalny rozum mówi tak: „Jeśli nie będziemy chodzić, to w jaki sposób dojdziemy kiedykolwiek do celu? Co można

uzyskać bez wysiłku? W jaki sposób gdziekolwiek dojdziemy — nie ruszając się z miejsca?" Ale chrześcijaństwo to dziwna rzecz! Jeśli na samym początku staramy się coś zrobić, nie osiągamy niczego; jeśli staramy się wzbić na jakiś wysoki poziom — mijamy się zupełnie z celem; chrześcijaństwo nie rozpoczyna się bowiem od wielkiego RÓB, ale od ZROBIONE. Stąd List do Efezów zaczyna się od stwierdzenia, że Bóg już „nas pobłogosławił w Chrystusie wszelkim błogosławieństwem duchowym w niebiosach" (Efez. 1, 3) i zaraz na samym początku jesteśmy zaproszeni, aby usiąść i radować się tym wszystkim, co Bóg uczynił dla nas. Nie powinniśmy natomiast rozpoczynać od próby, aby uczynić coś samemu i osiągnąć coś własnym wysiłkiem.

Chodzenie wymaga pewnego wysiłku — a tymczasem Bóg mówi, że jesteśmy zbawieni „łaską ... przez wiarę" (Efez. 2, 8). Ustawicznie posługujemy się tym określeniem „zbawieni ... przez wiarę", ale co mamy właściwie na myśli, mówiąc to? Otóż uważamy, iż jesteśmy zbawieni przez odpocznienie, które znajdujemy w Panu Jezusie. Nie uczyniliśmy niczego, aby siebie samych zbawić — po prostu złożyliśmy ciężar naszej grzechem schorowanej duszy na Niego. Rozpoczęliśmy nasze życie chrześcijańskie dzięki zaufaniu dziełu dokonanemu przez Pana Jezusa — a nie dzięki zaufaniu czemuś, co myśmy sami zrobili. Dopóki człowiek tego nie uczyni, nie może być chrześcijaninem, gdyż pierwszym krokiem na drodze życia wiary musi być wyznanie: „Nie mogę zrobić niczego, aby samego siebie zbawić, ale przez łaskę Bóg uczynił dla mnie wszystko w Chrystusie." Życie chrześcijańskie zależne jest całkowicie — i to od początku do końca — od Osoby Pana Jezusa. Fakt ten stanowi podstawę duchowego życia. Nie ma granic dla łaski, którą Bóg pragnie nas obdarzyć, ale jakkolwiek chce On nam dać wszystko, to otrzymać dary Jego możemy tylko wtedy, jeśli odpoczywamy w Nim. Siedzenie jest równoznaczne z odpoczywaniem. Coś zostało zakończone, praca ustaje i wtedy siadamy. Wydaje się to być paradoksem, lecz jest istotnie prawdą, że tylko wtedy zaczynamy robić postępy w życiu chrześcijańskim, jeśli najpierw nauczymy się siedzieć.

Jeśli chodzimy lub stoimy, wówczas cały ciężar naszego ciała spoczywa na naszych nogach, ale z chwilą kiedy usiądziemy, cały ciężar naszego ciała — i to obojętnie jak wielkim on jest — spoczywa na krześle czy tapczanie, na którym

usiedliśmy. Chodzenie lub stanie powoduje uczucie zmęczenia, ale mile odpoczywamy, gdy możemy na chwilę usiąść. Chodząc i stojąc zużywamy wiele energii, ale z chwilą, gdy znajdziemy się w pozycji siedzącej, następuje natychmiast odprężenie, ponieważ mięśnie nasze i nerwy nie potrzebują się więcej wysilać, skoro ciężar naszego ciała spoczywa na czymś znajdującym się poza naszym organizmem. Podobnie dzieje się w świecie duchowym. Usiąść oznacza złożyć cały ciężar naszej istoty — nasze brzemiona, nas samych, naszą przyszłość, wszystko — na Pana. Składamy na Niego odpowiedzialność, a przestajemy brzemię jej nosić sami.

Taką była zasada Boża od samego początku. Stwarzając świat, Bóg pracował od pierwszego dnia do szóstego, a dnia siódmego odpoczywał. Możemy więc stwierdzić z całą pewnością, że przez tych pierwszych sześć dni Stwórca bardzo pilnie pracował. Z chwilą jednak, gdy zadanie, które Sobie wyznaczył zostało dokończone, przestał pracować. Dzień siódmy stał się sabatem Bożym — był on odpocznieniem Boga.

Ale jak przedstawiała się sprawa z Adamem? Jaki był jego stosunek do owego odpocznienia Bożego? Adam, jak mówi Pismo, został stworzony w szóstym dniu, jest zatem rzeczą oczywistą, że nie miał on cząstki w tych sześciu dniach pracy, skoro jego istnienie datuje się dopiero od chwili, gdy praca tych dni była już u końca. Faktycznie więc siódmy dzień Boży był pierwszym dniem Adama. Gdy więc Bóg już ukończył sześć dni pracy i cieszył się Swoim odpoczynkiem sobotnim — Adam rozpoczął swoje życie — rozpoczął je więc od sabatu; Bóg bowiem pracuje przed odpoczynkiem, podczas gdy człowiek musi najpierw stać się uczestnikiem Bożego odpocznienia, a potem dopiero jest zdolnym do pracy. Co więcej, tylko dzięki temu, że Bóg prawdziwie zakończył dzieło stworzenia, Adam mógł w ogóle rozpocząć swoje życie od odpocznienia. I oto Ewangelia: Bóg posunął się jeszcze o jeden krok dalej i dokończył również dzieła zbawienia, dzięki czemu nie potrzebujemy czynić niczego, aby na zbawienie to zasłużyć, ale wiarą możemy wejść wprost do skarbca Jego dokonanego dzieła.

Wiemy o tym oczywiście, że pomiędzy tymi dwoma historycznymi faktami, tj. pomiędzy Bożym odpocznieniem w stworzeniu, a Bożym odpocznieniem w odkupieniu, leży cała tragiczna historia upadku Adama w grzech i historia sądu, który nad nim zawisnął; historia nieustającej pracy człowieka, która

okazała się tak bezowocną, jeśli chodzi o sprawę zbawienia, historia przyjścia Syna Bożego, który tutaj się tak bardzo utrudził i wydał samego Siebie — aż wreszcie stracona pozycja została odzyskana. „Ojciec mój aż dotąd pracuje i ja pracuję" — oto Jego słowa, wypowiedziane w dniach trudu, aż nareszcie mógł wydać okrzyk: „Wykonało się!"

Dzięki temu właśnie triumfalnemu okrzykowi potwierdza się prawdziwość przedstawionej tutaj analogii. Chrześcijaństwo istotnie oznacza, że Bóg wszystko uczynił w Chrystusie, i że my wiarą po prostu wkraczamy do radowania się tym faktem. Nasze słowa kluczowe dla tej części Listu do Efezów nie są rozkazem, abyśmy usiedli, ale zalecają nam ujrzenie siebie samych jako już siedzących, czyli odpoczywających w Chrystusie — w Jego dokonanym dziele. Paweł modli się, aby oczy naszego umysłu zostały oświecone (Efez. 1, 18), abyśmy zrozumieli to wszystko, co zawarte jest w owym podwójnym fakcie, że Bóg mocą Swoją potężną najpierw „posadził Go" (tj. Chrystusa), a potem przez łaskę i nas „pospołu z Nim posadził". Pierwszą więc lekcją, której się musimy nauczyć, jest fakt, że dzieło to wcale nie zostało zapoczątkowane przez nas, ale przez Niego. To nie my pracujemy dla Boga, lecz On pracuje dla nas. Bóg d a r o w u j e nam to stanowisko odpocznienia. Przynosi On dokonane dzieło Swego Syna i przedstawiając je nam mówi: „Proszę, usiądźcie". Jego ofiarowanie nam tego odpocznienia nie może zostać zilustrowane lepiej niż słowami sługi, którego posłał Pan w celu zaproszenia gości na wieczerzę: „Pójdźcie! bo już wszystko gotowe" (Łuk. 14, 17). Życie chrześcijańskie rozpoczynamy więc nie od czynienia, lecz od dokonania odkrycia tego, co Bóg już dla nas uczynił.

ZASIĘG JEGO DOKONANEGO DZIEŁA

Począwszy od tego punktu, doświadczenia chrześcijanina opierają się w dalszym ciągu, podobnie jak było na samym początku — nie na fundamencie naszych własnych uczynków, lecz zawsze i jedynie na podstawie dzieła dokonanego przez Pana Jezusa. Każde nowe doświadczenie w życiu wiary rozpoczyna się od przyjęcia wiarą tego, co Bóg już uczynił — czyli jak gdyby od zajęcia na nowo pozycji siedzącej. Taka jest zasada życia, którą wyznaczył Sam Bóg, i w ten sposób następują po sobie kolejne etapy życia chrześcijańskiego, od

początku aż do końca; zawsze możemy dostrzegać działanie tej przez Boga ustalonej zasady.

W jaki sposób mogę otrzymać moc Ducha potrzebną mi do usługiwania? Czy muszę w celu otrzymania jej wykonać jakąś pracę? Czy muszę o nią błagać Boga? Czy muszę trapić duszę moją postami i wyrzeczeniami, aby na nią zasłużyć? Nigdy! Nie tak uczy Słowo Boże. Zechciej raz jeszcze sobie przypomnieć: Jak otrzymałeś odpuszczenie grzechów? List do Efezów 1, 6-8 mówi nam, że było to „według bogactwa łaski Jego", i że łaską tą „udarował nas w Umiłowanym". Nie uczyniliśmy niczego, aby zasłużyć na zbawienie. Odkupienie nasze mamy w Chrystusie „przez krew Jego". Stało się ono naszą własnością na podstawie tego, co On uczynił. To jest „Ewangelia naszego zbawienia" (Efez. 1, 13).

Jaka jest zatem biblijna podstawa dla wylania Ducha Świętego? Jest nią uwielbienie Pana Jezusa. Ponieważ Pan Jezus umarł za mnie na krzyżu — otrzymałem odpuszczenie grzechów; ponieważ został wywyższony na tronie — otrzymuję moc Ducha (Dz. Ap. 2, 33). A skoro Duch Święty jest dany, ponieważ Pan Jezus został uwielbiony, dar ten nie jest więc uzależniony od żadnej rzeczy, którą ja czynię, ani od tego czym jestem. Odpuszczenia grzechów nie otrzymałem dzięki temu, co sam czyniłem, podobnie też nie otrzymuję Ducha Świętego dzięki czynieniu czegokolwiek. Każdą rzecz otrzymuję nie dzięki chodzeniu, lecz dzięki zajęciu pozycji siedzącej — czyli innymi słowy, dzięki odpoczywaniu w Panu. Ducha otrzymujecie nie dzięki waszym poczynaniom, lecz z powodu uwielbienia Pana Jezusa Chrystusa, „w którym też uwierzywszy, zostaliście zapieczętowani Duchem Świętym obiecanym" (Efez. 1, 13). To również stanowi część składową „Ewangelii zbawienia".

A jeśli prawdą jest, co powiedzieliśmy o odpuszczeniu grzechów i o darze Ducha Świętego, to jak się przedstawia sprawa naszego poświęcenia? W jaki sposób możemy dożyć uwolnienia od grzechu? W jaki sposób nasz „stary człowiek" zostaje ukrzyżowany? I tu raz jeszcze tajemnicę tę wyświetla nie chodzenie, lecz siedzenie; nie robienie czegoś, lecz odpoczywanie w czymś, co już zostało wykonane. Myśmy „umarli" grzechowi. Myśmy zostali zanurzeni — „ochrzczeni w śmierć Jego". „Pogrzebieniśmy tedy z Nim." „Bóg ... nas ... ożywił pospołu z Chrystusem" (Rzym. 6, 2—4; Efez. 2, 5). Wszystkie te stwierdzenia są w czasie przeszłym doko-

nanym. A dlaczego tak jest? Ponieważ Pan Jezus został ukrzyżowany za murami Jerozolimy około dwa tysiące lat temu, a ja zostałem ukrzyżowany z Nim. To jest ów wielki historyczny fakt. Dzięki niemu Jego doświadczenie stało się obecnie moją historią życia duchowego i Bóg może mówić o mnie jako o posiadającym już wszystko „pospołu z Nim". Wszystko, co mam obecnie, mam „z Chrystusem". W Słowie Bożym o rzeczach tych nie czytamy nigdy jako o czymś, co będzie miało miejsce w przyszłości, ani też jako o czymś, czego mielibyśmy pragnąć w obecnym czasie. Są to historyczne fakty Chrystusa, w które my wszyscy, którzy wierzymy — weszliśmy.

„Pospołu z Chrystusem" — ukrzyżowani, ożywieni, posadzeni na niebiosach! Dla ludzkiego umysłu są te sprawy nie mniej zagadkowe, jak zagadkowe wydawały się Nikodemowi słowa Pana Jezusa zapisane w Jana 3, 3. Tam chodziło o sprawę urodzenia się po raz drugi. Tutaj zaś chodziło o coś bardziej jeszcze nieprawdopodobnego — już nie tylko jest to coś, co ma się stać w nas samych, jak to ma miejsce z nowym zrodzeniem się, ale coś, co mamy ujrzeć i przyjąć jako naszą własność, ponieważ zostało to dokonane już przed wiekami w Kimś innym. Jak to jest możliwe? Tego nie możemy wytłumaczyć. Musimy przyjąć to od Boga jako coś, co On Sam uczynił. Myśmy się nie urodzili razem z Chrystusem, ale zostaliśmy razem z Nim ukrzyżowani (Gal. 2, 20). Nasze połączenie z Nim miało zatem swój początek z chwilą Jego śmierci, gdyż Bóg nas włączył do tej śmierci (w Chrystusie). Byliśmy „pospołu z Nim" gdyż byliśmy „w Nim".

W jaki sposób mogę jednakowoż być pewny tego, że jestem „w Chrystusie?" Upewnia mnie o tym Biblia, stwierdzając, iż Sam Bóg mnie umieścił w Nim. „Lecz z Niego (z Boga) wy jesteście w Chrystusie Jezusie" (1 Kor. 1, 30). „A ten, który nas utwierdza z wami w Chrystusie ... jest Bóg" (2 Kor. 1, 21). Uczynił tę rzecz Bóg w Swej suwerennej mądrości, a nam pozostaje tylko ujrzeć to, uwierzyć, przyjąć to jako fakt i radować się z niego.

Jeśli bym włożył jakiś banknot pomiędzy stronice książki, to od tej chwili cokolwiek by się działo z tą książką, będzie również działo się i z banknotem w niej się znajdującym. Gdzie położę książkę — tam również znajdzie się ów banknot. Ich historia stała się odtąd wspólną, jedną historią. W sposób równie skuteczny Bóg umieścił nas w Chrystusie, i dlatego

wszystko to, co się stało z Nim, stało się równocześnie i z nami. Wszystkie doświadczenia, które stały się Jego udziałem — stały się równocześnie naszym udziałem w Nim. „Stary nasz człowiek razem z Nim ukrzyżowany został, aby ciało grzechu było zniszczone, żebyśmy już więcej nie służyli grzechowi" (Rzym. 6, 6). To jest historia. Nasze dzieje zostały napisane jeszcze przed naszym narodzeniem. Czy wierzysz w to? To jest prawdą! Nasze ukrzyżowanie z Chrystusem jest pełnym chwały faktem historycznym. Nasze uwolnienie z mocy grzechu dokonuje się na podstawie tego, co Bóg już dla nas uczynił w Chrystusie, a w żadnym wypadku nie na podstawie tego, co my sami jesteśmy w stanie uczynić, ani też nawet na podstawie tego, co Bóg dla nas jeszcze w przyszłości uczyni.. Gdy zrozumienie tej prawdy — jak gdyby brzask cudnego światła — wzejdzie w naszej duszy i na prawdzie tej się oprzemy i w niej odpoczniemy (Rzym. 6, 11), wówczas znaleźliśmy klucz do tajemnicy, w jaki sposób żyć życiem świętobliwym.

Niestety zbyt mało wiemy o tym w praktycznym doświadczeniu życia wiary. Rozważcie następujący przykład: Jeśli ktoś wyrazi się o tobie bardzo niegrzecznie — i to w twojej obecności — jak się zachowasz w takiej sytuacji? Zapewne ściśniesz wargi, zaciśniesz zęby, z trudem przełkniesz ślinę i będziesz się starał mocno nad sobą panować. Jeśli uda ci się z wielkim wysiłkiem opanować wszelkie oznaki oburzenia i odpowiedzieć na obelżywe słowa jeszcze względnie uprzejmie, wydaje ci się, że odniosłeś wielkie zwycięstwo. Ale oburzenie jest nadal jeszcze w twoim sercu — zostało ono tylko ukryte. Niekiedy nie udaje ci się nawet ukryć nurtujących cię uczuć. Na czym polega trudność? Polega ona na tym, że usiłujesz chodzić, zanim usiadłeś — a tędy wiedzie droga do niechybnej porażki. Pozwól, że raz jeszcze powtórzę: żadne doświadczenie chrześcijańskie nie może rozpocząć się od chodzenia; musi ono zawsze rozpocząć się od zajęcia — i to w sposób stanowczy — pozycji siedzącej. Tajemnica uwolnienia od grzechu nie leży w robieniu czegoś, lecz w odpoczywaniu w tym, co Bóg już uczynił.

Pewien inżynier opuścił swój rodzinny kraj, aby udać się w podróż służbową do innego, odległego państwa. Nieobecność jego w domu trwała około trzech lat, a w tym czasie żona jego zdradziła go i rozpoczęła żyć z jednym z najlep-

szych jego przyjaciół. Po powrocie do domu stwierdził, że stracił żonę, dwoje swych dzieci i najlepszego przyjaciela. Pewnego dnia służyłem Słowem Bożym na nabożeństwie, na którym obecny był również ów złamany bólem człowiek, a po zakończeniu nabożeństwa podszedł do mnie i wynurzył przede mną całą tragedię, którą przeżywał w swoim sercu. „W dzień i w nocy — przez pełne dwa lata — serce moje pełne było nienawiści", powiedział. „A ja jestem chrześcijaninem i powinienem przebaczyć mojej żonie i memu przyjacielowi, ale pomimo usilnych starań, wciąż na nowo czynionych, po prostu nie mogę tego dokonać. Codziennie postanawiam, że będę ich miłował i codziennie zawodzę. Cóż miałbym zrobić w tej sprawie?" „Proszę zupełnie nic nie robić" — odpowiedziałem. „Co Brat ma na myśli?" — zapytał ogromnie zdumiony. „Czyż mam nienawidzieć ich w dalszym ciągu?" Wyjaśniłem mu więc pogląd mój w następujący sposób: „Rozwiązanie tego problemu zawarte jest w fakcie, że gdy Pan Jezus umierał na krzyżu, wówczas nie tylko zgładził Brata grzechy, lecz i B r a t a s a m e g o również. Bóg ukrzyżował Swego Syna, a w Nim również i twojego starego człowieka, Bracie, tak że to nie przebaczające „ty", które po prostu nie potrafi miłować tych, którzy cię skrzywdzili — t o „ty" zostało ukrzyżowane i całkowicie zniszczone. Bóg z całą tą sytuacją rozprawił się na krzyżu Golgoty — stąd nie pozostało już nic, z czym byś ty się musiał uporać. Powiedz Mu tylko: „Panie, ja nie potrafię przebaczyć i nie będę więcej usiłował tego zrobić, ale ufam, że Ty to zrobisz we mnie. Ja nie potrafię przebaczać i miłować, ale ufam, że Ty będziesz przebaczał i miłował zamiast mnie i że dokonasz tych spraw we mnie."

Rozmówca przez chwilę siedział głęboko zamyślony a wreszcie rzekł: „To wszystko jest dla mnie czymś zupełnie nowym. Czuję, że muszę z zagadnieniem tym coś z r o b i ć, zająć w stosunku do niego jakieś stanowisko". Ale po chwili dodał: „Cóż ja mogę z r o b i ć?" „Bóg czeka na to, aż przestaniesz robić" odpowiedziałem. „Gdy ty przestaniesz robić, wówczas dopiero Bóg zacznie działać. Czy próbowałeś już kiedyś ratować tonącego człowieka? Istnieją dwa sposoby dokonania takiego zadania: albo musisz silnym uderzeniem pozbawić go przytomności i następnie przywlec go do brzegu, albo też musisz go pozostawić bez pomocy i pozwolić mu się szamotać i krzyczeć, aż siły go opuszczą, a potem dopiero śpieszyć mu na ratunek. Jeślibyś próbował ratować go, gdy ma

jeszcze trochę siły, to w przystępie strachu tak mocno cię uchwyci i zacznie ciągnąć w dół, że i on i ty zginęlibyście. Bóg czeka na moment, kiedy zapas twoich własnych sił całkowicie się wyczerpie, wtedy bowiem tylko może cię wybawić. Z chwilą, gdy przestaniesz cokolwiek czynić, On uczyni wszystko. Bóg czeka na moment, kiedy całkowicie zwątpisz we własne siły."

A wówczas mój przyjaciel — inżynier podskoczył i zawołał: „Bracie! Ujrzałem to! Chwała Panu — już jest ze mną teraz wszystko w porządku! Nie mam nic do zrobienia. On już uczynił wszystko!" Po tych słowach odszedł ode mnie z twarzą promieniejącą radością.

BÓG DAWCĄ

Z wszystkich przypowieści biblijnych najdobitniej — moim zdaniem — ilustruje sposób w jaki możemy się podobać Bogu najlepiej — przypowieść o synu marnotrawnym. Ojciec mówi: „Trzeba było weselić się i radować" (Łuk. 15, 32), a w słowach tych Pan Jezus objawia nam, co najwięcej przysparza radości sercu Jego Ojca, jeśli chodzi o odkupienie. Nie przynosi jej taki starszy brat, który ustawicznie się trudzi, aby ojcu przysporzyć majątku, ale przynosi ją młodszy, który dla ojca niczego zgoła nie robi, ale pozwala na to, aby ojciec uczynił wszystko dla niego. Nie przynosi jej starszy brat, który zawsze chce być dającym, ale młodszy, który zawsze gotów jest przyjmować. Gdy marnotrawny syn powrócił do domu, zmarnowawszy całą swą majętność żyjąc rozpustnie, ojciec nie wypowiedział na jego powitanie ani jednego słowa wyrzutu z tytułu straty majątku, ani też nie zapytał nawet jednym słowem gdzie się podziały jego dobra. Nie uronił łzy nad tym wszystkim, co zostało roztrwonione; radował się jedynie ze sposobności, jaką dał mu powrót syna, aby móc wydać na niego jeszcze więcej.

Bóg jest tak bogaty, że Jego największą przyjemnością jest dawać. Skarbiec Jego jest tak pełny, że niezmiernie Go to boli, jeśli Mu odmawiamy sposobności obsypania nas Jego skarbami. To właśnie było radością ojca, że mógł znaleźć w marnotrawnym synu chętnego odbiorcę sukni, pierścienia, obuwia i uczestnika uczty; smutkiem jego był fakt, że w osobie swego starszego syna nie miał takiego odbiorcy. Zasmuca to wielce serce Boga, jeśli usiłujemy Jemu dostarczać jakichś

ANULOWANO

rzeczy — jest On bowiem tak niezmiernie, ponad wszelką miarę bogaty. Sprawiamy Mu natomiast największą radość, jeśli Mu umożliwiamy obdarowywanie nas wciąż na nowo. Zasmuca Go również i to, jeśli staramy się r o b i ć coś zamiast Niego, jako iż jest On tak możny, że jest w stanie wspaniale wszystko zrobić. Gorąco pragnie tego, abyśmy pozwolili Mu działać i czynić nieustannie rozmaite rzeczy. Pragnie być Dawcą przez całą wieczność, a pragnie też być Czynicielem przez całą wieczność. Gdybyśmy tylko sobie uświadomili, jak bogatym i wielkim jest nasz Bóg, poprzestalibyśmy nareszcie z wszelkim dawaniem Mu i czynieniem czegokolwiek dla Niego.

Czy wydaje ci się może, że z chwilą gdy przestaniesz się starać Bogu się przypodobać, ustanie twoje dobre zachowanie się? Czy wydaje ci się, że z chwilą gdy przestaniesz Bogu cokolwiek dawać i coś dla Niego robić, to rezultat będzie mniej zadowalający aniżeli wtedy, gdy coś z tych rzeczy będziesz robił? Ale wtedy, gdy usiłujemy coś robić, stawiamy siebie samych na nowo pod Zakonem — a wiemy, że uczynki Zakonu, i to nawet nasze „dobre" uczynki — są „martwymi uczynkami", Bogu wstrętnymi. W omawianej przypowieści obaj synowie, zarówno starszy, jak i marnotrawny, byli dalecy od radości domu ojca swego. Starszy brat był bowiem tylko pod względem „sytuacyjnym" w domu — choć co prawda nie był w dalekiej krainie, tak jak jego młodszy brat. Niemniej jego teoretyczna sytuacja nie mogła nigdy zamienić się na doświadczalne przeżycie, tak jak to miało miejsce w życiu marnotrawnego, ponieważ odmówił wyrzeczenia się swoich własnych dobrych uczynków.

A więc zaprzestań „dawać", a wnet przekonasz się, jakim Dawcą jest Bóg! Przestań „robić", a zrobisz wspaniałe odkrycie, jak cudownie czyni wszystko Bóg! Młodszy syn był całkowicie pogrążony w złym, ale powrócił do domu i znalazł odpocznienie. W ten sposób rozpoczyna się życie chrześcijańskie. „Bóg zaś, który jest bogaty w miłosierdzie, dla wielkiej miłości Swojej, którą nas umiłował ... pospołu z Nim posadził w niebiosach w Chrystusie Jezusie" (Efez. 2, 4.6). „Trzeba było weselić się i radować!"

Rozdział II

Nasze życie pośród ludzi tego świata

(CHODŹCIE...)

Staraliśmy się wyjaśnić i udowodnić, że życie chrześcijańskie i jego doświadczenia nie rozpoczynają się od chodzenia, lecz od siedzenia. Ilekroć odwracamy Boży porządek, rezultat jest katastrofalny. Pan Jezus zrobił wszystko dla nas i za nas, stąd naszą potrzebą obecnie jest ufnie odpoczywać w Nim. Z chwilą gdy rozpoczynamy cokolwiek czynić naszą własną energią, natychmiast stajemy jakby przed kamienną ścianą — przed nieprzebytą zaporą. Tylko wtedy, gdy zaufamy Panu, stwierdzamy, że Jego moc przeprowadza nas zwycięsko. Dlatego jest rzeczą konieczną podkreślić z całym naciskiem, że wszystkie duchowe doświadczenia rozpoczynają się od odpoczynku.

Ale na tym doświadczenia te się nie kończą. Jakkolwiek więc życie chrześcijańskie rozpoczyna się od siedzenia, czyli odpoczywania w Chrystusie, po odpocznieniu zawsze następuje chodzenie. Gdy tylko prawdziwie i dobrze usiedliśmy i dzięki temu uzyskaliśmy siłę, wówczas rzeczywiście zaczynamy chodzić. Siedzenie uzmysławia nam nasze stanowisko z Chrystusem w niebiosach, a chodzenie jest praktycznym wynikiem zajmowania tego niebiańskiego stanowiska — w naszym życiu tutaj, na ziemi. Wymaga się od nas, abyśmy jako niebiański lud nosili tę pieczęć naszego niebiańskiego usposobienia w naszym zachowaniu się tutaj na ziemi — a z tego wynikają nowe problemy. Przyjrzyjmy się więc temu, co na temat chodzenia ma do powiedzenia List do Efezów. Stwierdzimy, że List ten kładzie nacisk szczególnie na dwie rzeczy;

a oto pierwsza z nich: „Proszę was tedy ja, więzień w Panu, abyście postępowali tak, jak przystoi na powołanie, którym jesteście powołani, z wszelką pokorą i łagodnością..." (Efez. 4, 1.2).

„To tedy mówię ... abyście już więcej nie postępowali, jak inne narody postępują, w próżności umysłu swego ... ale ... odnowili się duchem umysłu swego (Efez. 4, 17.23).

„Chodźcie w miłości, jak i Chrystus umiłował nas i wydał samego Siebie za nas" (Efez. 5, 2).

„Postępujcie jak dzieci światłości, ... badając, co jest miłe Panu" (Efez. 5, 8. 10).

Słowo „chodzić" albo „postępować" użyte jest w Liście do Efezów osiem razy. Dosłownie onacza ono „chodzić wokoło" i użyte jest przez Pawła obrazowo dla zilustrowania naszego zachowania się i postawy, jaką winniśmy zachowywać. Słowo to wprowadza nas bezpośrednio w dziedzinę chrześcijańskiego zachowania się — i to stanowi główny temat drugiej części Listu do Efezów. Probierzem naszego zachowania się jest nasz stosunek do bliźniego — i w takim kontekście zagadnienie to jest tutaj naświetlone. Stosunki między wierzącymi, między sąsiadami, pomiędzy mężem i żoną — oto zagadnienia, o których jest tutaj mowa, i to w jak najbardziej praktyczny sposób. „Postępujcie ... z cierpliwością, znosząc jedni drugich." „Odrzuciwszy kłamstwo, mówcie prawdę, każdy z bliźnim swoim." „Gniewajcie się, lecz nie grzeszcie." „Kto kradł, niech więcej nie kradnie." „Wszelka gorycz ... niech będzie odjęta od was." „Bądźcie jedni ku drugim dobrotliwi ... przebaczając sobie wzajemnie." „Ulegając jedni drugim." „Nie pobudzajcie do gniewu." „Bądźcie posłuszne." „Zaniechawszy groźby." Nic nie mogłoby być bardziej realistycznego, jak ta lista rozkazów.

Pozwólcie, że wam przypomnę, że i sam Pan Jezus rozpoczyna Swoje nauczanie w tym samym tonie. Proszę zwrócić baczną uwagę na następujący fragment Jego Kazania na Górze: „Słyszeliście, iż powiedziano: Oko za oko, ząb za ząb. A ja wam powiadam: nie sprzeciwiajcie się złemu, ale kto cię uderzy w prawy policzek twój, nadstaw mu i drugi; i temu, który się z tobą chce prawować i suknię twoją wziąć, puść mu i płaszcz; i kto by cię przymuszał iść milę jedną, idź z nim i dwie; temu, co cię prosi, daj, i od tego, co chce od ciebie pożyczyć, nie odwracaj się. Słyszeliście, iż powiedziano: Będziesz miłował bliźniego swego, i będziesz miał

w nienawiści nieprzyjaciela swego. A ja wam powiadam: miłujcie nieprzyjaciół swoich; błogosławcie tym, którzy was przeklinają; dobrze czyńcie tym, którzy was nienawidzą i módlcie się za tych, którzy was krzywdzą i prześladują; abyście byli synami Ojca waszego, który jest w niebiesiech; bo On to czyni, że słońce Jego wschodzi na złych i na dobrych, i deszcz spuszcza na sprawiedliwych i na niesprawiedliwych. Albowiem jeśli miłujecie tych, którzy was miłują, jakąż zapłatę macie? czyż i celnicy tego nie czynią? A jeśliście tylko braci swoich pozdrawiali, cóż osobliwego czynicie? czyż i celnicy tak nie czynią? Bądźcie wy tedy doskonałymi, jak i Ojciec wasz, który jest w niebiesiech, doskonały jest" (Mat. 5, 38-48).

Powiesz może: „Ja tego zrobić nie potrafię. To są wymagania, którym podołać nie sposób!" Podobnie jak ów przyjaciel mój — inżynier, czujesz, że zostałeś pokrzywdzony — może i bardzo pokrzywdzony — a nie możesz się zdobyć na przebaczenie. T y miałeś rację, a postępowanie twego wroga było całkowicie niesprawiedliwe. Może przyznajesz, że byłoby rzeczą idealną miłować go, lecz nie jesteś w stanie tego dokonać.

DOSKONAŁOŚĆ OJCA

Począwszy od dnia, w którym człowiek wziął owoc z drzewa znajomości dobrego i złego, zaczął podejmować decyzje odnośnie do ustalenia, co jest dobre, a co złe. Człowiek naturalny ustalił swoje własne pojęcia w tych sprawach i usiłuje według nich żyć. Oczywiście, że w naszym życiu, jeśli jesteśmy chrześcijaninami, dzieje się zupełnie inaczej. Zachodzi jednak pytanie w jakim sensie inaczej? Od chwili naszego nawrócenia rozwinęło się w nas nowe poczucie sprawiedliwości, w wyniku czego my również — i to całkiem słusznie — zainteresowani jesteśmy zagadnieniem dobra i zła. Czy zdaliśmy sobie jednak sprawę z tego, że dla nas punkt wyjścia jest odmienny? Dla nas Drzewem Żywota jest Chrystus. My nie rozpoczynamy od etycznego rozważania, co jest sprawiedliwe, a co niesprawiedliwe. Nie zaczynamy od tego drugiego drzewa. Zaczynamy od N i e g o. Dla nas całe zagadnienie jest zagadnieniem Życia.

Nic nie wyrządziło większej szkody naszemu chrześcijańskiemu świadectwu, jak nasze usiłowania, aby być sprawiedliwymi i wymaganie tejże sprawiedliwości od innych. Zaj-

muje nas całkowicie problem co jest, a co nie jest dobre. Zapytujemy samych siebie, czy zostaliśmy potraktowani sprawiedliwie, czy też niesprawiedliwie, i w ten sposób usiłujemy uzasadnić nasze poczynania. Ale nie to powinno być naszym sznurem, według którego mielibyśmy postępować. Dla nas całe zagadnienie zamyka się w noszeniu krzyża. Zapytasz mnie może: „Czy jest rzeczą sprawiedliwą, aby ktoś mnie uderzył w twarz?" Odpowiem: „Oczywiście, że nie! Ale czy masz zamiar poprzestać tylko na tym, aby mieć rację?" Dla nas chrześcijan miarą, według której oceniać winniśmy problemy życia, nie może być dobro — zło, lecz Krzyż. Zasadą naszego postępowania jest zasada Krzyża. Chwała Bogu, że On to sprawia, iż słońce świeci zarówno na sprawiedliwego, jak i na niesprawiedliwego. U Niego przejawia się działanie łaski, a nie zasady dobra i zła — a to samo winno być i naszą zasadą: „Przebaczając sobie wzajemnie, jak wam Bóg przebaczył w Chrystusie" (Efez. 4, 32). Dobro i zło to zasada celników i pogan — moje życie zaś powinno być kierowane zasadą Krzyża i doskonałością Ojca: „Bądźcież wy tedy doskonałymi, jak i Ojciec wasz, który jest w niebiesiech, doskonały jest."

Pewien brat w południowych krajach posiadał pole ryżowe położone w pośrodku wzgórza. W okresie suszy używał pompy, poruszanej nogami, przy pomocy której nawadniał swoje pole wodą z płynącego poniżej strumyka irygacyjnego. Sąsiad jego miał dwa kawałki pola położone poniżej i pewnej nocy zrobił dziurę w jego tamie i wypuścił ze zbiornika wszystką wodę. Gdy nasz brat naprawił dziurę i napompował świeży zapas wody, sąsiad jego zrobił znów to samo — i stało się tak trzy czy cztery razy. Brat ten udał się więc po radę do współwierzących, mówiąc: „Starałem się być cierpliwym i nie odwzajemniać złym za złe, ale czy to jest w p o r z ą d k u?" Po wspólnej modlitwie w tej sprawie, jeden z obecnych rzekł: „Jeśli staramy się robić tylko to, co jest w porządku — jesteśmy zaiste biednymi chrześcijanami. Naszym obowiązkiem jest czynić coś więcej, aniżeli tylko być w porządku." Słowa te zrobiły na naszym bracie wielkie wrażenie. Następnego ranka napompował wodę dla dwóch pól leżących poniżej jego własnego, a po obiedzie napompował też wodę dla swego pola. Po tym dniu woda już na polu pozostawała. Jego sąsiad był tak zdumiony tym postępowaniem, że zaczął się dowiadywać, co było tego powodem — i po pewnym czasie on też uwierzył w Pana Jezusa.

A tak, moi bracia, nie stójcie na stanowisku, że to czy tamto jest słuszne, albo niesłuszne. Nie uważajcie też, że poszedłszy drugą milę, zrobiliście już wszystko, co było potrzebne. Ta druga mila jest tylko przykładem dla trzeciej i czwartej. Zasadą obowiązującą tutaj jest przypodobanie się Panu Jezusowi Chrystusowi. Nie mamy niczego, przy czym byśmy się mieli upierać, niczego, czego byśmy się mogli domagać — mamy jedynie dawać. Gdy Pan Jezus umierał na krzyżu, nie czynił tego w celu obrony naszych »praw«; zaprowadziła Go tam łaska. Podobnie i my, Jego dzieci, usiłujemy innym dać co im się należy — i więcej.

Musimy pamiętać, że i my często nie mamy r a c j i. Zawodzimy, i jest rzeczą bardzo potrzebną, abyśmy się z naszych upadków czegoś nauczyli, a mianowicie gotowości do przyznawania się, a także gotowości do pójścia dalej jeszcze niż to jest konieczne. Tego sobie życzy nasz Pan. A dlaczego? „Abyście byli synami Ojca waszego, który jest w niebiesiech" (Mat. 5, 45). Chodzi więc tutaj o praktyczne synostwo. Choć prawdą jest, że Bóg „przeznaczył nas ku przysposobieniu Sobie za synów przez Jezusa Chrystusa" (Efez. 1, 5), ale popełniamy pomyłkę, jeśli nam się zdaje, że już się staliśmy pełnoletnimi, że już jesteśmy dojrzałymi synami. Kazanie na Górze uczy nas, że dzieci osiągają pełne uprawnienia synów w tej mierze, w jakiej objawia się u nich pokrewieństwo duchowe i podobieństwo w zachowaniu się z ich Ojcem. Powołani jesteśmy do objawiania „doskonałości" w miłość, manifestując w ten sposób Jego łaskę. Dlatego Paweł pisze: „Bądźcie tedy naśladowcami Boga, jako dzieci umiłowane, i chodźcie w miłości, jak i Chrystus umiłował nas, i wydał samego Siebie za nas" (Efez. 5, 1.2).

Zostaje więc postawiona przed nami próba. Piąty rozdział Mateusza ustala poziom, który może się nam zupełnie słusznie wydawać za wysoki i nieosiągalny, a Paweł w omawianym fragmencie Listu do Efezów wymagania te potwierdza. Trudność polega na tym, że my nie znajdujemy w sobie naturalnych środków do osiągnięcia takiego poziomu i do chodzenia „jak przystoi na świętych" (Efez. 5, 3). Gdzie więc znajdziemy odpowiedź na pytanie, w jaki sposób sprostać tak ogromnym Bożym wymaganiom?

Wyjaśnienie tej tajemnicy zawarte jest w słowach Pawła: „wedle mocy skutecznie w nas działającej" (Efez. 3, 20). W podobnym odcinku Listu do Kolosensów pisze: „Pracuję,

walcząc według mocy Jego, która działa we mnie potężnie" (Kol. 1, 29).

To nas wprowadza z powrotem do pierwszej części Listu do Efezów. Czym jest tajemna moc życia chrześcijańskiego? Na czym polega jej potęga? Pozwólcie, że odpowiedź sformułuję w jednym zdaniu: tajemnicą chrześcijanina jest jego odpoczywanie w Chrystusie. Jego moc płynie ze stanowiska, które mu darował Bóg. Wszyscy, którzy umieją siedzieć, umieją też i chodzić, ponieważ stosownie do Bożej myśli, jedno spontanicznie wypływa z drugiego. Na wieki siedzimy z Chrystusem, abyśmy mogli ustawicznie chodzić przed ludźmi. Jeśli tylko na chwilę opuścimy nasze miejsce odpocznienia w Nim, natychmiast wpadamy w pułapkę i nasze świadectwo w tym świecie zostaje zepsute. Jeśli jednak pozostajemy w Chrystusie, nasze stanowisko w Nim zapewnia nam posiadanie mocy do chodzenia tutaj na ziemi w sposób godny Jego. Jeślibyście chcieli ułatwić sobie zrozumienie tej prawdy przy pomocy jakiegoś przykładu, to proszę nie myśleć o biegaczu, który bierze udział w lekkoatletycznej konkurencji biegów, lecz raczej o człowieku siedzącym w samochodzie — lub jeszcze lepiej będzie, jeśli pomyślimy o sparaliżowanym człowieku, siedzącym w fotelu inwalidzkim, poruszanym przy pomocy motoru. Co ten człowiek robi? On się posuwa do przodu — ale równocześnie siedzi. Porusza się dlatego, że zachowuje pozycję siedzącą. Jego posuwanie się do przodu wynika z pozycji, w której został umieszczony. To jest oczywiście daleki od doskonałości obraz życia chrześcijańskiego, ale pomoże nam on w zrozumieniu tej prawdy i w przypominaniu sobie, że nasze poczynania i nasze zachowanie zależy fundamentalnie od wewnętrznego odpoczywania w Chrystusie.

To wyjaśnia użyte tutaj przez Pawła słowa. On najpierw nauczył się siedzieć. Znalazł się w miejscu odpocznienia w Bogu, a rezultatem tego było chodzenie, nie oparte na własnych wysiłkach, lecz na mocy Bożej, potężnie w nim działającej. Na tym polega tajemnica jego wewnętrznej siły. Ponieważ Paweł widział samego siebie siedzącego „w Chrystusie", stało się możliwym, aby chodził przed ludźmi w mocy Chrystusa mieszkającego w nim. Stąd modlitwa, jaką zanosi Paweł za wierzącymi w Efezie: „Aby Chrystus przez wiarę mieszkał w sercach waszych" (Efez. 3, 17).

Co powoduje chód mojego zegarka? Czy powoduje go na pierwszym miejscu jego ruch, czy też poruszanie go? Oczywiście — chodzi dlatego, że został najpierw poruszony siłą znajdującą się poza nim. Tylko wówczas będzie wykonywał pracę, dla której został skonstruowany. Są też zadania, do których wykonania i my zostaliśmy przeznaczeni. „Jego bowiem dziełem jesteśmy, stworzeni w Chrystusie Jezusie ku dobrym uczynkom, dla których przeznaczył nas Bóg, byśmy w nich chodzili" (Efez. 2, 10).

To, co uzewnętrzniało się w życiu apostoła Pawła, było jedynie objawianiem się wewnętrznej działalności Boga. Sam Bóg czynił coś we wnętrzu Pawła, jak czytaliśmy — „działał w nim potężnie". Rezultatem tego była zdolność Pawła do wykonywania czegoś zewnętrznie. Pisząc do Filipensów wyraził się tak: „Z bojaźnią i ze drżeniem sprawujcie zbawienie swoje. Albowiem Bóg sprawuje w was i chęć i wykonanie według upodobania" (Fil. 2, 12.13). Bóg to sprawuje w was — sprawujcie więc zbawienie to na zewnątrz! Na tym polega cała tajemnica. Jeśli nie p o z w o l i m y Bogu sprawować tych rzeczy w nas, na próżno staralibyśmy się objawiać je na zewnątrz. Często usiłujemy być pokorni i łagodni — nie wiedząc nawet, co to znaczy pozwolić Bogu objawiać pokorę i łagodność Chrystusa w nas. Staramy się okazać miłość — a stwierdziwszy, że jej nie posiadamy zupełnie, zwracamy się do Boga, aby nam darował miłość. Bardzo też jesteśmy zdumieni, jeśli Bóg nam tej miłości jak gdyby nie chciał dać.

Pozwólcie, że powrócę do jednego z poprzednio przytoczonych przykładów. Może znasz jakiegoś brata, którego zachowanie niezmiernie cię drażni i z którym masz ustawicznie wiele kłopotu. Ilekroć go spotykasz, powie, albo zrobi coś, co jakby było specjalnie obliczone na wzbudzenie w tobie odrazy. Ta sprawa cię niepokoi. Powiadasz: „Jestem chrześcijaninem i powinienem go miłować. Chcę go miłować; ba, postanawiam, że go będę miłował!" Modlisz się więc gorąco w ten sposób: „Panie, pomnóż moją miłość ku niemu! O, Boże, obdarz mię miłością!" A potem, postanowiwszy mocno panować nad sobą i przygotowawszy całą posiadaną siłę woli, wyruszasz na spotkanie z tym człowiekiem z najszczerszym pragnieniem, aby okazać mu tę miłość, o którą się modliłeś. Ale niestety — z chwilą, gdy tylko znalazłeś się w jego obecności, znowu ma miejsce coś takiego, co w niwecz obraca

wszystkie twoje dobre intencje. Już sposób, w jaki odpowiedział na twoje pozdrowienie, nie jest ani trochę zachęcający, a raczej wręcz przeciwnie, i natychmiast twoja stara niechęć wybucha świeżym płomieniem, i oto znowu wszystko, na co się możesz zdobyć, to zaledwie zewnętrzna, zdawkowa uprzejmość. Dlaczego tak się dzieje? Chyba nie było w tym niczego złego, że starałeś się otrzymać miłość od Boga! Nie, ale byłeś w błędzie, szukając tej miłości jako czegoś odrębnego. Niewłaściwą rzeczą było to, że starałeś się otrzymać od Niego dar w celu użycia go do uczynienia w mocy twojego naturalnego postanowienia tego, co uczynić by chciał przez ciebie sam Bóg, poprzez delikatne kierownictwo i w mocy Jego miłości. Na tym polega różnica. Obyśmy umieli ją dostrzec!

Tak wygląda strona pozytywna tego zagadnienia. A jak wygląda strona negatywna? W jaki sposób zapanować nad tymi innymi elementami jak odraza, gorzkie myśli i uczucia, które przy najmniejszej nawet prowokacji podnoszą się w twoim sercu? Tutaj chciałbym zwrócić uwagę na słowa zawarte w jednym z rozkazów wymienionych już poprzednio, które wyrażają niemal zupełną bierność: „Wszelka gorycz i zapalczywość i gniew i wrzask i bluźnierstwo niech będą odjęte od was, wraz ze wszelką złością" (Efez. 4, 31). Na takie słowa niewątpliwie odpowiesz w ten sposób: „To zbyt trudna sprawa. W jaki sposób kiedykolwiek zadość uczynię tym żądaniom 'wszelka, wszelki, wszelkie' — tak, aby ani odrobina z tych rzeczy nie pozostała? Nie; nawet nie opłaci się usiłować tego dokonać — walka i tak z góry jest przesądzona i przegrana. Wiem, że mi się to nigdy nie uda!" Na to odpowiadam: „Oczywiście, że tobie się to nie uda — ale Jemu to się na pewno uda. Czyż słowa Pawła nie wskazują na to bardzo wyraźnie, że On istotnie ma życzenie tego dokonać? Moc Jego Krzyża jest wystarczająca, aby usunąć, pogrążyć w śmierć i złożyć do grobu to wszystko, co wyrasta ze starej natury, a twoim zadaniem nie jest walka z tymi rzeczami, ale masz zaufać Mu i pozwolić, aby Jego Krzyż dokonał swej pracy. Przypomnij sobie raz jeszcze o twoim miejscu odpoczynienia w Chrystusie — tam trwaj i czekaj, aż „wszelka gorycz i zapalczywość ... będą odjęte od ciebie".

Bóg dał nam Chrystusa. Nie mamy niczego, co byśmy mogli obecnie otrzymać poza Nim. Duch Święty został posła-

ny, aby odtworzyć to, co jest w Chrystusie — w nas, a nie w tym celu, aby stworzyć cokolwiek, co jest poza Nim; „...iżbyście byli mocą utwierdzeni przez Ducha Jego w człowieku wewnętrznym ... i żebyście mogli ... poznać miłość Chrystusa" (Efez. 3, 16.19). Wszystko, co pokazujemy na zewnątrz, zostało najpierw włożone w nas przez Boga.

Przypomnijmy sobie raz jeszcze te wspaniałe słowa z I Koryntian 1, 30. Bóg nie tylko umieścił nas w Chrystusie'. Z Boga się stało również, że Chrystus Jezus „stał się nam mądrością od Boga i sprawiedliwością i poświęceniem i odkupieniem". Jest to jedno z najwspanialszych stwierdzeń Pisma Świętego. On „się nam stał", albo innymi słowy „został nam uczyniony..." Jeśli tym słowom wierzymy, możemy tutaj wstawić wszystko, co tylko potrzebujemy i mieć całkowitą pewność, że Bóg uczynił tę rzecz istotnie — Sam Pan Jezus bowiem przez Ducha Świętego uczyniony nam jest tym wszystkim, czego nam potrzeba. Przywykliśmy patrzeć na świętobliwość — jako na cnotę, na pokorę — jako na łaskę, na miłość — jako na dar, o który winniśmy prosić Boga. Ale Chrystus Boży jest Sam wszystkim, co kiedykolwiek nam będzie potrzebne.

Wiele razy w moich potrzebach myślałem o Chrystusie jako o Osobie, oddzielnie, a nie uzmysławiałem sobie, że On i te rzeczy, których mi tak bardzo było potrzeba — to jedno i to samo. Przez całe dwa lata chodziłem po omacku, usiłując nagromadzić te cnoty, o których wiedziałem, że z całą pewnością stanowią istotne części składowe życia chrześcijańskiego, a jednak wysiłki moje nie doprowadziły mnie do niczego. Aż pewnego dnia — a było to w roku 1933 — olśniła mnie jak gdyby światłość z nieba i zobaczyłem, że Chrystus w Swojej pełni został przez Boga uczyniony dla mnie wszystkim. Co za ogromną różnicę sprawiło to w moim życiu! Jakże pustymi odtąd wydawały się wszystkie „rzeczy"! Jeśli myślimy o nich bez istotnego, żywotnego związku z Samym Panem Jezusem — są one martwe. Z chwilą, gdy sobie z tego zdamy sprawę, będzie to dla nas początkiem nowego życia. Odtąd będziemy pisać o naszej świętobliwości używając dużej litery Ś, o naszej miłości przez duże M itd. **On Sam** objawiony jest jako odpowiedź w nas samych na wszystkie Boże żądania.

A teraz powróćmy raz jeszcze do tego trudnego brata. Tym razem jednak, zanim udasz się na spotkanie z nim, zwróć się do Boga w następujący sposób: „Panie, nareszcie stało mi się zupełnie jasne, że absolutnie nie umiem miłować, ale teraz wiem, że istnieje we mnie życie — życie Twego Syna — i że prawem tego życia jest miłowanie. To życie nie potrafi czynić niczego innego, jak tylko miłować". I już nie potrzeba, abyś się wysilał — odpocznij w Nim. Licz na moc Jego życia. Miej odwagę w ten sposób podejść do twego brata i z nim rozmawiać, a oto stanie się zdumiewająca rzecz! Całkiem podświadomie (a chciałbym podkreślić tutaj słowo 'podświadomie', jako że świadomość przychodzi dopiero później) rozmowa twoja z nim przebiega w sposób bardzo przyjemny; całkiem podświadomie go miłujesz; całkiem podświadomie odczuwasz w nim twego brata. Rozmawiasz z nim swobodnie i masz prawdziwą społeczność z nim, a po powrocie do domu z ust twoich wyrywają się pełne zdumienia słowa: „Cóż to się stało? Przecież nie zmuszałem się troskliwie do czynienia czegokolwiek, a pomimo to nie podenerwowałem się ani razu, nawet i troszeczkę! W jakiś niewiadomy sposób Pan był ze mną i Jego miłość zatriumfowała".

Działanie życia Pana Jezusa w nas jest w pełnym tego słowa znaczeniu spontaniczne, to jest bez udziału naszego wysiłku. Podstawową zasadą jest w tej sprawie nie 'usiłowanie' lecz 'ufanie' — poleganie nie na naszej własnej sile, lecz na Jego mocy. Tylko bowiem sposób w jaki płynie nasze życie objawia, czym istotnie jesteśmy 'w Chrystusie'. Słodka woda wypływa tylko ze Studni żywota.

Bardzo często możemy samych siebie przyłapać na 'grających rolę' chrześcijanina. Życie wielu chrześcijan w dobie dzisiejszej jest niestety w dużej mierze tylko udawaniem. Prowadzą 'duchowy' tryb życia, używają 'duchowego' języka, robią 'uduchowione' miny — ale wszystko to robią sami. Ogromna ilość energii potrzebna do robienia tego wszystkiego powinna im jednakowoż sygnalizować, że coś w tym wszystkim jest nie całkiem w porządku. Zmuszają się do powstrzymywania się od czynienia jakichś rzeczy, od mówienia pewnych słów, od jedzenia czegoś — i ach! jak im to ciężko przychodzi! To zupełnie tak samo, jak gdyby ktoś usiłował mówić mało sobie znanym obcym językiem: choć się ogromnie wysila, nie potrafi mówić swobodnie; aby mówić w ten

sposób, człowiek musi się zmuszać. Nic nie jest natomiast rzeczą łatwiejszą, jak mówić w swoim języku ojczystym. Niekiedy wymykają się nawet z naszych ust pewne zdania, których nie mieliśmy zamiaru głośno wypowiedzieć. Przychodzi to wszystko w sposób tak naturalny, że już sama spontaniczność naszej wypowiedzi zdradza wszystkim nas otaczającym, jakiej jesteśmy narodowości.

Nasze życie j e s t życiem Chrystusa, przyniesionym nam przez mieszkającego w nas Ducha Świętego osobiście, a prawa tego życia działają **s p o n t a n i c z n i e.** Z chwilą, gdy fakt ten stanie nam się jasny, przestaniemy się borykać i odrzucimy nasze udawanie. Nie ma dla życia chrześcijańskiego bardziej szkodliwej rzeczy jak aktorska gra, w której dany człowiek gra rolę chrześcijanina. Z drugiej strony zaś nie ma niczego bardziej błogosławionego jak zaprzestanie własnych zewnętrznych wysiłków — gdy nasze zachowanie staje się zupełnie naturalne, gdy nasze słowa, nasze modlitwy i nasze całe życie staną się niewymuszonym wyrazem, spontanicznym objawieniem się życia, które znajduje się w nas. Czy zrobiliśmy już to odkrycie, jak dobry jest Pan? Pamiętajmy więc, że On jest tak dobrym w n a s ! Czy moc Jego jest wielka? Wobec tego jest ona w n a s nie mniejsza! Chwała Bogu, życie Jego jest dziś równie potężne jak dawniej i jak kiedyś w przyszłości, a w życiu tych, którzy mają odwagę uwierzyć Słowu Bożemu, życie to objawiać się będzie w mocy ani odrobinę mniejszej, aniżeli objawiało się ono w dawnych czasach.

Co nasz Pan miał na myśli, gdy powiedział: „Jeśli nie będzie obfitszą sprawiedliwość wasza niż uczonych w Piśmie i Faryzeuszów, nie wnijdziecie do królestwa niebieskiego" (Mat. 5, 20)? Zauważyliście już, czytając ten cytat poprzednio, że Pan od stwierdzenia tego przechodzi do wskazania kontrastu, jaki istnieje pomiędzy wymogami Zakonu Mojżeszowego, a Jego ogromnymi wymogami. Czyni to powtarzając kilkakrotnie słowa: „Słyszeliście, iż rzeczono przodkom... A ja wam powiadam..." Ale skoro już do czasów Pana Jezusa minęło tyle wieków, w których ludzie usiłowali zadość uczynić wymogom Zakonu — a nie udało im się to zupełnie, jakże się to więc mogło stać, że Pan odważył się wymogi te jeszcze podnosić? Mógł uczynić to tylko dlatego, że wierzył w moc Swego własnego życia. Nie obawia się On bowiem stawiać choćby i największych wymagań w stosunku do Siebie Same-

go. Tak więc możemy w czytaniu praw Królestwa, przedstawionych w rozdziałach 5 do 7 Ewangelii według Mateusza, znaleźć prawdziwą pociechę, wskazują nam bowiem one, jak wielkie zaufanie Pan pokłada w Swoim własnym życiu, którego otrzymywanie umożliwił Swoim dzieciom. Rozdziały te przedstawiają Bożą ocenę Bożego życia. Wielkość wymogów, jakie wysuwa On pod naszym adresem objawia wielkość zaufania w obfitość zasobów, jakie umieścił w nas samych w celu sprostania tym wymogom.

Czy stajemy wobec jakiejś trudnej sytuacji? Czy chodzi o ustalenie, czy dana rzecz jest dobra, albo zła, słuszna, albo niesłuszna? Nie potrzebujemy już więcej szukać mądrości. Nie potrzebujemy więcej zwracać się w kierunku drzewa znajomości dobrego i złego. Mamy Chrystusa, a On się nam stał mądrością od Boga. Zakon Ducha żywota w Jezusie Chrystusie bezustannie informuje nas o Jego wymogach (jeśli chodzi o sprawiedliwość czy też niesprawiedliwość), a równocześnie poucza nas, w jakim duchu dana trudność winna być rozstrzygnięta.

Coraz więcej napotkamy w życiu spraw, które ranić będą nasze chrześcijańskie poczucie sprawiedliwości i staną się nam próbą, w jaki sposób zareagujemy. Musimy nauczyć się zasady Krzyża — że mierzyć obecnie winniśmy nie miarą starego, lecz nowego człowieka „stworzonego według Boga w sprawiedliwości i w świętości prawdy" (Efez. 4, 22-24). Niechaj więc z serc naszych wyrywa się taka modlitwa: „Panie, ja nie mam żadnych praw, w których obronie bym mógł stawać. Wszystko, co tylko posiadam, otrzymałem dzięki Twojej łasce i wszystko znajduję w Tobie!" — Słyszałem o wypadku, który miał miejsce w życiu pewnej wierzącej staruszki. Otóż do mieszkania jej włamał się pewnego razu jakiś złodziej. W swojej prostej, a równocześnie praktycznej wierze w Pana, postąpiła następująco: człowiekowi temu przygotowała posiłek, a następnie zaofiarowała mu klucze od swego mieszkania. Postępek tej niewiasty ogromnie zawstydził złodzieja i Bóg przemówił przez przeżycie to do jego serca. Dzięki świadectwu tej siostry człowiek ten jest dzisiaj bratem w Chrystusie.

W życiu zbyt wielu chrześcijan istnieje taki stan, że wiedzą o wszystkich doktrynach, ale życie ich jest zaprzeczeniem tychże prawd. Wiedzą doskonale o wszystkich naukach zawartych w rozdziałach 1 — 3 Listu do Efezów, ale treści rozdziałów 4 — 6 nie wprowadzają w życie. Byłoby lepiej

nie znać doktryn, aniżeli być ich zaprzeczeniem. Jeśli Bóg cokolwiek rozkazał — oprzyj się wiarą na Nim i z ufnością weź od Niego środki do wykonania Jego rozkazów. Oby Pan nauczył nas zasady, że podstawą życia chrześcijańskiego jest czynienie czegoś więcej, niż li tylko tego, co jest słuszne – czynienie tego, co się Jemu podoba.

CZAS WYKUPUJĄC

Pozostaje nam jednak do powiedzenia coś więcej jeszcze na temat naszego chrześcijańskiego chodzenia. Słowo to bowiem ma oczywiście także i dalsze znaczenie: nie oznacza ono tylko naszego zachowania się w stosunku do innych i sposobu życia, lecz również oznacza posuwanie się do przodu. Chcemy więc teraz pokrótce zająć się sprawą naszego posuwania się naprzód — ku wytkniętemu celowi.

„Patrzcie tedy, jak macie postępować ostrożnie, nie jak niemądrzy, ale jak mądrzy, czas wykupując; bo dni są złe. Przetoż nie bądźcie nierozumnymi, ale rozumiejcie, co jest wolą Pańską" (Efez. 5, 15 — 17).

Proszę zwrócić uwagę, że w tym zacytowanym urywku istnieje związek pomiędzy pojęciem czasu z jednej strony, a pojęciem mądrości i głupoty z drugiej. „Patrzcie jak postępować... jako mądrzy, czas wykupując... nie jak niemądrzy". To jest bardzo ważną rzeczą. Chciałbym przypomnieć wam jeszcze dwa dalsze miejsca w Słowie Bożym, gdzie pojęcia te są w podobny sposób usławione obok siebie:

„Wtedy podobne będzie królestwo niebieskie dziesięciu pannom... A było z nich pięć mądrych, i pięć głupich. Głupie wziąwszy lampy swoje, nie wzięły oleju ze sobą. ... A o północy stał się krzyk: Oto oblubieniec przychodzi; wyjdźcie na spotkanie jego! Wtedy obudziły się wszystkie owe panny i przyrządzały lampy swoje. A głupie rzekły... lampy nasze gasną... A gdy odeszły kupować, przyszedł oblubieniec, i te, które były gotowe, weszły z nim na wesele: i zamknięto drzwi. Lecz potem przyszły i drugie panny..." (zobacz Mat. 25, 1 — 13).

„I widziałem, i oto, Baranek stał na górze Syjońskiej, i z Nim sto czterdzieści cztery tysiące mających imię Ojca Jego napisane na czołach swoich... ci są dziewiczymi. Są to ci, którzy idą za Barankiem, gdziekolwiek idzie. Ci kupieni są z ludzi, jako pierwiastki Bogu i Barankowi. I w ustach ich nie znalazła się zdrada; albowiem są bez zmazy" (zobacz Obj. 14, 1 — 5).

Wiele miejsc Słowa Bożego zapewnia nas, że dzieło, które Bóg rozpoczął — zostanie przez Niego dokończone. Zbawiciel nasz zbawia doskonale. Żaden wierzący w Chrystusa nie będzie zbawiony „tylko na pół", gdy nadejdzie koniec, nawet jeśli można by tak o nas w pewnym sensie powiedzieć teraz. Bóg uczyni każdego wierzącego Weń doskonałym. Oto, w co wierzymy, i co należy zachować w pamięci w związku z tym, co powiemy za chwilę. Możemy powiedzieć z apostołem Pawłem: „Będąc pewny tego, że Ten, który rozpoczął w was dobrą sprawę, wykona ją aż do dnia Jezusa Chrystusa" (Fil. 1, 6). Boża moc nie zna granic. On „może... stawić przed obliczem chwały Swojej bez nagany z weselem" (Judy 24; zobacz również 2 Tym. 1, 12; Efez. 3, 20).

Z zagadnieniem czasu spotykamy się jednak dopiero wtedy, gdy weźmiemy pod uwagę subiektywny aspekt tego zagadnienia — jego praktyczne objawianie się w naszym życiu tutaj na ziemi. W Objawieniu r. 14 jest mowa o pierwiastkach (w. 4) i o żniwie (w. 15). Jaka jest różnica pomiędzy żniwem a pierwiastkami? Z całą pewnością nie ma różnicy w gatunku — jako że cały plon jest jeden i ten sam, ale różnica polega wyłącznie na czasie dojrzewania. Pewne owoce osiągają dojrzałość przed innymi, i stąd ich nazwa: „pierwiastki".

W krajach, w których rosną pomarańcze, można zaobserwować, że na początku sezonu, pośród zieleni pomarańczowych drzew można dojrzeć, przy baczniejszym przypatrzeniu się, tu i ówdzie złote plamki — to są pierwsze pojawiające się dojrzałe pomarańcze. Zieleń jak gdyby nakrapiana złotem stanowi przepiękny widok. Po pewnym czasie dojrzeje cały plon i wtedy całe sady pomarańczowe tonąć będą w złocie — ale w danej chwili zbiera się pierwiastki, i zrywa się je bardzo ostrożnie, jako że te właśnie owoce osiągają najwyższą cenę na rynku; niejednokrotnie trzykroć wyższą od ceny owocu w sezonie.

Wszystkie owoce osiągną dojrzałość po jakimś czasie, ale Baranek szuka pierwiastków. „Mądre panny" w przytoczonej przypowieści nie uczyniły czegoś lepszego, ale one dokonały dobrego dzieła wcześniej. Te drugie — proszę zwrócić na to uwagę — były również pannami, bez wątpienia 'głupimi', ale nie fałszywymi. Poszły one na spotkanie oblubieńca razem z mądrymi i także miały olej w swoich lampach, gdyż lampy ich również płonęły. One jednakowoż nie liczyły się z opóźnieniem Jego przyjścia, a gdy lampy ich zaczęły przy-

gasać, nie miały już w naczyniach swoich oleju, a towarzyszki ich nie miały możności użyczyć im ze swego zapasu.

Niektórych niepokoi wypowiedź Pana, gdy zwrócił się do głupich panien ze słowami: „Nie znam was". W jaki sposób mógł Pan użyć takich słów w stosunku do nich, jeśli miałyby one przedstawiać Jego prawdziwe dzieci, o których apostoł Paweł pisze w 2 Kor. 11, 2: „Bo zaręczyłem was... aby przedstawić dziewicę czystą Chrystusowi"? Musimy jednak rozpoznać w tej przypowieści tę naukę: Pan nasz niewątpliwie stwierdza, że dzieci Jego mogą nie dostąpić w przyszłości jakiegoś przywileju usługiwania Mu z powodu braku przygotowania. Jest tutaj powiedziane, że potem przyszły i drugie panny do drzwi mówiąc: „Panie, Panie, otwórz nam!" O jakie drzwi tutaj chodzi? Z całą pewnością nie o drzwi zbawienia. Jeśli jesteś zgubiony, to jest rzeczą niemożliwą, abyś podszedł do drzwi nieba i tam zapukał. Gdy zatem Pan powiada: „Nie znam was", zapewne używa słów tych w pewnym ściśle ograniczonym pojęciu, podobnie jak to miało miejsce w przykładzie, który zaraz przytoczę.

W pewnym wielkim mieście został zatrzymany przez policję drogową za nieostrożną jazdę syn naczelnika sądu. Musiał stanąć przed sądem i tam stwierdził, że na fotelu sędziowskim zasiada jego własny ojciec. Procedura sądowa jest mniej więcej jednakowa na całym świecie, zadano mu więc pytanie: „Jak się pan nazywa? Jaki jest pana adres? Pana zawód?" itd. Zdumiony zwraca się do swego ojca i pyta się go: „Ojcze! Czyżbyś ty chciał twierdzić, że ty mnie nie znasz?" Ale pukając w stół, ojciec jego odpowiedział surowo: „Młody człowieku, ja cię nie znam. Jak się pan nazywa? Jaki jest pana adres?" Jest rzeczą oczywistą, że słowa te nie oznaczały, że go nie zna zupełnie — w domu i wpośród rodziny znał go oczywiście, a l e n a t y m m i e j s c u i w t y m c z a s i e go nie znał. Chociaż był synem swego ojca, młodzieniec ten musiał przejść przez procedurę sądową i ponieść zasłużoną karę.

Tak, wszystkich dziesięć panien miało olej w lampach swoich, ale głupie różniły się od mądrych tym, że w naczyniach swoich nie miały zapasu. Jako prawdziwe chrześcijanki miały życie w Chrystusie i świadectwo przed ludźmi, ale świadectwo ich nie miało charakteru ustawicznego, gdyż żyły trybem życia, który można by określić: od ręki do ust. One mają Ducha, ale nie są, jak moglibyśmy to określić — „na-

pełnione Duchem". Gdy przychodzi kryzys — muszą iść kupować więcej oleju. Na końcu, oczywiście, wszystkich dziesięć miało dostateczną ilość oleju, ale różnica polegała na fakcie, że głupie, gdy wreszcie miały dosyć — utraciły sposobność użycia oleju dla tego celu, dla którego był przeznaczony. Tutaj chodzi wyłącznie o zagadnienie czasu, i tego właśnie chce nas nauczyć nasz Pan, zachęcając i ostrzegając uczniów przy końcu tej przypowieści, aby byli nie tylko uczniami, ale czuwającymi uczniami.

„Nie upijajcie się winem, w którym jest rozpusta; ale bądźcie napełnieni Duchem" (Efez. 5, 18). W 25-tym rozdziale Mateusza nie chodzi o początkowe przyjęcie Pana Jezusa Chrystusa, ani też o zstępowanie na Jego sługi Ducha Świętego, w celu udzielenia im duchowych darów. Tutaj chodzi o zapas oleju w naczyniu — o podtrzymanie światła (choćby nawet czas oczekiwania był nie wiadomo jak długi), co dzieje się dzięki ustawicznemu, cudownemu uzupełnianiu nas wewnętrznie przez Ducha (gdyż jakkolwiek w przypowieści jest mowa o lampie i o naczyniu, to w rzeczywistości my sami jesteśmy i lampą i naczyniem). Jaki chrześcijanin mógłby żyć w wieczności w niebie bez znajomości tej wewnętrznej pełni? Zapewne nie ominie to żadnej panny! Dlatego też nasz Pan czyni kroki, aby przywieść nas do znajomości tej pełni teraz. „Czuwajcie tedy; bo nie wiecie dnia ani godziny".

„Bądźcie napełnieni" (po grecku: plerousthe) jest wyrażeniem użytym tutaj w stosunku do Osoby Ducha Świętego — i to wyrażeniem istotnie niezwykłym. Oznacza ono dosłownie: „Pozwólcie się ustawicznie napełniać". Nie chodzi tutaj więc o jednorazowe dożycie, takie jakim był dzień Pięćdziesiątnicy, ale stan, w którym winniśmy trwać ustawicznie. Nie jest to też jakaś rzecz zewnętrzna, lecz wewnętrzna. Nie ma tutaj mowy o darach duchowych, które objawiałyby się zewnętrznie, ale chodzi o osobistą obecność i działalność Ducha Świętego wewnątrz naszego ducha, która zapewnia naszemu światłu możność jasnego świecenia — długo jeszcze po północy, jeśli zajdzie tego potrzeba.

Co więcej — nie jest to sprawa całkowicie osobista. Wskazuje na to bardzo wyraźnie następny wiersz (Efez 5, 19), gdzie widzimy, że jest to coś, co dzielimy z innymi wierzącymi w ścisłej zależności jeden od drugiego. Wiersz ten wyjaśnia bowiem, że „być napełniony Duchem" znaczy nie tylko „śpiewać i grać w sercu swoim Panu", lecz „**rozmawiać z so-**

bą przez psalmy i hymny i pieśni duchowne". Niektórym z nas z łatwością przychodzi śpiewanie solo, ale znacznie trudniej harmonijnie i zachowując wspólny rytm jest śpiewać im w kwartecie, czy nawet w duecie. A jednak u podstaw tej drugiej części Listu do Efezów leży ta właśnie jedność Ducha. (Efez 4, 3. 15. 16). Pełnia Ducha dana nam jest w tym celu, abyśmy wspólnie śpiewali pieśń nową przed tronem (Obj. 14, 3).

Pozostając jednak przy naszym głównym temacie, chciałbym raz jeszcze podkreślić, że mądrość czy głupota zależą wyłącznie od tej jednej rzeczy: jeśli jesteś mądrym, będziesz starał się osiągnąć tę pełnię prędzej, jeśli jednakowoż jesteś głupi, odłożysz tę sprawę na później. Niektórzy z nas są rodzicami i mają dzieci. Jak bardzo dzieci te różnią się od siebie temperamentem! Jedno jest posłuszne natychmiast; drugie będzie myślało, że przez odwlekanie uda mu się uniknąć wypełnienia rozkazu. Jeśli tak jest istotnie i jesteś na tyle słabym, aby dziecku pozwolić na wymiganie się od spełnienia obowiązku, to ten, który odwlekał, jest w istocie tym mądrzejszym, gdyż udaje mu się nic nie robić. Jeśli natomiast słowo twoje jest niewzruszone i rozkaz twój wcześniej czy później będzie **musiał** być wykonany, wówczas mądrzejszym jest niewątpliwie ten, który do wykonania zadania zabiera się natychmiast.

Musimy sobie jasno zdać sprawę z woli Bożej. Jeśliby można było nie brać pod uwagę Słowa Bożego, to nie byłoby głupotą uniknąć tego, czego ono od nas żąda; jeśli natomiast Bóg jest niezmienny, a wola Jego niewzruszona, wówczas należy być mądrym — czas wykupując. Nade wszystko starajcie się mieć ów zapas oleju w swoim naczyniu, „abyście napełnieni byli do całej pełności Bożej" (Efez. 3, 19).

Cytowana przypowieść nie daje odpowiedzi na wszystkie nasze pytania. Na przykład — gdzie kupują te głupie panny? Tego nam nie tłumaczy. Nigdzie nie jest powiedziane, jakich środków Bóg zechce użyć, aby przywieść w końcu wszystkie Swoje dzieci do dojrzałości. To nie jest naszą sprawą. Nam chodzi tutaj o pierwiastki. Słowo Boże poleca nam dążyć do przodu, a nie spekulować, co się stanie, jeśli tego nie uczynimy.

Nawet usiłowanie z twojej strony, aby uniknąć tego zagadnienia, nie spowoduje, że dojrzałości nie osiągniesz — albo że nie zapłacisz za dojrzałość tę odpowiedniej ceny. Mądrość jednakże zainteresowana jest kwestią czasu. Mądrzy czas wy-

kupują. Podobnie jak moje wieczne pióro jest w chwili obecnej napełnione atramentem i ręka moja może się nim posłużyć w każdej chwili, tak i przez współpracę z Panem mądrzy dają Mu do dyspozycji to, czego On pragnie — są jak gdyby podręcznymi narzędziami, gotowymi i stojącymi do Jego dyspozycji w każdej chwili.

Przyjrzyjcie się apostołowi Pawłowi. Serce jego przepełnione jest płomiennym pragnieniem usługiwania, ponieważ ujrzał on, że cel Boży dla nas związany jest ściśle z okresem „wypełnienia czasów" (Efez. 1, 10). On jest jednym z tych, którzy „przedtem nadzieję mieli w Chrystusie" i dawali temu wyraz poprzez odpoczywanie w zbawieniu, które w całej pełni okaże się „w przyszłych wiekach" (Efez. 1, 12; 2, 7). A co robi Paweł w świetle tego wszystkiego? On postępuje naprzód, ba, on nawet biegnie. „Ja tedy tak biegnę, nie jak na niepewne" (1 Kor. 9, 26). „Zmierzam do celu ku nagrodzie powołania Bożego, z wysokości w Chrystusie Jezusie" (Fil. 3, 14).

Często bywa tak, że gdy dusze przychodzą do zrozumienia duchowych spraw i zaczynają chodzić z Panem, powstaje w sercu moim taka myśl: „Ach, gdyby byli ujrzeli tę prawdę pięć lat temu!" Czas jest bowiem tak niezmiernie krótki — nawet jeśli **postępujemy do przodu.** Sprawa jest pilna! Pamiętajcie bowiem, że nie chodzi tu o to, co z tego mamy. Tutaj chodzi wyłącznie o to, **czego Pan potrzebuje w chwili obecnej.** Pan potrzebuje dziś przygotowanych narzędzi. A dlaczego ich potrzebuje? „Bo dni są złe". Sytuacja pomiędzy chrześcijańskimi narodami jest tragiczna. Obyśmy to mogli zobaczyć!

Być może, że Pan będzie musiał zastosować w stosunku do nas drastyczne sposoby. Paweł musiał powiedzieć o sobie, że jest 'płodem poronionym'. On przeszedł przez ogromne kryzysy zanim znalazł się tam, gdzie się w danym momencie znajdował — a jeszcze parł nadal do przodu. Zawsze chodzi tutaj o zagadnienie czasu. Bóg może będzie musiał dokonać czegoś w nas prędko, ścieśniając te rzeczy w krótki okres czasu — ale On **musi** tego dokonać. Oby oczy naszego serca zostały oświecone, abyśmy mogli wiedzieć „jaka jest nadzieja powołania Jego", a potem będziemy chodzić, nie, biec, jako ci, którzy rozumieją, „co jest wolą Pańską" (Efez. 1, 18; 5, 17). Pan zawsze miłował tych, którzy chcieli Mu służyć z całej duszy.

Rozdział III

Nasz stosunek do wroga naszej duszy

(STOJCIE...)

„Na ostatek, bracia moi, wzmacniajcie się w Panu i w sile mocy Jego; obleczcie się w zupełną zbroję Bożą, abyście mogli stać przeciwko zasadzkom diabelskim... abyście mogli dać odpór w dzień zły, i wszystko wykonawszy ostać się. Stójcież tedy, przepasawszy biodra swoje..., oblekłszy się w pancerz..., obuwszy nogi..., wziąwszy tarczę... i przyłbicę... i miecz..., modląc się..., i czuwając" (Efez 6, 10 — 11. 13 — 18).

Doświadczenia życia chrześcijańskiego zaczynają się od siedzenia, skąd przechodzą do chodzenia, ale tam się nie kończą. Każdy chrześcijanin musi się nauczyć również stania. Każdy z nas musi być przygotowany do zmagań i boju. Musimy wiedzieć, w jaki sposób siedzieć z Chrystusem w niebiańskich rejonach, w jaki sposób chodzić tutaj jak przystoi na świętych Pańskich, musimy jednak umieć także ostać się w obliczu wroga duszy naszej. To zagadnienie boju z szatanem jest tematem leżącego przed nami trzeciego fragmentu Listu do Efezów (6, 10 — 20). Zagadnienie to apostoł Paweł nazywa 'walką przeciwko duchom złości'.

Przypomnijmy sobie jednak najpierw jeszcze raz kolejność, w jakiej List do Efezów poszczególne te sprawy przedstawia: najpierw „Bóg... posadził", potem „chodźcie" — wreszcie „stójcie". Żaden chrześcijanin nie może się bowiem spodziewać, że uda mu się wejść w bój wieków, jeśli

najpierw nie nauczy się odpoczywania w Chrystusie, w Jego dokonanym dziele i jeśli potem, dzięki mocy Ducha Świętego działającego w jego sercu, nie nauczy się iść za swoim Panem w praktyczny sposób, prowadząc świętobliwe życie tutaj na ziemi. Jeśli mu nie dostaje którejkolwiek z tych rzeczy — nie będzie odgrywał w konflikcie tym żadnej roli, a nawet może się zdarzyć, że w ogóle o jakimś takim konflikcie się nie dowie, jako że szatan będzie sobie mógł na to pozwolić, aby go zupełnie zignorować. Chrześcijanin może stać się jednak silnym „w Panu i w sile mocy Jego" dzięki poznaniu — na pierwszym miejscu — wartości Jego uwielbienia, a następnie wartości Jego przebywania w swoim sercu (porównaj Efez. 6, 10 z 1, 19 oraz 3, 16). Dopiero po nauczeniu się dokładnie tych dwóch lekcji, stanie się zdolnym do uzmysłowienia sobie omawianej obecnie trzeciej zasady życia chrześcijańskiego, której podsumowaniem jest słowo 'stójcie'.

Bogu przeciwstawia się główny Jego wróg, pod którego władzą znajduje się niezliczona ilość demonów i upadłych aniołów, którzy usiłują napełnić świat złem i wykluczać Boga z Jego własnego królestwa. W ten sposób należy rozumieć wiersz 12-ty 6-tego rozdziału Listu do Efezów. Wyjaśnia on zjawiska, które widzimy wokoło siebie. My widzimy tylko 'ciało i krew' jako naszych przeciwników — ale Paweł zaprzecza, jako by to byli nasi wrogowie; twierdzi on, że w istocie walka nasza jest „przeciwko władzom, przeciwko zwierzchnościom, przeciwko mocarzom ciemności wieku tego, przeciwko duchom złości pod niebiosami" — krótko mówiąc — przeciwko samemu diabłu. W wojnie tej zaangażowane są dwa trony. Bóg twierdzi, że ziemia jest Jego, szatan zaś usiłuje przywłaszczyć sobie autorytet Boży i samemu władać ziemią. Kościół powołany jest do tego, aby zrzucić szatana z obecnie przez niego zajmowanego stanowiska i pozbawiwszy go królestwa, Chrystusa uczynić Głową nad wszystkim. A co my robimy w tej sprawie?

Chciałbym teraz omówić sprawę tego konfliktu najpierw ogólnie, w odniesieniu do naszego osobistego chrześcijańskiego życia, a potem szczegółowo w odniesieniu do pracy, którą nam powierzył nasz Pan. Szatan bezpośrednio atakuje dzieci Boże w rozmaity sposób. Nie powinniśmy oczywiście przypisywać diabłu tych kłopotów, które są wynikiem łamania przez nas samych praw Bożych; powinniśmy już wiedzieć, w jaki sposób takie kłopoty uporządkować. Są jednakowoż ataki dia-

belskie skierowane na ciało Świętych, albo też na ich umysł — i z tymi atakami musimy się liczyć bardzo poważnie. Z całą pewnością niemal wszyscy doskonale wiemy, jak bardzo atakuje wróg nasze życie duchowe. Czy na to wszystko nie powiemy nic i pozwolimy mu nadal atakować nas bezkarnie?

Nasze miejsce, darowane nam przez Boga, jest razem z naszym Panem w niebiesiech i uczymy się, jak chodzić z Nim tutaj, pomiędzy ludźmi tego świata. Zachodzi jednak pytanie, w jaki sposób przezwyciężyć wroga — wroga Bożego i naszego? Słowo Boże rozkazuje nam: „Stójcie!" „Weźcie zupełną zbroję Bożą, abyście mogli stać przeciwko zasadzkom diabelskim, dać odpór... zagasić wszystkie ogniste strzały złego". W języku greckim czasownik 'stać' w połączeniu z następującym po nim przyimku 'przeciwko' (w wierszu 11-tym) oznacza dosłownie 'nie dajcie się wypędzić z zajmowanych pozycji'. W tym rozkazie Bożym ukryta jest kosztowna prawda. Bóg stwierdza bowiem, że pozycje, co do których wróg chciałby wszcząć spór o tytuł własności — w istocie są Bożą własnością, a więc równocześnie i naszą. Gdyby tak nie było, musielibyśmy walczyć w celu ich zdobycia!

Niemal wszystkie wyszczególnione w tym rozdziale części naszego rynsztunku bojowego mają charakter wyłącznie obronny. Nawet miecza można użyć zarówno do obrony jak do ataku. Różnica pomiędzy walką defensywną a ofensywną polega na tym, że w pierwszym wypadku jestem w posiadaniu danego stanowiska i tylko usiłuję je utrzymać, podczas gdy w drugim wypadku danego stanowiska nie posiadam i walczę w celu jego zdobycia. I na tym właśnie polega różnica pomiędzy bojem, którego dokonał Pan Jezus, a naszym bojem. Jego bój to była ofensywa — nasz bój jest natomiast w zasadzie defensywą. Pan zmagał się z szatanem w celu przezwyciężenia go: poprzez krzyż wojnę tę doprowadził aż do samych wrót piekła, aby stamtąd wywieść pojmanych więźniów (Efez. 4, 8.9). My dzisiaj walczymy z szatanem tylko w celu utrzymania i skonsolidowania zwycięstwa, które Pan nasz już odniósł. Przez zmartwychwstanie Bóg obwieścił triumf Swego Syna nad całym królestwem ciemności, a pozycje zdobyte przez Chrystusa zostały przekazane nam. Nie mamy potrzeby o nie walczyć — musimy tylko bronić ich w obliczu napaści wszelakich mocy diabelskich.

Zadaniem naszym jest więc obrona, a nie atak. Nie chodzi tutaj o poszerzanie posiadanych terenów, lecz o utrzymanie tego, co posiadamy w Chrystusie. W osobie Jezusa

Chrystusa Bóg już zwyciężył. Zwycięstwo to dał nam, abyśmy je utrzymali. W sferze Chrystusa klęska wroga jest już faktem, a Kościołowi zostało dane zadanie utrzymania go pokonanym. To szatan musi dokonywać kontrataków w celu wyparcia nas z zajmowanego przez nas stanowiska. My zaś ze swej strony nie mamy potrzeby zmagać się o zdobycie terenu, który już jest naszą własnością. W Chrystusie jesteśmy zwycięzcami — ba, i więcej niż zwycięzcami, bo — „przezwyciężającymi" (Rzym. 8, 37). W Nim zatem stoimy. Dzisiaj przeto nie walczymy o zwycięstwo; walczymy jako zwycięzcy. Przezwyciężającymi zaś są ci, którzy odpoczywają w zwycięstwie już im przez ich Boga darowanym.

Jeśli walczysz w celu zapewnienia sobie zwycięstwa, to przegrałeś bitwę, zanim ją jeszcze rozpocząłeś. Przypuśćmy, że szatan zaatakuje cię w twoim domu albo w miejscu pracy i stworzy sytuację, z którą sobie w żaden sposób nie możesz poradzić — cóż wówczas zrobisz? Pierwszym twoim odruchem będzie może przygotować się do wielkiego boju, a potem modlić się do Boga i prosić o darowanie ci w boju tym zwycięstwa. Jeślibyś jednak postąpił w ten sposób, porażka jest pewna, ponieważ ustąpiłeś z pozycji, która była twoją własnością. Początkiem twej porażki — jako chrześcijanina — jest chwila, w której zaczynasz się liczyć z tym, że do ciebie należy sprawa odniesienia zwycięstwa. Z chwilą, kiedy mówisz: 'mam **nadzieję**, że zwyciężę', oddajesz w ręce wroga (przez wypowiedzenie tych właśnie słów) grunt, który jest twoim w Chrystusie. Jak więc powinieneś się zachować w wypadku ataku wroga? Powinieneś po prostu spojrzeć do góry i chwalić Pana mówiąc: „Panie, znalazłem się w sytuacji, z którą sobie w żaden sposób nie mogę dać rady. Twój wróg, diabeł, spowodował ją, aby doprowadzić mnie do upadku, ale wielbię Cię za to, że Twoje zwycięstwo jest wszystko obejmującym zwycięstwem — a więc zadość czyni i tej potrzebie, w jakiej się obecnie znajduję. Dziękuję Ci, że w Tobie **już mam** pełne zwycięstwo w tej sprawie!".

Tylko ci, którzy potrafią siedzieć — potrafią także stać. Nasza moc do stania — podobnie jak miało to miejsce w wypadku chodzenia — polega na siedzeniu pospołu z Chrystusem. Siła do chodzenia i życia pomiędzy ludźmi tego świata, jak również do walki z szatanem płynie z jednego i tego samego źródła, a mianowicie z naszej pozycji tam w górze —

w Chrystusie. Chrześcijanin, który nie siedzi przed obliczem Bożym, nie może spodziewać się zwycięstwa nad wrogiem.

Szatan na pierwszym miejscu usiłuje spowodować nasze usunięcie się z pozycji zupełnego triumfu, na której umieścił nas Pan — a bynajmniej nie zaczyna od tego, aby nas nakłonić do grzechu. Jeśli mu się uda ta pierwsza rzecz, łatwiej mu już będzie spowodować i nasz upadek w grzech. Przypuszcza więc na nas atak poprzez naszą głowę, albo serce, to jest poprzez nasz rozum albo nasze uczucia i stara się podważyć nasze odpoczywanie w Chrystusie lub nasze chodzenie w Duchu. Ale przeciwko każdemu takiemu atakowi zostaliśmy zaopatrzeni w defensywną broń — jest nią przyłbica, pancerz, pas i obuwie, a nade wszystko tarcza wiary, którą możemy zagasić wszystkie ogniste strzały przeciwnika. To wiara mówi: Chrystus jest uwielbiony. Wiara mówi: jesteśmy zbawieni przez łaskę Jego. Wiara mówi: mamy przystęp przez Niego. Wiara mówi: On mieszka w nas przez Swego Ducha. (Przeczytaj Efez. 1, 20; 2, 8; 3, 12. 17.).

Ponieważ Pan odniósł zwycięstwo, odnieśliśmy je również. Jeśli tylko będziemy w prostocie w zwycięstwie tym trwali, zamiast usiłować je dopiero odnieść — wróg zostanie całkowicie pokonany. Nie naszą jest rzeczą prosić Pana, aby uzdolnił n a s do pokonania wroga, ani nawet spodziewać się po N i m, że wroga pokona. Winniśmy tylko wielbić Go za to, że już odniósł zwycięstwo, za to, że jest Zwycięzcą. Wszystko jest uzależnione od wiary w Niego. Jeśli będziemy wierzyli Panu, mniej Go będziemy prosić, a więcej uwielbiać. Im prostsza i bardziej skrystalizowana będzie nasza wiara, tym mniej będziemy w takich sytuacjach się modlić, a tym więcej chwalić Pana naszego.

Pozwólcie, że raz jeszcze to podkreślę: w Chrystusie j u ż jesteśmy zwycięzcami. Czyż nie jest zatem rzeczą oczywistą, że jeśli tak jest w istocie, to modlić się o zwycięstwo oznaczałoby praktycznie liczyć z góry z poniesieniem klęski — chyba, że modlitwa ta jest przepojona nutą chwały. Klęskę niechybnie ponosi ten, kto rezygnuje z zajmowanego fundamentalnego stanowiska. Pozwól, że zadam ci pytanie: Czy doznawałeś w twoim życiu porażek? Czy nie bywało tak, że mówiłeś w sercu swoim: „Mam nadzieję, że nadejdzie dzień, w którym będę dostatecznie silny, aby zwyciężyć..."? Jeśli tak było, to modlitwa moja musi ograniczyć się, jeśli chodzi o ciebie, do słów użytych przez apostoła Pawła, zacytowanych w jego Liście do czytelników w Efezie — aby Bóg oświecił

oczy umysłu twojego na nowo, tak abyś mógł ujrzeć samego siebie siedzącego pospołu z Nim, który również został posadzony po prawicy w niebiosach „wyżej nad wszelkie władze i zwierzchności i moce i państwa, i nad wszelkie imię" (Efez. 1, 20.21). Trudności, które cię otaczają może się nie zmienią; lew może będzie ryczał równie głośno jak przedtem — ale ty nie będziesz potrzebował więcej n a d z i e i, że zwyciężysz — w Chrystusie Jezusie zwycięstwo j u ż jest twoim udziałem.

W JEGO IMIENIU

Ale to jeszcze nie wszystko. Szósty rozdział Listu do Efezów nie tylko zajmuje się zagadnieniem naszej osobistej walki. Jest w nim mowa także o pracy, którą Bóg nam powierzył — opowiadaniu owej tajemnicy Ewangelii, o której Paweł już miał tyle do powiedzenia (zobacz Efez. 3, 1 — 13). Do wykonania tego zadania Paweł zaleca nam w tym rozdziale uzbroić się w miecz, którym jest Słowo, oraz towarzyszącą mu część bojowego rynsztunku — modlitwę.

„Weźcie i miecz Ducha, którym jest Słowo Boże, w każdej modlitwie i prośbie modląc się każdego czasu w Duchu, i w tym celu czuwając z całą wytrwałością, i z modlitwą za wszystkich świętych, i za mnie, aby mi dana była mowa, bym otworzywszy usta swoje, śmiało oznajmiał tajemnicę Ewangelii, dla której poselstwo sprawuję w więzach, abym o niej śmiało mówił, jak mówić powinienem" (Efez. 6, 17 — 20).

Chciałbym powiedzieć coś więcej jeszcze na temat tego konfliktu, a mianowicie o jego związku z pracą Bożą, ponieważ tutaj możemy natknąć się na pewne trudności. Z jednej strony jest prawdą, że nasz Pan Jezus został posadzony „wyżej nad wszelkie władze i zwierzchności" i że wszystkie rzeczy zostały poddane „pod nogi Jego" (Efez. 1, 21.22), więc dla tej przyczyny i w świetle tego zupełnego zwycięstwa powinniśmy zawsze dziękować za wszystko „w imieniu Pana naszego Jezusa Chrystusa" (Efez. 5, 20). A jednak z drugiej strony musimy przyznać, że nie widzimy jeszcze wszystkich rzeczy Jemu poddanych. Wciąż jeszcze są, jak to określa Paweł, całe zastępy duchów złości pod niebiosami, ciemne, złe moce, które często używają ludzi za swoje narzędzia i które zajmują terytoria prawnie należące się Bogu. W jakiej mierze jesteśmy więc uprawnieni do nazywania tego konfliktu wojną defensywną? Nie chcielibyśmy wmawiać w siebie czegoś niezgodnego z prawdą. Kiedy więc, i pod jakimi warun-

kami mamy prawo zajmować pole, które zewnętrznie znajduje się w rękach wroga i bronić go w Imieniu Pana Jezusa?

Weźmy Słowo Boże ku pomocy, w celu uzyskania odpowiedzi na to pytanie. Co ono nam mówi na temat modlitwy i poczynań w Jego Imieniu? Proszę przede wszystkim rozważyć następujące dwa odcinki Ewangelii:

„Zaprawdę powiadam wam: cokolwiek zwiążecie na ziemi, będzie związane i w niebie; i co rozwiążecie na ziemi, będzie rozwiązane i w niebie. Znowu powiadam wam: gdyby się z was dwaj zgodzili na jaką rzecz na ziemi, wszystko, o co by prosili, stanie się im... Albowiem, gdzie są dwaj, albo trzej zgromadzeni w imię Moje, tam jestem..." (Mat. 18, 18 — 20).

„A dnia onego o nic pytać mię nie będziecie. Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam: o cokolwiek byście prosili Ojca w imieniu Moim, da wam. Dotąd o nic nie prosiliście w imieniu Moim; proście, a weźmiecie, aby radość wasza była zupełna... W owym dniu w imieniu Moim prosić będziecie" (Jan 16, 23. 24. 26).

Nikt nie może być zbawiony bez znajomości Imienia Pana Jezusa, nikt też nie może być skutecznie użyty przez Boga bez znajomości autorytetu tego Imienia. Apostoł Paweł całkiem wyraźnie stawia sprawę, wyjaśniając, że to Imię, o którym mówi w cytowanych urywkach Pan Jezus, nie tylko jest po prostu nazwą, pod którą znany był pomiędzy ludźmi podczas pobytu na ziemi. Niewątpliwie jest to istotnie to samo imię, mówiące o Jego ludzkim życiu; równocześnie jednak Imię to otrzymało od Boga szczególne znaczenie i autorytet — gdy Pan Jezus poddał się posłusznie śmierci — i to śmierci krzyżowej, a następnie dostąpił uwielbienia po prawicy Bożej w niebie. Oto co czytamy w Liście do Filipensów 2, 6 — 10: „...będąc w postaci Bożej, nie poczytał sobie za łupiestwo być równym Bogu, ale poniżył samego Siebie, przyjąwszy postać niewolnika, stawszy się podobny ludziom, i z postawy znaleziony jako człowiek; sam Siebie uniżył, będąc posłuszny do śmierci, i to śmierci krzyżowej. Dlatego też Bóg nader Go wywyższył, i darował Mu Imię, które jest nad wszelkie imię; aby w Imieniu Jezusa zginało się wszelkie kolano, tych, którzy są na niebiosach, i na ziemi, i pod ziemią". Jest to więc wynikiem Jego cierpień, że otrzymał to Imię uwielbione i pełne chwały; dzisiaj więc w t y m właśnie Imieniu, „które jest nad wszelkie imię" zbieramy się i w tym Imieniu zanosimy nasze prośby do Boga.

Różnicę tę podkreśla zresztą nie tylko apostoł Paweł, lecz uczynił to już sam Pan Jezus w drugim z cytowanych urywków: „Dotąd o nic nie prosiliście... w owym dniu... prosić będziecie" (wiersze 24, 26). Dla uczniów ów dzień będzie się ogromnie różnił od teraz w wierszu 22. Coś, czego teraz nie mają, będą mieć w owym dniu, a otrzymawszy — będą tego używać. Tym czymś jest autorytet, który posiada Jego Imię.

Oczy nasze muszą się otworzyć na fakt owej potężnej przemiany, która miała miejsce w związku z Jego wniebowstąpieniem. Imię Jezus oczywiście identyfikuje Tego, który obecnie zasiada na tronie ze skromnym Cieślą z Nazaretu, ale mówi ono jeszcze o czymś więcej. Reprezentuje ono moc i władzę daną Mu przez Boga, przed którą musi ugiąć się każde kolano tych, którzy są na niebiosach, i na ziemi, i pod ziemią. Nawet przywódcy żydowscy przyznawali, iż zwyczajne imię może posiadać tego rodzaju znaczenie, a widzimy to ze sposobu w jaki pytali się uczniów Pańskich — po uzdrowieniu chromego: „Jaką mocą, albo w czyim imieniu wyście to uczynili?" (Dz. Ap. 4, 7).

Dzisiaj Imię to obwieszcza nam, że Bóg powierzył wszelki autorytet Swemu Synowi i że już w samym tym Imieniu znajduje się moc. Co więcej, musimy zauważyć powtarzający się w Piśmie Swiętym zwrot w Imieniu — co rzuca światło na sposób, w jaki apostołowie tego Imienia używali. Stąd nauka, że nie tylko n o s i takie Imię nasz Pan — ale że my powinniśmy Imienia tego u ż y w a ć. W trzech fragmentach ostatnich przemówień Pana Jezusa do uczniów, powtarza On słowa: „proście... w imieniu Moim". (Jan 14, 13. 14; 15, 16; 16, 23 — 26). Autorytet ten Pan zwierzył nam, rozkazując nam, abyśmy go używali. Autorytet ten nie jest więc odtąd tylko Jego własnością, ale „dany ludziom" (Dz. Ap. 4, 12). Ponosimy ogromną stratę, jeśli nie znamy naszej cząstki w tej sprawie.

Moc Jego Imienia działa w trzech kierunkach. Przy głoszeniu Słowa jest ona skuteczna w nawracaniu grzeszników i w przynoszeniu im zbawienia (Dz. Ap. 4, 10 — 12) poprzez odpuszczenie grzechów ich, oczyszczenie, usprawiedliwienie i poświęcenie ich Bogu (Łuk. 24, 47; Dz. Ap. 10, 43; 1 Kor. 6, 11). W naszym boju objawia Imię to potęgę swą przez związanie mocy szatańskich i zmuszanie ich do posłuszeństwa (Mar. 16, 17; Łuk. 10, 17 — 19; Dz. Ap. 16, 18). Wreszcie, jak już widzieliśmy, jest ono również skuteczne w sto-

sunku do Boga, gdy Go o coś prosimy, jako że Pan Jezus dwukrotnie powiedział: „Jeśli o cokolwiek prosić będziecie...", i jeszcze raz dwukrotnie powtórzył słowa: „O cokolwiek byście prosili..." (Jan 14, 13. 14; 15, 16; 16, 23). Mając przed sobą słowa wzywające nas do czynienia tak potężnych spraw, możemy powiedzieć, kornie skłaniając się przed majestatem Bożym: „Wielka jest Twoja odwaga, Panie!"

Jest bowiem rzeczą posiadającą istotnie ogromne znaczenie, że Bóg w ten sposób oddaje Swoją moc do dyspozycji Swoich sług. Przyjrzyjcie się wraz ze mną jeszcze trzem dalszym wypadkom, opisanym w Dziejach Apostolskich, które zilustrują to jeszcze dokładniej.

„I rzekł Piotr ...w imieniu Jezusa Chrystusa Nazareńskiego wstań i chodź" (Dz. Ap. 3, 6).

„Paweł... obróciwszy się rzekł duchowi: rozkazuję ci w imieniu Jezusa Chrystusa, abyś wyszedł z niej. I wyszedł onej godziny" (Dz. Ap. 16, 18).

„A niektórzy... zajmowali się zaklinaniem, ważyli się wzywać imienia Pana Jezusa nad tymi, co mieli ducha złego, mówiąc: zaklinamy was na Jezusa, którego Paweł opowiada... A odpowiadając duch zły rzekł: Jezusa znam i kto Paweł wiem, ale wy co za jedni?" (Dz. Ap. 19, 13. 15).

Zwróćcie najpierw uwagę na sposób w jaki zachował się Piotr w stosunku do chromego, siedzącego przy bramie. Nie widzimy, aby najpierw uklęknął i modlił się, prosząc Pana o objawienie mu Swojej woli. Od razu wypowiada słowo: Chodź. Imienia tego używa więc tak, jak gdyby było ono dane mu do używania, a nie jako coś dalekiego, znajdującego się w odległym niebie. Zupełnie tak samo było z Pawłem w Filippi. Wyczuł w duchu swoim, że działalność szatańska posunęła się już dostatecznie daleko. Nie czytamy, aby stwierdziwszy to, zatrzymał się w celu skupienia się w modlitwie. Nie — jego chodzenie przed Panem było szczere, dlatego też mógł — jako mąż, któremu zwierzone było to Imię — przystąpić do dzieła tak, jak gdyby moc ta była w nim samym. Wydaje rozkaz — i duch wieszczy ucieka! „Onejże godziny!"

Cóż to jest? Jest to przykład czegoś, co nazwałbym „oddaniem się Boga Samego do dyspozycji człowieka". Bóg oddał się do dyspozycji Swoim sługom, aby działać przez nich — w miarę gdy oni czynią coś „w tym Imieniu". A co robią

ci słudzy? Jest rzeczą jasną, iż nie czynią niczego sami z siebie. Oni używają tego Imienia. Jest rzeczą równie oczywistą, że tej mocy nie będzie miało żadne inne imię — ani ich własne, ani też jakiegoś innego apostoła. Wszystko, co ma miejsce, jest wynikiem potężnego wpływu i mocy, jaką w danej sytuacji ma Imię Pana Jezusa, a uczniowie Pańscy są uprawnieni do używania tego Imienia.

Bóg patrzy na Swego Syna w chwale, a nie na nas tutaj na ziemi. I tylko dlatego, że widzi nas posadzonych razem z Nim tam, Imię Jego i autorytet z Imieniem tym związany mogą być oddane do naszej dyspozycji tutaj. Dla lepszego zrozumienia tego użyjemy prostego przykładu: Przed kilku laty pewien mój współpracownik przysłał mi przez nieznanego mi posłańca list, w którym mnie prosił o posłanie mu pewnej sumy pieniędzy. Przeczytałem otrzymany list, przygotowałem żądaną kwotę i wręczyłem ją posłańcowi. Czy postąpiłem słusznie? Oczywiście. Na liście tym znajdował się podpis mego przyjaciela, a to było dla mnie wystarczające. Gdybym zaczął wypytywać posłańca jak się nazywa, ile ma lat, gdzie się urodził i gdzie jest zatrudniony — i wreszcie odesłał go z niczym, ponieważ mi się nie podoba — czy to byłoby słuszne? Nie, w żadnym wypadku. Przyszedł bowiem w imieniu mego przyjaciela, a imię to było dla mnie miarodajnym.

BÓG ODDAJE SIĘ DO DYSPOZYCJI CZŁOWIEKA

W tym, co Bóg uczynił, w ten sposób oddając się do dyspozycji Swego Kościoła, jest coś potężnego. Czyniąc to, dał do dyspozycji Swoich sług największą moc, jaka w ogóle istnieje — moc Tego, którego panowanie jest „nad wszelkie imię, mianowane nie tylko w tym wieku, ale i w przyszłym" (Efez. 1, 21). Pan Jezus obecnie jest wywyższony w niebie, a cała Jego praca w zakresie zbawiania ludzi, mówienia do ich serc i sprawowania dla nich cudów Jego łaski — jest wykonywana za pośrednictwem Jego sług, którzy działają w Jego Imieniu. W ten sposób praca Kościoła jest Jego pracą. Imię Jezus jest w istocie najwspanialszym darem zapisanym Kościołowi w Testamencie Pana; tam bowiem, gdzie istotnie działa to oddanie się Boga do dyspozycji Kościoła, On Sam przejmuje odpowiedzialność za to, co jest czynione w Jego Imieniu. A Bóg pragnie stawiać tak Samego Siebie do naszej dyspozycji, ponieważ podobało Mu się wybrać taki właśnie sposób dla zrealizowania Swego planu.

Żadna praca nie jest godna być nazwaną pracą Bożą, jeśli Bóg w tym właśnie sensie nie przyczynia się do jej wykonania. Ważne jest wyłącznie uprawnienie do używania Jego Imienia. Musimy być w stanie powstać i mówić w J e g o I m i e n i u. Jeśli tego nie czynimy, pracy naszej brak wszelkiej duchowej mocy oddziaływania. Ale pozwól, że cię zapewnię, że nie jest to sprawa, którą można by sfabrykować na poczekaniu, w chwili, gdy zachodzi potrzeba, gdy zaistnieje jakiś kryzys. Jest to owocem posłuszeństwa w stosunku do Boga i wynikającego stąd duchowego stanu, którego znajdujący się w nim człowiek jest świadomy, równocześnie starannie stan ten podtrzymując. Jest to coś, co już musimy mieć, jeśli się tym chcemy posłużyć w potrzebie.

„Jezusa znam i kto Paweł wiem". Chwała Bogu za drugą połowę tego zdania! Potęgi zła uznają Syna; Ewangelie dają obfitość dowodów prawdziwości tego faktu. Są jednak również i ci, którzy pozostają w połączeniu z Synem, a okazuje się, że z nimi również Hades się liczy. Pozostaje więc tylko zapytać: Czy Bóg m o ż e oddać się w ten sposób do dyspozycji tobie?

Pozwólcie, że raz jeszcze posłużę się przykładem. Jeśli cokolwiek ma być zrobione w moim imieniu, oznacza to, że pod pewnymi warunkami pozwalam komuś innemu posłużyć się moim nazwiskiem i że jestem przygotowany na to, aby przyjąć odpowiedzialność za to, co on z imieniem moim zrobi. Jeśli mu na przykład dam moją książeczkę czekową wraz z moim podpisem, oznacza to, że zgadzam się na podjęcie przez niego w banku dowolnej kwoty. Oczywiście nazwisko moje nie będzie miało wielkiego znaczenia, jeśli na moim koncie znajduje się zaledwie jakaś mała kwota. Na Dalekim Wschodzie ludzie posługują się często starannie w drzewie albo w kości słoniowej wygrawerowanym stemplem, który przechowują pod kluczem i używają do kładzenia podpisu na dokumentach; przyczyną tego jest unikanie możliwości podrabiania podpisu, co przy ręcznym podpisywaniu byłoby stosunkowo dość łatwym, zważywszy charakter pisma tam używanego. Bywa tak, że jakiś młody, ubogi student sprawi sobie taki stempel i beztrosko umieszcza swój podpis byle gdzie: na książkach, gazetach itp. Ale z chwilą, gdy na książeczce oszczędnościowej złoży choćby niewielką sumę pieniędzy, natychmiast przestaje to czynić: zaczyna się obawiać, aby ktoś nie podrobił jego podpisu i nie użył go w celu podjęcia

jego oszczędności. W momencie tym nazwisko jego staje się dla niego bardzo ważne.

Jak potężnym i bogatym jest Pan Jezus! Jak kosztowne jest dla Niego Jego Imię! Jeśli więc ma On przejąć całkowitą odpowiedzialność za to, co się będzie czyniło w Jego Imieniu, jakże ostrożnym musi być w sprawie oddania do dyspozycji tego Imienia! Zapytuję cię więc raz jeszcze: Czy Bóg może oddać ci do dyspozycji Siebie Samego — Swoje, konto bankowe', Swoją 'książeczkę czekową' czy może oddać Swój 'podpis' do dyspozycji tobie? Najpierw trzeba dać odpowiedź na to pytanie, gdyż dopiero wtedy będziesz mógł swobodnie używać Jego Imienia. Dopiero wtedy „cokolwiek" związesz na ziemi, będzie związane i w niebie". Wówczas też, dzięki prawdziwości tego oddania się Pana do twojej dyspozycji, będziesz mógł poruszać się w tym świecie jako prawdziwy Jego przedstawiciel. Takim jest owoc połączenia się z Nim.

Czy jesteśmy w tak ścisłym połączeniu z Panem, aby mógł w ten sposób stanąć za wszystkim, co czynimy? Często wydaje się, że byłoby wielkim ryzykiem zaangażować się w sytuacji, w której jedynym oparciem byłoby powołanie się na obietnice Boże. Chodzi tylko o tę jedną rzecz: czy Bóg zechce, czy Bóg może nas poprzeć?

Chciałbym pokrótce scharakteryzować cztery zasadnicze cechy pracy, do której Bóg w całej pełni może się przyznać. Pierwszą istotną potrzebą jest prawdziwe objawienie naszym sercom wiecznego celu Bożego. Bez tego nie możemy się obejść. Jeśli jestem zaangażowany w budowie jakiegoś domu, nawet gdybym był tylko niekwalifikowanym robotnikiem, muszę wiedzieć, czy dany obiekt ma być garażem, hangarem, czy też pałacem. Muszę oglądnąć plan, w przeciwnym razie nie mogę być pracownikiem wykonującym swe zadanie inteligentnie. W dobie dzisiejszej ewangelizacja uznawana jest przez większość chrześcijan za pracę Bożą. Ewangelizacja nie może jednak nigdy być czymś oderwanym. Musi ona być zgodna z planem Bożym odnośnie do całości, ponieważ jest tylko środkiem wiodącym do celu. Celem tym jest uwielbienie Pana Jezusa i uczynienie Go pierwszym, a ewangelizacja powinna służyć temu celowi poprzez przyprowadzenie do społeczności Kościoła Bożego tych synów, pośród których On będzie miał to pierwsze miejsce.

Za dni apostoła Pawła każdy wierzący miał specyficzne zadanie w odniesieniu do tego odwiecznego planu Bożego.

(Przeczytaj w szczególności Efez. 4, 11 — 16). Powinno tak być i z nami dzisiaj. Oczy Boże skierowane są na przychodzące Królestwo Boże. To, co znamy jako zorganizowane chrześcijaństwo, będzie musiało wkrótce ustąpić miejsca czemuś innemu — suwerennemu panowaniu Chrystusa. Ale podobnie jak to miało miejsce z królestwem Salomona, tak i obecnie mamy okres duchowej walki, którą reprezentowało panowanie Dawida. Bóg szuka tych, którzy by współdziałali z Nim w tej przygotowawczej wojnie.

Chodzi więc tutaj o zidentyfikowanie mojego celu z odwiecznym celem Boga. Wszelka praca chrześcijańska, która nie została w ten sposób z Bożym celem spojona — jest tylko fragmentaryczna, a więc w rezultacie nie prowadzi do niczego. Winniśmy więc prosić Boga o objawienie naszym sercom przez Ducha Swiętego „rady woli Swojej" (Efez. 1, 9 — 12), a potem zapytać samych siebie odnośnie do pracy, którą będziemy chcieli wykonać — po przeczytaniu tych słów — czy praca ta jest bezpośrednio związana z Bożym celem? Jeśli ta zasadnicza sprawa zostanie załatwiona, drobne kwestie codziennego kierownictwa rozwiążą się niejako same.

Dalszą ważną sprawą jest uświadomienie sobie, że wszelka praca, która ma być skuteczna według postanowienia Bożego, musi mieć swój początek w sercu Samego Boga. Jeśli my sami zaplanujemy jakieś przedsięwzięcie, a potem będziemy prosić Boga o pobłogosławienie go, to nie potrzebujemy spodziewać się, że Bóg się do tego przyzna. Imię Boże nie może nigdy zostać użyte tak, jak jakaś kauczukowa pieczątka, przy pomocy której byśmy mogli poświadczyć pracę, którąśmy sami zaplanowali. Co prawda i taka praca może się cieszyć błogosławieństwem, ale będzie ono częściowe, a nigdy pełne. W takim wypadku nie może być mowy o czynieniu czegoś w Jego Imieniu — niestety, czyni się te rzeczy wyłącznie w naszym własnym imieniu!

„Nie może Syn sam od siebie nic czynić". Jak często spotykamy się w Dziejach Apostolskich z zakazami Ducha Świętego! W rozdziale 16-tym czytamy, że Pawłowi i jego towarzyszom „Duch Święty zabronił opowiadać Słowo Boże w Azji". A potem znów: „Ale Duch im nie dopuścił". A jednak księga ta jest historią **poczynań** Ducha Świętego — a nie Jego 'bezczynności'. Zbyt często się nam wydaje, że tylko to ma znaczenie, co w danej chwili robimy. Trzeba się nam nauczyć też i lekcji 'nie czynienia' — pozostawania w ciszy

przed Jego obliczem i dla Jego potrzeb. Musimy się nauczyć, że nie wolno nam pod żadnym pozorem ruszyć do przodu, jeśli nie rusza do przodu Bóg. Dopiero gdy się tego nauczymy, może On nas obdarzyć zaufaniem i posłać jako Swoich pracowników, którzy by mówili w' Jego Imieniu.

Muszę więc zdawać sobie sprawę z woli Bożej w mojej szczególnej dziedzinie pracy. Wszelka praca winna być rozpoczynana wyłącznie na podstawie takiej świadomości. Niewzruszonym prawem, będącym fundamentem wszelkiej prawdziwej pracy chrześcijańskiej, jest: „Na początku... Bóg..."

Trzecią zasadniczą cechą wszelkiej skutecznej pracy Bożej jest całkowite uzależnienie jej ciągłości od mocy Bożej. Co to jest moc? Często posługujemy się tym słowem w sposób oderwany, nieokreślony. Mówimy na przykład o jakimś człowieku, że jest 'pełnym mocy mówcą', powinnibyśmy sobie jednak zadać pytanie, jakiej mocy on używa? Czy jest to moc duchowa, czy też naturalna? W dobie obecnej w służbie Bożej daje się aż za dużo miejsca siłom naturalnym. Musimy się jednak nauczyć tej prawdy, że nawet wtedy, jeśli Bóg rozpoczął jakieś dzieło, ale my usiłujemy go dokonywać w naszej własnej mocy, Pan nigdy się do pracy tej nie przyzna.

Może ktoś mnie zapyta, co mam na myśli, mówiąc o sile naturalnej. Można by na to pytanie odpowiedzieć w bardzo prosty sposób: jest to możliwość wykonania czegokolwiek bez pomocy Bożej. Powierzamy jakiemuś bratu zorganizowanie czegoś, jakiejś ewangelizacji czy zjazdu, ponieważ jest dobrym organizatorem. Jeśli sprawa istotnie tak się przedstawia, to jak będzie wyglądało jego przygotowywanie się do wykonania tego zadania w modlitwie? Jeśli przywykł polegać na swoich naturalnych darach, to może nie będzie czuł potrzeby wołania do Boga o pomoc. Cała trudność z nami wszystkimi polega na tym, że istnieje tak wiele rzeczy, które potrafimy robić bez potrzeby polegania na Bogu. Koniecznym jest dojście do takiego stanu, w którym nie odważylibyśmy się uczynić czegokolwiek, nie odważylibyśmy się mówić — bez świadomego opierania się ustawicznie na Nim.

Szczepan, mówiąc o Mojżeszu twierdzi, że po ukończeniu studiów w Egipcie — był mężem „silnym w słowach i uczynkach". A jednak, gdy nastał czas, gdy Bóg zaczął przemawiać do niego, doszło do tego, że Mojżesz czuł się zmuszony wyznać: „Proszę, Panie, nie jestem ja mężem wymownym ani

przedtem ani odtąd, jakoś mówił do sługi Twego: bom ciężkich ust i ciężkiego języka". Jeśli urodzony mówca przychodzi do Boga i oświadcza: 'nie umiem mówić', wówczas dał dowód nauczenia się zasadniczej lekcji i jest na drodze prawdziwej użyteczności dla Boga. Odkrycie takie oznacza kryzys, po którym następuje proces rozwojowy trwający przez całe życie, a obie te rzeczy zawarte są w wypowiedzi Łukasza „ochrzczeni... w Imię" (Dz. Ap. 8, 16; 19, 5). Określenie to wskazuje każdemu nowo-nawróconemu na konieczność podstawowej znajomości śmierci i zmartwychwstania Chrystusa i wpływu, jaki śmierć i zmartwychwstanie Pana Jezusa ma na całą naturalną jego istotę. W jakiś sposób musimy dożyć owego dotknięcia ręki Bożej w naszym życiu wiary, które uczyniłoby nas w pewnym sensie kalekami — w celu osłabienia naszej naturalnej mocy, abyśmy od tej chwili mogli stać wyłącznie na fundamencie życia w zmartwychwstałym Chrystusie, gdzie śmierć nie ma do nas więcej prawa. A począwszy od tego doświadczenia, krąg ten się rozszerza — w miarę jak coraz to nowe dziedziny naszego życia i energii cielesnej zostają poddane działaniu Krzyża. Droga ta jest kosztowna i bolesna, niemniej jest to jedyna droga Boża wiodąca do owocności w życiu i usługiwaniu, ponieważ daje Bogu upragnioną przez Niego możliwość poparcia tego, co czynimy w Imieniu Jego Syna.

W pracy Bożej sprawy często są tak ustawione, że nie mamy potrzeby polegania na Bogu. Wyrok Boży odnośnie do takiej pracy jest jednak bezkompromisowy: „beze Mnie nic uczynić nie możecie". Taka praca, którą człowiek może wykonać bez Boga, to drzewo, siano, słoma — a gdy przyjdzie próba ognia, okaże się, że praca ta była „niczym". Boża praca może bowiem zostać wykonywana tylko przy pomocy Bożej mocy, a moc tę znaleźć można wyłącznie w Panu Jezusie. Otrzymać ją możemy w Nim po drugiej stronie Krzyża — w zmartwychwstaniu. Oznacza to, że gdy doszliśmy do punktu, w którym z całą szczerością wołamy: 'Nie umiem mówić', robimy odkrycie, że m ó w i Bóg. Gdy przychodzimy do końca naszej pracy — Jego praca się rozpoczyna. A tak ogień, który będzie doświadczał prac naszych w przyszłości i Krzyż w dniu dzisiejszym — sprawiają jedno i to samo zadanie: co nie może oprzeć się Krzyżowi dziś, nie będzie mogło oprzeć się ogniowi później. Gdy m o j a praca, wykonywana m o j ą siłą zostanie przywiedziona do śmierci, to co wychodzi z gro-

bu? Nic! Nic nie jest w stanie przeżyć Krzyża, co nie jest całkowicie z Boga — w Chrystusie.

Pan nigdy nie żąda od nas, abyśmy czynili cokolwiek, co my jesteśmy w stanie uczynić. Prosi nas bowiem o prowadzenie życia, którego nigdy nie bylibyśmy w stanie prowadzić o własnych siłach, i czynienie rzeczy, do których nigdy nie bylibyśmy zdolni. A jednak dzięki Jego łasce żyjemy w ten sposób i rzeczy te **czynimy**. Życie, które jest naszym udziałem, jest życiem Chrystusa, którym żyjemy w mocy Bożej, a praca, którą wykonujemy, jest dziełem Chrystusa, wykonywanym przez Ducha Świętego w nas i przez nas — gdy Duchowi temu jesteśmy posłuszni. Nasze „ja" jest jedyną przeszkodą w prowadzeniu takiego życia i w wykonywaniu takiej pracy. Obyśmy — każdy z nas — *modlili* się z całego serca: „Panie, zechciej zająć się tym moim 'ja'!"

A na koniec — celem wszelkiej pracy, za którą może stanąć Bóg, musi być wyłącznie Jego chwała. Znaczy to, że nie otrzymujemy z tej pracy żadnej korzyści dla siebie. Zasadą Bożą jest, że im mniej otrzymujemy wynagrodzenia osobiście za taką pracę, tym większa jest jej prawdziwa wartość dla Boga. W dziele Bożym nie ma miejsca dla chwały ludzkiej. Nie ulega wątpliwości, że służba taka przynosi głęboką, kosztowną satysfakcję, ilekroć Panu sprawiamy nią radość i otwieramy drzwi dla Jego działania, ale podstawą tej radosnej satysfakcji jest Jego chwała, a nie chwała człowieka. Wszystko to dzieje się „na chwałę sławy łaski Jego" (Efez. 1, 6. 12. 14).

Dopiero wtedy, gdy wszystkie te sprawy pomiędzy nami i Bogiem są całkowicie załatwione, Bóg w pełni da nam Swoje Imię do dyspozycji — a wierzę, że pozwoli nam nawet się wyrazić, że wówczas będzie musiał tak uczynić. Stwierdziliśmy to wiele razy w naszej pracy dla Pana, że ilekroć było rzeczą wątpliwą, czy dana praca jest od Boga, czy też nie, Pan był powściągliwy w odpowiadaniu na modlitwy dotyczące tej pracy. Jeśli natomiast sprawa jest całkowicie z Niego, to będzie się do niej przyznawał w cudowny sposób. Wówczas, w całkowitym posłuszeństwie w stosunku do Niego, będziesz mógł używać Jego Imienia, a całe piekło będzie musiało uznać twoje prawo i twój autorytet w czynieniu danych rzeczy w Jego Imieniu. Jeśli Bóg przyznaje się do jakiejś sprawy, to przychodzi z mocą Swoją, aby udowodnić, że ma dział w danej rzeczy, i że On Sam jest jej Autorem.

Pozwólcie, że na zakończenie przytoczę doświadczenie, jakie miało miejsce na polu misyjnym przed kilku laty. Grupa młodych ewangelistów napotykała w początkach swojej działalności na surowe próby. Bywały dni, kiedy byli bliscy rozpaczy z racji wielu doznawanych zawodów. Zewsząd sypała się na nich surowa krytyka, potępiano zajmowane przez nich stanowisko, tak, że nawet wielu wierzących od nich się odsunęło. Zarzuty stawiane im poddawali bacznej analizie, jako że jest rzeczą bardzo ważną, aby poważnie podchodzić do krytyki i badać jej przyczyny, a nie zbyć jej po prostu westchnieniem: 'Ach! On mnie ot tak sobie k r y t y k u j e!...' Mieli oni jednak powody po temu, aby wierzyć, że był z nimi Pan, ponieważ przy końcu szczególnie trudnego roku mogli oglądać jako owoc swej pracy kilkaset prawdziwych nawróceń. Przy końcu tegoż roku wydawało się, że osiągnięty został punkt kulminacyjny.

Było zwyczajem na tamtejszych terenach odbywać corocznie po Nowym Roku konferencję dla wierzących z różnych stron — a w tym właśnie roku braci tych poproszono, aby nie brali udziału w tej konferencji. Takie postawienie sprawy było dla nich niemałym wstrząsem. Dopiero później zdali sobie sprawę z tego, że był to atak ze strony diabła, aby całą tę grupkę sług Pańskich wywabić z miejsca odpocznienia w Chrystusie. Chodziło wówczas o to, jak oni zareagują.

Okres Swiąt Noworocznych jest dosyć długi w tamtych okolicach i dlatego nadaje się bardzo nie tylko na konferencje, ale przede wszystkim także na głoszenie Ewangelii. Po modlitwie doszli do wniosku, że Pan życzy sobie, aby czas ten użyli do tej drugiej pracy, a więc zaplanowali udać się na pewną wyspę i tam spędzić kilka dni opowiadając Ewangelię. W ostatniej chwili przyłączył się do nich pewien szesnastoletni młodzieniec, który niedawno się narodził znowu, a w życiu jego zaistniała wyraźna zmiana. Co więcej, miał on wielkie pragnienie, aby również pojechać, więc po chwili wahania bracia ci zabrali go ze sobą.

Wyspa ta była dosyć duża, a największa wieś miała aż sześć tysięcy domów mieszkalnych. Na wyspie pracował znajomy wspomnianych misjonarzy, jego więc zawiadomili o zamierzonym przyjeździe, prosząc go o wynajęcie dla nich jakiegoś pokoju. Gdy jednak przybyli na miejsce — a było już

późno wieczorem i zupełnie ciemno — gospodarze dowiedziawszy się, że przyjechali w celu głoszenia Ewangelii, odmówili wynajęcia pokoju; przybysze zmuszeni więc byli udać się do wsi na poszukiwanie jakiegoś pomieszczenia. Wreszcie przyjął ich z litości pewien zielarz i urządził dla nich dosyć wygodne posłanie na słomie w małej górnej izdebce swego domu.

Nie trwało długo, gdy tenże zielarz stał się pierwszą osobą, która się na tej wyspie nawróciła. Ale pomimo systematycznej pracy, i to ciężkiej pracy — i pomimo tego, że mieszkańcy wyspy okazali się w stosunku do nich nadzwyczaj uprzejmi — bardzo mało mieli owocu na tamtejszym terenie, i zaczęli się zastanawiać, co było tego przyczyną.

Po kilku dniach młodziutki kaznodzieja nagle zadał publicznie takie pytanie: „Dlaczego nikt z was nie chce uwierzyć?" Na pytanie to ktoś z tłumu natychmiast tak odpowiedział: „Mamy boga — j e d y n e g o boga, a on nas nigdy nie zawiódł. On jest mocnym i działającym bogiem". „A w jaki sposób otrzymaliście pewność, że mu możecie zaufać?" pytał dalej młodzieniec. „Już od 286-ciu lat odbywamy uroczystą procesję ku jego czci każdego roku w styczniu. Dzień przeznaczony na tę uroczystość zostaje ustalony przez wieszczków, i każdego roku, bez wyjątku, jego dzień jest dniem wspaniałej pogody, bez jednej nawet chmurki na niebie" — brzmiała odpowiedź. „Na który dzień wyznaczono procesję w tym roku?" „Ustalono ją na jedenastego stycznia, na godzinę ósmą rano". „Wobec tego", krzyknął w uniesieniu nasz młody brat, „obiecuję wam, że w dniu 11-go tego miesiąca z całą pewnością będzie padał deszcz!" Wówczas tłum zaczął natychmiast wołać: „Dosyć nam na tym! Nie chcemy słuchać więcej kazań. Jeśli 11-go będzie padał deszcz, to wasz Bóg jest Bogiem!"

Najstarszy brat tej grupki misjonarzy znajdował się w innej części wsi, gdy wydarzenie to miało miejsce. Gdy jednak o tym się dowiedział, natychmiast zdał sobie sprawę z tego, że zaistniała nader poważna sytuacja. Wieść rozchodziła się bowiem jak pożar, i w krótkim czasie wiedziało już o tym zajściu przeszło dwadzieścia tysięcy ludzi. Co należało czynić? Natychmiast zaprzestali głosić Słowo Boże i poświęcili się modlitwie. Prosili Pana, aby im wybaczył, jeśli popełnili błąd. Sytuacja była bardzo poważna. Zastanawiali się, czy mają prawo prosić Boga o dokonanie cudu?

Im bardziej komuś zależy na odpowiedzi i wysłuchaniu modlitwy, tym skrupulatniej bada samego siebie i upewnia się, czy pomiędzy nim a Panem wszystko jest w porządku. Nie śmie wówczas być najmniejszej wątpliwości co do społeczności z Bogiem, nie można tolerować nawet najmniejszej chmurki, która by przeszkadzała. Tylko wtedy odważyć by się mógł ktoś na spieranie się z Bogiem, jeśli wiara jego jest całkowicie z Nim spojona. Bracia nie mieliby nic przeciwko temu, aby ich z wyspy wyrzucono, jeśli popełnili jakiś błąd. Zdawali sobie sprawę z tego, że nie można przecież gwałtem wciągać Boga w jakąś rzecz — jeśli jest to sprzeczne z Jego wolą. Z drugiej strony zastanawiali się też i nad tym, że wyrzucenie ich z wyspy oznaczałoby koniec głoszenia Ewangelii na tej wyspie, a bożek królowałby tam wówczas na zawsze. Cóż więc mieli robić? Czy powinni byli może opuścić bezzwłocznie wyspę?

Aż do tego momentu bali się modlić o deszcz. Wreszcie najstarszemu z tej grupki przyszło światło — i to nagle, jak błyskawica: „Gdzież jest Pan, Bóg Eliaszowy?" Słowa te stanęły przed nim z taką wyrazistością i mocą, że uświadomił sobie z całą pewnością, że pochodziły od Boga; zakomunikował więc pozostałym braciom zupełnie spokojnie i z pełnią zaufania: „Mam odpowiedź. Pan ześle deszcz w 11-tym dniu tego miesiąca". Podziękowali więc wspólnie Panu, po czym pełni wdzięczności wyszli do wsi i każdy z nich zaczął mówić o tym każdemu napotkanemu znajomemu. Wiedzieli, że wolno im już teraz stanąć otwarcie do boju z diabłem, który im rzucił wyzwanie — stanąć w Imieniu Pańskim, a także ogłosić publicznie o przyjęciu tego wyzwania.

Tego wieczoru ich gospodarz, zielarz, zrobił dwie bardzo trafne uwagi. Stwierdził bowiem, że niewątpliwie bożek ich był bogiem działającym bardzo skutecznie. Z posągiem tym związana była aktywność diabła. Stąd wiara mieszkańców wyspy w tego bożka nie była bezpodstawna. Dla przykładu dodał również, że wieś ta składa się wyłącznie z rybaków. Spędzali oni na morzu nieraz dwa, a nawet trzy miesiące. 15-go mieli znowu wyruszyć na połów. Z całą pewnością oni właśnie umieją najlepiej ze wszystkich ludzi określić na dwa, trzy dni naprzód jaka będzie pogoda i czy będzie, czy też nie będzie padał deszcz.

To misjonarzy jeszcze więcej zaniepokoiło. Gdy rozpoczęli się modlić tego wieczoru, wszyscy zaczęli raz jeszcze prosić o deszcz — zaraz! Pan ich jednak wówczas surowo skarcił,

przywodząc im na pamięć raz jeszcze słowa: „Gdzież jest Pan, Bóg Eliaszowy?" Czy mieli zatem sami wywalczyć swoje zwycięstwo w tej sprawie, czy też mieli odpocząć w dokonanym dziele Chrystusa? Co uczynił Elizeusz wypowiadając te słowa? Przywłaszczał sobie w osobistym doświadczeniu moc do wykonania tego samego cudu, który wykonał jego pan, Eliasz, zanim odszedł do chwały. Mówiąc językiem Nowego Testamentu — stanął wiarą na gruncie dokonanego dzieła.

Raz jeszcze wyznali swój grzech mówiąc: „Panie, nie potrzeba nam deszczu przed jedenastym rano". Udali się na spoczynek, a następnego dnia (a było to dziesiątego) wyruszyli na sąsiednią wyspę, aby tam spędzić jeden dzień na głoszeniu Słowa. Pan był bardzo łaskawy i tego dnia nawróciły się do Niego trzy rodziny, wyznając Go publicznie i paląc swoich bożków. Powrócili późno, zmęczeni, ale radośni: następnego dnia mogli sobie pozwolić na nieco dłuższy sen.

Obudziły ich promienie słońca, przenikające do wnętrza ich pokoiku przez jedyne okno. 'To nie jest deszcz!' rzekł najstarszy z nich. Już było po siódmej. Wstali, uklękli i zaczęli się modlić: „Panie, prosimy Cię, ześlij deszcz!" A oto w uszach tego najstarszego brata raz jeszcze rozbrzmiały słowa: „Gdzież jest Pan, Bóg Eliaszowy?" Zawstydzeni zeszli na dół. Trwali od tej chwili przed Panem w milczeniu. Usiedli do śniadania wraz ze swoim gospodarzem — a wszyscy zachowywali się bardzo cicho. Nie było ani jednej chmurki na niebie, ale wiedzieli, że Bóg jest zaangażowany w tej sprawie. Najstarszy z nich skłonił głowę w modlitwie dziękczynnej przed jedzeniem, po czym rzekł: „Uważam, że już nadszedł właściwy moment. Deszcz musi przyjść teraz. Możemy to przynieść przed Pana w modlitwie ku przypomnieniu". W ciszy tak uczynili, a tym razem przyszła odpowiedź — bez śladu jakiegokolwiek skarcenia.

„Gdzież jest Pan, Bóg Eliaszowy?" Zanim jeszcze powiedzieli Amen, usłyszeli odgłos kilku kropel deszczu, spadających na dachówki. Przy spożywaniu drugiej kromki chleba już dosyć silnie kropił deszcz, a wtenczas brat ów zaproponował, aby wszyscy raz jeszcze podziękowali Panu. Uklękli więc natychmiast i poprosili o silniejszy deszcz. Gdy wstali z kolan i zabrali się do kończenia śniadania, deszcz lał już jak z cebra. Gdy spożyli śniadanie, ulica przed domem tonęła już w wodzie, która zakryła nawet stopnie wiodące do ich domu.

Wnet dowiedzieli się, co miało miejsce w wiosce. Gdy tylko spadły pierwsze krople deszczu, kilka osób z młodzieży zaczęło mówić otwarcie: „Jest Bóg!" Inni zaś mówili: „Nasz bożek nie ma więcej znaczenia! Nie będzie mógł wziąć udziału w procesji; deszcz nie da mu wyjść!" Ale deszcz go jednak nie zatrzymał. Wynieśli go na specjalnym krześle. Ufali, że z całą pewnością zatrzyma deszcz. Ale wtedy przyszło oberwanie chmury. Po przejściu zaledwie dwóch do trzech metrów, trzech z niosących go mężczyzn pośliznęło się i upadło. Z trzaskiem runęło też i krzesło z bożkiem, który doznał złamania szczęki i lewego ramienia. Ale niosący go nie dawali za wygraną i dokonawszy śpiesznie najkonieczniejszych napraw, posadzili go raz jeszcze na tym krześle. Potykając się i ślizgając wlekli go, albo też nieśli przez połowę wsi. Wreszcie powódź ich przemogła. Niektórzy ze starszych mieszkańców tej wsi, w wieku od 60 — 80 lat, boso i bez parasoli — stosownie do wymogów ich wiary w moc ich bożka, który miał przecież niechybnie sprawić piękną pogodę — przewrócili się i znaleźli się w poważnym kłopocie. Procesja została wstrzymana, a posąg bożka umieszczono w jednym domu. Zaczęto więc znowu wróżyć. „Dziś był niewłaściwy dzień!" — przyszła odpowiedź. „Procesja ma się odbyć 14-go o godzinie szóstej wieczorem".

Gdy tylko misjonarze o tym usłyszeli, natychmiast w sercach ich powstała pewność, że Bóg ześle deszcz również i 14-go. Udali się więc na kolana i zaczęli prosić Pana: „Ześlij, Panie, deszcz 14-go o godzinie szóstej, a tymczasem daruj nam cztery dni owocnej pracy." Po południu tegoż dnia niebo się wypogodziło, i oto Pan dał dobry posłuch w opowiadaniu Ewangelii. Z Jego łaski w czasie tych krótkich trzech dni w tej wsi i na całej wyspie aż trzydzieści osób nawróciło się do Niego — i to szczerze. Nastał wreszcie 14-ty — znów śliczny dzień, i znów odbyli piękne nabożeństwa. A g d y z b l i ż a ł s i ę w i e c z ó r, w oznaczonej godzinie raz jeszcze przynieśli tę sprawę przed Pana, przypominając Mu swą prośbę. Nie trwało ani minuty — a odpowiedź od Pana przyszła w postaci huraganowego deszczu i powodzi, podobnie jak miało to miejsce poprzednio.

Następnego dnia musieli już opuszczać tę wyspę. Czas ich pobytu tam się skończył. Już na tę wyspę nie powrócili więcej; inni pracownicy zainteresowali się nią, a każdemu wolno przecież głosić Ewangelię. Dla naszych misjonarzy istotną rzeczą był fakt, że moc diabła, działająca poprzez tego bożka,

została złamana — a to już jest sprawa, mająca swoje odbicie w wieczności. Ów bożek przestał być „skutecznym bogiem". Zbawienie dusz miało być następstwem, ale było w gruncie rzeczy drugorzędnym w stosunku do tego istotnego i niezmiennego faktu.

Wrażenie, jakie przeżycie to zrobiło na całej tej grupie misjonarzy było nieprzemijającej natury. Bóg okazał się wiernym Swemu Słowu. Skosztowali używania autorytetu Imienia, które jest ponad wszelkie imię, które ma moc na niebie, na ziemi i w piekle. W tych kilku dniach dowiedzieli się, co to znaczy być niejako „w samym centrum woli Bożej." Słowa te przestały być dla nich czymś niewyraźnym albo zamglonym. Opisywały doświadczenie, które się stało ich osobistym udziałem. Całej grupie został uchylony rąbek tajemnicy — to Bóg oznajmił im „tajemnicę woli Swojej" (Efez. 1, 9; 3, 10). Odtąd chodzili oni bardzo ostrożnie przed Panem, i to do końca swego życia. Po wielu latach nastąpiło spotkanie pomiędzy najstarszym, a najmłodszym członkiem tej grupy. Przez wszystkie te lata nie mieli ze sobą kontaktu; gdy się więc ów starszy misjonarz zapytał młodego człowieka, czy nadal chodzi za Panem, otrzymał następującą odpowiedź: „Bracie! Czyż byłoby możliwym, abym przestał chodzić za Panem, przeżywszy to, cośmy razem przeżyli?"

Czy rozumiecie teraz, co to znaczy „stójcie"? Nie usiłujemy zdobywać nowych terenów; jedynie stoimy na gruncie, który nam wywalczył Pan Jezus i stanowczo nie pozwalamy się z zajmowanych pozycji wyrzucić. Gdy oczy nasze istotnie się otwarły i widzą Chrystusa jako naszego zwycięskiego Pana, wówczas nasze uwielbianie płynie swobodnie i bez ograniczenia. Melodyjnie śpiewając i rozmawiając ze sobą przez psalmy i hymny i pieśni duchowne, śpiewając i grając w sercu swoim Panu, dziękujemy zawsze za wszystko w Imieniu Pana naszego, Jezusa Chrystusa (Efez. 5, 19—20). Chwała, którą się przynosi z trudem, ma w sobie coś ociężałego, mozolnego, wymuszonego i nieharmonijnego. Ale chwała, która spontanicznie wypływa z przepełnionego serca, odpoczywającego w Nim — jest zawsze czysta i dźwięczy słodko.

Życie chrześcijańskie polega więc na —
siedzeniu z Chrystusem w niebiosach,
chodzeniu przez Niego (dzięki Jego mocy) i
staniu w Nim.

Życie duchowe rozpoczynamy więc od odpoczywania w dokonanym dziele Pana Jezusa, a odpocznienie to jest źródłem mocy, której potrzebujemy do wytrwałego i nienagannego chodzenia w tym świecie. A przy końcu zaciętego boju z mocami ciemności — znalezieni jesteśmy jako zwycięsko stojący wraz z Nim — na stanowisku, na którym znaleźliśmy się w Chrystusie.

„Jemu ... niechaj będzie chwała ... na wieki wieków."

Watchman Nee

ŻYCIE W CHRYSTUSIE

CZĘŚĆ II

Rozdział I

Wyćwiczeni pracownicy Boży

Bóg woła wyraźnie. Stwierdzenie to jest prawdziwe — co najmniej w pewnym stopniu — w stosunku do wszystkich, których woła. Zadanie, które otrzymują do wykonania jest zawsze osobistej natury, Bóg nie poprzestaje bowiem na zwracaniu się pod adresem wszystkich ludzi — ogólnie. Apostoł Paweł powiada: „Upodobało się Bogu ... objawić **we mnie** Syna Swego" (Gal. 1, 15.16).

Co więcej, charakter Bożego powołania jest zawsze wyraźnie sprecyzowany; nigdy przypadkowy lub nieokreślony. Pisząc te słowa mam na myśli, że gdy Bóg powierza mnie lub tobie jakieś usługiwanie, to nie tylko nas tym samym angażuje do Swej służby, ale pragnie zawsze dokonać przez każdego z nas coś definitywnego, co przyczyniłoby się do osiągnięcia Jego celu. Oczywiście, że Kościół otrzymał ogólnie mówiąc, zadanie wyrażone słowami Pana: „czyńcie uczniami wszystkie narody"; a jednak dla każdego z nas Boże zlecenie przedstawia, i zawsze musi przedstawiać, osobiście zwierzoną cząstkę odpowiedzialności. Powołuje On nas do służenia Mu na jakimś szczególnym odcinku — albo w celu przedstawienia Jego ludowi jakiejś szczególnej prawdy dotyczącej pełności Chrystusa, albo też czynienia czegoś innego jeszcze, co ma w szczególny sposób przyczynić się do zrealizowania Bożego planu. Do pewnego stopnia przynajmniej każde usługiwanie winno być w tym sensie usługiwaniem specyficznym, oryginalnym.

Skoro Bóg nie powołuje nigdy Swoich sług do wykonywania identycznych zadań, to wynika z tego, że nie używa też jednakowych sposobów do przygotowania ich do wyko-

nania tych zadań. Jako Pan wszelkich poczynań, Bóg zastrzega Sobie prawo używania pewnych szczególnych form dyscypliny czy ćwiczeń, a często i dodatkowych prób cierpienia, jako środków wiodących do odpowiedniego przygotowania Swojego sługi dla danej usługi. Celem Jego jest bowiem usługiwanie, odbiegające od jakiegoś uogólnionego schematu, ale posiadające raczej charakter zaspokojenia specjalnej potrzeby Jego ludu w danej godzinie. Dla danego sługi takie usługiwanie musi się stać jego własnym osobistym usługiwaniem, które dla tej przyczyny, iż stało się jego przeżyciem, musi zostać w szczególny sposób podane i innym. Jest ono osobiste, ponieważ jest wzięte z pierwszej ręki, od Pana; nie można się też od tego usługiwania odsunąć, ponieważ w tej mierze, w jakiej ma ono bezpośredni związek z realizowaniem celu Bożego, tenże cel wymaga jego wypełnienia.

Zapewne zauważył coś z tych rzeczy każdy przez Ducha Świętego nauczany czytelnik Nowego Testamentu. Na jego stronicach możemy, jak spostrzegłem, oglądać co najmniej trzy takie szczególne rodzaje usługiwania, reprezentowane przez charakterystyczny, historyczny wkład do dziejów Kościoła trzech czołowych apostołów. Ci trzej mężowie, chociaż niewątpliwie mają wiele cech wspólnych, różnią się wyraźnie — stosownie do posiadanych relacji Pisma Świętego — jeśli chodzi o szczególny nacisk, który został położony na usługiwaniu, zleconym im przez Boga. Każdemu z nich Bóg zlecił bowiem coś całkowicie oryginalnego. Mam tutaj na myśli szczególny wkład Piotra, Pawła i Jana. Dlatego chciałbym poddać myśl, że w Nowym Testamencie można stwierdzić istnienie trzech linii przewodnich, które choć w pewnej mierze bez wątpienia przewijają się przez doświadczenia i działalność wszystkich apostołów, to jednak w szczególny sposób zostały zdefiniowane i zilustrowane przez wyjątkowy wkład każdego z tych trzech apostołów.

Można zauważyć, że odrębność ich usługi ma po części podłoże nawet chronologicznej natury, jako że każdy z tych apostołów wnosił po kolei w trakcie tworzenia się dziejów swój szczególny, nowy, a bardzo na czasie będący i potrzebny typ usługiwania. Przy tym usługi te nie były nigdy tego rodzaju, aby tych trzech mężów rozdzielały lub stwarzały jakieś konflikty między nimi. To bowiem, co otrzymał każdy z nich, w niczym nie sprzeciwia się temu, co otrzymał drugi, lecz raczej stanowi wzajemne uzupełnienie usług pozostałych dwóch apostołów. Różnice zachodzące pomiędzy nimi polegają

może mniej na ich usługiwaniu ogólnie wziąwszy, ile raczej na tym, co o usługiwaniu tym zostało napisane — ku naszemu zbudowaniu i nauce. Mimo to wydaje mi się, że nici przewodnie Piotra, Pawła i Jana, przewijające się przez cały Nowy Testament, wskazują na trzy zasadnicze linie usługiwania, które zlecił Bóg ludziom po wszystkie czasy. Wszystkie dalsze, bardzo liczne i różnorodne usługi opisane w Nowym Testamencie, takie jak na przykład Filipa i Barnabasza, Syli i Apollosa, Tymoteusza i Jakuba — wraz z niezliczonymi dalszymi, które nastąpić miały potem, zawierają jednak w sobie w rozmaitych proporcjach pewne elementy tych trzech zasadniczych linii usługiwania. Dobrze będzie zatem, jeśli będziemy się starali zrozumieć, co Bóg chce nam powiedzieć przez doświadczenia tych trzech typowych postaci — i to właśnie będzie celem naszego obecnego studium.

ZAPUSZCZALI SIEĆ W MORZE

Rozpocznijmy od Piotra. Ogólnie się przypuszcza, że Marek, pisząc swoją Ewangelię, notował w istocie wspomnienia, jakie miał o swoim Panu Piotr. Poza tym mamy jeszcze własne Listy Piotra, no i oczywiście wydarzenia dotyczące życia Piotra zanotowane na stronicach dalszych Ewangelii i Dziejów Apostolskich. Wszystkie te pisma razem wziąwszy stanowią wkład Piotra. Na czym polegało jego usługiwanie? Z Listów jego wynika, że z całą pewnością obejmuje ono bardzo szeroki zakres obowiązków wchodzących w kompetencje apostoła, niemniej z opowiadań o nim na pierwszy plan wysuwa się jedna sprawa, na którą zapewne zwrócił szczególną uwagę Pan Jezus słowami, które wypowiedział w związku z powołaniem Piotra do Swej służby: „uczynię was rybakami ludzi". To miało być szczególnym zadaniem Piotra, zadaniem, które najpierw jemu przypadło w udziale. Miał on przyprowadzać ludzi — w poczuciu ogromnej ważności i pilności sprawy — do Królestwa Bożego, i to w wielkiej liczbie. Później, gdy w Cezarei Filipa Piotr wyznał, iż jego Mistrz jest Chrystusem, Synem Boga żywego, Pan Jezus jeszcze poświadczył, że taka była Jego wola. Pan zamierzał zbudować Swój Kościół, i w późniejszym okresie Piotr miał sprawować w nim funkcje duszpasterskie, czego dowodem są słowa: „Paś owce Moje", które skierował do niego Pan Jezus. Ale jeśli chodzi o stosunek Piotra do tegoż Kościoła na samym początku, pierwsze słowa Pana Jezusa brzmiały: „Dam ci klucze królestwa niebieskiego".

Gdy wypowiadamy słowo klucz, to między innymi przychodzi nam na myśl wejście, początek. Wchodzi się przez drzwi i używa się klucza do ich otwarcia, względnie do wpuszczenia innych do środka. Istotnie też usługiwanie Piotra często miało jako swój rezultat zapoczątkowanie czegoś, a nawet można by powiedzieć, że jemu przypadło w udziale rozpoczęcie wszystkich spraw, dotyczących Królestwa Bożego. Początek istnienia Kościoła w Jerozolimie łączy się z jego opowiadaniem Słowa, w związku z czym trzy tysiące dusz przyjęło zbawienie, zaś zbór w Cezarei powstał w momencie, gdy w jego obecności Duch Święty przypadł na Korneliusza i jego domowników. Możemy więc powiedzieć, że gdy Piotr powstał z jedenastoma — otworzył drzwi Żydom, a gdy później głosił Słowo w domu owego Rzymianina — otworzył je dla narodów. A chociaż Piotr nigdy nie był sam, gdyż i w pierwszym i w drugim wypadku obok niego znajdowali się inni, którym polecenie usługiwania było zlecone wraz z Piotrem, i chociaż nieco później Paweł również, jak wiemy, został wybrany przez Boga, aby w jeszcze szerszym zakresie usługiwać głoszeniem Ewangelii pomiędzy narodami (poganami) — to jednak w prawdziwym sensie tego słowa Piotr był pionierem. Historycznie on właśnie trzymał klucz i on otwierał drzwi. Jego zadaniem było coś rozpocząć. Jego Bóg wyznaczył do zrobienia początku.

Głównym tematem kazań Piotra była kwestia zbawienia, przy czym zawsze podkreślał znaczenie nie tylko samego zbawienia, ale także sprawy pełni Królestwa, którego uwielbionym Królem jest Jezus. A jednak gdy on głosił słowo o Królestwie, niezmiennie kładł nacisk przede wszystkim na sprawę początku. Jemu chodziło zawsze o podkreślenie znaczenia kluczy i ich działalności w przedstawianiu Królestwa ludziom. Jest to niewątpliwie czymś więcej niż przypadkiem, że, jak już wspomnieliśmy, ma to związek ze szczegółami jego własnego powołania. Piotr został bowiem powołany w zupełnie odmiennych okolicznościach aniżeli Paweł, a nawet, jak wkrótce zobaczymy — innych niż Jan. Ponieważ zaś okoliczności te opisane są w Piśmie Świętym, nie powinniśmy uważać ich za coś nieistotnego. Warto na nie zwrócić uwagę.

Czytamy, że Piotr został powołany w momencie, gdy zajęty był najistotniejszą pracą wchodzącą w zakres jego zawodu, a mianowicie gdy „zapuszczał sieć w morze". To zajęcie (mówiąc obrazowo) pozostało charakterystycznym, głównym elementem jego usługiwania poprzez całe jego życie. Miał się

stać pierwszym i najwybitniejszym ewangelistą, tym, który rozpoczyna dzieło Boże „chwytaniem ludzi" w sieć Ewangelii. Gdy ktoś zarzuca sieć, zagarnia wiele ryb — i to rozmaitego gatunku. Takim właśnie jest Piotr. A chociaż nie możemy ani na chwilę zapomnieć szerszego zakresu jego działalności i jego pism, to można jednak stwierdzić z całą pewnością, że główny nacisk — stosownie do tego, co o nim jest napisane — spoczywał na jego czynnym usługiwaniu w tej sprawie.

A RZEMIOSŁEM ICH BYŁO ROBIĆ NAMIOTY

Przechodzimy do Pawła. I on jest sługą Pańskim, ale już innym. Nikt nie mógłby powiedzieć, że Paweł nie opowiadał Ewangelii. Oczywiście — opowiadał ją. Nie czynić tego oznaczałoby odrzucenie pracy Piotra i pozbycie się terenów już przez niego zdobytych. Nie zróbmy tego błędu, aby uważać, że pomiędzy usługami tych dwóch mężów zachodziła jakaś podstawowa sprzeczność, albo że pomiędzy pracą Bożych sług miałyby w ogóle kiedykolwiek istnieć jakieś konflikty. Paweł podkreśla, pisząc do Galatów, całkiem wyraźnie, że jeśli istniały jakieś różnice, to odnosiły się one do warunków geograficznych i do różnic rasowych, i że w gruncie rzeczy zadania ich wzajemnie się uzupełniały — nie tylko dzięki wzajemnej zgodzie, ale ze względu na ich wartość i przyznawanie się do usług tych przez Boga (Gal. 2, 7—12).

Chodzi tu raczej o to, że przyszedł dzień, w którym Paweł otrzymał rozkaz, aby pójść dalej. Podczas gdy Piotr wszystko rozpoczynał, zadaniem Pawła było dalsze budowanie. Bóg w szczególny sposób zlecił mu dzieło budowy Swego Kościoła, albo innymi słowy — dzieło przedstawiania ludziom Chrystusa w całej Jego pełni i wprowadzanie ich j a k o j e d n o ś c i we wszystko to, co Bóg dla nich umyślił w Chrystusie. Paweł otrzymał cząstkę wizji tej niebiańskiej rzeczywistości w całej jej potędze i wielkości, jego też zadaniem było budowanie zgromadzonego ludu Bożego w dom duchowy — według tejże, jemu objawionej rzeczywistości.

Pozwólcie, że przytoczę przykład. Przypominacie sobie, jakie widzenie dane zostało Piotrowi, zanim się udał do pogan w Cezarei. Widział niejako wielkie płótno spuszczone na ziemię z nieba, za cztery rogi uwiązane, w którym znajdowały się wszelkiego rodzaju zwierzęta — czyste, jak i nieczyste. Wizja ta symbolizowała ogólne i wszystko obejmujące zało-

żenia Ewangelii. Przeznaczona jest ona dla wszystkiego stworzenia. A to jest w pierwszym rzędzie zadaniem Piotra. Jego usługiwanie to zarzucanie owego płótna — albo sieci, jak kto woli — do której wchodzi rozmaitość różnego rodzaju ludzi. To zostało zlecone przez Boga, gdyż owo płótno zstępuje „z nieba". Zadaniem, które powierzył mu Bóg, było przyprowadzenie do Zbawiciela jak największej liczby rozmaitych ludzi — i to było treścią jego widzenia w Joppie, w którym Bóg potwierdził jego powołanie i wyjaśnił mu jego specjalne zadanie.

Nasz brat Paweł różni się jednakowoż od Piotra — nie trzyma bowiem w ręce płótna; on wytwarza namioty. Płótno w widzeniu Piotra — raz jeszcze mówię obrazowo — staje się w rękach Pawła namiotem. Co mam przez to na myśli? Otóż płótno nie posiada jeszcze formy — jeszcze z niego niczego nie zrobiono. Ale teraz na widownię wchodzi Paweł, jako fachowiec od robienia namiotów, który pod kierownictwem Ducha Świętego — również na podstawie wizji otrzymanej z nieba, podobnie jak otrzymał ją Piotr (2 Kor. 12, 2—4; Efez. 3, 2—10) — nadaje temu bezkształtnemu „płótnu" formę i znaczenie. Dzięki wspaniałej łasce Bożej staje się budowniczym Domu Bożego.

Jeśli chodzi o usługę Pawła, to tutaj już nie ma mowy tylko o tylu a tylu zbawionych duszach, mowa jest natomiast o czymś, co zaczyna nabierać konkretnych form. Jest rzeczą możliwą, że Paweł nigdy nie dożył czegoś takiego, jak trzy tysiące dusz nawracających się do Pana w jednym dniu. To było przywilejem Piotra; szczególnym zadaniem Pawła było jednakowoż spajanie wierzących dusz w dom duchowy — według danej mu przez Boga nieba ńskiej wizji. Nie wystarczy Bogu, aby lud Jego składał się z istot li tylko nawróconych, „uczęszczających na nabożeństwa", siedzących i przysłuchujących się dobrze ułożonym kazaniom i czujących się zadowolonymi z tego, ufając, że w rezultacie są dobrymi chrześcijanami. Nie zależy Mu nawet bardzo i nie jest bardzo zainteresowany ich szczególnym dożywaniem „drugiego błogosławieństwa", „poświęcenia", „wyzwolenia" (albo czegoś, co można by jeszcze nazwać innymi określeniami) — jako doświadczeniami. Bóg pragnie dla Swoich dzieci czegoś więcej, aniżeli tych przeżyć tylko — chce mianowicie mieć z nas istoty, które można określić tylko wyrażeniem „nowy Mąż" z nieba. Bóg pragnie — jako celu Swego dzieła odku-

pienia — takiego połączenia Chrystusa, jako Głowy, z Ciałem Jego, którym jest Kościół, aby ta całość — Chrystus i Jego Kościół, dały w rezultacie jednego, nowego Męża — „tego Chrystusa".

Dobrą jest rzeczą przeglądać Pismo Święte i szukać na jego stronicach „tego Chrystusa". Jak wielce błogosławioną jest rzeczą, że Pan Bóg ma jedynie na myśli Swego Syna, Jezusa Chrystusa! Wiele razy czytamy w Słowie Bożym o „Jezusie Chrystusie", wiele razy znajdujemy tam tylko słowo „Chrystus". Proszę jednak na to zwrócić baczną uwagę, że nie tylko słowo to jest użyte dla określenia Syna Bożego osobiście, ale ma też za zadanie obejmować i innych wraz z Nim. (Proszę w szczególności przeczytać 1 Kor. 12, 12). Co za bezgraniczna łaska! Bóg zapewnia Sobie istnienie wielu odkupionych synów — i to nie tylko jako jednostek, ale jako jeden zgromadzony lud. A w jakim celu? Aby z nich uczynić w Synu i razem z Nim jednego nowego Męża — jedną skonsolidowaną całość, w której poprzez życie tych wszystkich istot ludzkich wyrażona by została niebiańskość, życie i chwała błogosławionego Syna Bożego.

Takim jest ogromny plan Boży; Paweł zaś został powołany w szczególny sposób na stanowisko szafarza tej tajemnicy: miał ją podać innym do wiadomości, a także wprowadzać ich do uczestnictwa w tej tajemnicy — oto jego usługa w stosunku do ludu Bożego. Mówiąc to, nie mamy zamiaru ani trochę umniejszać znaczenia usługi Piotra. Nie chcielibyśmy nigdy twierdzić, że ewangelizacji nie należy się w całej pełni miejsce w usłudze Kościoła. Nam wszystkim trzeba jednak zrozumieć, że szczególna usługa Pawła jest koniecznym uzupełnieniem usługi Piotra. Paweł idzie dalej aniżeli Piotr, ale nie oznacza to, żeby jego usługa miała powodować zniszczenie usługi Piotra, lub pomniejszanie jej znaczenia. Nawet brat Piotr, jakkolwiek w coraz większej mierze wzrastał w zrozumieniu „domu duchownego" (1 Piotr. 2, 1—9), przyznawał, że w pewnym stopniu Paweł go w zrozumieniu tym prześcignął. Bardzo pożyteczną jest rzeczą czytanie końcowych wierszy jego ostatniego Listu, w którym czyni wzmiankę o „mądrości" danej Pawłowi, po czym mówi o jego Listach w sposób całkiem wyraźnie klasyfikujący je jako równe „innym pismom". Może była potrzebna i łaska, aby taka wypowiedź stała się możliwa; Piotr jednakowoż doszedł do zrozumienia planu Bożego, stosownie do którego nauka Pawła była uzupełnieniem jego własnej. „Biada mi", powiada Paweł, „jeśli-

bym Ewangelii nie opowiadał"; błagał też Boga o pomoc w zaniesieniu jej aż do ostatecznych granic rzymskiego świata. Wszędzie jednak, gdziekolwiek opowiadał Słowo Boże, nie poprzestawał na pierwszych wynikach swej pracy, lecz zawsze starał się przyprowadzić wierzących do zrozumienia i zrealizowania dalszego celu, jaki Bóg miał w świętych Swoich. On bowiem był na pierwszym miejscu budowniczym, a nawet, używając jego własnych słów, „mądrym budowniczym" (1 Kor. 3, 10). On założył fundament — zaiste, fundament Jezusa Chrystusa — a następnie poszedł dalej i na tym fundamencie budował. Twierdził najwyraźniej, że usiłowanie budowania na jakimkolwiek innym fundamencie zdyskwalifikowałoby go zupełnie. Ale nawet po ustaleniu tej podstawowej zasady stwierdził, że wielkie znaczenie posiada również charakter budowy: jak się buduje i jakich się używa materiałów. Niedopuszczalne jest używanie tanich, wybrakowanych materiałów lub namiastek. Wolą Bożą jest, aby Jego lud był spojony miłością, ukształtowywany i budowany jako przybytek święty w Panu — przygotowany do objawiania chwały Jego Syna. Oto cel, jaki Paweł postawił przed nami wszystkimi poprzez swoje usługiwanie. Wszystkie nauki płynące z jego pełnego wydarzeń życia i bogactwo jego pism, obejmujących swoim zasięgiem ogromną przestrzeń, długi okres czasu i mnóstwo ważnych faktów — to wszystko ma jeden tylko cel: aby Chrystus mógł mieć dla Siebie pełen chwały Kościół, za który oddał życie Swoje.

NAPRAWIAJĄCY SIECI

Przyszły wreszcie i porażki i zawody. W swoim Liście do Filipensów Paweł wyjaśnia powody tych wydarzeń: „Wszyscy szukają swego, a nie tego, co jest Chrystusa Jezusa" (Fil. 2, 21). Po niedługim czasie pisze do Tymoteusza: „Wiesz to, że mię odstąpili wszyscy, którzy są w Azji". Oto co się stało z świętymi w jednej z prowincji imperium rzymskiego. A kim byli ci wierzący w Azji? Niektórzy z nich to niewątpliwie ci, których Sam Pan upomina w Swoim Objawieniu. Zwraca się On do siedmiu reprezentacyjnych zborów w prowincji Azji, ponieważ ich stan duchowy był jak gdyby wykładnikiem stanu wszystkich zborów w owym czasie. (Przeczytaj Obj. 1, 11). Już bowiem wtedy, choć był to dopiero początek dziejów Kościoła, w oczach Bożych wszystkie zbory tego pierwszego nowotestamentowego okresu zaczęły w pewnej mierze spra-

wować się niedostatecznie i częściowo chybiać w realizowaniu Bożego planu.

I w tym momencie Bóg powołuje do pracy Jana. Do tej pory — tak przynajmniej wynika z Nowego Testamentu — pozostawał w cieniu, na boku. Ale gdy Paweł odszedł, Bóg przywiódł na światło następne naczynie dla usługi Kościoła, a wraz z nim nowe, szczególne zadania, które miały na celu zaspokojenie nowych potrzeb.

Usługiwanie Jana bardzo się różni od usługiwania Piotra. Jan nie został powołany, jak to było z Piotrem, do rozpoczynania czegoś. Z tego, co czytamy w Nowym Testamencie wynika, że Pan używał go na początku o b o k Piotra. Nie widzimy też, aby zostało mu powierzone zadanie, aby w jakiś szczególny sposób objawiać tajemnicę Kościoła. Niewątpliwie był on na równi z innymi apostołami zainteresowany sprawą kładzenia jego fundamentów (Efez. 2, 20), ale i w tej dziedzinie powołanie jego nie było w jakimś sensie wyjątkowe. Jeśli chodzi o naukę dotyczącą Kościoła, to w pismach jego nie znajdujmy niczego, co poszerzyć by mogło objawienie otrzymane przez Pawła. W usługiwaniu Pawła sprawy dotyczące Boga osiągają swój punkt szczytowy — doskonałość — i tutaj już niczego dodać nie można. Paweł bowiem zajmuje się objawieniem pełni planów Bożych, które powstały w sercu Boga przed założeniem świata. Plany te, dotyczące Jego Syna, Bóg stopniowo dawał poznać ludziom poprzez całe wieki — owe plany zbawienia ludzkości i przyprowadzenia jej do chwały — aż nareszcie w tym szczególnym okresie łaski, zostały one w pełni objawione przez urodzenie, śmierć, zmartwychwstanie i uwielbienie Bożego Chrystusa. Szczególnym zadaniem Pawła było przedstawienie tego planu w całości i zrealizowanie go w pełni w ludzie Bożym. Jego zadaniem było wyjaśnić dla dobra nas wszystkich coś, co pochodzi z samego serca Bożego — coś wiecznego, co teraz dopiero zostało okazane jawnie. Aby więc cokolwiek poprawić w tym, co Bóg objawił Pawłowi, trzeba by poprawić Samego Boga, a tego sobie nawet nie można wyobrazić. Plan Boży jest doskonały.

Po co więc dodawać do usługi Pawła jeszcze usługę Jana? Czy istnieje jeszcze potrzeba tej dalszej usługi? Odpowiedzią jest fakt, że przy końcu okresu, w którym powstawały księgi Nowego Testamentu, diabłu udało się dostać do wnętrza domu Bożego i spowodować, że ci, którzy byli dziedzicami i spadkobiercami tak kosztownego odkupienia, zeszli z dróg swego Boga. Nawet ci, którym powierzona została tak cudna

wizja, to jest święci w Efezie — odpadli, do tego stopnia, że w upadku tym zbór w Efezie miał smutne pierwszeństwo. Jeśli porównamy pierwszy List do Efezów (napisany przez Pawła) z drugim Listem, posłanym do Efezów przez Jana (Obj. 2, 1 — 7) — dowiemy się, jaki był stan tych ludzi. Stało się coś strasznego. I oto zostaje powołany do pracy Jan. W jakim celu? Nie po to, aby prowadzić ich dalej, ale w celu naprawienia tego, co się popsuło. Możemy łatwo stwierdzić, że usługa Jana w całym Nowym Testamencie miała charakter naprawiania. Nie mówi niczego zdumiewająco nowego albo oryginalnego. Nie przedstawia niczego nowego (choć prawdą jest również, że w Objawieniu doprowadza to wszystko, co już było nam dotąd powiedziane, do ostatecznego zakończenia). Ale charakterystyczną cechą usługi Jana jest to, iż zarówno na stronicach jego Ewangelii, w Listach, czy wreszcie na kartach Objawienia — widzimy jego usiłowanie, aby przywieść lud Boży z powrotem na pozycję, którą utracił.

I raz jeszcze widzimy, jak odpowiada to okolicznościom, w których Jan został powołany do służby jako uczeń Pański. Piotra zawołał Pan w momencie, gdy zarzucał sieć; Paweł zapewne już był z zawodu producentem namiotów, gdy Bóg powiedział: „ten jest mi naczyniem wybranym"; Jan zaś został powołany w innych okolicznościach. Podobnie jak Piotr — i Jan był rybakiem, ale w momencie swego powołania przez Pana Jezusa nie znajdował się na wodzie jeziora, tak jak Piotr, lecz na brzegu i czytamy, że ujrzał go Pan Jezus i jego brata „naprawiających sieci". Jeśli zabierasz się do naprawiania czegoś, to masz zamiar przywrócić tę rzecz do jej pierwotnego stanu. Coś zostało uszkodzone lub zgubione, a teraz usiłujesz to naprawić i zgubioną rzecz odnaleźć. Oto na czym polega szczególne usługiwanie Jana. On zawsze przyprowadza nas z powrotem do Bożego oryginału.

Może stwierdzenie to wymagać będzie pełniejszego wytłumaczenia, lecz uczynimy to później we właściwym rozdziale tej książki. Jeśliby zaś komuś się wydawało, że zbyt wielką uwagę przywiązujemy do okoliczności dotyczących świeckiego zawodu tych trzech apostołów, niechaj mi wolno będzie zaraz wyjaśnić, że szczegóły te, jakkolwiek zostały nam podane w natchnionym Piśmie — a to nigdy nie dzieje się bez przyczyny — będziemy chcieli uważać tylko za pomoc, jak gdyby kołki, na których utwierdzić byśmy mogli nasze myśli, tak aby nam było łatwiej skupić się na sprawach nie-

skończenie większych, które były istotną treścią życia i usługiwania każdego z tych trzech sług Pańskich.

Mamy więc przed sobą trzech mężów reprezentujących trzy rodzaje usługiwania: oto Piotr, którego głównym zadaniem jest przyprowadzanie dusz; dalej Paweł, mądry budowniczy, który buduje stosownie do wizji otrzymanej z Nieba; a potem, gdy grozi katastrofa, zostaje na widownię dziejów wprowadzony Jan, którego zadaniem jest upewnienie nas, że istnieje w dalszym ciągu możliwość skierować wzrok na pierwotny, oryginalny cel Boży, cel, który w sercu Bożym pozostał bez zmiany, i którego Bóg nigdy nie porzuci. Jest jeszcze coś, co Bóg ma zamiar dokonać, a od zamiaru tego nic Go nigdy nie odwiedzie.

Co dotąd powiedziałem ma na celu praktycznie rzecz biorąc stwierdzenie faktu, że dla uczynienia Kościoła doskonałym potrzebne są te trzy wzajemnie się uzupełniające i ściśle ze sobą złączone rodzaje usługiwania. Potrzebna jest usługa typu Piotrowego, aby rozpoczynać sprawę Bożą w danej sytuacji; potrzebne jest usługiwanie Pawłowe, aby na tym, co zostało zapoczątkowane, dalej budować; potrzebne jest też usługiwanie Janowe, aby przywrócić rzeczy, tam gdzie się to stało konieczne, do stanu zgodnego z początkowym i zasadniczym planem Bożym. Mało będzie takich, którzy by nie byli zgodni z tym, że wszystkie trzy rodzaje usługiwania są nam dzisiaj potrzebne, i z tym, że usługiwanie naprawy jest może najbardziej potrzebne teraz, u końca tego wieku (aeonu). Będzie więc rzeczą pożyteczną, jeśli przyjrzymy się kilku kluczowym punktom dotyczącym każdego z tych trzech rodzajów usługiwania — stwierdzając praktyczne znaczenie każdego z omawianych szczegółów, przy czym w dobie obecnej powinniśmy zwrócić baczną uwagę na znaczenie ostatniej z tych trzech usług.

Będziemy więc w przed nami leżących rozdziałach po kolei rozważać działalność Piotra, Pawła i Jana — najpierw przyjrzyjmy się postaciom tych trzech mężów, a potem zastanowimy się nad tym, co jest charakterystyczne w ich usłudze w sensie zapoczątkowywania, budowania i naprawy. Pozwólmy równocześnie Duchowi Swiętemu przemówić do serca każdego z nas, czytających tę książkę, abyśmy mogli odczuć, do czego powołuje i nas.

Rozdział II

Piotr — a droga

Kiedy czytamy pierwsze rozdziały Dziejów Apostolskich, nie możemy wprost nie zwrócić uwagi na niezwykłą powagę i autorytet, z jakim Piotr obwieszczał Ewangelię o zbawieniu przez Jezusa Chrystusa. Jest on pierwszym wielkim przykładem owocnego ewangelisty. Posłuchajcie, w jaki sposób wskazuje ludziom drogę do Boga: „Mężowie Judzcy, i wszyscy, którzy mieszkacie w Jerozolimie!... przyjmijcie do uszu słowa moje... Nawróćcie się i niech się każdy z was ochrzci w imię Jezusa Chrystusa... Wyzwólcie się od tego rodu przewrotnego" (Dz. Ap. 2, 14. 38. 40). „Przełożeni ludu i starsi... niech wam wszystkim wiadomo będzie... i nie masz w nikim innym zbawienia... Albowiem my nie możemy tego, cośmy widzieli i słyszeli nie mówić" (Dz. Ap. 4, 8. 10. 12. 20). Takimi do serca trafiającymi zdaniami przemawia Piotr, ów herold Królestwa, oznajmiający ludziom drogę żywota; widzimy też jak Bóg poświadcza prawdziwość jego słów przez jawnie okazującą się obecność Ducha Świętego i głębokie, a trwałe przekonanie słuchających go, iż są grzesznikami.

Ważną jest więc rzeczą, abyśmy przede wszystkim zrozumieli, co kwalifikowało Piotra do spełnienia zadania ust Bożych. Zanim bowiem zdolny był do mówienia, musiał nauczyć się słuchać. Zanim mógł rozpocząć pracę szafarza, w którego ręce znajdowały się „klucze królestwa niebieskiego", musiał zająć stanowisko wobec wymogów tegoż Królestwa w stosunku do jego osoby.

Co znaczy słowo „królestwo"? Niewątpliwie jest to obszar, nad którym panuje jakiś król. Jest to sfera jego autorytetu,

jego panowania. Gdy więc Jezus przychodzi do Swego królestwa, zajmuje stanowisko, którego cechą jest posiadanie mocy. Gdzie tylko uznaje się suwerenne prawa Pana Jezusa, tam jest Jego królestwo; tam zaś, gdzie Jego suwerennych praw się nie uznaje — Jego królestwo jeszcze nie przyszło. Jeśli królestwo Boże ma być ugruntowane na ziemi, to ludzie muszą się znaleźć pod bezspornym panowaniem Bożym. Muszą się skłonić przed doskonałością, autorytetem i suwerennym panowaniem Jezusa Chrystusa. Jego królestwo ma przyjść.

Dla tej przyczyny jest rzeczą ogromnie pouczającą, aby zwrócić uwagę na wypadki opisane w Ewangeliach, mające miejsce po otrzymaniu przez Piotra obietnicy dotyczącej kluczy Królestwa. Najpierw miało miejsce wydarzenie, w którym okazało się wyraźnie, że Piotr z całą pewnością nie był jeszcze poddanym tego Królestwa w sensie konsekwentnego przestrzegania jego praw, a raczej kamieniem obrazy, zgorszeniem dla jego Pana. Dalej znajdujemy kilka bardzo znamiennych słów, które Pan Jezus skierował do całej gromadki uczniów Swoich, dotyczących Syna człowieczego przychodzącego „w królestwie Swoim". A potem, zaledwie kilka dni po wypowiedzeniu tych słów, znalazły one widome wypełnienie na Górze przemienienia, gdzie szczególną moc ich odczuł właśnie Piotr.

Znamy to wydarzenie bardzo dobrze. Jezus przemienił się przed nimi, odsłaniając ich oczom w tych chwilach owo Królestwo, jego naturę i najistotniejsze znaczenie — chociaż jeszcze nie pełny jego zasięg, oczywiście — w Osobie Króla. Piotr natychmiast w swoisty dla niego sposób zareagował i zawołał w uniesieniu, aby zrobiono tam trzy namioty, jeden dla Jezusa, jeden dla Mojżesza i jeden dla Eliasza, „albowiem nie wiedział, co ma powiedzieć", gdyż zawsze był gotowy do powiedzenia czegoś.

OJCIEC INTERWENIUJE

Trzy namioty — a nie jeden! Czy zdajesz sobie sprawę z ogromnego znaczenia wspaniałej propozycji Piotra? Byli tam na górze wraz z Jezusem dwaj wielcy mężowie — wielcy nie tylko z racji swych osobistych walorów, lecz również z racji tego, co reprezentowali. Oto był tam Mojżesz, przedstawiający Zakon, oraz Eliasz, reprezentujący proroków,

a proponując przedłużenie tego przeżycia na szczycie góry, Piotr chciał równocześnie przygotować coś też dla tych dwóch mężów, a nie tylko dla samego Pana. Oni mieliby, oczywiście, podrzędne stanowisko, niemniej mieliby godność i autorytet, z którym należałoby się liczyć.

Ale w tym Królestwie tego robić nie można! Nie może mieć miejsca żaden inny autorytet, poza jednym tylko. Nie może istnieć mnóstwo głosów — może być tylko jeden głos. Dla tej przyczyny, w celu udzielenia wiekopomnej lekcji, „gdy on jeszcze mówił" przerwał mu Ojciec słowami, które oznaczały naganę i strofowanie. Słowa te oznaczały, że nie była to dla Piotra pora do mówienia, lecz do słuchania, a głos ten równocześnie skierował jego uwagę na Tego, który jedynie ma prawo w tym Królestwie rozkazywać. „Ten jest Syn Mój miły, w którym Mi się upodobało. Jego słuchajcie!" Czyli innymi słowy: Wszystko w tym Królestwie uzależnione jest od Jezusa Chrystusa i od Jego słów — wasze zaś stanowisko będzie właściwe, jeśli słów tych bacznie słuchać i przestrzegać będziecie.

Powiedzieliśmy, że Mojżesz i Eliasz reprezentują Zakon i proroków. Słowo Boże wyraźnie wskazuje na fakt, że z nastaniem Królestwa ci będą musieli ustąpić. „Zakon i prorocy aż do Jana; od tego czasu królestwo Boże opowiadane bywa, i każdy się do niego gwałtem ciśnie" (Łuk. 16, 16). Już swoją istotą Królestwo to obu przewyższa. Tam, gdzie nadal jest Zakon, tam nie ma Królestwa; tam, gdzie nadal są prorocy — tam nie ma Królestwa. I Zakon i prorocy muszą się poddać królestwu Jezusa Chrystusa; nie mogą uzurpować równego Mu miejsca, ani Jego autorytetu. Oto dlaczego mowa Piotra została w ten sposób raptownie zakończona przez Bożą interwencję. Jego propozycja została usunięta przez stanowczą i wyraźną wypowiedź z samego nieba, ponieważ w chwili tej zagrożona była niejako podstawa tego Królestwa, tj. wchodził w grę fundament całego chrześcijaństwa. Jeśli ma przyjść Królestwo, to musi przed nim ustąpić zarówno Mojżesz, jak i Eliasz. Jeśli trzymasz się Zakonu lub proroków — tracisz Królestwo, a jeśli masz Królestwo, to musisz zrezygnować z Zakonu i proroków.

Posuńmy się w rozważaniu tych rzeczy o krok dalej, chcemy bowiem być w pełni praktyczni, a równocześnie trzeba zachować ostrożność, aby nie popełnić jakiejś omyłki. Czym jest Zakon? Czym są prorocy? Oczywiście oba te słowa użyte

jedno obok drugiego w potocznej mowie Żydów oznaczały całość Pism Starego Testamentu, a musimy stwierdzić to całkiem jasno i wyraźnie, że Pan Jezus nigdy ani na chwilę nie zalecał całkowitego usunięcia tychże. (Dla przykładu przeczytaj Mat. 5, 17. 18; Łuk. 24, 27. 32. 44.) Nie — będziemy musieli spojrzeć głębiej, aby stwierdzić, jaka tutaj przedstawiona jest zasada.

Zakon jest napisanym Słowem Bożym, podającym nam Jego wolę; prorocy są żyjącymi ludźmi, którzy również wyrażają tę wolę. W czasach starotestamentowych Bóg objawiał zwyczajnemu Izraelicie wolę Swoją przy pomocy jednego z tych dwóch środków. Bóg nie mieszkał bowiem w sercach ludzkich, lecz w niedostępnym miejscu Najświętszym. Jakże więc miał człowiek dowiadywać się o Jego woli? Przede wszystkim mógł to czynić dzięki odniesieniu swojej sprawy do tego, co było napisane w Zakonie. Weźmy dla przykładu, że chciał się dowiedzieć, jak ma się zachować w sposób właściwy w stosunku do trędowatego, lub w stosunku do pokalania się przy zwłokach człowieka, względnie w wypadku posiadania wątpliwości czy mu wolno, czy też nie wolno jeść danego gatunku zwierząt czy ptactwa — w takim wypadku mógł otrzymać odpowiedź na swoje pytania na stronicach Księgi Zakonu. Starannie ją wertując, mógł znaleźć tę odpowiedź, nie potrzebując nawet, czyniąc to, zwracać się osobiście i wprost do Boga w tej sprawie. Gdyby mu jednak chodziło o zadecydowanie, czy ma się udać w jakąś podróż lub zamieszkać w jakiejś innej miejscowości, to mogłoby się zdarzyć, że przewertowałby całą tę Księgę, a nie znalazłby nawet wzmianki o tej miejscowości. Co miał zrobić w takim wypadku? Zwracał się do proroka, mówiąc: „Proszę cię, zechciej zapytać Pana za mnie, czy mam odbyć tę podróż, czy też nie". Ale i tym razem odpowiedź przychodziła do niego niejako z drugiej ręki. Nie miał prawa udać się bezpośrednio do Boga. Zarówno poprzez Zakon, jak i proroków, poznanie woli Bożej odbywało się w jego doświadczeniu zawsze pośrednio — przez książkę lub przez człowieka, a nigdy przez bezpośrednie objawienie od Boga.

Ale nie tak przedstawia się sprawa w chrześcijaństwie. Ono polega na bezpośredniej znajomości Boga przez Ducha Świętego, a nie tylko na poznaniu Jego woli przez książkę lub innego człowieka. Wielu chrześcijan doby dzisiejszej posiada książkową znajomość Chrystusa; znają Go co prawda z własnej Księgi Bożej, niemniej nie posiadają żywego kon-

taktu z Nim. Co gorsza, wielu jest takich, którzy Go znają tylko „ze słyszenia" — z kazań swoich duchownych lub opowiadań znajomych, ale którzy nie znajdują się w bezpośrednim kontakcie z Nim Samym. Znajomość ich jest natury zewnętrznej, a nie wewnętrznej. A niechaj mi będzie wolno stwierdzić, że **wszystko, co nie jest osobistym, wewnętrznym objawieniem się Pana — nie jest chrześcijaństwem.** Gdy w okresie Starego Przymierza ludzie chcieli dowiadywać się jaka jest wola Boża — byli ograniczeni do Zakonu i proroków. Ale w Nowym Testamencie Bóg obiecał, że „nie będzie uczył żaden bliźniego swego i żaden brata swego, mówiąc: poznaj Pana; albowiem wszyscy Mię poznają, od najmniejszego z nich aż do największego z nich" (Żyd. 8, 11). Oznacza to innymi słowy: będziecie Go znali s a m i w s o b i e, a znając Go w ten sposób nie będzie już potrzeby, aby zasięgać informacji o Panu ani od „brata", ani też od „sąsiada". Chrześcijaństwo nie jest oparte na informacji, lecz na objawieniu. Oto gdzie rozpoczął Pan Swoje poczynania z Piotrem, o którym jest mowa w urywku, który właśnie rozważamy: „Błogosławionyś, Szymonie, synu Jonasza! bo nie ciało i krew objawiły ci to, ale Ojciec mój, który jest w niebiesiech". Królestwo Boże zbudowane jest na osobistej znajomości Pana, która przychodzi przez bezpośrednie słuchanie Jego głosu przez każdego z nas.

Mówiąc więc językiem praktycznym doby dzisiejszej — mamy Pismo Święte, które przedstawione jest przez osobę Mojżesza, i mamy żywego ludzkiego posłańca, przedstawionego przez Eliasza, który nigdy nie skosztował śmierci. Oto dwa dary Boże, który otrzymuje każdy wierzący, a które są cennymi czynnikami dopomagającymi nam w naszym życiu chrześcijańskim: Księga Boża w naszym ręku dla naszej nauki i przyjaciel żyjący w ścisłej społeczności z Panem, który często może nam obwieścić, co Pan mu pokazał. Słowo Boże zawsze jest prawdziwe; rada przyjaciela bardzo często. Potrzebujemy Bożą Księgę, potrzebujemy też Bożych proroków. Pan nie chciałby umniejszać znaczenia ani jednej ani drugiej rzeczy. Ale lekcja, której uczy nas ów wypadek na Górze przemienienia, daje nam najwyraźniej do zrozumienia, że żadna z tych rzeczy nie może zastąpić żywego głosu Bożego, skierowanego do naszych serc.

Nie wolno nam bagatelizować Bożych posłańców. Potrzebujemy wciąż na nowo porywającego wezwania prawdziwie proroczego, mówionego słowa, lub spokojnego, dojrzałego du-

chowego nauczania. Nie możemy jednakowoż powodować się całkowicie i wyłącznie objawieniem, które przychodzi przez świętych mężów Bożych, choćby nie wiadomo jak ono było zdrowe. Mamy obowiązek słuchania głosu Pana i pójścia za Nim.

Jeszcze bardziej winniśmy przestrzegać wskazań pisanego Słowa Bożego. Pod żadnym warunkiem nie wolno nam go bagatelizować. Natchnione Pisma prawdy są konieczne dla naszego życia i czynienia postępów, nie chcielibyśmy więc, ba, nie odważylibyśmy się bez nich się obejść. A jednak niektórzy z nas mogą być w niebezpieczeństwie zwracania większej uwagi na literę Słowa, aniżeli na samego Pana Jezusa, jako nasz ostateczny autorytet. Bóg przyznaje się do tego, jeśli całym sercem pragniemy wykonywać w naszym życiu religijnym i we wszystkich szczegółach to, czego nas uczy Biblia. A jednak, jeśli posunęlibyśmy się dalej i wywyższyli Biblię do stanowiska, w którym nasze używanie tejże Biblii stawiałoby pod znakiem zapytania naczelną władzę samego Pana Jezusa — wówczas zachodziłoby tragiczne w skutkach niebezpieczeństwo pozostawania bez kontaktu z Nim.

Królestwo jest bowiem czymś więcej jeszcze niż obie te rzeczy. Zawiera ono w sobie, od strony pozytywnej biorąc, uznanie absolutnego autorytetu Chrystusa, a od strony negatywnej — nie uznawanie żadnego innego autorytetu, jako ostatecznego, poza Jego autorytetem. Wymaga ono osobistej, bezpośredniej znajomości woli Bożej, która obejmuje poprzednio wymienione pomoce, ale która na nich się nie kończy. Chrześcijaństwo jest religią objawioną, a **objawienie jest zawsze wewnętrzne, bezpośrednie i osobiste.** Tego musiał się nauczyć Piotr. W Królestwie jest tylko jeden głos, którego należy słuchać — mówiący przez różne środki. Mamy bowiem nadal pisane Słowo Boże i w dalszym ciągu mamy „prorocze" słowo naszego brata (albowiem Mojżesz i Eliasz b y l i na górze!). Chrześcijaństwo nie jest uniezależnione od ludzi i książek — w żadnej mierze. Ale zasadą Królestwa jest mówienie do mnie osobiście i bezpośrednio przez „umiłowanego Syna" — i słuchanie J e g o głosu bezpośrednio przeze mnie.

INTERWENIUJE SYN

Zajęliśmy się przez dłuższą chwilę zagadnieniem, które niewątpliwie było podstawową lekcją, jakiej musiał się nauczyć Piotr, w trakcie przechodzenia swego przeszkolenia w

charakterze sługi Bożego. Teraz musimy zwrócić uwagę na dalsze dwa wydarzenia, w których lekcja ta ma również zastosowanie, i to najpierw jeśli chodzi o zagadnienie praktycznego, osobistego kontaktu z ludźmi, a następnie jeśli chodzi o głoszenie im Ewangelii.

Zawsze mi się zdawało, że Piotr musiał być człowiekiem, z którym łatwo było rozmawiać. Nie przedstawiało żadnej trudności wciągnąć go w rozmowę, w czym często znajdował zastawioną na siebie pułapkę, do której wpadał — czego dowodem była rozmowa z ową służącą na podwórzu pałacu najwyższego kapłana. Otóż w krótkim czasie po opisanym poprzednio wydarzeniu zwrócił się ktoś do niego z zapytaniem dotyczącym Jezusa, na które Piotr znalazł natychmiast odpowiedź (Mat. 17, 24). „Czy nauczyciel wasz nie daje podatku?" „Daje" odpowiedział Piotr, jak gdyby mówiąc tym samym — oczywiście, naturalną rzeczą jest, że daje; dlaczego miałby nie dawać? Czytamy dalej, że po wypowiedzeniu tych słów wszedł do domu, w którym znajdował się Jezus.

A teraz chciałbym, abyście zwrócili baczną uwagę na słowa, które czytamy dalej. Mateusz podaje nam, że Pan Jezus pierwszy do niego przemówił. „Uprzedził go Jezus". Piotr prawdopodobnie już otwierał usta, aby powiedzieć może coś w tym rodzaju: „Mistrzu, przyszli do nas w sprawie podatku na cele synagogi. My go u i s z c z a m y, nieprawdaż?" Właściwie — czujemy to niemal — miał zamiar Panu w tej chwili powiedzieć, co ma robić!

Ale Jezus uprzedził Piotra stwierdzeniem Swego własnego, prawdziwego stanowiska. Czy ta opłata istotnie Go obowiązuje? Nie, z całą pewnością nie obowiązuje! Synowie Królestwa są wolni. Oczywiście nie spoczywa na nich ów obowiązek zapłacenia połowy sykla. Ale poczekajcie chwilę! Nie oznacza to, że w tej chwili pozostanie podatek ów niezapłacony. To, do czego Piotr w swojej popędliwości zobowiązał Pana Jezusa, zostanie z całą pewnością w pełni zapłacone: Pan łaskawym cudem zadość uczyni wymogowi chwili, do czego spowodowało Go zaistnienie sytuacji, która powstała na skutek impulsywności Jego ucznia. Piotr miał się jednak dowiedzieć, że jego Pan uczynił to nie z powodu moralnej potrzeby, lecz z łaski, której był pełen.

Tutaj więc Pan stawia przed Swoim uczniem nową zasadę dotyczącą bezpośrednio sprawy naszego kontaktu z ludźmi, którzy jeszcze się znajdują poza Królestwem. Co ma być linią przewodnią w naszym obcowaniu z nimi, jeśli mają oni

być pozyskani dla Królestwa, dla Pana? Podobnie jak było w tym wypadku, tak jest zawsze: nie jest wolą Bożą, aby została im ona objawiona w ostatecznej formie już na samym początku. Pan życzy Sobie raczej, aby wolę Jego poznawano najpierw w sposób, w jaki objawia ją nam Krzyż Chrystusa. Bóg nigdy nie ustalił takiej zasady, jako by Jego Syn miał płacić podatek do synagogi i dlatego jako Syn Boży nie miał potrzeby czynienia czegokolwiek w tej sprawie. Co więcej, moglibyśmy sobie pomyśleć, że zapłacenie tego podatku mogłoby Go postawić w niewłaściwym świetle, jako „obcego". Dlaczego więc Pan nasz podatek ten zapłacił? — „Abyśmy ich nie zgorszyli". Czy zdawaliście sobie sprawę z tego, że słowa te wypowiedział sam Syn Boży? Nie mogło tu być oczywiście nigdy mowy o uchylaniu się od spełnienia obowiązku; tutaj nie o to chodziło. Raczej chodziło o coś zupełnie przeciwnego: wchodziła raczej w rachubę możliwość pozbycia się pewnego przywileju. Oto na czym polega droga Krzyża, a zasada, którą oglądamy tutaj jest bardzo znamienna i głęboko przenikająca nasze serca.

Pomyślcie raz jeszcze. Stają przed nami dwa żądania, które — powierzchownie myśląc — mogłyby wydawać się sprzeczne ze sobą. Z jednej strony ze słów Pana wynika całkiem jasno, że wolą Bożą dla nas jako synów jest, abyśmy byli wolni. Nazwijmy to wolą Bożą „A". Z drugiej strony przedstawia się nam odmienny obraz woli Jego — w Krzyżu Chrystusa, stosownie do której wymaga się od nas, abyśmy zrezygnowali z tego, co nam sprawia radość i kosztem własnej nawet straty postąpili tak, aby ktoś inny nie został zgorszony. Nazwijmy to wolą Bożą „B". A więc mamy tutaj do czynienia z naszym bezpośrednim stosunkiem do Pana — to w wypadku woli „A", i z okolicznością, w której wchodzi w grę także i nasz stosunek do innych jeszcze ludzi, wypadek, w którym Bóg nakłada na mnie obowiązek uwzględnienia jeszcze kogoś trzeciego, gdy muszę wziąć pod uwagę również jego stosunek do Boga, faktyczny lub potencjalny dopiero — i to nie w mniejszym stopniu, niż mój własny — oto co nazwaliśmy wolą Bożą „B". W jaki sposób pogodzić te dwie sprzeczne zasady, wolność od obowiązku i złożenie przywileju na ofiarę?

Najpierw niech mi będzie wolno podkreślić, że w tej rzeczy nie dajemy miejsca strachowi przed człowiekiem. Strach taki jest sidłem, i od niego musimy być wolni. Jeśli

chodzi o wypełnianie obowiązków, nie śmie mieć miejsca lęk przed ludźmi, a jedynie bojaźń przed Bogiem. Jeśli natomiast chodzi o przywilej, istnieje w całej pełni podstawa do przypuszczenia, że jeśli będziemy obstawać przy naszych prawach, moglibyśmy się stać winnymi potknięcia się innych ludzi. Wiele jest takich rzeczy, które Bóg Sam nam, jako Jego dzieciom, zaleca traktować jako podpadające pod kategorię woli Bożej „A" — rzeczy, które nam wolno robić, albo od których możemy być wolni. Jeśli jednak będziemy usiłować w rzeczach tych trwać, możemy się natknąć na trudności z naszymi rodzicami, albo z rodziną, naszymi pracodawcami, albo może z innymi sługami Bożymi, a wówczas zmuszeni jesteśmy wziąć pod uwagę wolę Bożą „B". Mamy prawo być wyłączeni z wypełniania danego obowiązku — ale Bóg mówi nam również o nie dawaniu zgorszenia. Którą zasadą będziemy się kierować?

W Słowie Swoim Bóg mówi do nas najpierw o „opuszczeniu wszystkiego i pójściu za Nim", a jednak z drugiej strony czytamy o posłuszeństwie względem rodziców i mężów, o poddawaniu się jedni drugim w miłości; a czy tych drugich rozkazów wolno nam nie słuchać? Czy odważylibyśmy się nie wziąć ich sobie do serca? Wydawałoby się niemal, że wola Boża pozostaje w tych sprawach w konflikcie sama z sobą, ale w ostatecznym planie Bożym to nie może mieć miejsca. My sami, oczywiście, gdy rozpoczynamy całym sercem służyć Bogu, tak jak ongiś służył Ojcu Syn — instynktownie wolimy raczej wykonywać wolę „A", a nie „B", ponieważ ta ostatnia wprowadza element ludzki, który pozostaje w konflikcie z naszym wyobrażeniem o tej służbie, a tego my nie lubimy. Wolelibyśmy trzymać się woli Bożej „A" — żadnego podatku! Za wszelką cenę! A jednak musimy sobie zdać sprawę z tego, że cofamy się nie przed rzeczą li tylko ludzką, ponieważ — powtarzam — Bóg ustanowił wolę „B" i On żąda jej wypełnienia. Dlatego stosownie do tego, co czytamy w Słowie Bożym, możemy wnioskować, iż ilekroć zachodzi potrzeba wypełniania woli Bożej „B" zasadą Bożą jest, abyśmy tę wolę wykonali — raczej, aniżeli „A", czyniąc to z wiarą, że Pan Sam z biegiem czasu postara się o wypełnienie Swojej woli „A". Nie znaczy to więc, że mamy zaniechać wolę „A", lecz poddać ją Panu. Ponieważ czynił tak sam Syn Boży — więc musimy czynić tak i my.

Często bywa tak, że do tego stopnia przejęci jesteśmy wolą „A" — wolnością i powołaniem synowskim — że nam

się wydaje, iż musimy przeforsować tę zasadę za wszelką cenę; zaczynamy więc wierzgać przeciwko wszystkiemu i wszystkim, którzy nam na drodze tej przeszkadzają — i w rezultacie bardzo prędko pozbywamy się odpocznienia i błogosławieństwa Bożego. Bożym lekarstwem na taki stan rzeczy jest zawsze przypominanie sobie, w jaki sposób postępował Jego Syn. Pan Jezus nie miał najmniejszej potrzeby opuszczać wysokiego stanowiska, które było Jego działem — stosownie do woli Ojca, a jednak „sam Siebie uniżył". Powodowany li tylko łaską, zrezygnował ze Swoich uprawnień i dla naszego dobra poddał duszę Swoją śmierci, i to śmierci krzyżowej. Przypomnijcie sobie Jego słowa, wypowiedziane w godzinie owego ciężkiego kryzysu w ogrodzie Getsemane: „Ojcze, wszystko Ci jest możliwe, oddal ten kielich ode mnie; wszakże nie to, co ja chcę, ale co Ty". Słowa te objawiają, co On wolałby czynić w naturalny sposób — jako Syn, ale równocześnie z czego gotów był rezygnować, jako Zbawiciel. Jaka by była cena, którą musiałby zapłacić — było rzeczą niemożliwą, aby nie wypełnił woli Bożej.

Wola Boża nigdy bowiem w rzeczywistości nie pozostaje w konflikcie sama ze sobą, a sięga ona dalej aniżeli tylko „A" lub „B", tak samo jak sięga ona dalej niż „ten kielich". Jeślibyśmy zajęli się wyłącznie „kielichem" — wszystkimi za i przeciw, wszystkimi skutkami i następstwami posłuchania Pana, to groziłoby nam poważne niebezpieczeństwo całkowitego ominięcia tej woli. Z drugiej strony, jeśli usiłujemy przeforsować wszystko według naszego widzimisię, to oddalamy się od drogi Krzyża. Nasze stanowisko winno być następujące: chociaż Bóg mi daną rzecz pokazał, jestem całkowicie przygotowanym na to, że mi się będą sprzeciwiać, odmawiać mi moich praw i ograniczać i nawet może hamować, a jednak będę oczekiwał, aż wypełni się czas Boży. Muszę się poddać Jego woli „B" ufając, że poprzez to wszystko Bóg wreszcie przeprowadzi Swoją wolę „A". Nie ma potrzeby, abym ja przeforsowywał tę sprawę. Mogę Mu spokojnie zaufać. Oto, na czym polega „noszenie krzyża".

Noszenie krzyża ma bowiem dwie strony: pierwsza rzecz, i oczywista, to fakt, że Krzyż Chrystusa „przekreśla" naszą własną wolę. Uznajemy to i zgadzamy się z tym, a od tej chwili zdecydowani jesteśmy wyłącznie służyć Jemu. Gdy jednak sprawa w zasadzie została rozwiązana, spotykamy się z czymś innym jeszcze. Pewnego dnia może nam się wydawać rzeczą najzupełniej pewną, że jest wolą Bożą, abyśmy

zrobili daną rzecz — i natychmiast też przystępujemy do jej realizowania. Nie mamy żadnej trudności, ponieważ prawdziwie chcemy wypełnić wolę Bożą. Ale po krótkim czasie z bólem stwierdzamy, że ta właśnie rzecz, którą wykonywaliśmy stosownie do objawionej nam woli Bożej zostaje zrujnowana przez wydarzenia, albo, jak to często bywa, przez innych, a równocześnie zostaje przekreślona nasza szczerze Bogu poddana wola. Takiego przeżycia bardzo nie lubimy. A to również jest niemożliwym często do pominięcia skutkiem noszenia krzyża!

Przytoczę przykład. Młody student otrzymał w modlitwie polecenie udania się w czasie wakacji na pewną wyspę, na której znajdowało się wielu piratów, aby tam opowiadać Ewangelię. Był to krok wiary i kosztowało wiele modlitwy i zmagania się, aby powziąć decyzję udania się tam. Wreszcie młody ten człowiek udał się tam najpierw w krótkie odwiedziny; stwierdził, że ludzie są chętni i z wielką trudnością wynająwszy dom, naprawił go i wszystko przygotował. Stu braci modliło się o niego, a wielu również dopomogło mu w pokryciu kosztów. Przez cały czas rodzice jego nie mówili nic, ale na pięć dni przed odjazdem, gdy już wszystko było spakowane — nagle kategorycznie zabronili mu jechać! Dom był przygotowany, pieniądze wydane, wola Boża płonęła w jego sercu — cóż miał teraz począć? Rodzice, bogobojni ludzie powiedzieli „Nie", a on był jeszcze studentem, Bóg zaś rzekł: „Czcij ojca twego i matkę twoją". Udał się do Boga w modlitwie błagając o światło, a wtedy Bóg rzekł do niego: „Tak, ten plan istotnie jest Moją wolą, ale nigdy nie było Moim życzeniem, abyś ją urzeczywistniał gwałtem. Czekaj, a Ja dokonam wypełnienia Mej woli. Jest rzeczą słuszną, abyś słuchał rodziców". Młody ów człowiek nie miał możności wyjaśniać innym, dlaczego zmienił swoje plany — że przyczyną tego byli rodzice, którzy mu zabraniali jechać, i dlatego wielu z nich zrozumiało jego decyzję w niewłaściwy sposób. Głęboko go zabolało, gdy jeden z jego przyjaciół, na którego opinii może najbardziej mu zależało, powiedział: „Trudno będzie zaufać ci w przyszłości".

We właściwym czasie, przez Boga przygotowanym, droga na tę wyspę się otworzyła i wola Jego, aby na wyspie tej nawróciły się dusze, w cudowny sposób się wypełniła. Ale doświadczenie to nauczyło młodzieńca bardzo ważnej lekcji: zdołał już polubić tę wolę Bożą! Bardzo ciężko było nie jechać. Raniło to boleśnie jego serce, zauważył więc, że zacho-

dziło niebezpieczeństwo, iż w danym wypadku wola Boża mogła się stać jego wolą, którą miał pragnienie za wszelką cenę wykonać — jako że jego „ja" zostało zbytnio zaangażowane w tej sprawie. On postanowił jechać... Gdyby to było rzeczywiście wyłącznie pragnieniem wypełnienia woli Bożej, to przeszkoda, która miała miejsce, nie byłaby go do tego stopnia zasmuciła. Zaistniałaby wówczas pewna wolność duchowa. Dlatego też Bóg dopuścił owo rozczarowanie i towarzyszące mu nieporozumienie, aby nauczyć go tej nader ważnej lekcji.

Jeśli jakaś rzecz jest objawiona w Słowie Bożym — nie wolno nam jej odrzucać; musimy się jej poddać. Jeśli napisane jest w Słowie Bożym — „czcij ojca twego i matkę twoją" — a przekreśla to wolę „A", musimy czekać, aż Bóg sam wolę tę przeprowadzi. On nie potrzebuje żadnej pomocy w dokonaniu tej rzeczy. Bóg stara się nam pokazać, że nie ma potrzeby, abyśmy pchali daną sprawę naprzód. Nasze „ja" tak łatwo wkracza, aby wypełnić wolę Bożą — ale Bóg ma czas, zna Swoje terminy i wykona wszystko według Swojego sposobu. Bywa właśnie tak, że nasze „ja" znajduje nawet w tym pożywkę, że jakoby wykonuje wolę Bożą. W naszej gorliwości wydaje się nam, że nie śmie tej rzeczy przeszkodzić żadna sprawa na ziemi — aż wreszcie sam Bóg kładzie na drodze naszej jakąś przeszkodę, aby przeciwdziałać takiemu nastawieniu z naszej strony. Najtrudniejszym i najboleśniejszym zadaniem Krzyża jest przeciwstawienie się naszej gorliwości w wykonywaniu woli Bożej i naszej miłości dla Jego dzieła. Musimy się nauczyć, że nawet dla samego Pana Krzyż był wolą „B" — czymś, co przecinając Jego drogę życia, zostało jednak w Piśmie Świętym przedstawione jako Boża droga do wypełnienia Jego woli „A" (patrz Łuk. 18, 31—33). Gdyby Pan Jezus był sam, byłby mógł ominąć Krzyż. Ponieważ jednak inni mieli mieć razem z Nim cząstkę w Królestwie — Krzyż ten był konieczny. Takie niewątpliwie jest znaczenie słów Jego, zapisanych przez Jana w 17, 19: „I za nich ja poświęcam siebie samego". Dla Niego wolę Bożą „A" reprezentowało Królestwo i tron, ale droga do zrealizowania tej woli wiodła przez Krzyż. I ty i ja może będziemy mieli stuprocentową pewność odnośnie do woli „A" w naszym życiu, a jednak często napotykamy na drodze do jej urzeczywistnienia wolę „B". Z powodu cielesności naszej natury zawsze musi

interweniować Krzyż, aby unieszkodliwić to, co jest z nas samych i aby wszystko mogło być wyłącznie z Boga.

W tym wszystkim, co dotąd powiedzieliśmy, nasz wzrok był skierowany na Pana Jezusa, a nie na Piotra. Piotr może podówczas zrozumiał niewiele, jeśli chodzi o tę zasadę, chociaż później niewątpliwie ją zrozumiał w zupełności. Miał nadejść dzień, w którym nie tylko zrozumie konieczność śmierci Pana Jezusa za niego, ale w którym miał dojść do osobistego zidentyfikowania się z tą śmiercią, a nawet stanąć oko w oko z praktycznymi następstwami takiego stanowiska w swoim własnym doświadczeniu. „Gdyś był młodszy, opasywałeś sam siebie i chodziłeś, dokąd chciałeś, lecz gdy się zestarzejesz, wyciągniesz ręce swoje, a inny cię opasze i poprowadzi, dokąd nie chcesz" (Jan 21, 18). To oddanie się w ręce innych stanowi właśnie dla nas tak wielką trudność!

Ale Pan Jezus nie usiłuje tym razem sprawy tej w dalszym ciągu jeszcze wyraźniej Piotrowi objaśniać. Zamiast tego dokonuje łaskawego cudu, którego celem niewątpliwie było przemówienie do Piotra w sensie przypowieści. „Idź do morza i zarzuć wędkę, a rybę, którą najpierw wyciągniesz, weźmij, i otworzywszy gębę jej, znajdziesz stater, który wziąwszy, daj im za mnie i za siebie." Tak, za Mnie i za siebie. Niektórzy zwrócili uwagę na to, że jest to jedyny wypadek, że Pan Jezus dokonał jakiegoś cudu dla Siebie. To prawda — lecz dokonał On tego cudu tylko w połowie dla Siebie, a w połowie dla Piotra — a ty i ja możemy dodać „dla mnie". W tym jednym jedynym staterze, dzięki któremu przez łaskę uiszczona została opłata podatku do synagogi dla dwóch mężów, mamy w przepiękny sposób przedstawiony ścisły związek, jaki zachodzi pomiędzy sługą a jego Panem w jednym Kościele, w jednym Ciele.

A ta w cudowny sposób złowiona ryba? Czyż nie uczy nas ona o tym, że jeśli będziemy spoczywali na właściwej podstawie, jeśli chodzi o wolę Bożą, to wszelkie koszta niewątpliwie pokryje nasz Pan? Za każdym razem, gdy miłość musi iść dalej niż obowiązek, możemy śmiało oczekiwać od Pana pomocy w wykonaniu naszych obowiązków.

DUCH ŚWIĘTY INTERWENIUJE

Ale jeszcze nie koniec na tym, jeśli chodzi o Piotra i owe przerywania jego wypowiedzi, które okazały się tak cennymi dlań lekcjami, udzielonymi mu przez samego Boga. Słysze-

liśmy głos Ojca, który odezwał się na szczycie góry, a potem głos Syna, który „uprzedził" Piotra w domu. A teraz pokrótce przyjrzyjmy się odwiedzinom w domu Korneliusza, o których czytamy w 10 rozdziale Dziejów Apostolskich. W owym czasie Piotr był już w pełni zaangażowany w wielkim swym dziele życiowym — w charakterze ewangelisty. Miał już za sobą owo wielkie przeżycie, jakim było wylanie Ducha Świętego w Jerozolimie i nawrócenie się do Boga tysięcy nowych obywateli niebiańskiego Królestwa. A potem — choć musiał może przezwyciężyć pewne naturalne wewnętrzne opory — był świadkiem wylania Ducha również i na Samarytan. A oto przed kilku dniami przybył do Joppy i otrzymał widzenie owego wielkiego płótna zstępującego z nieba. Widzenie to, jakkolwiek w pewnym sensie było zgodne z jego powołaniem, miało jednak jakieś dziwne, nowe i niezwykłe znaczenie. „Co Bóg oczyścił, ty nie miej za pospolite." Wobec nakazu, którym była owa wizja — Piotr udaje się do Cezarei, ale nie można się wprost oprzeć wrażeniu, czytając to opowiadanie, że postępowanie Piotra nacechowane było w wypadku tej wizyty wielką ostrożnością, a nawet niechęcią.

Piotr w sercu jednak pozostawał Żydem. Nawet po otrzymaniu tego widzenia udawał się do owego pogańskiego domu niechętnie i jakoby z przymusu. Szedł tam jako zdyscyplinowany uczeń Pański, uważający jednak tę sprawę jako dotąd niewyjaśnioną zagadkę, ale wydaje się, jakoby w sercu swoim sprawie tej był obcy. Nie był jeszcze w zupełności z zagadnieniem tym spojony wewnętrznie i niewiele brakowało, aby nawet w tym momencie stał się przeszkodą na drodze wykonania planów Bożych.

A potem szli wraz z nim owi bracia — zapewne dobrzy wierzący z Joppy, ale ludzie, którym brak było owej osobistej wizji, którą Piotr otrzymał aż trzykrotnie na dachu domu Szymona garbarza. Jak oni się zachowają? Jaka będzie ich reakcja na krok Piotra — ale nie tylko ich, ale i dalszych współapostołów i starszych w Jerozolimie, którzy byli znani ze swoich ortodoksyjnych poglądów? Jest całkiem możliwe, że w sercu jego powstawała prawdziwa obawa co do ewentualnych następstw, jakie pociągną za sobą odwiedziny, które właśnie zamierzał odbyć, gdy oni się o nich dowiedzą.

Otworzył więc usta swoje i rozpoczął kazanie. W tym, co p o w i e d z i a ł, nie brak niczego. Z relacji podanej przez Łukasza wynika, że było to dobrze ułożone podsumowanie

najistotniejszych zasad Ewangelii. Piotr jednakowoż przyznaje się do tego, że nie udało mu się nawet dojść do połowy przygotowanego przez siebie przemówienia! Według własnej oceny dopiero „począł mówić" (Dz. Ap. 11, 15), gdy przerwał mu Duch Święty i spowodował, że Piotr musiał całkowicie zamilknąć.

Proszę zwrócić uwagę na to, że Piotr nie doszedł w swoim kazaniu do wspomnienia o Duchu Świętym. (Czy byłby tak uczynił, gdyby mu danym było kontynuować swoje przemówienie?) Zdążył tylko wspomnieć o Krzyżu i odpuszczeniu grzechów, a potem „gdy jeszcze mówił te słowa, przypadł Duch Święty na wszystkich słuchających tej mowy". Pan Sam przejął kierownictwo w tym momencie, a Piotr był już dostatecznie zorientowany, aby zrozumieć, że nastąpiła chwila, w której on musi usunąć się na bok. I rzeczywiście nie miał już nic więcej do powiedzenia. Gdy Bóg zaczyna działać bezpośrednio na słuchaczy, wówczas zadanie kaznodziei zostało zakończone.

Jakże łaskawym był Bóg, interweniując w ten sposób! Gdyby był czekał, aż Piotr coś zrobi — aż ich ochrzci, lub może na nich położy ręce (porównaj Dz. Ap. 8, 17; 19, 5, 6) — co byłby Piotr powiedział braciom po powrocie do Jerozolimy? Powiedzieliby może: „To wszystko twoja wina, Piotrze. To ty dałeś temu wszystkiemu początek. Gdybyś nie był położył rąk na tych pogan, nic by się nie było stało!" Ale teraz Piotr mógł powiedzieć braciom towarzyszącym mu do Cezarei — na podstawie Bożego faktu dokonanego: „Czyliż kto może wzbronić wody?" Podobnie tym innym w Jerozolimie mógł teraz powiedzieć: „Któż ja byłem, abym mógł wzbronić Bogu?"

W jak żywy sposób wydarzenie to ilustruje słowa Pana Jezusa w Ewangelii Łukasza: „Królestwo Boże opowiadane bywa, i każdy" — to jest Żydzi, Samarytanie i narody pogańskie — „się do niego gwałtem ciśnie". Sam Władca nieba i ziemi niejako przekręcił klucz i otworzył drzwi. A nie można kwestionować autorytetu Króla. Droga do Królestwa stoi otworem na Jego rozkaz. Tak jak to powiedział Piotr — nie zdając sobie podówczas nawet sprawy w całej rozciągłości z prawdziwości swej wypowiedzi: „On jest Panem".

Skoro zasadę tę stwierdziliśmy u sługi, możemy teraz z kolei przyjrzeć się w następnym rozdziale potrzebom grzeszników.

Rozdział III

Łowienie ludzi

W jaki sposób ludzie cisną się gwałtem do Królestwa? Zastanawialiśmy się przez chwilę, w jaki sposób mąż głoszący Ewangelię musi się przygotować w duchu do swojego zadania. Ale jak się przedstawia sprawa ze słuchaczami? Jakie jest minimum wymagane od grzesznika, aby znalazł Pana i został zbawiony? Na tym pytaniu obecnie skupimy naszą uwagę, ponieważ jest rzeczą bardzo ważną, aby kaznodzieja wiedział, co zamierza osiągnąć i jak być w duchu przygotowanym na wykonanie tego zadania.

W rozważaniach, które nastąpią, możemy przeanalizować tylko jeden punkt dotyczący opowiadania Ewangelii. Przyjmuję za pewnik, że sługa Pański zna fakty dotyczące odkupienia przez zastępczą śmierć Chrystusa i że sam jest urodzony z Ducha. Przyjmuję również, że wie w jaki sposób fakty te podawać do wiadomości innym jasno i z mocą. Dlatego nie będę zajmował się tutaj istotą tego, co będzie mówił, lecz raczej zasadami, którymi winien się kierować przy samym procesie prowadzenia pojedyńczej duszy do Chrystusa.

Czego potrzeba człowiekowi, aby był zbawiony? W jaki sposób można doprowadzić go do zwycięstwa, dzięki któremu podejdzie on do drzwi Królestwa i przez nie przejdzie? W jaki sposób doprowadzamy ludzi, którzy mają tylko minimum znajomości Boga i pragnienia, aby się z Nim połączyć — do żywotnego kontaktu z Bogiem? Oto pytania, na które trzeba nam znaleźć odpowiedź, a ja postaram się ustalić cztery wytyczne, przy pomocy których, mam nadzieję, uda nam się w dużej mierze na pytania te odpowiedzieć.

Ze swej strony Bóg przewidział trojaką pomoc dla każdego człowieka w godzinie kryzysu. Po pierwsze — Jezus przyszedł jako Przyjaciel grzeszników. Po drugie — zaprasza się ich do spotkania się z samym Panem Jezusem, a nie jakimiś pośrednikami.

A po trzecie — Duch Swięty został wylany na wszelkie ciało, aby dokonać w każdym człowieku dzieła zapoczątkowania uświadomienia sobie grzechu, potrzeby pokuty i wiary, no i oczywiście wszystkiego, co idzie w ślad za tym. Wreszcie czwarta rzecz — to już warunek, który musi spełnić sam grzesznik. Nie wymaga się od niego, aby na samym wstępie wierzył, albo pokutował, albo świadomym był swoich grzechów, albo żeby nawet wiedział, że Chrystus umarł. Potrzeba tylko, aby zbliżył się do Pana ze szczerym sercem.

To ostatnie twierdzenie może będzie się wydawało z początku co najmniej dziwne, ale w miarę jak pójdziemy dalej w naszych rozważaniach, niewątpliwie pogodzisz się z tym, Czytelniku, że jest ono słuszne i pomaga wielce w pracy Bożej. Ale zajmiemy się tymi czterema zasadami po kolei, rozpoczynając od tego, co Bóg przygotował.

PRZYJACIEL GRZESZNIKÓW

W Ewangeliach oglądamy Pana Jezusa jako Przyjaciela grzeszników, ponieważ z historycznego punktu widzenia widzimy Go poruszającego się między ludźmi przede wszystkim jako Przyjaciela. Potem dopiero stał się ich Zbawicielem. Czy zdajecie sobie jednak sprawę z tego, że i dziś jest On w pierwszym rzędzie naszym Przyjacielem, aby móc się stać również i naszym Zbawicielem? Zanim dojdziemy do stanu, w którym bylibyśmy ochotni, ba, nawet i zdolni do tego, by Go przyjąć jako naszego Zbawiciela, przychodzi On do nas jako Przyjaciel, tak że nie ma przeszkody w naszym osobistym spotkaniu się z Nim i drzwi do przyjęcia Go jako naszego Zbawiciela pozostają otwarte. To stanowi bardzo cenne odkrycie.

Od czasu gdy zdałem sobie sprawę z tego, że Pan Jezus jest Przyjacielem grzeszników, stałem się świadkiem nawracania się do Pana wielu niezwykłych i trudnych typów ludzi. Przypominam sobie, jak w pewnej miejscowości zaatakowała mnie młoda niewiasta, twierdząc, że **nie chce** być zbawiona. Powiedziała mi, że jest młoda i że ma zamiar się bawić, a wcale nie ma zamiaru zaniechać swojego trybu życia i stać się poważną i trzeźwą niewiastą, gdyż wtedy nie mia-

łaby w życiu żadnej przyjemności. Oświadczyła, że nie zamierza zrezygnować ze swoich grzechów i że bynajmniej nie pragnie otrzymać zbawienia! Z rozmowy z nią dowiedziałem się również, że wiedziała sporo o Ewangelii, ponieważ została wychowana w szkole misyjnej — i oto nastąpiła reakcja! Gdy więc przez jakiś czas w ten sposób z wielkim umiesieniem do mnie mówiła, wreszcie powiedziałem: „Będziemy się modlić?" „Co! Ja miałabym się modlić?" odpowiedziała gniewnie. Lecz ja mówiłem dalej: „Tak. Ja wprawdzie nie mogę brać odpowiedzialności za pani modlitwę, lecz będę się modlił pierwszy, a potem pani może powiedzieć Panu Jezusowi to wszystko, co pani przed chwilą powiedziała mnie". „Ach, tego nie mogłabym zrobić!" zawołała nieco zmieszana. „Ależ oczywiście może pani to zrobić", odpowiedziałem. „Czyż pani nie wie o tym, że On jest Przyjacielem grzeszników?" To ją wzruszyło. I rzeczywiście zaczęła się modlić. Słowa tej modlitwy były zupełnie odmienne od tego, co zwykliśmy nazywać modlitwą, ale od tej godziny Pan zaczął pracować w jej sercu i dwa dni później przyjęła z Jego ręki zbawienie.

Z Nowego Testamentu jasno wynika, że Pan Jezus przyszedł jako Przyjaciel, aby dopomóc grzesznikom w przyjściu do Niego. Nasze przyjście do Niego zostało umożliwione dzięki Jego przyjściu do nas. Przyszedł, aby uczynić niebo osiągalnym. Przypominam sobie, jak pewnego razu siedziałem w domu mych przyjaciół i rozmawiałem z gospodarzem. Żona i matka tego brata znajdowały się na piętrze, ale mały synek był wraz z nami w gabinecie. Po chwili malec chciał dostać jakąś rzecz i zawołał do swojej mamusi, prosząc aby mu ją dała. Na to ona odpowiedziała: „To jest tutaj na górze; chodź i weź sobie!" Ale on zawołał do niej: „Mamusiu, ja nie mogę tam pójść — to jest tak daleko!... Proszę, przynieś mi to na dół". Istotnie był bardzo mały, a więc matka jego przyniosła mu ten przedmiot. Zupełnie podobnie przedstawia się sprawa ze zbawieniem. Tylko dzięki temu, że Pan nasz przyszedł i uniżył się, aby znaleźć się pomiędzy nami — potrzebie naszej mogło się stać zadość. Gdyby On nie był przyszedł, grzesznicy nie byliby mogli do Niego się zbliżyć; On jednakże przyszedł, aby ich podźwignąć.

W godzinie kryzysu grzesznik napotyka na wiele trudności natury praktycznej. W Słowie Bożym znajdujemy na przykład często napomnienie, abyśmy wierzyli. Kładzie ono wielki nacisk na konieczność posiadania wiary. Ale może ktoś z was powie: „Ja nie mam wiary". Pewnego razu jedna dziew-

czyna powiedziała mi: „Ja nie mogę wierzyć. Bardzo bym chciała wierzyć, lecz nie mogę". Rodzice moi nieustannie powtarzają mi: „Musisz wierzyć!" — ale to na nic się nie zda. Tego nie ma we mnie. Jest wprawdzie pragnienie, lecz wiary w dalszym ciągu brak. Jest rzeczą **niemożliwą** dla mnie wierzyć!" Na to odpowiedziałem tak: „To prawda. Nie potrafisz wierzyć. Możesz natomiast poprosić Pana, aby ci p o d a r o w a ł wiarę. On chętnie to uczyni. Proszę więc modlić się tymi słowy: „Panie! Pomóż niedowiarstwu memu".

Na innym miejscu czytamy znowu, że mamy pokutować. Ale co zrobić, jeśli w nas nie ma najmniejszego pragnienia do pokutowania? Spotkałem pewnego razu studenta, który mi oświadczył, że było jeszcze za wcześnie dla niego, aby przyjść do Pana. Chciał mieć dłuższy okres czasu, w którym by mógł cieszyć się przyjemnościami grzechu i bawić się. Powiedział mi tak: „Ów złoczyńca na krzyżu pokutował, ale on już miał za sobą swój okres przyjemności i folgowania sobie, a był to najwyższy czas, aby pokutował. Ale ja — ja jestem jeszcze młody!" „Cóż więc masz zamiar robić?" zapytałem. Na to powiedział: „Ja chcę poczekać dalszych czterdzieści lat i bawić się, a potem będę pokutował". Wówczas powiedziałem: „Módlmy się". „O nie, ja nie potrafię się modlić", odpowiedział. „Nic podobnego. Potrafisz przecież powiedzieć Panu to wszystko, co powiedziałeś mnie! On jest Przyjacielem takich właśnie, jak ty grzeszników, którzy nie chcą pokutować". „Ach, tego nie mógłbym Jemu powiedzieć!". „Dlaczego nie?" „Nie, nie potrafiłbym!". „Rozumiem, ale bądź całkiem szczery. Wszystko, co masz na sercu powiedz Panu, a On ci dopomoże". Nareszcie zaczął się modlić i powiedział Panu, że nie ma zamiaru się nawrócić i być zbawionym, ale że zdaje sobie sprawę z tego, że potrzebuje Zbawiciela. Zaczął więc po prostu wołać do Niego o pomoc. Pan w sercu jego sprawił pokutę, i powstał z kolan jako zbawiony człowiek.

Na początku XIX wieku żyła w Anglii pewna niewiasta, która miała wierzących rodziców i która pragnęła przez czterdzieści lat być zbawiona. W celu znalezienia zbawienia uczęszczała do rozmaitych kościołów i kaplic — ale wszystko na darmo. Pewnego dnia wstąpiła do małej kaplicy — ale bez przekonania, że tutaj znajdzie to, czego pragnęła, była bowiem niemal w rozpaczy. Usiadła w tyle. Przemawiał jakiś starszy mężczyzna. Nagle, przerywając swoje przemówienie, zwrócił się do siedzącej z tyłu niewiasty i wskazując na nią palcem rzekł: „Proszę pani, która siedzisz tam w tylnej ław-

ce! Może pani być zbawiona t e r a z! Nie potrzebuje Pani niczego r o b i ć!" Światło nagle zabłysło w jej sercu, a z nim pokój i radość. Była to Charlotte Elliott. Po powrocie do domu napisała ów tak dobrze znany hymn: „Tak, jakim jest — nic nie mam, nie — Baranku Boży, idę już!" Te słowa wskazały niezliczonej rzeszy grzeszników drogę pokornego przyjścia do Boga przez krew Chrystusa. Tak jest, i dziś wolno nam powiedzieć każdemu mieszkańcowi naszych miast i wsi, że może przyjść do Niego i być zbawionym — t a k i m j a k i m j e s t!

Przytaczam te wydarzenia, aby podkreślić, że to, czego nie jest w stanie uczynić grzesznik, chętnie zrobi dla niego będący tak blisko nas Zbawiciel. Dla tej przyczyny możemy ludziom mówić, że nie potrzebują na nic czekać, lecz mogą przyjść do Niego natychmiast. Jakikolwiek byłby ich stan, ich problemy — niechaj wszystko to przyniosą do Przyjaciela grzeszników.

PIERWSZE ZETKNIĘCIE SIĘ Z PANEM

Co to jest zbawienie? Wielu myśli, że w celu uzyskania zbawienia trzeba przede wszystkim wierzyć, że Pan Jezus za nas umarł. Ciekawą jest jednak rzeczą, że nigdzie nie znajdujemy takiej właśnie wypowiedzi w Nowym Testamencie. Niewątpliwie cała treść Nowego Testamentu to stwierdzanie faktu życia, śmierci i zmartwychwstania Pana Jezusa dla naszego zbawienia, ale proszę przeczytać uważnie cały Nowy Testament i znaleźć miejsce, w którym byłoby napisane, że warunkiem uzyskania zbawienia miałoby być u w i e r z e n i e, że Chrystus umarł za nasze grzechy. Tego nie znajdziecie nigdzie. Natomiast wiele razy znajdziemy wzmiankę o tym, że mamy **wierzyć w Jezusa**, albo **na Jego Osobie** oprzeć naszą wiarę; nie jest jednak powiedziane, że mamy wierzyć, i ż O n u m a r ł za nas. „Wierz w Pana Jezusa Chrystusa, a będziesz zbawiony" — oto słowa Pawła. Na pierwszym miejscu mamy wierzyć w **Niego**, a nie specjalnie w to, co On zrobił.

W Ewangelii Jana 3, 16 czytamy, że „każdy, kto Weń wierzy" będzie żywot wieczny. Przedtem w swojej Ewangelii Jan pisze, że „do Swej własności przyszedł, a swoi Go nie przyjęli". A przy końcu tejże Ewangelii Jan stwierdza, że słowa te są napisane, „abyście uwierzyli, że Jezus jest Chrystus, Syn Boży, i żebyście wierząc, żywot mieli w imieniu Jego".

Ludzie Go odrzucili nie na podstawie tego, co robił, lecz na podstawie tego, kim był, a teraz zaprasza się ich do wierzenia w to, czym On jest i kim On jest, a nie na pierwszym miejscu w to, co zrobił. Jana 3, 16, nie twierdzi, że „każdy, kto wierzy, że Chrystus umarł za niego i zaniósł jego grzechy na Krzyż — ma żywot wieczny". Poselstwo tego wiersza podaje nam do wiadomości, że Bóg dał Swego Syna, i że w Niego osobiście mamy wierzyć — w Jego Osobę. „Kto ma Syna, ma żywot".

Nie chciałbym oczywiście, abyście myśleli, że jestem może modernistą, który odważa się umniejszać znaczenie Krzyża, czy ważność zastępczej śmierci Chrystusa. Oczywiście, że w i e r z ę w konieczność Jego odkupienia, a także pewny jestem, że i wy w to wierzycie. Stąd ufam, że mnie nie zrozumiecie źle, jeśli mówię, że uświadomienie sobie znaczenia tego dzieła Pana Jezusa nie musi być p i e r w s z y m krokiem grzesznika w jego początkowym zetknięciu się z Panem. Uświadomienie sobie tej sprawy musi iść w ślad za zetknięciem się z Chrystusem, ale zasadniczym pytaniem jest, czy mamy Syna, a nie, na pierwszym miejscu, czy rozumiemy, czy też nie rozumiemy całego planu zbawienia. Pierwszym warunkiem zbawienia nie jest posiadanie wiedzy, lecz s p o t k a n i e C h r y s t u s a.

Wielu jest takich ludzi, co do których można by mieć wrażenie, że zostali nawróceni przez niewłaściwe cytaty Słowa Bożego!... Do serca ich przemówiły wiersze, które jak gdyby wcale nie wskazują drogi zbawienia i wydaje ci się, że nie mogą być zbawieni na tej podstawie!... Wydaje ci się, że tam musi gdzieś być jakaś słabość, a jednak musisz przyznać, że upodobało się Bogu wiele razy działać w ten sposób. Bywało tak, że moim pragnieniem było, aby ci, których mnie wolno było przyprowadzać do Pana, byli zbawieni na podstawie Jana 3, 16, albo 5, 24, względnie 6, 40. Ale przyszedłem do przekonania, że na s a m y m p o c z ą t k u potrzeba tylko jednej rzeczy — a mianowicie osobistego dotknięcia się Boga, a jeśli to miało miejsce, reszta na pewno nastąpi. Dlatego nie ma to znaczenia, których wierszy Bóg użyje dla uczynienia pierwszego kroku. Przecież nie potrzebujemy poznać całej teoretycznej wiedzy dotyczącej elektryczności i dokładnie rozumieć wszystkich problemów z nią związanych, aby umieć przekręcić wyłącznik i zaświecić światło. Światło nie mówi do nas: „Ja wam nie będę świecić, gdyż nie znacie zupełnie zasad, na podstawie których ja działam". Podobnie i Bóg nie stawia zrozumienia jako warunku naszego zbliże-

nia się do Niego. „A to jest żywot wieczny, aby poznali Ciebie, jedynego prawdziwego Boga, i Tego, któregoś posłał, Jezusa Chrystusa".

Przyjrzyjmy się trzem przykładom z Ewangelii. Jakie było pierwsze znamienne nawrócenie opisane w Nowym Testamencie? Z całą pewnością nawrócenie złoczyńcy na krzyżu. Do tego momentu wszystko tylko wskazywało na Krzyż Chrystusa. W tej jednak chwili ukrzyżowanie to działo się na oczach ludzi — a ów złoczyńca był również świadkiem. Człowiek ten był jak gdyby przykładem grzesznika, otrzymującego przykładną karę, jemu też przypadło w udziale, że tak powiem, przykładne nawrócenie. Czy można by jednak powiedzieć o nim, że rozpoznał w Panu Zbawiciela? Jakie były jego słowa? „Panie, pomnij na mnie, gdy przyjdziesz do królestwa Swego" (Łuk. 23, 42). A co mu na to odpowiedział Pan? Nie przypomniał mu jego złego życia, nie powiedział mu też, że cierpiał, ponieważ sobie na to zasłużył i że powinien umrzeć, a że On, Jezus, zamiast niego cierpiał i że umierał na krzyżu za jego grzechy. Nam by się zdawało, że była to doskonała sposobność do obwieszczenia planu zbawienia przez odkupienie — ale nie; nasz Pan odpowiedział tylko: „Dziś ze mną będziesz w raju". Ów złoczyńca rozpoznał bowiem kim Jezus był — że będzie panował i otrzyma Królestwo, pomimo tego, że w tej chwili niesłusznie cierpi — i w ten sposób uwierzył w Pana, a to było wystarczające.

Przyjrzyjmy się teraz owej niewieście, która cierpiała na krwotok. W Ewangelii Marka 5, 24 czytamy, że za Panem „szło wiele ludu i cisnęli Go". Wielu spośród tego tłumu dotykało się Pana Jezusa, a nawet przyciskało się do Niego, a jednak z nich wszystkich tylko ta niewiasta została uzdrowiona. Stało się to dlatego, że dotknęła się Go z szczególnym zamiarem. A potrzeba było tylko dotknięcia — ponieważ tym dotknięciem wyciągała w duchu rękę do Boga z prośbą o pomoc w swej wielkiej potrzebie.

Albo przypomnijmy sobie, jak Faryzeusz i celnik modlili się w świątyni. Faryzeusz doskonale się znał na wszystkich daninach, ofiarach i dziesięcinach, ale z serca jego nie wyrwał się żaden krzyk do Boga. Ów celnik natomiast zawołał: „Boże! bądź miłościw mnie grzesznemu!" Coś wyszło od niego do Boga, co spotkało się z natychmiastową odpowiedzią. Jego właśnie Pan Jezus wymienia jako człowieka, którego Bóg uważa za usprawiedliwionego. Co oznacza więc zostać zali-

czonym do sprawiedliwych? Oznacza to dotknąć się Boga.

List do Rzymian bardzo szczegółowo traktuje zagadnienie grzechu i drogi zbawienia, a studiując go możemy wiele się nauczyć o podstawowych prawdach dotyczących odkupienia. A jednak ten List został napisany dla ludzi już zbawionych! Z drugiej strony Ewangelia Jana nie podaje żadnej doktryny w sposób systematyczny; mogłoby się zdawać, że ta Księga ma bardzo mało planowego ujęcia, a nawet jakby go nie miała zupełnie. A jednak napisana została dla ludzi nienawróconych (Jan 20, 31). Gdyby to od nas zależało, na pewno ułożylibyśmy te rzeczy na odwrót. I bardzo byśmy się pomylili! Zważcie bowiem: jeśli wasz dom stanąłby w płomieniach i nie byłoby drogi ucieczki dla znajdujących się na piętrze, a przybyliby strażacy i wysunęli drabinę, aby was ratować, to co wówczas uczynilibyście? Czy powiedzielibyście: „Nie tak prędko! Najpierw powiedzcie, dlaczego wasza drabina stoi bez żadnego oparcia — przecież zazwyczaj drabina musi się o coś opierać. A z czego są zrobione wasze ubrania? Dlaczego są odporne na ogień?" I tak dalej? Nie. Przede wszystkim skorzystalibyście z ofiarowanej pomocy i dalibyście się uratować, a dopiero później zaczęlibyście się ewentualnie dopytywać szczegółów dotyczących drabin przeciwpożarowych, ubrań strażackich i wszystkiego innego, co by was interesowało.

Po moim nawróceniu często odczuwałem niezadowolenie z ujęcia kazania Piotra w dniu Pięćdziesiątnicy. Wydawało mi się, że kazanie to pod wielu względami było niewystarczające, ba, raczej nawet ubogie jak na zadanie, które wówczas przy jego pomocy miało zostać dokonane. Wydawało mi się, że w kazaniu tym nie został dostatecznie wyraźnie przedstawiony plan odkupienia, co uniemożliwiało dokładne zrozumienie istoty rzeczy. Cóż bowiem mówi Piotr? „Jezusa Nazareńskiego, męża od Boga stwierdzonego u was mocami i cudami i znamionami, które uczynił Bóg przezeń pośród was, jak to i sami wiecie, Tego, za postanowieniem Bożym wydanego, wziąwszy i rękami grzeszników ukrzyżowawszy, zabiliście. Którego Bóg wzbudził..." W tym miejscu winien był Piotr wykorzystać — jak mi się zdawało — złotą sposobność, aby dojść do sedna sprawy. W tym miejscu zaiste należało zrobić wzmiankę o Izajasza 53, lub też w jakiś inny sposób objaśnić, na czym polega odkupienie. Ale nie tak się stało. Piotr pomija tę sposobność i idzie dalej: „Niechże tedy wie z pewnością wszystek dom Izraelski, że i Panem i Chrystu-

sem Bóg Go uczynił, tego Jezusa, któregoście wy ukrzyżowali". Jaka dziwna rzecz, że Piotr nie użył nawet tytułu „Zbawiciel"! Ale pomimo tego, jaki był rezultat? Czytamy, że ludzie, usłyszawszy te słowa, skruszyli się w sercu i zawołali: „Cóż mamy czynić?"

Nieco później Piotr udał się do pogan, którzy mieli zupełnie odmienne życie religijne. Skoro takie było tło, na którym miała się odbyć usługa, zdawałoby się, że w tym wypadku Ewangelia zostanie podana bardzo wyraźnie. A jednak i Korneliuszowi Piotr powiedział tylko kim Pan Jezus był, a chociaż wspomniał o odpuszczeniu grzechów — oczywiście — to jednak nie dał żadnego wyjaśnienia odnośnie do znaczenia Jego śmierci. Pomimo to jednak Duch Święty przypadł na wszystkich słuchających.

Z tego wszystkiego wynika jasno, że **zbawienie nie zależy na pierwszym miejscu od wiedzy, ale od „dotknięcia"**. Wszyscy, którzy Pana dotykają, otrzymują żywot. Moglibyśmy powiedzieć, że nawet Paweł, sądząc z jego kazań podanych w Dziejach Apostolskich, nie podawał Ewangelii całkiem wyraźnie. Wówczas, przed wiekami, Ewangelii nie opowiadano tak jak dziś! Wówczas nie było tak jasnego przedstawiania prawdy! Ale czy t o jest rzeczą najważniejszą? Wielką słabością w głoszeniu Ewangelii w dobie dzisiejszej jest właśnie fakt, że staramy się doprowadzić ludzi do z r o z u m i e n i a planu zbawienia, albo też usiłujemy przypędzić ich do Pana przez strach przed grzechem i jego następstwami. W czym zawodzimy? Jestem całkiem pewny, że błąd nasz polega na tym, iż nasi słuchacze nie widzą P a n a, ponieważ nie przedstawiamy dostatecznie Jego Osoby. Słuchacze nasi widzą tylko „grzech" i „zbawienie", podczas gdy potrzebnym im jest ujrzenie samego Pana Jezusa, spotkanie się z Nim i „dotknięcie" się Jego.

Niestety, bardzo często się zdarza, że ci, którzy zostali zbawieni przez wiedzę, rozwijają się nienormalnie: rośnie im głowa. Robią postępy bez potrzeby, jakby się zdawało, pomocy Bożej. Oni wszystko w i e d z ą, a nawet czują się predestynowani do krytykowania sposobu, w jaki kaznodzieja przedstawia fakty. Ale gdy przychodzi kryzys, gdy tracą swoją podstawę, że tak powiem swoje łożyska wiedzy, a muszą w czymś zaufać Panu, okazuje się, że tego zrobić nie potrafią. Nie pozostają w żywym kontakcie z Nim. Są natomiast inni, którzy może bardzo mało wiedzą, ale wyszli sami z siebie, przemogli tendencje swego „ja", i dotknęli się żywego Boga,

dzięki czemu wzrośli we wierze do tego stopnia, że przejść mogli i przez najsurowsze próby. Oto przyczyna, dla której musimy postawić sobie za cel, aby na pierwszym miejscu przyprowadzać ludzi do spotkania się z Chrystusem.

Nikt z nas nie jest w stanie zgłębić niezbadanych dróg Bożych. Nikt z nas nie śmie przepisywać Mu sposobu, w jaki winien pracować. Pewnego razu mały chłopczyk — a działo się to w dalekich Chinach — udał się wraz z swoją matką na górę, na której znajdowała się świątynia. Gdy się znalazł w jej wnętrzu i miał wraz z matką swoją oddawać cześć posągowi znajdującego się tam bożka, pomyślał w duchu: „Jesteś zbyt brzydki i brudny, abym cię mógł uwielbiać. Nie wierzę, abyś mnie mógł zbawić. Jaki to ma sens oddawać ci cześć boską?" Ale mając respekt przed matką wziął udział w ceremonii. Gdy uroczystość się zakończyła, a matka wsiadła do krzesła, w którym ją mieli zanieść z powrotem do domu, chłopczyk ów na chwilę się wymknął, udał się poza budynek świątyni, a znalazłszy miejsce, na którym mógł stanąć swobodnie, podniósł oczy swe do nieba i rzekł: „O Boże! Kimkolwiek byś był, nie wierzę, abyś mógł przebywać w tej świątyni. Jesteś zbyt wielkim, a świątynia ta jest zbyt mała i zbyt brudna dla Ciebie. Zapewne mieszkasz tam, w górze, w samym niebie. Nie wiem, jak Ciebie znaleźć, ale oddaję się w Twoje ręce; grzech bowiem jest bardzo silny, a świat porywa z wielką mocą. Oddaję Ci się — gdziekolwiek jesteś". Po trzydziestu latach spotkałem tego człowieka i opowiedziałem mu Ewangelię. Powiedział wówczas: „Pana Jezusa spotkałem po raz pierwszy dzisiaj, ale jest to już po raz drugi w moim życiu, że się dotknąłem Boga. Wówczas, na szczycie tej góry, trzydzieści lat temu — coś się ze mną stało".

Żywy, zmartwychwstały Pan staje się naszym Zbawicielem. Jezus nie jest więcej Tym, który wisi na krzyżu, lecz Tym, który króluje i dlatego dzisiaj po zbawienie idziemy nie do stóp krzyża, lecz do stóp tronu, aby wierzyć w Niego, jako w Pana panów i Króla królów. Może dobrą będzie rzeczą, jeśli sobie nieco wyraźniej zdamy sprawę z różnicy, jaka zachodzi między odkupieniem a zbawieniem. Odkupienie zostało nam zapewnione przez Pana Jezusa na Krzyżu blisko dwa tysiące lat temu. Nasze zbawienie w chwili obecnej spoczywa na fundamencie tego odkupienia, które dokonane zostało raz na zawsze. Niemniej jest rzeczą możliwą, że jeden człowiek może zostać „zbawiony" w tej chwili, a ktoś inny dwadzieścia lub trzydzieści lat temu — ponieważ zbawienie

jest sprawą osobistą, niejako osobistym przyjęciem Chrystusa. Niewątpliwie istnieje w tym podobieństwo między nami, a Izraelitami, ongiś znajdującymi się w Egipcie. Odkupiony pierworodny syn miał uczestniczyć w ofierze Święta Przejścia poprzez spożywanie wieczerzy, a nie tylko poprzez obserwowanie krwi, wylanej dla jego odkupienia, którą były pomazane odrzwia i nadprożnik domu — a co rozkazał uczynić Bóg dla Swoich celów pojednania.

Dochodzimy więc do tego, że można by powiedzieć, iż zbawienie, które jest osobistym i subiektywnym doświadczeniem, polega w większym stopniu na zmartwychwstaniu Pana, niż na Jego śmierci. Śmierć Chrystusa była konieczna dla odkupienia — obiektywnie wziąwszy — przed Bogiem. Nowy Testament kładzie jednak w szczególności nacisk na naszą wiarę w Jego zmartwychwstanie w celu otrzymania zbawienia, ponieważ jest ono dowodem, że śmierć Pana naszego została przyjęta. Wierzymy w Pana Jezusa Chrystusa, który we własnej Osobie zmartwychwstał i wstąpił do chwały, a celem naszym jest przyprowadzać grzeszników do bezpośredniego spotkania się z Nim.

SZCZERE SERCE W STOSUNKU DO BOGA

Zanim przejdę do omówienia trzeciej rzeczy, o którą Bóg Sam się postarał, aby umożliwić człowiekowi zwycięskie przeżycie kryzysu osiągnięcia zbawienia w swoim życiu, zrobię dygresję i najpierw zajmę się tematem dotyczącym jedynej rzeczy, której — moim zdaniem — wymaga Bóg od samego człowieka.

Gdy ktoś z nas opowiada Ewangelię, zwiastując konieczność pokuty i wiary w Pana Jezusa ku odpuszczeniu grzechów, napotyka niekiedy ze strony słuchaczy na trudności, które wydają się nie do przezwyciężenia. Jakiś człowiek, po wysłuchaniu wszystkiego, co miałeś do powiedzenia na temat grzechu i kary za grzech — może przyzna się zupełnie szczerze: „Tak, ja to wszystko wiem, ale ja lubię grzeszyć". Co zrobisz w takim wypadku? Jak już wspominałem poprzednio, Przyjaciel grzeszników jest Osobą, która grzesznikowi może najlepiej dopomóc w takiej sytuacji. Ktoś inny przysłuchuje się temu, co mówisz i przytakuje, a jednak wydaje się nie pojmować tych słów, nareszcie powie: „Zapomniałem, jaki to był ów trzeci punkt?" Ale zbawienie nie jest kwestią „punktów"! Nie jest ono nawet sprawą zrozumienia lub woli.

Jest to, jak już widzieliśmy, sprawa spotkania się z Bogiem — sprawa zetknięcia się ludzi bezpośrednio z Chrystusem-Zbawicielem. Zapytasz więc, jakie minimum jest wymagane od człowieka, aby ten kontakt, to spotkanie — stało się możliwe?

Aby na pytanie to znaleźć odpowiedź, radziłbym przyjrzeć się przypowieści o rozsiewcy. Zdaje mi się, że w przypowieści tej Bóg wyraźnie nam mówi, czego wymaga od człowieka. „A które padło na ziemię dobrą, są ci, którzy w sercu uprzejmym i dobrym słyszane słowo zachowują, i owoc przynoszą w wytrwałości" (Łuk. 8, 15). A więc Bóg wymaga „uprzejmego i dobrego serca" — dobrego tylko z tej racji, że uprzejmego, czyli szczerego. Nie ma to znaczenia, czy dany człowiek chce, czy też nie chce być zbawiony; nie ma znaczenia, czy rozumie, czy też nie rozumie. Najważniejszą rzeczą jest jego gotowość, aby być szczerym w stosunku do Boga, jeśli chodzi o te sprawy. Wówczas Bóg gotów jest z nim się spotkać.

Ktoś zadał następujące pytanie: W jaki sposób można pogodzić Boże wymaganie odnośnie do „uprzejmego i dobrego serca" ze stwierdzeniem, które znajdujemy w proroctwie Jeremiasza 17, 9, że serce jest najprzewrotniejsze ponad wszystko? Ale w przypowieści, którą w tej chwili rozważamy, nie jest powiedziane o tym człowieku, iż jest w oczach Bożych doskonałym w swojej szczerości, ale że przyjmując Słowo, jest szczerym w stosunku do Boga. Jest gotowy przyjść do Boga ze wszystkim, co jest w jego sercu — i przyjść Doń całkiem otwarcie. Oczywiście, pozostaje to prawdą i niezbitym faktem, że „serce człowieka jest najprzewrotniejsze nade wszystko", niemniej jest rzeczą możliwą, aby człowiek posiadający naturę, czyniącą go aż nadto skłonnym do zdrady — jednak szczerze zwrócił się do Boga. Zdradliwy człowiek może jednak szczerze podejść do Boga i zawołać: „Jestem grzesznikiem; zmiłuj się nade mną!" W sferze swego pragnienia, jeśli chodzi o Boga, może być zupełnie szczery. Oto, czego Bóg szuka w człowieku i takie znaczenie ma zapewne wiersz 9 z 2. Kron. 16: „Oczy Pańskie przepatrują wszystką ziemię, aby dokazywać mocy Swej przy tych, którzy przy Nim stoją sercem doskonałym".

Podstawowym warunkiem zbawienia grzesznika nie jest wiara, albo pokuta, lecz owa szczerość serca w stosunku do Boga. Bóg nie wymaga od człowieka niczego innego, jak tylko przyjścia do Niego w takim nastawieniu serca. Do tego miejsca szczerości, które leży wśród mnóstwa przewrotności,

wpada dobre nasienie, które przynosi wiele owocu. W jednym z dwóch złoczyńców, którzy zostali ukrzyżowani wraz z Panem Jezusem, znalazła się odrobina szczerego pragnienia, choć obaj byli z gruntu zepsutymi ludźmi. Ów celnik, modlący się w świątyni, był człowiekiem, który w życiu swym dopuścił się niejednego oszustwa, a jednak znalazła się w nim szczerość, która dopomogła mu do przyznania się do swej grzeszności i do zawołania do Boga z prośbą o zmiłowanie. A jak było z Szawłem z Tarsu? Z całą pewnością nie miał najmniejszego pragnienia otrzymania zbawienia przez Jezusa Chrystusa, a jednak Pan dojrzał w nim na owej drodze do Damaszku szczere serce ku Bogu — i to właśnie stało się punktem wyjścia jego historii z Panem. On szczerze dotknął się Pana wypowiadając słowa: „Panie, co chcesz, abym uczynił?" A to „dotknięcie" było wystarczające, aby go na całą wieczność zbawić, i to w mgnieniu oka! To, że istnieje możliwość zetknięcia się z Jezusem Chrystusem w sposób umożliwiający zbawienie grzesznika, wynika bowiem z „istoty" Ewangelii, a nie ze zrozumienia jej przez grzesznika.

Kilka poprzednio wspomnianych wypadków uczy nas, że winniśmy zachęcać każdego grzesznika do uklęknięcia i modlitwy w szczerości serca, w celu wyznania Panu całkiem szczerze swojej sytuacji. Nam, wierzącym w Pana Jezusa, Słowo nakazuje modlić się w Jego Imieniu (Jan, 14, 14; 15,16; 16, 23.24), co oznacza oczywiście, że nie mamy używać li tylko jakiejś formułki, ale czynnie wyrażać wiarę w Niego. Ale z grzesznikami sytuacja przedstawia się inaczej. Są bowiem modlitwy, które Bóg wysłuchuje, a które nie są zanoszone w imieniu Jezusa. W Dziejach Ap. 10, 4 anioł mówi do Korneliusza: „Modlitwy twoje i jałmużny twoje wstąpiły na pamięć przed oblicze Boże." Jeśli z serca wyrywa się szczere wołanie — Bóg wysłuchuje. Serce grzesznika może dotknąć się Boga.

Znamiennym przykładem przyjścia do Boga — nawet bez pragnienia otrzymania zbawienia — było przeżycie pewnej pani w Anglii, które miało miejsce w ubiegłym stuleciu. Pochodziła ona z bogatej rodziny, cieszącej się dobrą opinią w społeczeństwie, zdobyła wyższe wykształcenie, przy tym była zaawansowanym muzykiem i pięknie tańczyła. Ponad to wszystko była zarówno młoda jak i piękna. Pewnego wieczora miał się odbyć bal, na który również była zaproszona. Miała przepiękną suknię balową, specjalnie uszytą na tę okazję i tegoż wieczoru była osobą, na którą najwięcej zwracano

uwagę i której towarzystwa najbardziej pragnęli. Był to — można by powiedzieć — jej wielki triumf.

Po balu, gdy wróciła do domu, zdjęła swoją suknię i odrzuciła ją na bok. Następnie rzuciła się na kolana i rzekła: „O Boże, mam wszystko, czego mogę pragnąć: bogactwo, popularność, piękność, młodość — a jednak jestem zupełnie niezadowolona i wręcz nieszczęśliwa. Chrześcijanie powiedzieliby mi, iż jest to dowodem, że świat jest próżny i marny, i że Jezus mógłby mnie zbawić i dać mi pokój, radość i zadowolenie. Ja jednak nie chcę zbawienia. Ja Ciebie i Twój pokój i radość nienawidzę. Ale, o Boże, daj mi to, czego nie chcę, i jeśli możesz, uczyń mię szczęśliwą!" Dalsza historia jej życia dowiodła, że podniosła się z kolan jako nawrócona niewiasta i stała się wierzącą, znającą swego Pana w szczególnie głęboki sposób.

Raz jeszcze stwierdzam więc: wszystko, czego potrzeba — to szczere serce. Jeśli prawdziwie chcesz Boga, wówczas nie ma żadnej trudności. Ale dzięki Bogu, że nawet wtedy, gdy Go nie chcesz, On jednak cię wysłucha, jeśli do Niego przyjdziesz i szczerze Mu to wyznasz.

POMOCNIK JEST BLISKO

Powiedzieliśmy, że wystarczy zawołać do Boga ze szczerego serca. Wyrażają to również słowa Joela, cytowane przez Piotra: „Każdy, kto będzie wzywał imienia Pańskiego, zbawiony będzie." W jaki sposób jest to możliwe? Ponieważ Bóg wypełnił również i tę drugą obietnicę, którą Piotr zacytował z Księgi tego samego proroka, a mianowicie: „Wyleję z Ducha Mego na wszelkie ciało" (Dz. Ap. 2, 17.21). Ponieważ Duch Święty został wylany na całą ludzkość — wystarczy zawołać.

Kaznodzieja zwiastujący Ewangelię może tylko wtedy owocnie pracować, jeśli sobie z tego zdaje sprawę. Obecność Ducha Świętego i Jego bliskość w stosunku do grzesznika — oto z czego powinniśmy sobie zdawać sprawę, głosząc Słowo Boże. Bóg, będący na niebie — jest zbyt daleko; jest niejako poza zasięgiem człowieka. Ale Paweł pisze do Rzymian następujące słowa: „Nie mów w sercu swoim: kto wstąpi do nieba? to jest, aby Chrystusa na dół sprowadzić ... Blisko ciebie jest słowo ... Każdy bowiem, kto wzywa imienia Pańskiego, zbawiony będzie" (Rzym. 10, 6.8.13).

Zawsze wierzę w to, że Duch Święty **odpoczywa na człowieku**, któremu opowiadam Słowo. Nie mam oczywiście na

myśli, że Duch Święty znajduje się **w sercach** ludzi niewierzących, lecz że znajduje się na zewnątrz. A co On czyni? Czeka na to, by móc przynieść Chrystusa do ich serc. Duch Święty czeka na to, by móc wejść do serca słuchającego Ewangelię. Podobny jest do światła. Jeśli tylko uchylisz firankę, choćby **odrobinę** — natychmiast zaleje wnętrze i oświeci cały pokój. Niech z serca grzesznika wyrwie się choćby jedno słowo do Boga, a w t e j c h w i l i Duch Święty do niego wejdzie i rozpocznie przeobrażające działanie, sprawiając świadomość grzechu, pokutę i wiarę — cud nowego zrodzenia.

Piotr w domu Korneliusza nie tylko dożył cudownej interwencji Ducha Świętego w stosunku do swoich słuchaczy, którym opowiadał Ewangelię, ale przeżył działanie Ducha i w swoim własnym sercu. Wynika to z jego opowiadania o tym wypadku: „A gdym ja począł mówić, przypadł Duch Święty na nich, t a k j a k i n a n a s z p o c z ą t k u" (Dz. Ap. 11, 15). Może najważniejszym warunkiem powodzenia w przyprowadzaniu ludzi do Chrystusa jest przypomnienie sobie, że ten sam Duch Święty, który nam dopomógł w godzinie ciemności, jest tuż i pragnie wejść i oświecić również i ich serca, aby dokonać dzieła zbawienia, któremu otworzyli drzwi, wołając do Boga.

Przyjaciel mój opowiadał Słowo Boże w pewnym mieście. Podeszła do niego później jedna kobieta, której w rozmowie jeszcze raz świadczył o Chrystusie. Mówił jej o grzechu, o karze za grzech i o Panu, który przyszedł, aby nas zbawić. Ale niewiasta ta rzekła do niego: „Zdaje się, że pan nie wie, jak miły jest grzech. Zapewne nigdy nie skosztował pan jego słodyczy. Ja l u b i ę grzeszyć. Bez grzechu życie byłoby puste." Po chwili mój przyjaciel zaproponował, aby się modlić. Na to rzekła owa niewiasta: „Cóż mógłby człowiek tak grzeszny jak ja, powiedzieć waszemu Bogu? Nie potrafię się zdobyć na pokutę w moim sercu. Nie jestem w stanie powiedzieć niczego, co byłoby Mu przyjemnym." Mój przyjaciel odpowiedział jednak: „Mój Bóg rozumie. On jest b l i s k i m pani i potrafi wysłuchać j a k i e j k o l w i e k modlitwy; proszę Mu zatem powiedzieć to samo, co pani mnie powiedziała." Słowa te napełniły ją zdumieniem, gdyż dotąd słyszała tylko owe formalne modlitwy, w których trzeba wypowiadać słowa, w które się nie wierzy — tylko z grzeczności!... A wtenczas mój przyjaciel pokazał jej ten wiersz w Dz. Ap. 11, w którym jest napisane, że „Bóg dał upamiętanie (pokutę) ku żywotowi". Wtedy zaczęła się modlić, zwracając się w bezpośrednich sło-

wach do Boga, który rozumie grzeszników. A oto jej słowa: „Choć nie chcę pokutować, pomóż mi, o Boże, i daj mi upamiętanie." I rzeczywiście Pan to uczynił! Otworzyła Duchowi światłości okna swego serca — i wstała z kolan jako zbawiona niewiasta.

Oto zasada: ponieważ Jezus jest Przyjacielem grzeszników i ponieważ Duch Święty podejmuje się uczynić to, czego ludzie sami nie są w stanie uczynić, grzesznicy mogą przyjść do Boga takimi, jakimi są. Nie potrzebują wcale się zmienić i nie zachodzi konieczność, aby mieli w samych sobie znaleźć zdolność do uczynienia czegokolwiek. Jeśliby ktoś zwrócił się do ciebie z prośbą o opowiedzenie mu Ewangelii zbawienia, a potem powiedział do ciebie: „Panie, pragnę być zbawiony!" ale gdy mu powiesz, że ma wierzyć, odpowie: „Nie jestem w stanie wierzyć". Co wówczas uczynisz? Czy powiesz: „Pan się do niczego nie nadaje. Proszę odejść i wrócić do mnie, gdy pan będzie w stanie wierzyć"? Czyż mówiąc w ten sposób, nie nakłaniałbyś tego człowieka do uczynienia czegoś w celu otrzymania zbawienia? Inny zaś powie ci: „Ja nie chcę być zbawiony." Co zrobisz wtedy? Czy odeślesz go precz, aż jakieś nieszczęście lub trudność życiowa zmusi go do zbliżenia się do Boga? Czyż czyniąc tak, nie zamykasz mu może drzwi zbawienia? Dlaczego mielibyśmy kłaść przed grzesznikami tyle warunków, zanim mieliby zostać zbawieni? Z całą pewnością do Pana Jezusa mogą przychodzić wszyscy grzesznicy, skoro jest ich Przyjacielem — i mogą przychodzić takimi, jakimi w danym momencie są. Duch Święty jest bowiem blisko i chce dopomóc, możemy więc liczyć na Niego, że dokona w nich tego, czego sami dokonać nie są w stanie.

W czasie wieloletniej mej pracy na niwie Pańskiej wielu oczywiście zrozumiało na samym początku drogę zbawienia, wielu na samym początku uświadomiło sobie swoją grzeszność, pokutowało, uwierzyło — i na tej podstawie przyszli do Chrystusa i zostali zbawieni. Ale chwała Bogu za to, że było również wielu takich, którzy na samym początku nie pokutowali, ani nie wierzyli, ani też nie byli świadomi pragnienia posiadania zbawienia, a których jednak udało mi się nakłonić do podejścia do Pana w szczerości i osobistego zetknięcia się z Nim. U wielu z tych zrozumienie, świadomość grzechu, pokuta i wiara objawiły się również, w rezultacie czego zostali w cudowny sposób zbawieni. To właśnie daje mi podstawę do stwierdzenia w sposób nieodwołalny, że nie

ma innego warunku, aby grzesznik mógł być zbawiony, jak tylko szczerość, dzięki której wyznaje Panu, że jest grzesznikiem. Spełnienie tego warunku wystarczy, aby umożliwić Duchowi Świętemu rozpoczęcie dzieła przekonania i przemiany grzesznika.

Mówiliśmy o takich, którzy nie chcą pokutować i którzy nie mogą wierzyć. Mówiliśmy o takich, którzy nie mają pragnienia zostać zbawionymi i takich, którzy uważają, że są zbyt zepsuci, aby dostąpić zbawienia. Mówiliśmy o takich, dla których Ewangelia przedstawia zbyt skomplikowaną sprawę i o innych, którzy rozumieją ją dobrze, ale nie chcą uznać praw, jakie ma w stosunku do nich Bóg. Czy wolno mi powiedzieć wam, że dla takich też istnieje możliwość uzyskania zbawienia? Napotkałem na wszystkich sześć tutaj wymienionych typów ludzi i wielu z nich zostało zbawionych — i to na poczekaniu! Poza tym napotkałem jeszcze na siódmy rodzaj ludzi — takich, którzy w ogóle nie wierzą, że jest Bóg — i odważyłem się nawet na oświadczenie im, że nie potrzebują najpierw uwierzyć w Boga, że mogą być zbawionymi takimi, jakimi są, jeśli tylko podejdą szczerze do tego zagadnienia.

Będą jednak tacy, którzy natychmiast powiedzą: „Co wobec tego oznacza Żyd. 11, 6? Z całą pewnością wiersz ten wymaga co najmniej wiary w istnienie Boga?" Przyznam się, że był taki okres czasu, gdy i ja byłem tego zdania; ale nadszedł dzień, w którym nauczyłem się doceniać, jak nieskończenie daleko gotów jest Bóg wyjść na spotkanie syna, wracającego z dalekiej krainy. A stało się to w następujący sposób.

Odbywałem pewnego razu nabożeństwa ewangelizacyjne w jednej uczelni, i spotkałem tam mego kolegę z lat szkolnych. Po odbyciu studiów w Ameryce, był wówczas profesorem psychologii na tej uczelni. Wyrobił on sobie pewien pogląd na sprawę religii i zwykł był mówić swoim studentom, że potrafi wytłumaczyć wszystkie „tak zwane nawrócenia" na podstawie czysto psychologicznych danych. Zanim rozpoczęła się wspomniana ewangelizacja, odwiedziłem tego kolegę i opowiedziałem mu o Chrystusie. Z grzeczności przez chwilę słuchał tego, co mówiłem, ale nareszcie powiedział z uśmiechem: „Nie ma sensu mówić mi tych rzeczy, gdyż ja nie wierzę, że Bóg jest". Na to ja odpowiedziałem — może zbyt pośpiesznie — „Nawet jeśli nie wierzysz, pomódl się. Zrobisz ciekawe odkrycie". Zaczął się śmiać. „Mam się modlić, nawet jeśli nie wierzę w Boga!" zawołał. „Jakże mógłbym zrobić coś takiego?" Wówczas powiedziałem: „Nawet

jeśli tobie nie udało się znaleźć drabiny, przy której pomocy mógłbyś się wznieść do Boga, to On jednak zeszedł na dół, aby znaleźć ciebie. Módl się!". Znów zaczął się śmiać, lecz ja w dalszym ciągu prosiłem o uczynienie tego, mówiąc: „Mam modlitwę, którą nawet tacy jak ty mogą wypowiedzieć, a brzmi ona następująco: „O Boże, jeśli nie ma Boga, to moja modlitwa jest bezużyteczna. Ale jeśli jest Bóg, to daj mi to w jakiś sposób poznać". Na to on odpowiedział: „Ale co ma ten Bóg hipotezy do czynienia z Jezusem Chrystusem? Co to wszystko ma wspólnego z chrześcijaństwem?" Wówczas poradziłem mu dołączyć do tej modlitwy jeszcze jedno zdanie, w którym by poprosił Boga o wskazanie mu i tej rzeczy. Wyjaśniłem mu, że nie jest moim zamiarem nakłonić go do wyznania, iż Bóg jest; nie mam zamiaru nakłaniać go do przyznania czegokolwiek, ale moim pragnieniem było, aby tylko i jedynie był szczery. Jego serce musi zacząć się modlić. Nie śmie to być tylko puste powtarzanie słów. Nie byłem pewny, czy wskórałem cokolwiek, lecz odchodząc zostawiłem mu egzemplarz Biblii.

Następnego dnia, przy zakończeniu pierwszego nabożeństwa ewangelizacyjnego tego cyklu w owej uczelni, poprosiłem, aby ci, którzy przyjęli zbawienie, zechcieli powstać. Pierwszym, który to uczynił był właśnie ów profesor. Podszedłem do niego później i zapytałem: „Czy coś się stało?" Odpowiedział: „Dużo się stało. Jestem zbawiony". „Jakże się to stało?" zapytałem. Odpowiedział: „Po twoim odejściu wziąłem do ręki Biblię i otworzyłem ją w miejscu, gdzie była Ewangelia według Jana. Oko moje padło na słowa „nazajutrz", „dnia trzeciego", „a gdy nastał wieczór" — i pomyślałem sobie: „Ten człowiek wie, o czym pisze. To jakby dzienniczek; on to wszystko w i d z i a ł". A potem zacząłem rozmyślać o tym, co mi powiedziałeś i starałem się upewnić, czy też w twoich słowach nie ma jakiegoś haczyka, czy czasem w jakiś sposób nie próbujesz mnie podejść. Przechodziłem twoje wypowiedzi punkt za punktem, lecz nie mogłem znaleźć żadnej skazy. Wszystko wydawało się najzupełniej prawidłowe. Dlaczego więc nie miałbym się modlić stosownie do twej rady? Nagle jednak przyszła mi taka myśl: „A co będzie, jeśli Bóg faktycznie j e s t? Gdzież ja stoję w takim wypadku? Mówiłem przecież moim studentom, że w religii nie ma niczego, i że wszystko można wytłumaczyć przy pomocy psychologii — czyż w takim wypadku będę gotów przyznać się, że cały czas byłem w błędzie?" Rozważyłem i taką

okoliczność starannie, lecz poczułem, że muszę w tej sprawie być szczery. Jeśli bowiem Bóg jednak istnieje, to byłoby to z mojej strony szaleństwem nie wierzyć w Niego!

Uklęknąłem więc i zacząłem się modlić. A w chwili gdy rozpocząłem się modlić, po prostu w i e d z i a ł e m, że Bóg jest. Jak to odczułem nie potrafię wyjaśnić, ale po prostu wiedziałem o tym! Potem przypomniałem sobie czytaną przeze mnie Ewangelię według Jana, i jak wszystko, co tam było napisane zdawało się być napisane przez naocznego świadka, a wówczas w mym sercu powstała świadomość, że jeśli tak było istotnie, to Jezus był Synem Bożym — i byłem zbawiony!"

Ach, jak cudowne rzeczy umie czynić nasz Bóg! Gdy idziesz głosić Ewangelię, nigdy nie trać z oczu faktu, że On jest **żywym Bogiem,** gotowym do działania w łasce. Nic by nie pomogło, gdyby ludzie byli nawet nieco lepsi, niż są w istocie, a gdyby byli o wiele gorsi, nie przeszkodziłoby to Jego działaniu. On tylko pragnie widzieć „uprzejme i dobre serce". Nigdy też nie zapomnij, że Duch Święty jest blisko i że pragnie z wielką mocą dotykać się serc ludzkich. Miej wiarę w Niego odnośnie do każdej duszy, z którą masz do czynienia. Jeśli byłbyś sam, nie byłbyś może pożytecznym rybakiem, ale współpracując z Duchem Bożym możesz z ufnością zabrać się do wyciągnięcia na brzeg nawet największych ryb.

Rozdział IV

Paweł — a żywot

Przystępując do omawiania specjalnego wkładu do Nowego Testamentu, jakim jest usługiwanie apostoła Pawła, raz jeszcze będziemy musieli z góry założyć, że wiele rzeczy jest nam znanych i przyjętych za oczywiste fakty. Muszę bowiem podkreślić, że będziemy się tutaj zastanawiać nad jego „specyficzną" służbą, to znaczy tą służbą, którą reprezentuje nasze symboliczne porównanie jego działalności z wznoszeniem „namiotu". Ale czyniąc to i analizując jego działalność w odniesieniu do całości Kościoła, bynajmniej nie chcemy umniejszyć lub przeoczyć bardzo szerokiego zasięgu duchowego objawienia danego Pawłowi również odnośnie do innych spraw, takich jak Boży plan odkupienia i wzrost poszczególnego wierzącego w Chrystusie.

Stwierdziliśmy już, że List do Rzymian został napisany nie w tym celu, aby wskazać grzesznikom drogę wiodącą do bram Królestwa Niebieskiego i sposób wejścia doń, ale po to, aby wskazać nam, już wierzącym chrześcijanom, w jaki sposób Bóg nam to umożliwił i jakie są następstwa naszego wejścia do tegoż Królestwa. Mając taki cel na oku, Paweł w Liście tym szeroko wyjaśnia tak wielkie zagadnienia jak usprawiedliwienie i poświęcenie, wyzwolenie spod tyranii grzechu i spod Zakonu, wieczne życie w Chrystusie i chodzenie w Duchu, synostwo i cele Boże. Z niektórymi tymi zagadnieniami starałem się zapoznać moich Czytelników w „Normalnym życiu chrześcijańskim", wskazując, iż kluczem do wiary i przeżycia wszystkich tych rzeczy osobiście jest otworzenie naszych oczu na wielki historyczny fakt Jezusa Chrystusa ukrzyżowanego, zmartwychwstałego i uwielbionego,

a przy tym również na fakt naszej śmierci, naszego zmartwychwstania i naszego uwielbienia wraz z Nim. Bóg wydał wyrok na nasz grzech i na naszą upadłą naturę, skazując oboje na śmierć, a wyrok ten został wykonany na nas w Chrystusie. Zostajemy przyjęci do Jego Królestwa nie dlatego, że nam się może udało w jakiś sposób uniknąć sądu, ale dlatego, że zostaliśmy osądzeni w Nim, i że w Nim zostaliśmy z martwych — wzbudzeni do nowego życia. Krzyż Chrystusa jest dla nas bramą do wszystkiego.

Ustaliwszy tę zasadę, Paweł w bardzo realistycznym obrazie 7-mego rozdziału Listu do Rzymian przedstawia nam najpierw swoje całkowite niedopisanie, aby żyć życiem chrześcijańskim — chociaż już był nawróconym człowiekiem — ale we **własnej**, naturalnej sile ciała, a następnie jego cudowne odkrycie (o którym w dalszym ciągu jest mowa w rozdziale 8-mym), że życie takie **jest** możliwe „przez Jezusa Chrystusa, Pana naszego". Moc mieszkającego w sercu Chrystusa — „Zakon Ducha życia w Chrystusie Jezusie" — jest potężniejszy od zakonu grzechu i śmierci, władającego w jego członkach (to jest Pawła). Wyraża to jeszcze i w Liście do Filipensów 4, 13 słowami: „Wszystko mogę w tym, który mnie wzmacnia, w Chrystusie".

Tak więc dla Pawła życie chrześcijańskie było ustawicznym cudem — paradoksem tj. pozorną sprzecznością, w której Boże życie zaszczepione przez nowe zrodzenie świeciło poprzez „śmiertelne ciało" tego, który świadomie chodził według kierownictwa Ducha Świętego. „Jeśli Chrystus w was jest, tedy ciało jest martwe dla grzechu, a duch jest żywy dla sprawiedliwości" (Rzym. 8, 10). Zanim więc przejdziemy do analizy dzieła apostoła Pawła jako tego, którego rzemiosłem było „robić namioty" i jego zrozumienia Domu Pańskiego (do czego prowadzi w sposób oczywisty tenże List do Rzymian), na chwilę skupimy naszą uwagę na postaci samego apostoła Pawła, aby z jego życia, będącego tym znamiennym paradoksem, nauczyć się ważnej lekcji dotyczącej „naszego ziemskiego domu, tej lepianki" i „zadatku Ducha" który w lepiance tej przysposobił Sobie Swoją świątynię (2 Kor. 5, 1 — 5).

W rozważaniach naszych, dotyczących osoby apostoła Pawła, wielce pomocnym jest staranne przeczytanie 2-go Listu do Koryntian i zwrócenie uwagi na jego szczególny charakter. Wyjątkowy charakter tego Listu polega na tym, że

wyraża on wewnętrzne życie Pawła i jego doświadczenia. Jest on najbardziej osobistym Listem napisanym przez Pawła — a nawet najbardziej osobistym Listem całego Nowego Testamentu — i dzięki temu Listowi możemy się dowiedzieć wielu szczegółów, dotyczących osoby Pawła, których byśmy bez tego Listu nigdy nie poznali. Paweł nie zamierzał tego Listu napisać, ale Bóg pozwolił na jego napisanie z powodu nastawienia członków zboru w Koryncie. Dzięki temu Bóg pozwala nam też zobaczyć coś, co inne Listy po części ukrywają. Inne listy są pełne nauki; ten na chwilę odsuwa zasłonę, dając nam możliwość przyjrzenia się mężowi stojącemu za tymi naukami. Inne Listy przynoszą darowane nam objawienie Boże — ale ten pokazuje, jakiego rodzaju człowiekiem jest mąż, któremu Bóg zwierzył to objawienie.

Myślę, że wystarczy kilku-minutowe zastanowienie się, aby stwierdzić prawdziwość tego, co powiedziałem przed chwilą. W 1 Kor. 1 — Paweł pisze, że Bóg wybrał „co słabego u świata"; 2-gi List do Koryntów objawia nam ową surową rzeczywistość narzuconej przez Boga słabości w odniesieniu do samego Pawła. W 1 Kor. 3 Paweł apeluje o jedność, rozdział 1-szy 2-go Listu do Koryntów objawia, że pomimo wszystkich strofowań, ten, który ich tak surowo upominał z racji istniejących między nimi podziałów, w dalszym ciągu uważał się jednak za jednego z nich. Dalej w 1-szym do Koryntów, po surowym rozprawieniu się z nieprawidłowymi zjawiskami, pojawiającymi się w Koryncie, Paweł pisze cudowny, klasyczny wprost rozdział 13-ty, mówiący o miłości; ale w 2-gim Liście wyjaśnia, że pozorna surowość tego poprzedniego Listu wynikła z szczególnej potrzeby. Oto jego słowa: „Albowiem z wielkiego ucisku i utrapienia serca, i z wielu łzami pisałem do was; nie żebyście byli zasmuceni, ale żebyście poznali miłość, którą nader obficie mam ku wam" (2 Kor. 2, 4). Dalej jeszcze — w 1 Kor. 16 — Paweł musi zachęcać swoich czytelników do okazywania w praktyczny sposób swej troski o potrzeby innych, podczas kiedy w 2 Kor. 11 odsłania nam tajemnicę, jak on sam postępował w sprawach pieniężnych. Jest bowiem zasadą, że jeśli jakiś człowiek nie jest w porządku w sprawach pieniężnych, nie może naprawdę służyć Bogu. Kto nie jest w porządku w tej rzeczy, nie jest w porządku i we wszystkim innym. I w końcu coś, co ma najściślejszy związek z omawianym obecnie tematem: w 1 Kor. 15 Paweł daje nam najjaśniejszą w całym Nowym Testamencie naukę dotyczącą zmartwych-

wstania; ale już w 2 Kor. 1 znajdujemy Pawła powątpiewającego nawet o życiu, „abyśmy nie ufali w sobie samych, ale w Bogu, który wzbudza umarłych".

Jeśli chodzi o Pawła, to doktryna zawsze oparta jest na osobistym doświadczeniu. Nic innego też nie może stanowić jedynej prawdziwej podstawy dla usługiwania, choćby też ludzie mieli dzisiaj co do tego inne zdanie. Usługiwanie, które jest oparte wyłącznie na teorii, prowadzi nieuchronnie do zubożenia. Natomiast podawanie życia ma swoje źródło zasadniczo w osobistym doświadczeniu. Tematem 1-go Listu do Koryntów jest sprawa darów i opowiadania Słowa. Tematem 2-go Listu do Koryntów jest zagadnienie życia. Ponieważ w Pawle działa śmierć Chrystusa, posiada on życie. A ponieważ on ma życie, inni z kolei też mają życie. Usługiwanie 1-go Listu do Koryntów i wszystkich dalszych Listów oparte jest oczywiście na mężu z 2-go Listu do Koryntów.

SKARB W NACZYNIACH GLINIANYCH

Ale teraz chodźmy dalej i przyjrzyjmy się czemuś, co z tego wszystkiego wynika, a mianowicie wspomnianemu już elementowi pozornych sprzeczności istniejących w Pawle.

Czytając uważnie 2-gi List do Koryntów, spotykamy niejako dwie osoby: Pawła w samym sobie i Pawła w Chrystusie. Ci, którzy go obserwowali, stwierdzali, że było w nim coś nienormalnego. Pokorny i słaby w cielesnej swej obecności, niewprawny i wcale nie wybijający się jako mówca, był jednak pełen ufności i odwagi, bogaty w znajomość, poważny i potężny w swoich Listach (2 Kor. 10, 1. 10; 11, 6). Jego odnoszenie się do ludzi cechowała zawsze duża konsekwencja, co było możliwe dzięki temu, że postanowił z całą stanowczością nie znać nikogo więcej „według ciała", lecz wyłącznie w Chrystusie (2 Kor. 1, 17; 5, 16). I wewnętrznie wydawała się istnieć podobna rozbieżność w istocie Pawła, co staje się szczególnie wyraźnie widoczne dzięki takim zwrotom, które bardzo często spotykamy, jak „ale", „niemniej", „daleko więcej". „Wzdychamy pod ciężarem" pisze Paweł; „będąc w tej lepiance; we wszystkim byliśmy uciśnieni: zewnątrz walki, wewnątrz postrachy. A l e Bóg, który pociesza uniżonych, pocieszył nas — Bóg, który wzbudza umarłych". (2 Kor. 1, 8. 9; 5, 4; 7, 5.6).

Ten dualizm świadomości, jak się okazuje, nie był charakterystycznym dla Pawła tylko w okresie pisania 2-go Listu do Koryntów, lecz był stanem ciągłym, co wynika

z dwóch wielkich urywków, a mianowicie 2 Kor. 4, 8 — 10 i 6, 8 — 10. Można by powiedzieć, że niemal wszystko, o czym Paweł pisze w tym Liście — od początku do końca — jest utrzymane w tym tonie. Znajdujemy w nim podstawową zasadę, którą ujmiemy słowami samego Pawła w sposób następujący: „A mamy ten skarb w naczyniach glinianych, aby wielka obfitość mocy była z Boga, a nie z nas" (2 Kor. 4, 7). Ów skarb w glinianym naczyniu widzimy od razu w pierwszym rozdziale — i aż do końca tego Listu nieustannie napotykamy na to gliniane naczynie, ale napotykamy i na skarb!

„Mamy ten skarb w naczyniach glinianych" — oto najjaśniejsze stwierdzenie, na czym polega istota praktycznego chrześcijaństwa. Chrześcijaństwo nie jest glinianym naczyniem, ani też nie jest skarbem; jest s k a r b e m w n a c z y n i u g l i n i a n y m.

Wszyscy ludzie — zarówno chrześcijanie, jak i niewierzący w Chrystusa, mają swój ideał człowieka. Każdy ma szczególny pogląd na to, jakim winien być dobry człowiek. Uważają, że jeśli jakiś człowiek czyni takie i takie rzeczy, albo zachowuje się w jakiś szczególny sposób, albo j e s t pewnego rodzaju typem człowieka, to wówczas jest dobrym człowiekiem. Mamy po prostu ustalone w własnym umyśle kryteria, normy — a jeśli ktoś im odpowiada, wówczas nazywamy go „dobrym". Przed naszym nawróceniem mieliśmy swego rodzaju poglądy, ale później przekonaliśmy się, że ci, których zwykli byliśmy podziwiać, w rzeczywistości na to nie zasługiwali. Sądzimy ich obecnie stosownie do nowo otrzymanego światła i widzimy, jak wiele im brakuje. Zmieniła się nasza skala wartości.

Mieliśmy nawet nasze poglądy odnośnie do samego Pana Jezusa. Przed nawróceniem się mieliśmy o Nim pewne czysto ludzkie zdanie, ale z chwilą, gdy zostaliśmy zbawieni, Duch Święty otworzył nasze oczy na szczegóły dotyczące Jego prawdziwej natury, a wówczas to zdanie okazało się zupełnie błędne. W rezultacie posiadamy obecnie nowe kryteria, nową miarę, jeśli chodzi o życie chrześcijańskie, i z jednej strony staramy się sami osiągnąć ten poziom, a z drugiej strony oceniamy postępowanie innych według tych kryteriów. Tak może jest dobrze; chciałbym jednakowoż zwrócić waszą uwagę na to, że Boże myśli odnośnie do tego, co rzeczywiście jest prawdziwym chrześcijaństwem, mogą sięgać jeszcze dalej aniżeli nasze i że w rezultacie może On żądać od nas, abyśmy jeszcze

w większym stopniu niż dotychczas zmienili nasze poglądy, jeśli chodzi o nas samych i innych.

Co uważamy za świętobliwość? Zbyt skłonni jesteśmy uważać ją za całkowity brak glinianego naczynia. Wydaje nam się, że jeślibyśmy osiągnęli taki stan, w którym umielibyśmy do tego stopnia zapanować nad naszymi uczuciami i pragnieniami, że w praktyce nie zostałoby po nich ani śladu, to wówczas osiągnęlibyśmy świętobliwość. Jesteśmy przekonani, że jeśli uda nam się do tego stopnia przytłumić nasze uczucia, aby się stać niewrażliwymi na cierpienia, lub nieporuszonymi przez nasze naturalne związki — to wówczas dajemy tym dowód, że osiągnęliśmy prawdziwe uduchowienie. Wynikiem jest to, iż myślimy, że w celu osiągnięcia uduchowienia trzeba się wyzbyć wszelkich ludzkich uczuć. Wielu też z nas usilnie stara się przykryć swoje gliniane naczynie, w błędnym mniemaniu, że jeśli będzie niewidoczne, to będzie to prawdziwą świętobliwością.

Można zaraz poznać, jeśli ktoś tak postępuje. Wynika to z jego nienaturalnego zachowania się: stara się nigdy nie stracić panowania nad sobą; nigdy nie mówi, lub też nie zachowuje się swobodnie, aby tylko nie można było dojrzeć glinianego naczynia. Niestety, wielu uważa, że jeśli nie dbają o to, co się czyni lub mówi w ich obecności, to osiągnęli prawdziwą chrześcijańską świętobliwość. Ale tacy ludzie nie wiedzą na czym prawdziwe chrześcijaństwo polega. Zachowują się sztucznie i używają swej sztuczności do przykrycia swego właściwego stanu. Ćwiczą samych siebie w tym, aby nie było widać ich glinianego naczynia.

Gdy się nawróciłem do Pana, miałem również moje własne poglądy na istotę prawdziwego chrześcijaństwa i starałem się usilnie być takim właśnie chrześcijaninem. Zdawało mi się, że jeśli tylko uda mi się osiągnąć ten właśnie poziom, którego koncepcja powstała w moim umyśle, to cel mój będzie osiągnięty. Niewątpliwie było moim szczerym zamiarem być prawdziwym chrześcijaninem, ale mnie się zdawało, że prawdziwy chrześcijanin powinien uśmiechać się od rana do wieczora. Jeśliby kiedykolwiek uronił łzę, to oznaczało to, że przestał być zwycięskim chrześcijaninem. Uważałem też, że prawdziwy chrześcijanin musi być osobą nieustraszoną i odważną. Gdyby więc kiedykolwiek okazał choćby cień lęku — uważałbym to za poważny upadek, jako że dowodziłoby to jego braku wiary, aby w pełni zaufać Panu. Taki

człowiek po prostu znajdowałby się poniżej uznawanego przeze mnie poziomu.

Tego rodzaju poglądy zachowałem aż do dnia, kiedy przeczytałem w 2-gim Liście do Koryntów, że apostoł Paweł oświadczył, iż był smutny. „Jako smutni..." (2 Kor. 6, 10) — i naraz musiałem się zastanowić. Co! Paweł był smutny? A potem przeczytałem, że Paweł wylał wiele łez: „Z wielu łzami pisałem do was" (2 Kor. 2, 4) i pomyślałem: „Czyż to jest możliwe, że Paweł płakał?" I dalej przeczytałem: „Byliśmy zbyt obciążeni nad siły, tak żeśmy zaczęli powątpiewać o życiu" (2 Kor. 1, 8). A wówczas zdumiony do najwyższego stopnia zacząłem znów pytać samego siebie: „Czy to jest możliwe, aby Paweł nawet p o w ą t p i e w a ł?" Nigdy mi nie przyszło na myśl, aby taki człowiek jak Paweł, mógł mieć tego rodzaju przeżycia. Ale w miarę, jak czytałem dalej, doszedłem stopniowo do wniosku, że chrześcijanie nie są tylko jakimś innym gatunkiem istot anielskich, niezdolnym do posiadania ludzkich uczuć i stwierdziłem, że mimo wszystko Paweł nie był pod tym względem dalekim od nas. Właściwie spostrzegłem, że Paweł b y ł c z ł o w i e k i e m — i to tego rodzaju człowiekiem, którego dobrze znałem.

Wielu ludzi posiada swoje zdanie, jakim winien być prawdziwy chrześcijanin, poglądy te są jednakowoż jednostronne, ponieważ poczęły się w umyśle człowieka, a nie wyszły od Boga. A w Pawle znalazłem „ten skarb" — znalazłem jednak, dzięki Bogu, również owo „gliniane naczynie"! A powtarzam, że to właśnie jest charakterystyczną cechą chrześcijaństwa, że mamy ten „skarb w naczyniach glinianych". W Pawle widzimy człowieka, który się lęka, a jednak jest stanowczy; jest otoczony przez wrogów — a jednak nie związany; wydaje się, że za chwilę zostanie pokonany, ale nie pognębiony. Jest rzeczą oczywistą, że jest słaby, a jednak oświadcza, że wtedy gdy jest słaby, wtedy jest silny. Widać wyraźnie, że w ciele swoim nosi śmierć Pana Jezusa, a jednak uważa tę właśnie okoliczność za podstawę dla objawiania się życia Jezusa w jego śmiertelnym ciele.

To bowiem, co widać na zewnątrz, nie stanowi jeszcze całego obrazu. Istnieje bowiem jeszcze poza słabością człowieka, objawiającą się w tych różnych okolicznościach, ogromna potęga mocy Bożej, która zadaje kłam objawom tej słabości. Ludzie mogą takiego Pawła widzieć jako mającego „złą sławę, jako nieznanego, jako zwodziciela, jako smutnego, jako

nic nie mającego", ba, nawet „jako umierającego" — a jednak mimo to wszystko Bóg potwierdza jego odważne stwierdzenia, że jest jednak „dobrej sławy, znany, zawsze wesoły, wielu wzbogacający, wszystko posiadający — a oto żyjemy!" (2 Kor. 6, 8 — 10).

MOC W SŁABOŚCI

Czy zaczynasz teraz rozumieć, co to znaczy być chrześcijaninem? Znaczy to być osobą, w której istnieją pospołu rzeczy, pozornie nigdy nie dające się ze sobą pogodzić, ale w której wciąż na nowo triumfuje moc Boża. Chrześcijaninem jest człowiek, którego życie zawiera w sobie tajemniczy paradoks — a paradoks ten pochodzi od Boga. Niektórzy ludzie wyobrażają sobie chrześcijaństwo jako sam skarb — bez naczynia. Jeśli czasem w jakimś słudze Pańskim można zauważyć to gliniane naczynie, uważają, że jest to beznadziejny wypadek, podczas gdy planem Bożym jest, aby właśnie w takim naczyniu można było znaleźć Jego skarb.

W tym miejscu musimy jednak zdać sobie dokładnie sprawę z różnicy zachodzącej między człowiekiem, a „ciałem" w człowieku — pomiędzy ograniczeniami, które są częścią składową istoty człowieka jako takiego, a jego cielesną naturą, która nieustępliwie nakłania go do grzeszenia, co sprawia, że bez pomocy Ducha Swiętego człowiek pozostaje zupełnie niezdolny do podobania się Bogu. Takie rozróżnienie jest bardzo ważne ze względu na to, że nawet w wierzącym człowieku pierwsza z tych rzeczy aż nadto łatwo przechodzi w drugą, a nasza ludzka natura bardzo często ustępuje miejsca grzesznej naturze cielesnej. Dlatego niechaj będzie to wiadome każdemu Czytelnikowi, że w rozdziale tym bynajmniej nie chcę usprawiedliwiać grzechu albo cielesności. Ciału trzeba się sprzeciwić i wydać je na śmierć — na śmierć krzyżową. (Ten temat rozwinąłem szerzej w 9-tym i 10-tym rozdziale „Normalnego życia chrześcijańskiego"). Ale słabość w tym drugim znaczeniu ma pozostać. Nawet nasz Pan i błogosławiony Zbawiciel „ukrzyżowany został z niemocy, ale żyje z mocy Bożej" (2 Kor. 13, 4); jeśli zaś chodzi o nas, to w tej właśnie naszej słabości wykonywa się moc Boża. Dlatego też istnieje „niemoc", z której można się chlubić (2 Kor. 12, 9).

Tak więc Paweł mówi nam, że ma „bodziec dany ciału". Nie wiem, co to było, wiem jednak, że rzecz ta ogromnie go

osłabiała, a także, że trzykroć prosił o jej usunięcie. W odpowiedzi na jego prośbę Bóg go jednak tylko zapewnił, że „Dosyć ci na łasce Mojej". Tylko tyle — ale to wystarczyło.

W jaki sposób może się moc Boża objawić tak wspaniale w słabym człowieku? Dzięki chrześcijaństwu. Ono bowiem jest t ą właśnie rzeczą. Chrześcijaństwo nie jest usunięciem słabości, ani nie jest li tylko objawieniem się mocy Bożej. Jest ono objawieniem się Bożej mocy w o b l i c z u ludzkiej słabości. Co do tego musimy mieć całkiem jasne zrozumienie. Pan nasz nie dokonuje li tylko negatywnego dzieła, czyli usunięcia naszej słabości. Nie jest to też dokonywanie jakiegoś tylko pozytywnego dzieła, czyli udzielanie nam na każdym miejscu mocy i to w nieograniczony sposób. Nie. On nam pozostawia naszą słabość — i udziela nam mocy — właśnie **w słabości**. Wszystkie skarby, które daje, umieszczone są w glinianych naczyniach.

WIARA W OBLICZU ZWĄTPIENIA

To, cośmy przed chwilą powiedzieli, jest w uderzający sposób prawdziwe w odniesieniu do wiary. Wielu ludzi przychodziło do mnie, żaląc się na odczuwanie strachu i niepewności — nawet w czasie, gdy starali się ufać Panu. Przedkładali Mu swe prośby, powoływali się na Jego obietnice, a jednak mimo woli w sercu ich powstawały wciąż na nowo wątpliwości. Zapewniam was, że skarb prawdziwej wiary objawia się w naczyniu, które może być boleśnie zaatakowane przez zwątpienie, i że obecność glinianego naczynia bynajmniej nie likwiduje tego skarbu; w takich okolicznościach skarb ten świeci raczej jeszcze wspanialszym blaskiem i pięknością. Ale proszę mnie źle nie zrozumieć — nie mam zamiaru nakłaniać do zwątpienia. Zwątpienie jest bowiem objawem pewnego braku u chrześcijanina. Chcę natomiast podkreślić, że chrześcijaństwo to nie tylko sama wiara, lecz triumf tejże wiary w obliczu zwątpienia.

Bardzo lubię przypominać sobie i innym o owej modlitwie wczesnego Zboru, w której proszono Boga o wyzwolenie Piotra z rąk niegodziwych ludzi. Gdy Piotr powrócił z więzienia i zapukał do drzwi domu, w którym zgromadzeni byli wierzący dla modlitwy, wówczas wykrzyknęli: „Anioł jego jest". Jakież to znamienne! Była tam wiara — prawdziwa wiara, tego rodzaju wiara, która mogła otrzymać odpowiedź od Boga,

a jednak była tam wciąż jeszcze również i słabość ludzka, i oto zwątpienie niejako wyglądało zza węgła. Ale dzisiaj wielu wierzących chlubi się posiadaniem wiary daleko większej od tej, którą mieli wierzący, zebrani wówczas w domu Marii, matki Jana Marka. I mają co do tego taką pewność!... Oni są pewni, że Bóg pośle anioła i że wszystkie drzwi więzienia się przed nim otworzą. Skoro tylko powieje lekki wiaterek, wołają: „Oto Piotr puka do drzwi!" A gdy zastukają po szybie pierwsze krople deszczu — znów wołają: „oto Piotr ponownie puka do drzwi!"

Tacy ludzie są zbyt pewni siebie. Ich wiara niekoniecznie jest w stu procentach prawdziwa. Nawet w najbardziej oddanym Panu chrześcijaninie zawsze znajduje się bowiem i owo gliniane naczynie, którego obecność — przynajmniej dla niego samego — jest aż nadto oczywista, chociaż decydującym czynnikiem nie jest nigdy to naczynie, lecz zawarty w nim skarb. W życiu normalnego chrześcijanina, w chwili gdy prawdziwa wiara wznosi się ku Bogu, aby w konkretny sposób Go się dotknąć, w umyśle jego może powstać równocześnie pytanie, czy też się czasem nie myli czyniąc tak. Kiedy jest najsilniejszym w Panu, często najbardziej sobie zdaje sprawę ze swojej niezdolności. Kiedy jest najodważniejszy — wówczas bywa też i najwyraźniej świadomy lęku, który odczuwa w sercu. A gdy jest najradośniejszy, poczucie przygnębienia bardzo snadnie chce go opanować. Tylko przemożna potęga mocy Bożej podnosi go wzwyż. Paradoks ten jest jednakże dowodem zarówno faktu istnienia tego skarbu, jak również woli Bożej, aby skarb ten znajdował się właśnie w takim naczyniu.

Powinno być przyczyną ustawicznych dziękczynień w stosunku do Boga, że żadne ludzkie słabości nie mogą ograniczyć Jego mocy. Jesteśmy skłonni myśleć, że tam, gdzie istnieje smutek, nie może mieć miejsca radość; że gdzie leją się łzy, tam nie może być chwały; że tam, gdzie istnieje widoczna słabość, musi być brak mocy; że w momencie, gdy otoczeni jesteśmy wrogami, całkowite osaczenie musi być nieuniknione; że tam, gdzie są wątpliwości, nie może być wiary. Ale pozwólcie, że z całym naciskiem i z pełnią zaufania ku Panu oświadczę, że Bóg stara się doprowadzić nas do zrozumienia, iż to wszystko, co jest ludzkie, ma na celu stanowić tylko gliniane naczynie, w którym ma być zawarty Boży skarb. Dlatego więc od tej chwili, gdybyśmy zdali sobie spra-

wę z przygnębienia, nie dajmy mu zwyciężyć, lecz dajmy zwyciężyć Panu; gdy w naszym sercu powstanie lęk albo zwątpienie — nie dajmy mu miejsca, lecz dajmy miejsce Panu, a wówczas skarb zalśni jeszcze wspanialszym blaskiem — właśnie dla obecności tego glinianego naczynia.

RADOŚĆ POŚRÓD BÓLU

W ostatnim ze swoich Listów Paweł pisze do Tymoteusza o czasach trudnych, które nastąpią „w ostateczne dni". Ostrzega, że przyjdą smutne chwile, w których ludzie (między innymi) będą „wyzuci z miłości" (2 Tym. 3, 1 — 3). Powinniśmy na tę rzecz zwrócić baczną uwagę, gdyż jest to niebezpieczeństwo dni ostatecznych. Taki stan rzeczy jest oczywiście sprzeczny z chrześcijaństwem. Byliśmy naocznymi świadkami straszliwych przykładów tego właśnie zjawiska w wychowywaniu młodzieży w hitlerowskich Niemczech, gdzie świadomie wzbudzano sadyzm już u małych dzieci, ucząc je zabijać najpierw bezbronne zwierzęta i niszcząc w dzieciach tych wszelkie ludzkie uczucia.

A jednak te wiersze, które cytowaliśmy z Listu do Tymoteusza, były napisane dla chrześcijan. Czyż mamy stąd wyciągnąć wniosek, że coś z tej bezduszności zaatakuje chrześcijaństwo i że będzie ją można spotkać pomiędzy wierzącymi w ostatecznych czasach? To jest po części możliwe. Ludzie dojdą bowiem do tego, że będą uważali, iż wtedy będą dobrymi chrześcijanami, jeśli wyrzekną się odpowiedzialności za swoich rodziców, żony lub dzieci.

Jest prawdą oczywiście, że Pan Jezus powiedział: „Jeśli kto idzie do Mnie, a nie ma w nienawiści ojca swego, i matki, i żony, i dzieci, i braci, i sióstr, a nawet i życia swego, nie może być uczniem Moim" (Łuk. 14, 26). Tak, nasz Pan powiedział te słowa, ale z całą pewnością nie powiedział, jak wydawałoby się i jak myślą niektórzy ludzie w naszych czasach, że tylko ci, którzy by się radowali z opuszczenia ojca, matki, żony i dzieci — mogą być Jego uczniami. Pod pozorem służby dla Pana ludzie opuścili swoich najbliższych i tych, za których utrzymanie byli odpowiedzialni — po prostu z braku serca, a nie z miłości dla Pana. „Jestem tak uduchowiony", powiada taki człowiek, „że nie chcę mieć nic do czynienia z moją rodziną". Znałem pewnego brata, który uważał się za bardzo oddanego Panu, ponieważ nie bał się

opuścić swojej rodziny i pójść głosić Ewangelię, podczas gdy myśmy wszyscy wiedzieli, że nigdy prawdziwie o nich nie dbał. Tego rodzaju rzeczy zdarzają się niestety aż nazbyt często — ale Bóg nigdy się do tego nie przyzna.

Prawdziwe uduchowienie — to d b a ć o swoich kochanych, ale jednocześnie pozwolić Krzyżowi Chrystusa rozprawić się z tym wszystkim, co stoi na drodze w wypełnieniu woli Bożej. W takim wypadku pójdziemy, ponieważ Bóg nas wzywa, a nie dlatego, że będzie to łatwym sposobem pozbycia się odpowiedzialności za utrzymanie rodziny. Można przyjąć to zupełnie spokojnie za regułę, że jeśli taka rozłąka nic nie k o s z t u j e, to coś nie jest w porządku i sprawa ta nie jest od Boga. Życie rodzinne musi być uznawane jako coś poświęconego, i należna cześć winna być oddawana sobie nawzajem przez małżonków — a p r z y t y m należy umożliwić Bogu dotknięcie się i rozprawienie się z naszą naturalną siłą, która wyraża się w naszym cielesnym podejściu do życia.

Pamiętajcie bowiem, że Bóg szuka skarbu w e w n ą t r z n a c z y n i a. A więc na tym polega chrześcijaństwo — nie, żebyśmy się sami ograbiali z uczucia i gwałtem je tłumili, w ten sposób starając się naczynie nasze uczynić niewidocznym, ale żeby naczynie było widoczne — wraz ze skarbem znajdującym się wewnątrz. Nie oznacza to, że ktoś jest w stanie przechodzić przez bolesne przeżycia tylko dlatego, że się wyzbył wrażliwości na ból, ale zachowując pełną świadomość, doznajemy posilenia ze strony naszego niebiańskiego Pomocnika, który nas poprzez dane przeżycia przeprowadza — pomimo odczuwania bólu. Jest więc i gliniane naczynie, ale jest również i skarb. Czym jest ten skarb? Jest nim życie Pana Jezusa — zwycięskie życie Tego, który „zapłakał", który „rozrzewnił się w duchu", „wzdycha w duchu Swym" i którego dusza smętna była „aż do śmierci" (Jan 11, 33. 35. 38; 12, 27: 13, 21; Mar. 8, 12; Mat. 26, 37. 38).

Tak jest. Nasza ludzka istota jest owym glinianym naczyniem. W czymże się zatem jako chrześcijanie, różnimy od innych naczyń? W żadnym wypadku różnica nie polega na materiale, z którego jest zrobione — a wyłącznie na zawartości. Jedyną rzeczą, która nas odróżnia, jest ów cud skarbu, który w naczyniu tym znalazł swoją świątynię.

Znałem pewnego brata, który bardzo miłował swoją żonę. Pewnego razu zaistniała potrzeba udania się w dłuższą podróż misyjną, która spowodowałaby kilkumiesięczną nie-

obecność w domu, i właśnie gdy miał wyruszać w drogę, żona jego była w bardzo kiepskim stanie zdrowia, jako że było to zaledwie sześć dni po połogu. Jeden z naszych wspólnych znajomych posłał mnie do niego z krótkim listem, a gdy zbliżałem się do domu, w którym mieszkał, zobaczyłem tego brata, wychodzącego ze swego domu w towarzystwie jeszcze jednego mężczyzny, który pomagał mu nieść walizki. Ja go widziałem, ale on mnie nie widział. Przyglądałem mu się, jak szedł mały kawałek, a potem się zatrzymywał, odwracał się i patrzył w stronę swego małego domku, a potem po chwili wahania zaczął powoli wracać z powrotem. Nie czekałem dłużej. Widząc, że w duszy jego rozgrywa się jakaś walka, udałem się do portu inną drogą, ponieważ nie chciałem być intruzem w jego duchowych przeżyciach. Kiedy i on przybył do przystani, rzekłem do niego: „Bracie, niech ci Pan pobłogosławi!" Wydawał się być całkiem szczęśliwy i odpowiedział: „Tak, oby Pan rzeczywiście nam pobłogosławił."

Gdy po kilku miesiącach powrócił z podróży, zapytałem go, czy sobie przypomina ten wypadek, wyjaśniając, że go widziałem, choć byłem przez niego niespostrzeżony. Odpowiedział mi: „Oczywiście, że sobie przypominam. Było to zaledwie sześć dni po urodzeniu się dziecięcia. Małżonka moja nie miała żadnej pomocy domowej, a trzeba było opiekować się jeszcze dwojgiem drobnych dzieci. Na domiar wszystkiego nie byłem w stanie dać jej do dyspozycji jakiejś większej kwoty pieniędzy i dlatego, gdy tak stałem na ulicy, zdawało mi się, że nie mogę jej po prostu w takim stanie zostawić; wydawało się to postępowaniem bez serca. Ale gdy wracałem z powrotem, do serca mego przyszły słowa tego wyroku: „Żaden, który by przyłożył rękę swoją do pługa, i oglądał się nazad, nie jest sposobnym do Królestwa Bożego." Zawróciłem więc i udałem się do przystani."

Często o zdarzeniu tym opowiadam, ponieważ jest ono bardzo dobrym przykładem istoty glinianego naczynia i znajdującego się w nim skarbu. „Ciało wasze jest przybytkiem Ducha Świętego, który w was jest" (1 Kor. 6, 19). Oto na czym polega życie chrześcijańskie. Niektórzy ludzie wydają się nie posiadać glinianego naczynia; są jak gdyby bezcielesnymi duchami — albo przynajmniej usiłują takimi być! Ale prawdziwe chrześcijaństwo to iść wytrwale za pługiem — ocierając równocześnie łzy; to przewyższające działanie wspaniałego skarbu znajdującego się w glinianym naczyniu.

Chciałbym na koniec zastosować tę zasadę praktycznie również w odmienny jeszcze sposób. Słowo Boże wskazuje bowiem w niektórych miejscach na pozytywną stronę współdziałania tego dualizmu w naszym istnieniu tutaj na ziemi, który powstaje na skutek zaszczepienia w nas przez nowe zrodzenie duchowego życia. W Liście do Efezów 4, 26. 27 apostoł Paweł powiada: „Gniewajcie się, lecz nie grzeszcie". Czy wiemy coś o tym? Oczywiście — gniewać się i grzeszyć, zawsze jest rzeczą złą. Ale jak wielu z nas uważa, że jedynym sposobem uniknięcia grzeszenia jest nigdy się nie gniewać! Po prostu nie wiemy, co to znaczy gniewać się, a jednak nie grzeszyć; nie wiemy j a k to się robi.

I w tym wypadku ogromną pomocą jest przypatrzenie się ludzkiej stronie Osoby Pana Jezusa. Gdy przejeżdżał przez Jezioro Galilejskie wraz z Swoimi uczniami, a rozpętała się burza, wówczas — czytamy — uczniowie zawołali w wielkim strachu. A co uczynił Pan Jezus? Nie poprzestał na dopomożeniu im w potrzebie, ale czytamy, że także ich surowo zgromił słowami: „Czemużeście bojaźliwi? o małowierni!" (Mat. 8, 26). Rad jestem, że Pan nasz był w stanie doświadczać tego rodzaju uczuć i używać tak wyraźnych i mocnych słów. Jak wielu świętym, na przestrzeni wieków, dopomogło owo wyzwanie! A potem znów czytamy, że gdy uczniowie przywiedli do Pana Jezusa owego chłopca, który był lunatykiem, Pan nasz rzekł: „O rodzie niewierny i przewrotny! Dokądże będę z wami? Dokądże was będę cierpiał?" (Mat. 17, 17). Jak wielu z nas zostało do głębi poruszonych i tymi słowami, i zapragnęło wyciągnąć dla siebie naukę w nich zawartą, czytając o tym wydarzeniu!

Gdy zachodziła potrzeba, Pan nasz potrafił mówić do Faryzeuszów, używając słów pełnych mocy: „Biada wam, wodzowie ślepi!" „Wzruszyliście przykazania Boże dla ustawy swojej, obłudnicy!" (Mat. 15, 6. 7; 23, 16). Gdy zaś znalazł w świątyni sprzedających i wygnał ich, a stoły wekslarzy poprzewracał, wówczas powiedziano o Nim: „Gorliwość o dom Twój zżarła mię" (Jan 2, 17). W sercu Jego wzbudziło się oburzenie. Ale niestety! Jak niewielu tylko chrześcijan zna to święte oburzenie, kontrolowane przez Ducha Świętego, które objawiało się w życiu naszego Pana, a co za tym idzie — jak bardzo niewielu tylko zna autorytet duchowy, który jest jego następstwem! A jednak nie było w Nim żadnej

sprzeczności. Potrafi uroczyście oświadczać: „Biada tobie, Chorazynie! Biada tobie, Betsaido!" — a czytamy również, że w tym samym czasie (i nie było w tym niekonsekwencji), „rozradował się Jezus w duchu i rzekł: Wysławiam Cię, Ojcze, Panie nieba i ziemi!" (Łuk. 10, 13. 21; Mat. 11, 20 — 25).

Chodzi tu o to, że dla chrześcijanina istnieje gniew, który daleki jest od grzechu; a jednak nawet szczerzy wierzący nie rozumieją, że można odróżnić grzech od gniewu — i w związku z tym odrzucają jedno i drugie. Wiele jest przecież takich rzeczy na świecie, które należy zgromić. Ilu jest jednakowoż takich, którzy by umieli zaaplikować tego rodzaju zgromienie? Niestety, bardzo niewielu. Straciliśmy ową moc. Poklepać kogoś po ramieniu — nawet wtedy, gdy jest w błędzie, i równocześnie przymknąć oko na jego postępki — tylko w celu pozostania z nim w dobrej komitywie — jest mizernym wyjściem z sytuacji. Zgromienie go może kosztowałoby nas wiele — ale tego właśnie wymaga od nas Pan.

Dlaczego nie umiemy strofować? Ponieważ niemal zawsze czyniąc tak, narażamy się na odwzajemnienie strofowaniem z drugiej strony; nie wiemy bowiem, jak się gniewać, nie dając równocześnie miejsca grzechowi. Nie jesteśmy w tych sprawach prawdziwie pod kontrolą Ducha Świętego — jak to być powinno. Jeśli chodzi o ścisłość, wielu z nas nie poszło taką drogą, która by tę kontrolę umożliwiła. Gniew bowiem, który jest wolny od grzechu, jest zawsze czymś, co nas musi drogo kosztować i zawsze jest następstwem Bożego działania poprzez Krzyż na nasze życie. Według ciała, to jest takim, jakimi jesteśmy z natury, rzeczywiście nie jest rzeczą możliwą gniewać się i równocześnie nie grzeszyć. Nasza istota ludzka — w odróżnieniu od doskonałej istoty Pana Jezusa — jest upadłą, a ciało nasze — grzesznym ciałem. W nas istnieje podstawowa sprzeczność, podczas gdy w Nim żadnej takiej sprzeczności nie było. Stąd też jeśli ktokolwiek z nas folguje gniewowi — z całą pewnością grzeszy.

A jednak gniewanie się — bez popełniania grzechu — nie tylko jest możliwe, ale otrzymaliśmy rozkaz, aby tak czynić: „Gniewajcie się, lecz nie grzeszcie; niech słońce nie zachodzi na gniew wasz. I nie dawajcie miejsca diabłu" (Efez. 4, 26. 27). W słowach tych wyjaśniona jest jedna część tajemnicy bezgrzesznego gniewania się, mianowicie dopilnowanie, aby gniew nasz nie trwał aż do wieczora. Innymi słowy: my nie powinniśmy pozwolić naszemu „ja" wchodzić w to. Jeśli w sercach naszych gniew pozostaje jeszcze po

danym wypadku, wówczas mamy dowód, że ta sprawa dotknęła nas samych. A z chwilą, gdy jesteśmy dotknięci daną sprawą, z całą pewnością będzie miał miejsce grzech. Bóg ustanowił więc dla nas wielką pomoc w postaci ograniczenia czasu: wolno nam się gniewać, ale nie wolno nam pozostawać w gniewie po zachodzie słońca. Gniew może więc być wolny od grzechu, jeśli nawet wtedy, gdy jesteśmy bardzo rozgniewani — pozostajemy pod kontrolą Bożą, tak że gdy przychodzi czas, w którym ma gniew ustać — aby istotnie ustał. Ale gdy nasze „ja" zostaje zaangażowane w gniewie, wówczas nie może on ustać. Większość dzieci Bożych zna gniew jako uczucie ludzkie, a także zdają sobie sprawę z tego, że nawet wtedy, gdy powód do gniewu jest słuszny, jest rzeczą niewłaściwą folgować mu i pozwolić na trwanie przez dłuższy czas. Pomimo to jest niestety aż zbyt wiele wypadków, kiedy wierzący pozwalają uczuciom swoim nad sobą zapanować i tracą nad nimi całkowicie kontrolę. Z drugiej strony znaleźli się jednak i tacy, którzy usiłowali rozwiązać ten problem, a raczej ominąć go, poprzez próbę całkowitego zduszenia w sobie wszelkich naturalnych uczuć. Koło takich ludzi mogą się dziać rozmaite rzeczy, a oni mimo wszystko pozostają obojętni, usiłując przymusić się do pozostawania dalekimi sercem od tego, co się dzieje. Mamy oczywiście wyraźne powody po temu, aby pierwszą z tych dwu skrajności uważać za złą, ale z drugiej strony nie przychodzi nam łatwo, aby zobaczyć, że druga z nich jest również zbyt łatwym sposobem pozbycia się odpowiedzialności. Nie było to nigdy intencją Bożą, abyśmy brali się w garść aż tak silnie, by wszelkie uczucia ludzkie zostały w zupełności zdławione i żebyśmy się stali w końcu podobnymi górze lodowej. Wręcz przeciwnie. Dzieje się bowiem tak, że ci, którzy taki stan osiągają, niemal bezustannie wysysają mnóstwo energii od otaczających ich osób, które w jakiś sposób muszą uzupełnić brak owych „naturalnych uczuć" — jeśli wzajemne stosunki mają pozostać jako tako znośne. Nie; powinniśmy raczej pozwolić Duchowi Świętemu, aby na Swój sposób zechciał użyć naszych uczuć i sposobu ich okazywania. Jest rzeczą oczywistą, że On musi mieć rolę kierowniczą. My zaś, rzecz jasna, musimy mieć ów Boży skarb — ale w żadnym wypadku nie powinniśmy starać się przechowywać go w lodówce! Potrzebne jest wraz z nim i zwyczajne naczynie, w którym skarb ten byłby zawarty i przez które mógłby się objawiać.

Gdy się gniewamy i grzeszymy — wówczas jest to grzechem; powtarzam jednakowoż, że jest gniew, w którym nie ma grzechu. Możemy się gniewać, a równocześnie mieć w naszych sercach miłość. Jest rzeczą najzupełniej możliwą być pobudzonym do gniewu, a równocześnie płakać z współczucia dla tych, w stosunku do których zapłonęliśmy gniewem. Paweł potrafił płakać, a równocześnie pozostać nieporuszonym. Pisze on: „Bo jeśli was i zasmuciłem listem..." „Kto się gorszy, a ja się nie zapalam?" I dalej jeszcze: „Gdy znowu przyjdę, nie będę oszczędzał". (2 Kor. 7, 8; 11, 29; 13, 2). Bóg pragnie mieć to naczynie gliniane — i to nie przykryte, albo zamaskowane, ale kontrolowane przez znajdujący się w nim skarb.

Oto w czym objawia się chwała chrześcijaństwa: Bóg potrafi objawiać Swój skarb nawet w najskromniejszym, glinianym naczyniu. Chrześcijaństwo jest paradoksem, a w miarę, gdy my, chrześcijanie, codziennym życiem potwierdzamy możliwość istnienia takiego paradoksu — poznajemy Boga. Jeśli chodzi o prawdę, to życie nasze staje się coraz większym paradoksem, w miarę, gdy robimy postępy w prawdziwym chrześcijaństwie. Skarb znajdujący się wewnątrz objawia się coraz wspanialej, chociaż naczynie gliniane, w którym się znajduje, pozostaje nadal tylko glinianym naczyniem. Jest to coś nad wyraz pięknego. Przyjrzyj się Bożej cierpliwości, objawiającej się w życiu człowieka, który z natury był bardzo niecierpliwy, i porównaj to z wrażeniem, które robi na tobie człowiek, którego nigdy nic nie jest w stanie wzruszyć. Przyjrzyj się Bożej pokorze w kimś, który z natury był arogancki i pyszny, i porównaj to z wrażeniem, które na tobie robi człowiek z natury powściągliwy. Przyjrzyj się mocy Bożej, objawiającej się w kimś z natury słabym i pozbawionym temperamentu — i porównaj to z kimś, który z natury posiada silny charakter. Różnica jest olbrzymia. Nie da się jej wprost zmierzyć.

Ludzie z natury słabi, bywają skłonni do oceniania zbyt nisko swojej użyteczności dla Pana, właśnie z racji wyraźnie okazującego się w życiu takich ludzi glinianego charakteru ich naczynia. Ale czyż nie jest taki pogląd i smutek z tego powodu zupełnie nieuzasadniony, skoro skarb znajdujący się wewnątrz charakteryzuje się właśnie tym, że nabiera tym większego splendoru, im mizerniejsze jest naczynie, z którego bije jego blask? Bracia i siostry, pozwólcie, że raz jeszcze podkreślę, że wszystko zależy od rodzaju

skarbu, a nie od ułomności naczynia, w którym się znajduje! Stąd też jest szaleństwem podkreślać stronę negatywną; naszą sprawą winno być zajęcie się stroną pozytywną. Są tacy chrześcijanie, o których możemy z łatwością powiedzieć, że z natury są prędcy lub powolni, bojaźliwi lub impulsywni, łatwowierni lub niecierpliwi. A jednak — i na tym polega ów cud — znajduje się w nich równocześnie ów kosztowny skarb, który triumfalnie prześwieca przez to wszystko, ponieważ na ich ludzkiej ułomności znalazł się znak Chrystusowego Krzyża. Owa **przewyższająca wielkość mocy nie jest z nas — ale z Boga.**

Rozdział V

Nieporuszony fundament Boży

Autobiograficzna część 2-go Listu do Koryntów umożliwiła nam zwrócenie uwagi na aspekt osobistego chodzenia chrześcijanina ze swoim Panem, szczególnie plastycznie przedstawiony przez apostoła Pawła, który w tej części Listu przedstawia swoje doświadczenia jako sługi Ewangelii. Obecnie przejdziemy jednak do analizy tego elementu usługi Pawła, którą uważamy za szczególną i charakterystyczną dla jego działalności, a w tym celu powrócimy do jego Listu do Rzymian, a w szczególności do jego końcowych rozdziałów. Rozdział 12-ty tego Listu rozpoczyna się od apelu skierowanego pod naszym adresem, abyśmy się ofiarowali jako słudzy, czyli niewolnicy, ku wykonywaniu woli Bożej. Takie ofiarowanie się jest „rozumnym" wynikiem tego wszystkiego, co do tego miejsca przez Pawła zostało powiedziane, i to zarówno w odniesieniu do naszej osobistej wiary, jak i do Bożego powołania. Bezpośrednio po tych słowach czytamy wzmiankę o „Ciele Chrystusa", a to określenie najlepiej wyjaśnia temat, jaki w tej chwili mamy omawiać. „My wielu jesteśmy jednym ciałem w Chrystusie", powiada, „a z osobna jesteśmy jedni drugich członkami." Cóż to znaczy?

Paweł wyjaśnia, że już przed wiekami istniało coś w samym sercu Boga, co jednorodzony Syn, ów Pomazany, miał zrealizować. Mówi on o tej sprawie jako o „tajemnicy" — Bożej tajemnicy, zamilczanej od wieków, ale teraz objawionej przez Boga Jego sługom przez „opowiadanie Jezusa Chrystusa" w obecnym nowym okresie Ducha (Rzym. 16, 25. 26). Odsłonięcie tej tajemnicy ukazuje nam podstawową różnicę pomię-

dzy naszym — a Bożym pojęciem istoty zbawienia, pomiędzy naszym zrozumieniem dzieła odkupienia, dokonanego na Krzyżu — a pełnym, Bożym zrozumieniem tegoż odkupienia.

Jak już powiedziałem poprzednio, gdy zastanawialiśmy się nad rozdziałami 1 — 8 Listu do Rzymian, wszyscy wierzymy, że Krzyż jest ośrodkiem całej pracy Bożej, i jesteśmy Bogu wdzięczni i uwielbiamy Go, że uczynił to rzeczą całkiem jasną naszemu sercu. Niemniej musimy pamiętać, że Krzyż był i jest środkiem wiodącym do celu, a nigdy nie był celem sam w sobie. Bożym celem, do którego miał on doprowadzić, jest właśnie to, co Paweł nazywa „Ciałem Chrystusowym". Jeśli Krzyż znany nam jest w sposób, w jaki Bóg życzy Sobie, aby nam był znany, to wówczas niewątpliwie znajdziemy się w tymże Ciele. Nie może być inaczej. Jeśli nie znajdujemy się tam w duchu, to musimy wyznać, że Krzyż dokonał w nas dopiero część swego dzieła przemienienia. Zbawienie, odpuszczenie, usprawiedliwienie, wyzwolenie z tyranii grzechu, osobista świętobliwość, zwycięskie życie, chodzenie według Ducha — wszystko to są ogromnie cenne owoce odkupienia, którymi mamy się cieszyć, ale nie były one przewidziane jako mające zastosowanie do nas jako miriadów oddzielnych cząsteczek, rozproszonych po tym Bożym świecie. Wartości ich mają sięgać dalej. Zbawienie, czy wybawienie z mocy grzechu odnosić się ma do całego Ciała i podobnie ma się sprawa z osobistą świętobliwością. A choćby prawdziwie dzieci Abrahama były tak liczne jako piasek na brzegu morskim, to jednak jako chrześcijanie powinniśmy — stosownie do życzenia Bożego — widzieć siebie samych nie jako wielu mężów, lecz jako jednego Męża. Celem Bożym, który powstał w myśli Bożej już przed wiekami, nie jest bowiem mnóstwo małych mężów, lecz jeden niebiański Mąż.

Pewnego dnia po nabożeństwie ewangelizacyjnym zadano mi pytanie, na które odpowiedziałem w takim właśnie sensie. Otóż jeden wykształcony uczestnik tego nabożeństwa rzekł: „Mnie się wydaje, że pomimo tego, że pan opowiada o prawdach, mających za cel doprowadzić nas, biednych grzeszników, do nieba — to ja się tam nigdy nie znajdę. Będzie tam zbyt wielki tłok!" Wobec okoliczności, w których to pytanie zostało mi zadane — odpowiedź moja nie była może całkiem na miejscu, i muszę się przyznać, że po części byłem tego świadomy, lecz nie mogłem oprzeć się wyrażeniu się właśnie w ten sposób i jeśli Duch Święty nie dopomógł mu —

to właściwy sens tej odpowiedzi nie dotarł do świadomości owego słuchacza. Oto co powiedziałem: „Pan się myli. Niebo nigdy nie będzie przepełnione. Będzie się tam bowiem znajdował tylko jeden Mąż, a nie dwóch — a z całą pewnością nie będzie tam tłumu! Jedynym Mężem, który znajdować się będzie w niebie, jest Boży nowy Człowiek — sam Syn Boży i ci, którzy przez wiarę w Niego znajdują się w Nim. I t a m właśnie pragnie On mieć i pana!" I tak jest rzeczywiście. Bóg patrzy na Swój lud nie jako na zbiorowisko niezależnych od siebie jednostek, lecz jako na jednego niebiańskiego Męża: Chrystus jest Głową, a my członkami. Oto odkrycie, jakiego dokonał apostoł Paweł.

Nie mówi nam, w jaki sposób to nowe objawienie Chrystusa stało się jego udziałem. Jest rzeczą znamienną, że jakkolwiek był on mężem o wielkim doświadczeniu i posiadającym wielką, a tajemną historię obcowania z Bogiem, to jednak Paweł najzupełniej przemilcza wszystko, co dotyczy natury i sposobu otrzymywania owych „widzeń i objawień Pańskich". Powiada, że nie byłoby mu rzeczą pożyteczną z nich się chlubić. Tylko wbrew swym pragnieniom i pod silnym naciskiem okoliczności powiedział coś na temat „człowieka w Chrystusie, który przed czternastu laty..." (2 Kor. 12, 1. 2). Czternaście lat! A tymczasem wielu z nas, w tym samym niemal momencie, gdy otrzymamy coś od Pana, rozgłaszamy to na całe miasto! Nie powiedzieć o tym nic, choćby przez dwa lata, byłoby już nie lada wyczynem. Ale Paweł nawet po czternastu latach nie mówi nam jeszcze c o to było za widzenie, poza stwierdzeniem, że było to dalsze objawienie Jezusa Chrystusa. Jest jednakże całkiem pewne, że widzenie to zrobiło na nim ogromne wrażenie, i że odbiło się ono głębokim echem w jego usługiwaniu.

KRZYŻ A CIAŁO

„Ale teraz w Chrystusie Jezusie... staliście się bliskimi przez krew Chrystusową. Albowiem On jest pokojem naszym, który z obu (Żydów i Greków) jedno uczynił... aby z dwóch stworzył w Sobie samym jednego nowego człowieka i pojednał obydwóch w jednym ciele z Bogiem przez Krzyż" (Efez. 2, 11 — 22). Musimy więc zadać sobie pytanie, co to jest „to jedno ciało", ten „nowy człowiek"? Co to jest za tajemnica Chrystusa, którą zobaczył Paweł?

W Liście do Rzymian 6, 6 Paweł mówił o „starym człowieku", a pojęcie to mieści w sobie to wszystko, co przychodzi do nas z „pierwszego człowieka, z Adama". Tego właśnie „starego człowieka" widzi przybitego do krzyża wraz z Chrystusem. W Liście do Kolossów 3, 11. 12 pisze on o „nowym człowieku", jako o sferze, w której nie może być więcej mowy o Greku czy o Żydzie, ponieważ obecnie „wszystkim i we wszystkich Chrystus". Dla naszego starego człowieka jedyną cząstką było ukrzyżowanie z Chrystusem; w nowym Człowieku znalezieni jesteśmy w połączeniu z Nim — jako zmartwychwstali i posadzeni pospołu z Nim w niebiosach. Pomiędzy tym starym a nowym człowiekiem widnieje ów potężny Krzyż, jako jedyna brama wiodąca do takiej społeczności jednych z drugimi — i do społeczności w Jezusie Chrystusie.

Może ktoś mnie zapyta, co mam na myśli używając w ten sposób terminu „Krzyż"? Zdaje mi się, że najlepiej podsumowuje znaczenie słowa tego krzyk tłumów i słowa ich użyte pod adresem swej Ofiary: „Strać tego!" Po ludzku mówiąc, **ukrzyżowanie oznacza koniec.** Celem Bożym jest, aby Krzyż Chrystusa w życiu każdego człowieka oznaczał koniec tego, co podpada pod Jego wyrok śmierci, ponieważ tam Pan Jezus zajął nasze miejsce i sąd Boży spadł na Niego.

Krzyż ma jednak jeszcze i dalszą wartość dla nas. Tam bowiem zostało również złamane samowystarczalne i indywidualistyczne życie naturalne chrześcijanina, podobnie jak siła i niezależna natura Jakuba zostały złamane u brodu Jabck. W Bożym postępowaniu z każdym z nas przychodzi taki dzień, w którym duszy naszej zostaje zadana taka ubezwładniająca rana, tak że od tej chwili „jesteśmy chromymi". Bóg nigdy nie zezwala na to, aby rzecz ta była dla nas li tylko teorią. Niestety, muszę się przyznać, że przez szereg lat sprawa ta była dla mnie niczym więcej jak tylko teorią. Opowiadałem o Krzyżu w ten właśnie sposób, chociaż jeszcze niczego podobnego we własnym życiu nie doświadczyłem — aż nastał dzień, w którym z o b a c z y ł e m, że to ja właśnie umarłem tam na krzyżu z Chrystusem. „Strać tego!" powiedzieli, a mówiąc te słowa nieświadomie jakby echem powtarzali Boży wyrok wydany na m o j e g o starego człowieka. I ten wyrok, który został wydany przeciwko mnie, został wykonany na mnie w N i m. To ogromnej wagi odkrycie zrobiło na mnie niemal tak samo wielkie wrażenie, jak moje nawrócenie się. Tak, przez całych siedem miesięcy po tym

przeżyciu byłem tak głęboko upokorzony, że nie byłem wprost w stanie głosić Słowa Bożego, chociaż od dłuższego czasu, muszę się przyznać, opowiadanie o moim Zbawicielu było moją najgorętszą pasją.

Jeśli zaś uświadomienie sobie tej poniekąd negatywnej strony Krzyża może być aż tak wstrząsającym przeżyciem, to objawienie naszym sercom niebiańskiego Ciała Chrystusa okazało się dla wielu początkiem nie mniej fundamentalnych przemian. Przeżycie to można by bowiem porównać do przybycia do przepięknej miejscowości, o której dotąd wiedziało się tylko coś niecoś ze słyszenia. A jak ogromną różnicę znajdujemy w rzeczywistości! Czytanie przewodnika po Londynie nie zastąpi zwiedzenia tego miasta. Nie zastąpi też okresu praktyki kuchennej czytanie książki z recepturami. Aby coś poznać doświadczalnie, wcześniej lub później musimy się zaangażować w danej sprawie osobiście.

O tak — musimy mieć pewne fundamentalne doświadczenia w życiu duchowym, a owo „ujrzenie" Ciała Chrystusa — niebiańskiego Męża — bezwzględnie do nich należy. Czym jest to przeżycie? Jest nim po prostu odkrycie tych wartości, które, jak już powiedziałem, znajdują się po tamtej stronie Krzyża, których początkiem stało się zmartwychwstanie. Tam to, co już się dla nas stało uwolnieniem od naszego starego samolubnego życia w Adamie — staje się bramą wiodącą do życia nowego, „życia wiecznego", które dzielimy z innymi w Chrystusie. Ten bowiem Krzyż, jako jedyny z rzymskich krzyży, nie oznacza tylko końca; oznacza on również początek. W śmierci i zmartwychwstaniu Chrystusa nasze rozproszenie ustępuje miejsca jedności życia w Nim.

Bogu nie wystarczają pojedynczy, rozproszeni chrześcijanie. Z chwilą, gdyśmy uwierzyli w Pana i przyjęli Go do naszego serca, staliśmy się członkami Jego Ciała. Oby Bóg sprawił, aby ten fakt zajaśniał pełnią blasku w naszych sercach! Czy usiłuję otrzymać jakieś duchowe przeżycia dla siebie? Czy może usiłuję nawrócić ludzi do mego ugrupowania religijnego? Albo też serce moje rozradowała już wizja jednego niebiańskiego Człowieka i zdałem sobie sprawę z tego, że Bóg usiłuje ludzi do Niego włączyć? Z chwilą, gdy to mi się stanie jasne — zbawienie, wyzwolenie z tyranii grzechu, napełnienie Duchem, tak, wszystko co wchodzi w zakres doświadczeń życia chrześcijańskiego, będę mógł oglądać z innego punktu widzenia i wszystko będzie niejako dla mnie przemienione.

A teraz będziemy starali się rozwinąć niektóre aspekty tego zagadnienia. W Nowym Testamencie Kościół opisany jest w rozmaity sposób. Czytamy o nim jako o domu duchownym albo świątyni („mieszkanie Boże w Duchu"), jako o ciele albo człowieku („Ciało Chrystusa", „jeden nowy człowiek"), a także o żonie („oblubienica przyozdobiona dla męża swego"), a te porównania winniśmy zachować w pamięci przy studiowaniu zagadnień, które będziemy rozważali za chwilę. Pozostałą część tego rozdziału poświęcimy rozważaniom na temat fundamentu Kościoła, a potem w następnych czterech rozdziałach będzie mowa o jego wiecznym charakterze, społeczności, usługiwaniu i wreszcie o jego obecnym wysokim powołaniu i zadaniach. Nawet i wtedy jeszcze rozważania nasze nie będą skończone, ponieważ znaczenie Kościoła dla Boga jest tak ogromne, że gdy wreszcie przejdziemy do analizy usługiwania apostoła Jana, niemożliwością będzie nie zauważyć, jak poczesne miejsce Kościół zajmuje także i przy końcu opisywanych przez Jana dziejów.

NA TEJ OPOCE

„Według łaski Bożej, która mi jest dana, jako mądry budowniczy założyłem fundament" — pisze Paweł do Koryntów (1 Kor. 3, 10). O jakim fundamencie pisał on tutaj? Nie chodziło zapewne o coś charakterystycznego dla Pawła, co miałoby swój początek w nim, czy też tylko jemu było właściwe. Fundament ten był wspólny wszystkim apostołom i musimy na chwilę przyjrzeć się Ewangeliom i słowom samego Pana Jezusa, aby znaleźć jego pierwszą definicję. Zwróćmy uwagę na słowa Pana Jezusa, wypowiedziane pod adresem Piotra w Cezarei Filipa, a mające tak wielką wymowę: „A ja ci powiadam, żeś ty jest Piotr; i na tej Opoce zbuduję Kościół Mój" (Mat. 16, 18).

Jest rzeczą bardzo ważną, aby dobrze zrozumieć ten urywek Słowa Bożego, ponieważ — jak zobaczymy — definiuje on punkt wyjścia, od którego później z kolei rozpoczyna i Paweł. Co Pan Jezus chciał tymi słowami podkreślić? Ty jesteś P e t r o s, to znaczy kamień — który pospołu z innymi ma wejść w skład fundamentów Mojego Kościoła (Efez. 2, 20; Obj. 21, 19) — a na tej Opoce będę budował. A czym jest Kościół? Jest on konstrukcją żywych kamieni, zbudowaną na skale. A czym jest owa skała? Oto, co mu-

simy wyjaśnić szczególnie uważnie: jest nią wyznanie, oparte na objawieniu Osoby.

Pan Jezus, który zdawał się nigdy nie dbać o to, co ludzie o Nim mówili lub myśleli, nagle zwraca się do uczniów Swoich z takim pytaniem: „Za kogóż ludzie poczytują mnie, Syna Człowieczego?" A potem, odwracając się od poglądów i spekulacji innych, Pan posunął się o krok naprzód i zwracając się do Swoich uczniów, zapytał: „A wy za kogo Mię poczytujecie?" Wyzwanie to sprawiło, że z ust Piotra wyrwało się spontanicznie owo historyczne wyznanie: „Tyś jest Chrystus, Syn Boga żywego". Można więc śmiało rzec, że Kościół zbudowany jest na wyznaniu, albowiem „powiedzieć" coś, to znaczy wyznać, a nie tylko zaryzykować wyrażenie jakiejś opinii. Co więcej, nie było to jakieś puste tylko wyznanie, z jakim się można spotkać dzisiaj — oparte na studium lub logicznej dedukcji, albo też na jakimś „punkcie widzenia". Pan Jezus całkiem wyraźnie stwierdził, że wyznanie Piotra spowodowane było od Boga otrzymanym objawieniem. „Nie ciało i krew objawiły ci to, ale Ojciec Mój, który jest w niebiesiech." Dalej było to objawienie prawdziwego charakteru i znaczenia Pana Jezusa, a nie tylko faktów Jego dotyczących; nie było to powtórzenie szczegółów, jakie podają Ewangelie odnośnie do rzeczy, które Pan Jezus czynił, lecz stwierdzenie faktu od kogo pochodził i kim był. Jego Osoba — to Syn żywego Boga; Jego urząd i usługiwanie — Chrystus, Pomazany. To wszystko zawarte było w słowach Piotra.

To podwójne odkrycie stało się później, jak już powiedziałem, punktem wyjścia dla Pawła. Proszę, na przykład, raz jeszcze przeczytać pierwsze wiersze Listu do Rzymian. Ten Jezus, którego prześladował, obecnie okazał się — jak stwierdza apostoł Paweł — „możnie Synem Bożym, według Ducha poświęcenia, przez zmartwychwstanie" (Rzym. 1, 4). Wszystko, co pisze do Zborów, oparte jest na tym objawieniu dotyczącym Jezusa. Od wieczności do wieczności jest On Synem Bożym — to jest na pierwszym miejscu. Ale nadszedł dzień, w którym przyjąwszy kształt niewolnika, stał się Chrystusem, Pomazanym, Bożym Sługą. Wszystkie cele Boże i wszystkie nadzieje Boże związane są z tym zmartwychwstałym Chrystusem. On jest tym, który został oddzielony i pomazany, aby się stać niewzruszonym fundamentem Bożym.

Ale jeśli On jest tym fundamentem, to my jesteśmy żywymi kamieniami. Uznać Chrystusa znaczy również uznać

i chrześcijan, a także Boży plan, który przez nich ma zostać dokonany we wszechświecie. Będziemy bowiem mało użyteczni Bogu, jeśli będziemy tylko świadomi naszego własnego zbawienia, a nie zrozumiemy choć odrobinę, jaki cel przyświecał Bogu w połączeniu nas z Jego Synem. Jak wielu jest takich, którzy chlubią się z posiadania pomazania Duchem, a jednak sprawiają wrażenie, że nie zdają sobie zupełnie sprawy z tego, iż powód, dla którego Duch był dany Chrystusowi i Jego członkom, jest jeden i ten sam! Ma wypełnić jeden i ten sam wieczny Boży cel. Gdy zdamy sobie sprawę z tego, natychmiast też widzimy, jak nikłą była nasza praca w przeszłości, jeśli nie miała żywotnego związku z realizacją tegoż Bożego planu.

Musimy sobie bowiem uświadomić, że Kościół nie jest li tylko grupą ludzi, którym grzechy zostały odpuszczone i którzy zdążają do nieba. Jest to grupa tych, których oczy zostały otworzone, aby mogli rozpoznać Osobę i dzieło Syna. Jest to coś daleko większego od rzeczy, które człowiek może oglądać, znać, lub których mógłby dotykać. Jest to nawet coś daleko większego od zewnętrznych przeżyć tych uczniów, którzy przez trzy lata jadali, spali, chodzili i żyli razem z Nim, jako Jego ustawiczni towarzysze. Niewątpliwie ich szczęście było ogromne i któż z nas nie zamieniłby się choć na kilka dni z Piotrem? Ale nawet te doświadczenia nie połączyły ich z Nim, jako część składową Kościoła. Tylko Boże objawienie, kim Chrystus jest, darowane tobie i mnie, może to sprawić. Skałą, Opoką — jest Chrystus. Ale Chrystus musi być objawiony, a nie teoretyczny, lub poznany tylko z doktryny. Spędzenie dwudziestu lat pomiędzy wierzącymi chrześcijanami i ćwiczenie się w teologii przez całe życie nie jest w stanie dokonać wbudowania nas (jako żywych kamieni) w gmach Jego żywego Kościoła. Dokonuje tego wewnętrzna znajomość Pana — a nie zewnętrzna tylko. „A toć jest żywot wieczny, aby poznali Ciebie, jedynego Boga, i tego, któregoś posłał, Jezusa Chrystusa" (Jan 17, 3).

„Nikt nie wie, kto jest Syn, tylko Ojciec" (Łuk. 10, 22). Ciało i krew nie mogą znać Człowieka, którego ustanowił Bóg. A jednak trzeba Go znać, gdyż fundamentem Kościoła jest nie tylko Chrystus, lecz i znajomość Chrystusa. Tragedią zaś doby obecnej jest fakt, że wielu członków zborów — a nawet całe tak zwane zbory — nie posiadają tego fundamentu. Teorią jednak nie przezwyciężymy piekielnych bram — a to jest właśnie zadaniem Kościoła, stosownie do

słów Pana Jezusa. Czy zapomnieliśmy może w jakim celu istniejemy? Odwiedzając rodziny w krajach zachodnioeuropejskich, zwróciłem uwagę na przepiękne porcelanowe talerze, których nie stawiano na stole i nie używano na codzień, lecz wisiały one na ścianie, na specjalnych drucianych podpórkach i służyły za ozdobę. Wydaje mi się, że wielu myśli o Kościele w ten właśnie sposób — że jest to coś pięknego, co należy podziwiać z racji doskonałości kształtu i ozdobnego wzoru. Ale to jest błędne. Kościół Boży ma być używany, a nie służyć jako dekoracja! Przy sprzyjających okolicznościach wiedza o Kościele (skoncentrowana w głowie), przestrzeganie instrukcji czy regulaminów porządkowych i tym podobne rzeczy mogą sprawiać wrażenie życia — ale gdy zaatakują nas bramy piekielne, bardzo prędko okaże się nasz prawdziwy stan. Bardzo wielu widziało Jezusa, cisnęło się do Niego, zostało dotkniętych i uzdrowionych przez Niego — ale Go nie znali. A jednak do jednego z tych, którzy szli za Nim, skierował słowa: „Na tej opoce zbuduję Kościół Mój". Może nam się wydaje, że jesteśmy równie dobrzy, a może nawet lepsi od Piotra. On został kuszony i upadł. Tak. Ale czy nie był on lepszy w swoim upadku od wielu, którzy nigdy w ten sposób nie upadli? On się zaparł — ale umiał też i zapłakać. On wiedział bowiem, kim Pan był. Wielu nie upada, ale tego nie wie.

W godzinie próby ma znaczenie tylko znajomość Pana — i to niejako „z pierwszej ręki". Nie mam tu na myśli, żeby członkowie Kościoła sobie nawzajem nie pomagali; jeśli jednak wraz z tym, co jeden członek drugiemu podaje, nie będzie objawienia z nieba — to będzie z tego mało pożytku. To nie zda egzaminu próby ognia. Był taki okres w moim życiu, kiedy obawiałem się, że gdyby zjawił się jakiś modernista i udowodnił mi, iż Biblia jest księgą, na której nie można polegać, to musiałbym przestać wierzyć w te wszystkie historyczne fakty, na których gruntowała się moja wiara. Gdyby tak się stało, to zdawało mi się, że wówczas wszystko byłoby u końca — a ja tak pragnąłem wierzyć! Teraz jednak jestem zupełnie spokojny. Gdyby nawet ludzie przedłożyli mi tyle rozmaitych argumentów, ile jest piasku na brzegu morza — nie miałoby to dla mnie żadnego znaczenia — albowiem ja wiem! Wiedza otrzymywana od ludzi może nas wprowadzić w błąd. W najlepszym wypadku jest ona niedoskonała, a nawet jeśli otrzymane wiadomości są bardzo dobre, może się zdarzyć, że je zapomnimy. Ale Oj-

ciec objawił znanego Sobie Syna Piotrowi. Takie objawienie jest chrześcijaństwem. Bez niego nie ma Kościoła. Ja — z wewnątrz — rozpoznaję w Jezusie Syna Bożego i Chrystusa. Oto serce wszystkiego. Pan Jezus nie odpowiedział Piotrowi słowami: „Odpowiedziałeś poprawnie", lecz „Bóg ci to objawił!"

W ten sposób owa Opoka definiuje również i granice Kościoła. Sięgają one wszędzie tam, gdzie tego rodzaju wyznanie z serca się wznosi ku Bogu — ale nigdy dalej. Pamiętajmy bowiem o tym, że nie było to jakieś ogólne wyznanie wiary; to wyznanie było rezultatem otrzymania objawienia. Nie miało tu miejsca nawet jakie ogólne objawienie, ale dotyczyło ono jednego Męża: Syna Człowieczego. Nic nie sprawia Bogu większej satysfakcji, jak wyznawanie, iż On jest Synem Bożym. Pan Jezus często o Sobie mówił: „Jam jest". Raduje się wielce jednakowoż, gdy z naszych ust słyszy słowa: „Tyś jest". Zbyt rzadko je wypowiadamy. „Tyś jest Panem!" Gdy wszystko się psuje i wokół widzisz zamieszanie, to nie módl się, lecz wyznawaj, że Jezus jest Panem. Dzisiaj, gdy na świecie tyle jest chaosu, idź, miej odwagę głosić, że Jezus jest Królem królów i Panem panów. Pan wielce się raduje słysząc nas twierdzących, że w i e m y. Kościół nie tylko ugruntowany jest na objawieniu, lecz także na wyznaniu, na naszym opowiadaniu o tym, co wiemy o Bogu. W dobie obecnej Kościół jest głosem Chrystusa, rozlegającym się tutaj na ziemi.

Dopóki Bóg nie otworzy naszych oczu na fakt, że orężem piekła i mocą jego jest śmierć — nie uświadomimy sobie nigdy znaczenia głoszenia wszystkim wokoło tego, co wiemy. Może się jednak zdarzyć, że doświadczymy nagle w jakichś dotąd nieprzewidzianych okolicznościach, że ku naszemu przerażeniu wiara pozornie nie skutkuje, ani modlitwa nie jest skuteczna — wtedy nauczymy się, że potrzeba ogłaszania Chrystusa Panem, a w miarę czynienia tego przekonamy się, że na to właśnie czekał Bóg. „Tyś jest Panem! Tyś jest Zwycięzcą! Tyś jest Królem!" Najlepszą z wszystkich modlitw nie jest „ja chcę" lecz „Tyś jest". W mocy darowanego nam objawienia — mówmy. Na zebraniach modlitewnych, przy Łamaniu Chleba, w samotności przed obliczem Pana, w pośród przygniatającego nas świata, czy też w godzinie ciemności i niebezpieczeństwa — nauczmy się ogłaszać: „Tyś jest!" To jest głosem Kościoła, Bożym głosem tutaj na ziemi, głosem, którego nade wszystko boi się piekło.

Apostoł Paweł znajduje się w długim szeregu, głównym szeregu tych ludzi, którym Bóg zechciał łaskawie objawić coś niecoś ze Swoich planów. „Izali ja zataję przed Abrahamem, co mam uczynić?" „I śnił się Józefowi sen, a gdy go powiedział braci swej, tym więcej mieli go w nienawiści". „Wezwał tedy Jakub synów swoich i rzekł: Zbierzcie się, a oznajmię wam, co ma przyjść na was w ostatnie dni." „Według wszystkiego, jako ukażę tobie (Mojżeszu)... tak uczynicie". „To wszystko", rzekł Dawid, „z ręki Pańskiej mię doszło, abym zrozumiał wszystko, jako co urobić miano." „Błogosławionyś Szymonie, synu Jonasza! Bo nie ciało i krew objawiły ci to, ale Ojciec mój, który jest w niebiesiech." „Bóg przez objawienie oznajmił mi (Pawłowi) tajemnicę (Chrystusową), która .... teraz objawiona jest świętym apostołom Jego i prorokom przez Ducha." „Albowiem nie uchylałem się, żebym wam nie miał oznajmić wszelkiego postanowienia Bożego" (1 Mojż. 18, 17; 37, 5; 49, 1; 2 Mojż. 25, 9; I Kron. 28, 19; Mat. 16, 17; Efez. 3, 3; Dz. Ap. 20, 27). Żaden z tych mężów nie wszedł do pracy Pańskiej dzięki własnym zdolnościom i własnym poczynaniom, ponieważ wszystka praca Boża ma ścisły związek z Jego odwiecznym celem w Chrystusie, a ten cel znany może być tylko tym, którym Bóg go zechce objawić. Jak wielką to przedstawia trudność dla ludzi z natury zdolnych!

Z wielu postaci, które przedstawiają służbę Bożą w Starym Testamencie, najdoskonalszą jest może postać Józefa. Ale chociaż Słowo Boże nie zdradza nam ani jednej skazy na jego charakterze, wiemy dobrze, że droga jego nie była łatwa. Kiedy rozpoczęły się jego trudności? Z całą pewnością z chwilą, kiedy zaczęły się mu śnić owe sny. W snach tych zobaczył, co Bóg ma zamiar uczynić, a także rozpoznał swoje własne miejsce w Bożym planie. Te sny dały początek biegowi wypadków. Symbolizują one duchową wizję. Dzięki nim mógł ujrzeć coś, czego jego bracia widzieć nie mogli. „Oto mistrz on snów idzie!", powiedzieli i mieli go w nienawiści. Ponieważ jednak Józef w i d z i a ł, mógł zwycięsko przetrwać wszystkie te ponure przeżycia i Bóg mógł przez niego wykonać Swój plan odnośnie do Swego ziemskiego narodu.

W chwili, gdy pojawił się Mojżesz, Izrael już się ukształtował jako naród, lecz oczywiście znajdował się jeszcze

w Egipcie. Bóg go wzbudził w celu wyprowadzenia ich stamtąd i pokazał mu, co uczyni, aby zespolić ich z Samym sobą, jako ośrodkiem ich życia. Mojżesz oglądał wzór na Górze. Z biegiem czasu całe życie narodu izraelskiego miało się obracać wokoło tego Przybytku i Bożej obecności w pośrodku nich. Tak więc Mojżesz poświęcił się dziełu budowy Przybytku, ale nie według własnego widzimisię — nie byłby się odważył tego uczynić — ale, podobnie jak to było z Józefem, stosownie do tego, co zobaczył. Prawdziwa wizja nie jest bowiem naszą opinią odnośnie do tego, co Bóg winien uczynić, lecz oglądaniem tego, co On ma zamiar uczynić.

Gdzie rozpoczyna się Boża praca? Jeśli chodzi o Boga, to początek jej sięga nieskończoności — w przeszłości. Jeśli zaś chodzi o nas, to rozpoczyna się ona z chwilą otrzymania objawienia Chrystusa. Początkiem prawdziwej pracy naszej dla Boga nie jest moment, w którym Mu się poświęcamy, ale moment, w którym widzimy. Poświęcenie winno być rezultatem duchowej wizji; nie może jej ono w żadnym wypadku zastąpić. Oto, gdzie rozpoczyna się praca Boża. Nasza praca może się rozpocząć w każdej chwili; ale Boża praca wykonywana przez nas może wypływać tylko z wizji, darowanej przez Boga Samego.

Musimy widzieć Jego cel w Chrystusie. Bez tej wizji służba nasza dla Boga jest wynikiem impulsów, płynących z naszych własnych poglądów, nie może więc być zgodna z Bożym planem. Jeśli przyjrzymy się osobie Pawła, to zauważymy, że dla niego objawienie to miało dwojaki charakter. „Upodobało się Bogu ... objawić we mnie Syna Swego": to jest objawienie wewnętrzne, można by je nazwać subiektywne (Gal. 1, 15.16). „Nie byłem nieposłuszny temu niebieskiemu widzeniu": to było objawienie zewnętrzne, obiektywne, konkretne, praktyczne (Dz. Ap. 26, 19). Oba te objawienia, wewnętrzne i zewnętrzne uzupełniają się, tworząc doskonałą całość, podczas gdy jedno bez drugiego nie jest wystarczające. I taką jest właśnie potrzeba Kościoła, potrzeba ludu Bożego w dobie dzisiejszej. Wewnętrzne objawienie musi iść w parze z zewnętrzną wizją: potrzeba nie tylko znać Pana w sercu, lecz trzeba też poznać Jego odwieczny cel. Trzeba nie tylko poznać Fundament — i na tym poprzestać; trzeba również wiedzieć, jak na tym Fundamencie budować. Bóg nie jest zadowolony, jeśli wykonujemy tylko pewne oderwane po-

sługi: to jest zadaniem najemników. My jesteśmy Jego przyjaciółmi, a jako tacy powinniśmy znać Jego plany.

Ten właśnie błysk światła z nieba sprawił, że Paweł poświęcił się całkowicie sprawie Pańskiej. Posłuszeństwo było rezultatem otrzymanego objawienia. Jakkolwiek prawdą jest, że wszelkie poświęcenie się Bogu jest Mu miłe i cenne, to jednak ślepe ofiarowanie się nie przynosi Mu wiele pożytku. Wydaje mi się, że zachodzi różnica pomiędzy początkowym, czystym, lecz pozbawionym znajomości poświęceniem się Bogu, które ma miejsce w chwili naszego nawrócenia się, a poświęceniem się, które może nastąpić nieco później, po ujrzeniu planów Bożych. To pierwsze poświęcenie się jest natury indywidualnej, oparte na naszym zbawieniu, a Bóg może nie będzie od nas wymagał za wiele zaraz z początku, tylko na podstawie tego poświęcenia się. Ale gdy Bóg objawia, na czym polega potrzeba, ogromna potrzeba chwili, i gdy uczyniwszy to, otrzyma z naszej strony zgodę na wykonanie tego, czego Sobie życzy, wówczas wymagania Jego w stosunku do naszego poświęcenia wzmagają się. Daliśmy Mu słowo — stosownie do nowego zrozumienia, i On nas od tej chwili na nowo trzyma za słowo. Dzięki Bogu, że Paweł nie był nieposłuszny coraz to bardziej rozszerzającej się wizji, czyli objawieniu, które mu było dane. Włożył w jego zrealizowanie wszystko, co miał.

Objawienie celu Bożego w dobie dzisiejszej obejmuje wszystek lud Boży, jest ono jednak również i dla całego ludu Bożego. Nie było tak zawsze na przestrzeni wieków. Na przykład święci Starego Testamentu niewątpliwie mieli wspaniałą wizję. Dotyczyła ona jednak tylko ziemskiego narodu. Nie zmienia to istoty rzeczy, że naród ten był w bardzo dużej mierze symbolem i obrazem niebiańskiego Kościoła. A przy tym wizją taką zostali obdarowani tylko nieliczni, wielkim zaufaniem obdarzeni mężowie, jak Józef czy Mojżesz. Wizja taka nie była wspólnym dobrem wszystkich ludzi, lecz działem tylko kilku wybranych. Dzisiaj jednakowoż sytuacja przedstawia się zupełnie inaczej. Niebiańska wizja — objawienie Boże — przeznaczone jest obecnie dla całego Kościoła, a chociaż prawdą jest, że Paweł i inni w okresie nowo-testamentowym zostali wybrani przez Boga w szczególny sposób, to jednak celem Bożym nie jest, aby liczba ich ograniczała się do jednego, czy dwóch, lecz aby wszyscy **widzieli** (Efez. 1, 18). Na tym polega szczególny charakter teraźniejszego wieku.

W ważnym urywku Listu do Efezów Paweł pisze: „Dlatego ja, Paweł, jestem więźniem Chrystusa Jezusa za was pogan; jeśliście tylko słyszeli o udzieleniu łaski Bożej danej mi dla was." Mówi im o tajemnicy Chrystusowej, którą Bóg jemu i innym oznajmił przez objawienie (Efez. 3, 2—5). Ta „rozliczna mądrość Boża" — wyjaśnia dalej — polega na tym, że Bóg zaplanował, aby ta wizja „przez zbór wiadomą była władcom i zwierzchnościom na niebiosach" — wszystkim duchowym obserwatorom (Efez. 3, 10.11). Aby to się mogło stać, musi wizję tę najpierw posiąść sam Kościół, a Paweł określa swoją cząstkę w tym dziele w wierszu 9-tym, oświadczając, że jego jedynym życzeniem i celem działalności jest objaśnienie tej sprawy wszystkim: „I żebym objaśnił wszystkim, co jest społeczność tajemnicy zakrytej od wieków w Bogu, który wszystko stworzył przez Jezusa Chrystusa."

Można by to ująć pokrótce, że łaska dana została apostołowi Pawłowi przez Boga, aby przez jego usługiwanie Kościół mógł ujrzeć tę wizję. Jakkolwiek bowiem słowo „wszyscy", o których pisze Paweł, obejmuje każdego członka Kościoła, to jednak pełne objawienie Boże nie przypada w udziale jednostkom jako takim. To, co ma zostać podane do wiadomości przez Kościół, może stać się wizją tylko całego Kościoła. Miłość Chrystusową poznajemy dopiero w pełniejszej mierze „ze wszystkimi świętymi". Tylko w ten sposób możemy być „napełnieni ... do całej pełności Bożej" (Efez. 3, 18.19).

KOSZTOWNOŚĆ ŚWIATŁA

Chociaż jest rzeczą bezsporną, że nic nie zastąpi tej wizji, jednak pozostaje do rozwiązania problem, w jaki sposób sprawić, aby ludzie ją ujrzeli. To było tematem gorących modłów apostoła (Efez. 1, 16—18). Nie sprawia żadnej trudności, by usłyszeć, a nawet zapamiętać i innym powtórzyć słowa, określające plan Boży. Trudność zawsze polega na **ujrzeniu** go. Wszelka praca duchowa oparta jest właśnie na widzeniu. Choćby Bóg nawet bardzo pobłogosławił pracę, która ma swój początek w czymś innym — a według wielkiej łaski i miłosierdzia Swego On tak czyni — to są to jednak tylko oderwane fragmenty. Taką pracę nie trudno jest szatanowi zniweczyć, dlatego też nie ma on nic przeciwko temu, że ludzie słyszą o planie Bożym i że umysłem swym go nawet rozumieją. Czego wróg najbardziej się obawia, to wewnętrznego

oświecenia w sercu. Wie on o tym, że z chwilą gdy ludzie je otrzymają, do życia ich wpłynie nowa siła, nowa moc, i że Kościół, pracę i bój będą od tej chwili oglądali w nowym świetle.

Na czym polega wizja, objawienie? Polega ona na wtargnięciu do ciemnego serca — Bożego światła. Zasłanianie tego światła oznacza zgubę. „Jeśli zaś i zakryta jest Ewangelia nasza, zakryta jest w tych, którzy giną" (2 Kor. 4, 3). Ale Bóg „wlał jasność w serca nasze" — a takie u j r z e n i e już oznacza zbawienie. W tej samej chwili, w której ujrzymy chwały pełne oblicze Zbawiciela, jesteśmy zbawieni. Jeśli zaś tylko rozumiemy doktrynę i przyznajemy, że jest słuszna — nic się nie dzieje, ponieważ nie w i d z i e l i ś m y Prawdy. Ale skoro tylko u j r z y m y Go, natychmiast prawdziwe doświadczenie staje się naszym udziałem.

Odnosi się to zarówno do strony pozytywnej jak i do negatywnej — do Zbawiciela, jak i do grzechu. Przed nawróceniem ludzie również twierdzą, że doktryna określająca kłamstwo jako coś złego jest słuszna. Czytają o tym w Słowie Bożym, wiedzą o tym, że Słowo określa kłamstwo jako coś złego i mogą nawet usiłować do Słowa tego się dopasować. A jednak kłamią — i to niemal na każdym kroku! Aż pewnego dnia się nawracają. Nie robią w tym momencie żadnego postępu, jeśli chodzi o znajomość d o k t r y n y dotyczącej kłamstwa, ale natychmiast, bez potrzeby, aby im ktoś coś na ten temat powiedział, wiedzą, że kłamać jest rzeczą złą. I w tym samym momencie, powodowani nowym instynktem, z obrzydzeniem i okropnym strachem cofają się od przyzwyczajenia, które aż dotąd trzymało ich w swych szponach. Co się stało? Światło objawiło prawdziwe oblicze kłamstwa, a światło, które objawia, jest równocześnie światłem, które niszczy. Światło, które objawia kłamstwo, równocześnie je gładzi. Co dotąd było tylko regułką etyczną — staje się wewnętrznym doświadczeniem. A doświadczenie to jest następstwem rozlania się światła w sercu — podobnie jak dzieje się również i w wypadku samego zbawienia — i następuje w mgnieniu oka, podobnie jak z błyskawiczną szybkością ma miejsce naświetlenie filmu w aparacie fotograficznym w momencie otwarcia przysłony. W tej samej chwili, gdy tylko otworzymy przysłonę — mamy portret. Podobnie jest i z wizją Bożego celu, wizją tego, czego pragnie dokonać w Kościele. Posiada ona podobny charakter i jest nie mniej brzemienna w następstwa. Ponieważ zaś dotyczy ona, nie tylko jakiejś

jednostki, lecz całego planu Bożego w Chrystusie, skutki takiego przeżycia są tym potężniejsze. Przeżycie to jest zdolne, jak już powiedzieliśmy, przemienić całkowicie całe nasze wyobrażenie o służbie Bożej.

Nie mam zamiaru sugerować tutaj, abyśmy mieli od tego momentu podważać i odrzucać wszelką pracę, którą do tej pory wykonywaliśmy dla Pana. Bynajmniej, nic podobnego! Zmienić po prostu zewnętrzne rzeczy nie miałoby znaczenia. Nie możemy mieć do czynienia z rzeczami, których Bóg nie uznaje, ani ich nie możemy poprawiać. Nie możemy też zaryzykować zniszczenia czegoś, co Bogu jest miłe. Nie. Światło z a b i j a w n a s wszystko to, co nie jest z Boga, przy czym nie zachodzi potrzeba, abyśmy stosowali gwałt w stosunku do jakichś zewnętrznych rzeczy. Tu nie chodzi przecież o rozprawienie się z jakimiś problemami na płaszczyźnie umysłowej! Są pewne rzeczy, których nie możemy pojąć. Tutaj chodzi tylko o jedno: czy widzimy, czy też nie widzimy. Wszystko zawisło na jednej z tych dwóch rzeczy: światło, albo ciemność; życie, albo śmierć. Gdyby tutaj chodziło tylko o jakąś doktrynę, moglibyśmy bez szkody usunąć ją z naszego umysłu i zapomnieć o niej. Ale obiektywna niebiańska wizja staje się również Synem Bożym objawionym w nas (patrz Gal. 1, 16), a te dwie rzeczy stają się jedną. Nie ma wówczas potrzeby przypominania sobie, ani też nie ma możliwości zapomnienia czegoś, co żyje. Nie ma potrzeby usiłować zatrzymać niebiańską wizję, albo starać się ją zrozumieć. O n a nas bierze w posiadanie. Jeśli kto widzi plan Boży w sercu swoim, wówczas nie ma żadnego wyboru co do pracy lub drogi, którą ma pójść. Od tego momentu wchodzi w rachubę tylko Jego droga, lub śmierć.

Jeśli pragniemy światła, możemy je otrzymać. Ale aby go nie mieć, musimy przed nim zasłonić wszelkie szpary. Niestety, można to uczynić — nawet całkiem łatwo, gdyż słusznie ktoś powiedział, że nawet najmniejszy listek może zasłonić gwiazdę. Możemy pozwolić, aby jakaś mało znacząca przeszkoda przysłoniła nam wieczną chwałę. Ale jeśli światłu damy tylko po temu możliwość — przedostanie się nawet przez najmniejszą szparkę. „Jeśli tedy oko twoje szczere jest, całe ciało twoje jasne będzie" (Mat. 6, 22).

Tajemnica otrzymania duchowego objawienia — to gotowość otrzymania go, bez względu na cenę, jaką za jego otrzymanie trzeba będzie zapłacić, co oznacza pokorne otwarcie ducha naszego na wszystko objawiające światło Boże.

„Poprowadzi cichych w sądzie, a nauczy pokornych drogi Swojej. Tajemnica Pańska objawiona jest tym, którzy się Go boją, a przymierze Swoje oznajmuje im" (Psalm 25, 9.14). „Panie, jestem gotów zapłacić każdą cenę, aby otrzymać światło; nie boję się go. Jestem gotów, abyś zbadał każdą szczelinkę w mojej pracy i oświecił ją światłem Twego celu."

Mam nadzieję, że coś z wielkości Bożego planu stanie się nam jasne, w miarę, jak będziemy kontynuowali niniejsze studia. Ale to jeszcze nie wystarczy. Moją modlitwą i moim gorącym pragnieniem jest, abyśmy mogli zobaczyć Chrystusa w Jego pełni. Nie wystarczy, abyśmy usiłowali od tej chwili budować — według nauk Pisma Swiętego — dobry, rzetelny Kościół, sądząc według ludzkich kryteriów. Nie. Krzykiem naszej duszy jest: **pragniemy światła!** Mamy odwagę ku światłu temu obrócić nasze oblicze. „Panie, daruj mi tę możliwość, abym mógł ujrzeć Syna Człowieczego w niebie, podobnie jak ujrzał Go Szczepan, a w Jego świetle ukaż mi, czym jest Twój Kościół i Twoja praca. A potem daruj mi tę łaskę, abym mógł nie tylko żyć i chodzić, ale również pracować w blasku tegoż światła!" Najwybitniejszą cechą charakterystyczną pracy Bożej nie jest jakaś doktryna, lecz ż y c i e. A życie przychodzi przez objawienie w świetle Bożym. Poza jakąś doktryną mogą być niekiedy same tylko słowa. Poza objawieniem stoi Sam Bóg.

Rozdział VI

Chwały pełen Kościół

Gdy Pan Jezus po raz pierwszy poruszył zagadnienie Kościoła, z miejsca uwagę naszą zwrócił na Opokę. On Sam jest owym „kamieniem doświadczonym, węgielnym, kosztownym, gruntownie ugruntowanym" (Izaj. 28, 16). Każde dziecko Boże, które ma życie i jest odkupione przez Jego krew, stoi na tym fundamencie i na nim buduje. Niewierzący nie mają tutaj żadnej cząstki, nawet najmniejszej. Zasada ta odnosi się zarówno do Kościoła, jako całości, jak również do miejscowego zboru: Chrystus jest „kamieniem doświadczonym" do którego zostaliśmy przyprowadzeni, potem uformowani i dopasowani, aby zająć nasze miejsce w Bożej budowie.

Paweł również używa prawdy tej jako punktu wyjścia, ponieważ z całą pewnością innego nie ma wcale. „Jesteśmy ... Bożym budynkiem" pisze do Koryntów w jednym ze swoich Listów, a potem kontynuuje: „Jako mądry budowniczy założyłem fundament ... ale każdy niechaj baczy, jak na nim buduje. Albowiem fundamentu innego nikt nie może założyć, oprócz tego, który jest założony, a którym jest Jezus Chrystus" (1 Kor. 3, 9—11). Innymi słowy: nie ponosimy już odpowiedzialności za wybór fundamentu. Sam Bóg go położył, a żaden człowiek nie może założyć jakiegoś innego; żaden człowiek nie może rozpocząć gdzie indziej. Wydają temu świadectwo apostołowie, a Bóg wcale nie pyta nas o to, czy nam się to podoba, czy nie. Uczynił tak, a On wie co robi. Każdorazowo, gdy jakaś dusza przychodzi do Chrystusa, a Chrystus wchodzi do życia danego człowieka — fundament ten zostaje założony. Na nim stoi dziecko Boże i na nim buduje. Wielkie znaczenie ma jednakowoż, co na fundamencie tym kładzie.

Bóg pragnie, aby użyty budulec był wysokiego gatunku. Nie tyle Mu chodzi o to, czy wykonujemy pracę, ile raczej — jakiego materiału do pracy tej używamy. Wielu twierdzi, że jeśli wykonują swoją pracę dobrze, to zupełnie wystarczy. Ale Bóg nie tylko pyta, czy Mu służyliśmy, czy poświęciliśmy się Jego pracy i czy budowaliśmy na fundamencie — chociaż te rzeczy niewątpliwie są bardzo ważne. Pytanie Jego sięga głębiej. On zapytuje, czego użyliśmy do wykonania tych prac? On nie tylko patrzy na wykonaną pracę, lecz na użyte do pracy tej materiały! Pan doskonale odróżnia gatunek poszczególnych kaznodziei głoszących Ewangelię i wie od razu, który jest pracownikiem rzetelnym, a który tylko powierzchownym. Podobnie rozróżnia u poszczególnych osób sposób widzenia duchowych prawd. U modlących się rozpoznaje, co leży poza „Amen" każdego z nich. I to właśnie miał na myśli Paweł, gdy nas ostrzegał, że „jeśli kto na tym fundamencie buduje złoto, srebro, drogie kamienie, drwa, siano, słomę, każdego robota jawna będzie; bo to dzień pokaże, gdyż przez ogień się objawi" (1 Kor. 3,12.13).

MATERIAŁ NA BUDOWĘ

O wartości decyduje ciężar gatunkowy. Drzewo, siano, słoma — są tanie, lekkie, tymczasowe; złoto, srebro, drogie kamienie — kosztowne, ciężkie, wieczne. Oto klucz do skali wartości: ciężkie metale, owo złoto niebiańskiego charakteru i chwały, owo srebro Jego odkupicielskiego dzieła — oto materiały, które w oczach Pana mają wysoką wartość. U Boga ma ogromne znaczenie nie tylko sam fakt, że głosimy Słowo, lecz nade wszystko czym jesteśmy; nie doktryna, lecz charakter Chrystusa, wyrzeźbiony w nas przez Boże rozporządzenie, przez Boże doświadczenia, przez cierpliwe działanie Ducha Świętego. Praca, którą można nazwać prawdziwie pracą Bożą jest ta, która była u Krzyża. Jeśli praca nasza jest tego rodzaju, możemy być pewni, że przetrwa ogień. Tu nie chodzi o takie pytania, jak na przykład: „Gdzie potrzeba wydaje się być największą? Jakie mam pomysły i środki? Jak wiele mogę uczynić? Ile czasu będę potrzebował, aby daną naukę wprowadzić w życie?" — ale „Gdzie mię prowadzi Bóg? Co w tej rzeczy jest z Boga? Jak się zapatruje Duch Święty na tę sprawę?" — tak zapytuje samego siebie prawdziwie ukrzyżowany sługa. Umie on rozpoznać Boże „idź!" i Jego „mów!", ale także Jego „czekaj!" i Jego „idź, ale powiedz tylko tyle a tyle!" Świadomy swojej słabości i pustki,

nauczył się sługa taki największej lekcji, jaką jest oddanie drogi swej Panu i śledzenie Jego ruchów.

Trudność polega na tym, że brak nam zrozumienia, iż w pracy Bożej człowiek jako taki jest zupełnie nieużyteczny. Drzewo, siano, słoma symbolizują czym jest zasadniczo człowiek i to, co pochodzi z ciała. Zawierają one też pojęcie czegoś, co jest tanie, pospolite, łatwe do nabycia — i oczywiście szybko się niszczące. Trawa może przyodziewać dziś ziemię w przepiękną szatę, ale gdzie będzie jutro? Ludzki intelekt może nam dać dobrą znajomość Pisma; naturalne zdolności krasomówcze mogą stanowić atrakcję; uczucia mogą zdawać się być wielką pomocą i stanowić jakby kierujący nami instynkt — lecz ku czemu? Bóg szuka trwalszych wartości. Wielu z nas umie wygłaszać kazania, lecz my nie jesteśmy w porządku. Mówimy o cielesności — lecz sami nie zdajemy sobie sprawy z niebezpieczeństw w niej się kryjących. Mówimy o Duchu, ale czy rozpoznalibyśmy Jego działanie, gdyby naprawdę chciał się nas dotknąć i poprowadzić nas? Zbyt wiele pracy naszej wykonywanej dla Boga zależy nie od Jego woli i celu, ale od naszych uczuć — a nawet — o, Panie, wybacz nam to! — od pogody! Unoszona jest przez wiatr, jak plewy. Jeśli jesteśmy w odpowiednim nastroju, możemy dokonać nawet bardzo wiele, ale równie łatwo, przy niesprzyjających okolicznościach, skłonni jesteśmy do zrezygnowania ze wszystkiego. Nie — nadejdzie dzień, że ogień nam udowodni, że praca, która uzależniona jest od uczuć, albo też od podmuchu wiatru ruchu przebudzeniowego, nie miała dla Boga wielkiego znaczenia. Musimy się nauczyć pracować bez względu na uczucia.

Takie wartości są bardzo kosztowne. Nie będą ich jednak posiadali nigdy ci, którzy nie są gotowi zapłacić ich cenę. Łaska jest za darmo, ale to nie jest za darmo. Drogie kamienie można kupić tylko za wysoką cenę. Wiele razy na usta nasze cisnąć się będzie okrzyk „To kosztuje za wiele!" A jednak te rzeczy — które rzeźbi w nas Bóg poprzez lekcje, których się uczymy pod Jego ręką, chociaż uczymy się powoli, i proces ten trwa długo — są jedyne, które warto mieć, które przynoszą naprawdę satysfakcję. Odgrywa tutaj pewną rolę i czas. Niektóre rzeczy niszczeją w świetle Bożym same przez się; nie potrzeba nawet czekać na ogień. Prawdziwa wartość objawia się w tych rzeczach, które przetrwały Bożą próbę czasu. Tutaj znajdujemy kosztowne kamienie, które formują się w boleściach i smutkach, które w łasce Swojej Bóg na

nas zsyła, gdy nas przeprowadza przez „ogień i wodę", aby nas przywieść do Swej skarbnicy. Człowiek widzi rzeczy zewnętrzne i pozory. Bóg zaś dostrzega wewnętrznie poniesione koszta. Nie dziw się, że przechodzisz przez różnego rodzaju doświadczenia. Przyjmij je z Jego ręki, gdyż są one z całą pewnością drogą wiodącą cię do takiego życia, które jest kosztownym dla Pana.

Oby Bóg się zmiłował nad tymi sprytnymi ludźmi, którzy jedną ręką podają dalej to, co drugą wzięli! Nawet mówienie o Bogu musi nas kosztować. Tutaj chodzi zawsze o to, czy naczynie jest lekkie, czy też ciężkie — jako że ciężar wskazuje na gatunek materiału. Dwaj mogą używać tych samych słów, a jednak w jednym z nich odczujesz coś, obok czego nie możesz przejść bez zastanowienia — a z zetknięcia z drugim nie wyniesiesz niczego. Różnica leży więc w samym człowieku. Zawsze świadomy jesteś tego, gdy się znajdujesz w obliczu duchowej wartości. Nie zastąpi na przykład życia, spędzanego w codziennym oczekiwaniu na powtórne przyjście Pana Jezusa nawet najobfitsze teoretyczne roztrząsanie tego zagadnienia. Jest rzeczą niemożliwą, aby nie uwidoczniła się taka różnica, a nie ma artykułu zastępczego dla prawdziwej kosztowności. Niestety, niektórzy z nas są tak dalece niepodobni słowom, które wypowiadają, że byłoby może lepiej, gdyby mniej mówili o sprawach duchowych.

Nie dziwcie się więc, że Bogu tak bardzo zależy na materiałach używanych przy budowie Jego domu. Sztuczna biżuteria może mieć nawet ładną prezencję, ale która niewiasta zamieniłaby prawdziwe klejnoty za taką tandetę? Apostoł Paweł nie pozostawia żadnych wątpliwości co do swojej oceny prawdziwych wartości. Dziesięć fur plew nawet w małej części nie osiągnie ceny jednego brylantu. Wszystko, co jest z ciała, wszystkie li tylko uczucia i wszystko to, co jest w istocie swej z człowieka — jest trawą i musi zniszczeć. Ale to, co jest z Chrystusa, owo złoto, srebro, drogie kamienie, tylko to jest wieczne, niezniszczalne i nie psujące się.

Teraz będziemy więc chcieli poświęcić naszą uwagę temu trwałemu charakterowi Bożego Kościoła.

WIECZNY W NIEBIESIECH

Szczególnie w ostatnich Listach apostoła Pawła, a zwłaszcza w Liście do Efezów największy nacisk został położony na wieczny charakter Kościoła Chrystusowego. Kościół jest tematem Listu do Efezów w szczególny sposób, gdyż przed-

stawiony jest w nim jako Dom, jako Ciało, jako Oblubienica Chrystusowa i jako lud Boży. W rozdziale pierwszym jest mowa o Panu, Głowie Ciała, w drugim o materiale użytym do budowy Domu, w rozdziale trzecim o wiecznej tajemnicy Kościoła, w czwartym o wzrastaniu Ciała, w piątym o kosztowności Oblubienicy, a w szóstym o walce ludu Bożego z szatanem — a wszystkie rozważania oparte są na wydźwięku tych spraw w wieczności. Już po trosze rozważaliśmy trzecie z tych zagadnień, teraz zaś będziemy mówić o rozdziale pierwszym, drugim i piątym.

Co czyni Bóg w dobie dzisiejszej? List do Efezów dopomaga nam w znalezieniu odpowiedzi na to pytanie. Najpierw apostoł rzuca spojrzenie wstecz. „Nas wybrał w Nim przed założeniem świata." „W Nim ... do dziedzictwa przypuszczeni jesteśmy, przeznaczeni będąc według postanowienia Tego, który sprawuje wszystko według rady woli Swojej" (Efez. 1, 4.11). W słowach tych wskazuje na to, że Bóg nie tylko ma jakąś niewyraźną nadzieję, jeśli chodzi o wynik Jego poczynań, lecz działa w oparciu o konkretnie określony punkt wyjścia. I dlatego, że działalność Boża w pierwszym rzędzie sięga dalekiej przeszłości, sięga ona również i „przyszłych wieków" (Efez. 2, 7).

Następnie apostoł patrzy w przyszłość. Zapewnia nas, że Bóg oznajmił nam „tajemnicę woli Swojej według upodobania Swego, które postanowił w Samym sobie, dla urządzenia wypełnienia czasów, aby w Chrystusie w jedno zgromadzić wszystko" (Efez. 1, 9.10). W tym ostatnim zdaniu podsumowuje i definiuje okres czasu, w którym ma zostać wykonane dzieło Boże; ma zgromadzić „wszystko w Chrystusie". Celem więc Bożym jest, aby nie pozostawić żadnych niedopowiedzeń, niczego niezałatwionego, niczego, co wprowadziłoby w Jego wszechświecie jakąś dysharmonię, aby widzieć urzeczywistnienie pełni jedności ze sobą Samym tych, którzy są Jego własnością — jedności, której przedsmak zaledwie im jest dany w dobie obecnej: oto wspaniały cel Boży!

Z czym się jednak spotykamy dziś na każdym kroku? Bywa tak, że gromadka naszych braci i sióstr skupiła się w obecności Pana i wszystko, co przeżywamy wspólnie jest tak wyraźnie darowane przez Niego, i jest nam tak dobrze, że czujemy, iż dotknęliśmy się pełni. Aż w pewnym momencie ktoś z nas (choć powinien już wiedzieć jak się zachowywać) powie coś lub zacznie się modlić z siebie — „według ciała", jak określiłby to Paweł, i w tej chwili życie ucieka

z naszej społeczności. Nastrój jest złamany, a kosztowność, której zakosztowaliśmy — wyśliznęła się nam. Jakże tęsknimy za tym, aby tutaj na ziemi taka społeczność była przynajmniej w pewnej mierze normalną cząstką w doświadczeniu naszych zborów i w naszych domach: „wszyscy jedno w Chrystusie Jezusie", żeby nie przeszkadzało nic, co nie jest z Niego! Jak tego pragniemy i jak ciężko pracujemy, aby ten cel osiągnąć, a jednak jak trudno nam to przychodzi! Musimy wyznać, że jest rzeczą niemożliwą dla nas do tego stanu doprowadzić. A jednak — dzięki Panu — On nas powołuje do uczestniczenia w realizowaniu tego „niemożliwego" zadania.

W tym nie ma sprzeczności. Współpracownikiem Bożym w tym dziele jest sam Kościół, czyli każdy z nas, a nie tylko usługujący bracia i specjalni pracownicy. I chwała niech będzie Panu za to, że z Listu do Efezów dowiadujemy się, że ta jedność, której przedsmak zaledwie nam jest dany obecnie, w przyszłości z całą pewnością będzie panowała w całym wszechświecie; wówczas już nie będzie niczego, co znajdowałoby się poza Nim.

W Liście tym Paweł wskazuje nam zarówno raj, który istniał w przeszłości, jak również raj, który będzie istniał w przyszłości; wskazuje na to, co Bóg uczynił przed założeniem świata (Efez. 1, 4) i na to, co Bóg ma zamiar uczynić w stosunku do wszystkich pokoleń w przyszłości (Efez. 2, 7) — a wszystko to ma związek z Kościołem. Sam Syn Boży objawiony jest w Kościele i dla tej przyczyny jest on tutaj opisany jako „Ciało Jego" (Efez. 1, 23). I tak jak indywidualność człowieka znajduje wyraz w jego ciele, tak Chrystus jest objawiany przez Swój Kościół. W obecnym wieku Kościół jest właśnie niejako tym naczyniem, w którym — w znaczeniu duchowym — mieści się Chrystus, i przez który Pan nasz się objawia.

Być „Bożym współpracownikiem" (1 Kor. 3, 9) nie oznacza, że wielu ludzi zostało powołanych do „pomagania" Bogu. Oznacza to, iż cel, który Bóg postanowił osiągnąć, ma być osiągnięty w Kościele — a ten winien Bogu w tym nie przeszkadzać, lecz w poddaniu Jego woli Mu umożliwiać. A jeśli Bożym celem dla Kościoła jest ustawiczne objawianie przezeń Jego mądrości i mocy, to jeśli tego zaniedbamy, to z całą pewnością zaniedbaliśmy wszystkiego. Sam Paweł uważał, że jeśliby nie pochwycił tego, za co już został pochwycony przez Chrystusa Jezusa — to wszelkie inne swoje poczynania uważałby za nic (Fil. 3, 12). Zapytaj samego siebie: „Czym jest

praca, którą wykonałem, czym jest to wszystko, czemu poświęciłem me życie i wyłożyłem wszystkie moje siły?" Oby Pan dał nam łaskę, abyśmy, jeśli zajdzie tego potrzeba, zważyli swoje życie raz jeszcze na wadze świątnicy. Nie wolno nam żyć dla jakiegoś drobnego celu. Gdy w świetle Jego Słowa ujrzymy Boży cel w Jego Synu — wszystko zostanie przemienione. Będziemy w dalszym ciągu głosić Słowo — ale będziemy wszystko widzieli inaczej. Już żadna rzecz, którą będziemy czynili od tego momentu, nie będzie jakimś odosobnionym pociągnięciem. Wszystko służyć będzie jednemu celowi — wiecznemu objawieniu się Chrystusa przez Jego Ciało.

Druga wspaniała prawda, którą nam objawia List do Efezów to fakt, że Kościół nie tylko jest wieczny, ale że Bóg widzi go jako już znajdującego się w niebie. Miejsce błogosławieństwa, w którym jest posadzony, jego pozycja, życie, usługiwanie, bój — to wszystko jest „w niebiosach" (Efez. 1, 3. 20; 2, 6; 3, 10; 4, 8—12; 6, 12). To powinno w jeszcze większym stopniu dopomóc nam w zrozumieniu, co to znaczy pracować dla Boga. Łatwo nam jest stworzyć coś ziemskiego. Jeśli nam wystarczy zewnętrzne, przy pomocy technicznych środków sformowane chrześcijaństwo — jakiś „ruch" oparty na ziemskich zasadach, posiadający ziemską strukturę i organizację, wówczas możemy zrobić to sami. Zostaliśmy jednak pochwyceni dla czegoś najzupełniej odmiennego. Kościół jest duchowy, a praca jego niebiańska. Nie śmie nigdy zostać związany ziemskimi sprawami.

Dawid „za wieku swego usłużył" i zasnął (Dz. Ap. 13, 36). Nie był w stanie służyć dwom wiekom! My dzisiaj usiłujemy kontynuować i uwieczniać naszą pracę przez tworzenie towarzystw, organizacji lub systemów — ale święci Starego Testamentu usługiwali swemu pokoleniu, a potem odchodzili do wieczności. Tutaj widzimy ważną zasadę życia. Pszenicę się sieje, później ona rośnie, dojrzewa, kosi się ją — a potem reszta rośliny wraz z korzeniami zostaje wyorana! Takim jest właśnie Kościół — nigdy na stałe nie zakorzeniony w ziemi! Boża praca jest duchowa do tego stopnia, że nie posiada ziemskich korzeni, ani nawet nie przylega do niej żaden zapach tej ziemi. Ludzie umierają — ale Pan pozostaje. Duchowe świadectwo wierzących winno nosić charakter niebiański, a nie ziemski. Wszystko, co ma do czynienia z Kościołem, musi być aktualne i żywe, zaspokajające bieżące — można by nawet powiedzieć — doraźne potrzeby danej godziny. Kościołowi nigdy nie wolno unieruchomić się i stanąć

na miejscu. Bóg Sam jednych Swoich pracowników zabiera, innych zaś daje. Nasza praca może ucierpieć — ale Jego nigdy. Nic Go się dotknąć nie może. On pozostaje Bogiem.

JEDEN NOWY CZŁOWIEK

Jedno bardzo ciekawe następstwo tego niebiańskiego charakteru Kościoła wyjaśnione jest w drugim rozdziale Listu do Efezów i w jego analogicznym urywku w Liście do Kolossów. W Efezów 2 apostoł Paweł daje nam wspaniały obraz, w jaki sposób istniejące w ówczesnym świecie dwa wrogie obozy, tj. Żydzi i pozostałe narody, zostały pojednane przez Pana, aby stać się wspólnie „przybytkiem świętym w Panu". To, co Paweł tutaj mówi o mieszkaniu Bożym w Duchu, w sposób zdumiewający odbiega od tego, co mówi większość chrześcijan w dobie dzisiejszej. Dzisiaj mniema się powszechnie, że gdy lud Boży rekrutujący się z rozmaitych ras, środowisk i chrześcijańskich denominacji zejdzie się na podstawie uzgodnionego wierzenia, czyli na tzw. „podstawie wiary", to jest w istocie swojej Kościół. Dla ludzi, mających takie poglądy, wszelkiego rodzaju chrześcijanie, bez względu na język, tradycje i posiadane poglądy czy stosunki — ł ą c z n i e stanowią Kościół, a na to nie ma wpływu nic, co mogą doń wnieść z zewnątrz.

Sprostowaniem tego rodzaju myślenia jest słowo **„nowego człowieka"** w wierszu 15-tym. „...aby z dwóch stworzył w sobie Samym jednego n o w e g o człowieka". Nam się zdaje, że żydowscy wierzący i wierzący z pogan (lub z jakichkolwiek innych ugrupowań, które w danej chwili mamy na myśli) razem wziąwszy stanowią Kościół. Żeby jednak nie pozostawić żadnej wątpliwości, co Duch Święty mówi na ten temat, Paweł wypowiada się po raz drugi, i jeszcze wyraźniej w Liście do Kolossów 3, 11, gdzie odnośnie do nowego człowieka czytamy takie słowa: „...nie ma Greka ani Żyda, obrzezania ani nieobrzezania, cudzoziemca, Scyty, niewolnika, wolnego; ale wszystkim i we wszystkich Chrystus." Jeśli słowa Pawła zrozumiemy poprawnie, będziemy wiedzieli ponad wszelką wątpliwość, że jeśli chcemy być chrześcijanami, to nie możemy być niczym innym, jak t y l k o chrześcijanami!

Trudność polega na tym, że wiele naszych wniosków dotyczących tych spraw wypływa z fałszywych przesłanek. Pozwólcie, że przytoczę przykład. Wyobraź sobie, że stoisz przed bramą Kościoła i symbolicznie rozdajesz chleb ubogim. Każdy, kto pragnie, może podejść i wziąć kawałek chleba,

bez względu na to, jakim jest jego zawód, albo trudności, z którymi ma do czynienia. Podchodzą różnego rodzaju ludzie i jedzą. Czyż nie kwalifikują się oni do wejścia do środka? A jeśliby weszli, czy będą żyć pospołu w pokoju? W pierwszej chwili może na pytanie to miałbyś chęć odpowiedzieć „tak" w odniesieniu do hałaśliwego tłumu, który się zgromadził, jako że mają niejako społeczność na podstawie daru, który wszyscy przyjęli. Ale poczekaj chwileczkę! A co powiesz o tych ciężkich tobołach, które niosą na ramionach, o torbach, które dźwigają w swoich rękach? A co będzie ze zwierzętami, które pędzą przed sobą i całymi furami mebli i towarów, które wloką za sobą? Przeoczyłeś, co w ślad za nimi weszłoby do środka. Przecież mają oni ze sobą wszystko to, co się składa na prawdziwy jarmark — i na coś gorszego jeszcze!

Popatrz raz jeszcze. Brama jest wąska. Cień swój rzuca na nią Krzyż, a poza nim leży grób. Jeśli chleb, który rozdawałeś, mówił o społecznym życiu, te trzy rzeczy symbolizują coś innego. Mówią one nam o tym, że przy wejściu do środka nie tylko coś otrzymujemy, ale również z czymś się rozstajemy. „Zniszczywszy w ciele Swoim nieprzyjaźń ... z dwóch stworzył w Sobie samym jednego" (Efez. 2, 15). W upadłym człowieku było coś, co trzeba było zniszczyć, gdyż stanowiło to konkretną przeszkodę dla społeczności.

Nie możemy pominąć tego drugiego symbolu. Nie możemy pominąć tego drugiego warunku dla społeczności w życiu. Jakąkolwiek by była nasza narodowość, albo chrześcijańska denominacja — musimy u m r z e ć, gdyż tylko ci, którzy zostali ukrzyżowani z Chrystusem, tylko ci, którzy z czymś się rozstali, będą się czuli w Kościele Chrystusowym jak u siebie w domu. Krzyż usuwa i nie wpuszcza tam niczego z tych rzeczy, do których, według ciała, lgniemy tak bardzo i które chcielibyśmy przynieść tam ze sobą — jak na przykład nasze naturalne cechy charakterystyczne, współzawodnictwa narodowościowe, tradycje klasowe, osobiste sympatie itd. Boży „nowy człowiek" jest całkowicie i wyłącznie nowy. W tych granicach znajduje się wyłącznie to, co jest z Chrystusa i On musi być „wszystkim we wszystkich".

NA POCZĄTKU

Z tego, co już powiedzieliśmy, wynika bezspornie, że List do Efezów daje nam najwyższe nowo-testamentowe objawienie Kościoła. Raz jeszcze uwydatnia się to w sposobie, w jaki potraktowana jest w tym Liście historia Kościoła. Jak

już wspomnieliśmy, w Liście tym oglądamy Kościół nie tylko jako odkupiony z grzechu, lecz pokazane nam są jego dzieje od początku stworzenia. Podczas gdy List do Rzymian wprowadza pojęcie grzechu już w pierwszym rozdziale, a temat Ciała Chrystusowego wprowadza dopiero w rozdziale 12-tym, po rozprawieniu się szczegółowo z takimi zagadnieniami jak usprawiedliwienie i poświęcenie poszczególnego grzesznika, List do Efezów rozpoczyna się odmiennie, cofając sie daleko wstecz i naświetlając w ten sposób jeszcze wyraźniej historyczne tło Kościoła. Jest bowiem rzeczą znamienną, że już w pierwszym rozdziale Listu do Efezów Kościół zostaje wprowadzony na widownię — i to jako już „wybrany w Nim", a chociaż zagadnienie grzechu idzie tutaj w ślad za tymi słowami, to jednak obszerniej jest o nim mowa dopiero w drugim rozdziale. W Liście tym apostoł Paweł stawia sobie za cel przede wszystkim podanie kompletnej historii Kościoła, pisząc zarówno o jego miejscu w pełni Bożego planu w Chrystusie, jak również o dziele łaski Bożej, dzięki której Chrystus go odkupił, aby móc wprowadzić go do tegoż planu.

Taki zarys dziejów Kościoła wprowadza nas najpierw do poznania samego początku wszystkich wydarzeń. Widzimy go w sercu Boga — podobnie jak w drugim rozdziale pierwszej Księgi Mojżeszowej pojawiła się Ewa, zanim jeszcze grzech się wdarł na widownię dziejów stworzenia. Wolno nam bowiem przypuszczać, że jakkolwiek Kościół został objawiony człowiekowi wiele wieków po jego upadku, to jednak zaplanowany został przez Boga jeszcze przed tym upadkiem. To porównanie czyni Ewę postacią wyjątkową między niewiastami Starego Testamentu, które również mogłyby uchodzić za typ, albo cień Kościoła. W każdej z nich znajdujemy jakąś cząstkę Kościoła, pięknie odzwierciedloną, i tak przedstawienie Oblubienicy Oblubieńcowi widzimy w Rebece, wybranie jej z pomiędzy pogan w Asenacie, przejście przez puszcze w Zeforze, otrzymywanie dziedzictwa w ziemi obiecanej w Achsie, całkowite uzależnienie od krewnego — odkupiciela w Rucie, bojującą dla swego Pana w Abigail. Lecz jakkolwiek cała ta galeria typów jest niezmiernie interesująca, żaden z nich nie jest tak pouczający, jak przykład Ewy. Wszystkie one żyły bowiem już po upadku w grzech i w związku z tym grzeszność jest bezpośrednio lub pośrednio czynna w ich postawie moralnej i odbija się na ich czynach. Ewa natomiast, gdy patrzymy na nią w owym błogosławionym okresie poprzedzającym upadek w grzech, pozostaje wyjątkowym ty-

pem, czyli cieniem Kościoła — jako tego, który spełnia wszystkie życzenia Boże w stosunku do Niego w połączeniu z Jego Synem.

Ewa była bowiem całkiem sama i jedyna. I była przeznaczona w zupełności dla Adama. „Nie czytaliście", powiedział swego czasu Pan Jezus, „że Stworzyciel na początku mężczyzną i niewiastą uczynił ich, i rzekł: dlatego opuści człowiek ojca i matkę, i przyłączy się do żony swojej, i będą dwoje jednym ciałem?" (Mat. 19, 4. 5). W tym momencie, poprzedzającym wejście grzechu na świat, który jak dotąd był przezeń nieporuszony, Ewa jest typem duchowym wyrażającym w najdoskonalszy sposób pierwotny i wieczny zamiar Boży, aby mieć Oblubienicę dla Swojego Syna.

Co więcej, typ Kościoła, którym jest Ewa, jest typem podwójnym — zrozumienie tego ułatwi nam z kolei zrozumienie słów Pawła w Liście do Efezów. Po pierwsze, będąc wyjętą z Adama podczas jego snu, Ewa stanowi część jego ciała. A potem — stworzona, uczyniona doskonałą i przyprowadzona z powrotem do niego — stała się jego oblubienicą. Inne rzeczy, również stworzone, także zostały przyprowadzone do niego, ale ponieważ nie były częścią jego samego, nie mogły się stać jego pomocą. To właśnie odróżnia Ewę od reszty stworzenia. To również w sensie symbolicznym, odróżnia Kościół Chrystusa od całego starego stworzenia, które dziś jeszcze istnieje.

Grzech bowiem wszedł na widownię dziejów i upadek człowieka jest faktem historycznym. „Przez nieposłuszeństwo jednego człowieka wielu stało się grzesznymi". „Wszystko stworzenie wespół wzdycha, i wespół boleje aż dotąd". Tak więc dzieło odkupienia stało się Bożą koniecznością. Krzyż musiał się stać faktem historycznym. Jego zadanie nie ogranicza się jednak do owego typu snu, przebudzenia i nowego stworzenia, które symbolizował sen Adama, ponieważ musiał on również rozprawić się z nową sytuacją, która była wynikiem upadku człowieka w grzech. To zapewne jest przyczyną, że w Nowym Testamencie śmierci Pana Jezusa nigdy nie określono słowem „zasnął", jak to ma miejsce w wypadku, gdy jest mowa o innych wierzących. Grzech i śmierć musiały spotkać się z należną odprawą i przez Krzyż zostać usunięte! Chrystus Jezus musiał dla naszego zbawienia stać się posłusznym aż do śmierci i to śmierci krzyżowej. Cena musiała zostać zapłacona, a moc szatana złamana. Każdy pojedynczy grzesznik musi przyjść do Zbawiciela i znaleźć

odpuszczenie grzechów przez odkupienie we krwi Pana Jezusa. Widzimy więc samych siebie — i zupełnie słusznie — jako trofea łaski Bożej, trofea odkupienia, jako grzeszników znalezionych w dolinie grzechu. To, jak już powiedziałem, jest treścią Listu do Rzymian. A jednak, pomimo tego wszystkiego, w Liście do Efezów widzimy, że Bóg woli patrzeć na nas w ramach Swego wiecznego celu, jako na pochodzących całkowicie z Chrystusa i przeznaczonych całkowicie dla Chrystusa.

Na tym polega cud Bożej nadziei, że nawet katastrofa upadku człowieka w grzech nie mogła Bożego planu zniweczyć, a tylko jego wykonanie opóźniła. Adam zgrzeszył; a bez pomocy łaski Bożej, człowiek w tym ciele — tak, nawet odkupiony człowiek — może grzeszyć i często grzeszy. Ale przez nowe zrodzenie zaszczepione jest w nim coś z Chrystusa, czego grzech nie jest w stanie dotknąć, a człowiek otrzymał rozkaz, aby żyć tym właśnie elementem. Siły do wykonania tego rozkazu dodaje poszczególnym członkom życie samego Pana Jezusa Chrystusa, którego obfity strumień popłynął z Krzyża — i nadal płynie. Dzięki temu życiu panowanie grzechu, który był ich tyranem, jest złamane; chodzą w nowości tego życia, darowanego im dzięki zmartwychwstaniu (Rzym. 6, 4. 6). I nie istnieje żaden artykuł zastępczy. Tylko to życie może sprostać Bożym wymogom.

Życiem tym należy się też dzielić z innymi, gdyż w sferze Bożego celu nie istnieje wiele pojedynczych naczyń, lecz tylko jedno Naczynie. Bóg stworzył jedną Ewę, a nie wielu ludzi. Bez Chrystusa — ja jako taki nie posiadam życia; bez Kościoła, który jest Jego Ciałem, nie mogę żyć w pełni takim życiem, jakim żyć powinienem, choć już życie Chrystusowe posiadam.

Obecnie jednak posiadam już nie tylko życie; mam ze sobą i samego Dawcę żywota. Przyjrzyjmy się na chwilę drugiej części 5-tego rozdziału Listu do Efezów. W odcinku od 25 — 30-go wiersza możemy rozróżnić dwie rzeczy: Oblubienicę i Ciało. W wierszach 25 — 27 zawarte jest pierwsze prawo miłości: „Mężowie, miłujcie żony swoje" — a oparte jest ono na dwóch rzeczach: na miłości Chrystusa do Swojej Oblubienicy, którą okazał w przeszłości, umierając za nią na krzyżu, a jeśli chodzi o przyszłość — to prawo miłości objawia się w celu, dla którego jest przeznaczona. Tak wygląda ta sprawa z perspektywy wieczności. Zaś w wierszach 28 — 30 zawarte jest drugie prawo miłości: „Tak powinni

mężowie miłować żony swoje, jak swoje własne ciała", a to oparte jest tylko na jednej rzeczy, a mianowicie na miłości — o której jest tutaj mowa w czasie teraźniejszym — miłości Chrystusa, w zasadzie w stosunku do siebie Samego, czyli do Swego Ciała. Ta druga prawda przedstawiona nam jest w perspektywie teraźniejszości. Pierwszy urywek daje nam wizję Chrystusa i Jego Kościoła jako dwóch odrębnych istot, i ma do czynienia z ich połączeniem, jako Oblubienicy z Oblubieńcem — Dawcą żywota. Drugi urywek przedstawia nam Chrystusa i Jego Kościół już duchowo złączonych w jedno, nie posiadających już odrębnego istnienia i dotyczy obecnego połączenia i zidentyfikowania się Kościoła z Chrystusem w jedności życia, jako będącego Ciałem Chrystusowym. Z jednego powstało dwoje; a tych dwoje z powrotem staje się jednością. Oto na czym polega tajemnica Kościoła: wszystko, co pochodzi z Chrystusa — wraca do Niego.

Praca Chrystusa w dobie obecnej polega na żywieniu i ogrzewaniu Kościoła, na strzeżeniu i chronieniu go przed chorobą i skazą, a dba o niego w ten sposób dlatego, że go miłuje jak siebie Samego — jako że, a słowa te trzeba wypowiedzieć z głęboką czcią, Kościół to jest Chrystus! W jaki sposób Chrystus żywi i ogrzewa Swój Kościół? „Oczyściwszy go kąpielą wodną przez Słowo" (Efez. 5, 26). Ale w wierszu tym nie jest użyte w oryginale greckim słowo „Logos" — wielkie, obiektywne, wieczne Słowo Boże, lecz rhema, co oznacza słówko małe, powiedziane bardziej osobiście i subiektywnie. To określenie znajdujemy również w Ewangelii Jana 6, 63: „Słowa (**rhemata**), które Ja wam mówię, duchem są i żywotem". Rhema zawsze przynosi pojęcie czegoś bardzo osobistego, przychodzącego z serca i pragnącego przemówić do serca. Maria zaś rzekła: „Oto, ja służebnica Pańska; niech mi się stanie według słowa Twego". „Teraz puszczasz sługę Swego, Panie, według słowa Swego, w pokoju". „Stało się Słowo Boże do Jana, Zacharyjaszowego syna, na puszczy". „Całą noc pracując, niceśmy nie złowili; wszakże na słowo Twoje zapuszczę sieć". „Nie masz Go tu, ale wstał; wspomnijcie, jak wam powiedział, gdy jeszcze był w Galilei ... i wspomniały na słowa Jego". „Przypadł Duch Święty na nich ... i wspomniałem na Słowo Pana, jak był powiedział, ... będziecie ochrzczeni Duchem Świętym". (Łuk. 1, 38; 2, 29; 3,2; 5, 5; 24, 6—8; Dz. Ap. 11, 15. 16.).

W jaki sposób dokonuje się powrót Kościoła do wykonywania planu Bożego? Przez „kąpiel wodną" w połączeniu

ze „Słowem": woda Jego zmartwychwstałego życia kontroluje nas i objawia — przez kontrast z samym Sobą — wszystko to, co winno być usunięte; a potem Jego Słowo dokonuje ostatecznie dzieła oczyszczenia nas z tego wszystkiego, co zostało wskazane, jako wymagające usunięcia, równocześnie nas odnawiając, przez zagojenie ran i zlikwidowanie skaz. Niekiedy bywa i tak, że najpierw przychodzi Słowo, a potem dopiero życie — ale skutek jest ten sam. „I po wtóre kur zapiał. I wspomniał Piotr na słowa ... i wyszedłszy, płakał" (Mar. 14, 72). Kościół, w stosunku do którego Słowo Boże nie ma mocy, i do którego nie przemawia — nie jest Kościołem, gdyż Słowo to jest instrumentem w ręku Pana, aby oczyszczać i odnawiać. Jeśli tylko sobie z tego zdamy sprawę i pozwolimy Mu na wykonanie tej pracy, to już po krótkim czasie odczujemy, żeśmy tak zrobili — nawet gdybyśmy w czym jeszcze upadli.

Ale dzięki niech będą Bogu, że nadchodzi dzień, w którym Ciało, biorąc swój charakter całkowicie od Tego, który jest jego życiem, stanie się sposobnym, by zostać Jego Oblubienicą, Jego pomocą, gdy jako Jego Ciało osiągnie miarę męża doskonałego, miarę zupełnego wieku Chrystusowego (Efez. 4, 13). A wtedy nareszcie zostanie Mu przedstawiony „chwały pełnym Kościołem, nie mającym skazy, ani zmarszczki, ani czegoś podobnego" (Efez. 5, 27). Całkowicie Jemu podobny, ponieważ całkowicie wzięty z Niego — Kościół będzie wreszcie całkowicie dla Niego. Był wyrażeniem Jego chwały, przyobleczony więc będzie w tę chwałę, a nie będzie już widoczna żadna blizna po jakimś grzechu, żadna zmarszczka, wskazująca na podeszły wiek — i stracone lata, nic zupełnie, co by oszpecało, ale będzie święty i bez nagany. Przez Słowo Swoje Chrystus nie pozostawił w nim miejsca dla szatana lub jego demonów. Nikt, ani ów wróg z swoimi aniołami, ani ludzie, czy aniołowie — a nawet Sam Bóg nie będzie mógł mu czegokolwiek zarzucić. Wszystko w nim jest teraz bowiem nowe — wszystko z Boga. Widząc zatem, że Słowo Boże ma mieć tak błogosławiony skutek, czyż nie mamy cenić go sobie dzisiaj jako największy skarb?

Rozdział VII

Budowanie w miłości

A teraz przejdziemy od niebiańskiej tajemnicy do jej ziemskiego objawiania się. Przyjrzawszy się Kościołowi — Ciału i jego stosunkowi do Pana, musimy zastanowić się nad jego stosunkiem do ludzi. Nadeszła chwila, kiedy wypada nam się zapytać, w jaki sposób zachowują się i są czynni jedni członkowie w stosunku do drugich?

Wydaje się, że Paweł, jako pierwszy z wszystkich apostołów otrzymał zrozumienie odnośnie do Kościoła, będącego połączeniem Pana Jezusa z Jego ludem w jednym ciele, posiadającym rozliczne członki. Niewątpliwie wizja Kościoła jest szczególnie jego działem, jako że ma to bezpośredni związek z chwilą jego nawrócenia się i powołania, gdyż oto Pan Jezus Sam zwraca mu na to uwagę, wypowiadając pamiętne słowa: „Jam jest Jezus, którego ty prześladujesz" (Dz. Ap. 9, 5). Prześladować wierzących, oznacza prześladować Jezusa. Dotknąć Jego uczniów oznacza dotknąć Jego. W ten sposób słowa te były zapowiedzią owego wspaniałego objawienia, które miało zostać darowane Pawłowi odnośnie do tajemnicy Kościoła. Słowa te zawierały coś nowego, coś, co dotyczyło Pana, coś więcej, aniżeli dotąd z Jego wypowiedzi, które poczynił tutaj na ziemi, można było kiedykolwiek wywnioskować.

Ale Pan nie poprzestał na tym w Swoim działaniu z Pawłem. Nie pozwolił mu zachować tej niebiańskiej wizji dla siebie. Rozkaz, który otrzymał od Pana bezpośrednio potem, natychmiast wskazał mu na praktyczne następstwa takiego objawienia. „Wstań, i wejdź do miasta, a powiedzą ci, co masz czynić". P o w i e d z ą c i! Bez pomocy tych właśnie ucz-

niów, których wrogiem był poprzednio — Paweł byłby bezradny. Nigdy by się nie był dowiedział co ma robić, gdyż Pan nie byłby mu tego powiedział inaczej, jak na podstawie działania żywego Kościoła. Pan nie byłby mu dopomógł do li tylko indywidualistycznego powołania i samodzielnej misji. Indywidualizm jest bowiem grzechem; przezeń Ciału Chrystusowemu dzieje się krzywda.

Paweł znalazł się wreszcie w Damaszku, gdzie miał spędzić długie godziny oczekiwania. Najpierw nie zjawiał się nikt. Dopiero po trzech dniach spędzonych w ciemności — nareszcie się ktoś zjawił, ale i ten człowiek, który przybył, był tylko zwyczajnym „uczniem". Z użytego tutaj przez Łukasza tytułu Ananijasza, którego nazywa po prostu „uczniem" możemy wywnioskować, że jakkolwiek był to mąż bogobojny i o zacnym charakterze, to jednak był zwykłym bratem, którego nie cechowało nic szczególnego, co miałoby go w jakiś specjalny sposób predestynować do usłużenia mężowi, który był powołany, by się stać „wielkim apostołem Kościoła". Ale właśnie w ten sposób tajemnica Kościoła miała się Pawłowi stać jasna z praktycznego punktu widzenia.

Dla Ananijasza, który znał Szawła z Tarsu ze słyszenia, i który miał wszelkie powody po temu, aby się go bać, przeżycie to było również sposobnością okazania w praktyczny sposób cudu łaski, który się dokonał i w jego sercu. A przeżycie jego nie było łatwe. Widzimy to z jego pełnych ostrożności słów „słyszałem o tym mężu" (Dz. Ap. 9, 13), które zmieniły się na „Saulu, bracie" (wiersz 17). Pan Jezus zniszczył nieprzyjaźń i rozproszył wszystek jego strach. Proste słowa powitania, wypowiedziane przez Ananijasza, dają wyraz uznania przez Kościół powszechny nowego członka Chrystusa, a równocześnie prosty ten akt dał wyraz nowo znalezionej jedności tych dwóch mężów w obliczu jednego i tego samego pomazania. W jednym Duchu dali sobie i wzajemnie od siebie otrzymali instrukcje, które Bóg przewidział jako środki mające osiągnąć rezultaty o ogólnoświatowym zasięgu (Dz. Ap. 22, 14 — 16).

Apostoł Paweł daje nam w swoich pismach dwa nieco odmienne opisy Ciała; jeden w Liście do Efezów, a drugi w 1-szym do Koryntów. Podczas gdy pierwszy opis przedstawia nam Kościół w niebiesiech, to w drugim widzimy go stojącego mocno na ziemi. W Liście do Efezów Kościół w c a ł o ś c i jest owym Ciałem. Niemniej do wierzących w Koryncie Paweł pisze znowu: „Wy jesteście ciałem Chrystuso-

wym, a z osobna członkami" (1 Kor. 12, 27). Wielu uważa, że List do Efezów był listem ogólnym, który miał być czytany we wszystkich Zborach — a sposób potraktowania przez Pawła zagadnienia Kościoła jako Ciała Chrystusowego w pojęciu uniwersalnym zdaje się potwierdzać słuszność tego poglądu. List do Koryntów natomiast był skierowany do tego szczególnego Zboru w greckim mieście Koryncie — a w nim Paweł objaśnia, w jaki sposób Ciało to w danej sytuacji tutaj na ziemi funkcjonuje, używając przy tym jako ilustracji sposobu funkcjonowania ciała ludzkiego.

Przypuszczam, że to właśnie wyjaśnia niezwykle charakterystyczną wypowiedź Pawła w 1 Kor. 12, 21: „Nie może tedy oko powiedzieć ręce: nie potrzebuję ciebie, albo znowu głowa nogom: nie potrzebuję was." Winniśmy być jednak bardzo ostrożni, aby go tutaj źle nie zrozumieć. Ciało Chrystusa — i to zarówno w pojęciu ogólnym, niebiańskim, jak również w sensie miejscowego zboru, tutaj na ziemi — ma tylko jedną Głowę, którą jest sam Chrystus (Efez. 4, 15). Nie jest rzeczą możliwą, aby w miejscowych zborach miało być wiele „głów", gdyż spowodowałoby to powstanie natychmiastowego rozbicia w Ciele, a Paweł w żadnym wypadku nie dopuszcza takiej możliwości. W pierwszym Liście do Koryntów należy więc uważać użyty przez Pawła przykład ludzkiego ciała za podobieństwo, mające na celu zilustrowanie zasad praktycznego funkcjonowania i współzależności objawiającej się w niebiańskim i wiecznym Ciele Chrystusa, działającym t u t a j n a z i e m i. Apostoł podkreśla więc w sposób jasny i wyraźny, że podobnie jak Chrystus, który jest Głową, nie może obyć się bez najmniejszego nawet ze Swoich członków, podobnie żaden pojedynczy członek nie może się obejść bez któregokolwiek innego członka. W 1-szym Liście do Koryntów zagadnienie to rozważane jest nie tyle z punktu widzenia Bożego celu, ile raczej odpowiedzialności człowieka. Boża strona jest konieczna, gdyż bez niej nikt nie mógłby funkcjonować, ale chodzi o to, w jaki sposób my te Boże sprawy przynosimy temu światu i w jaki sposób cele Boże realizujemy tam, gdzie się znajdujemy w dniu dzisiejszym?

Trudność wydaje się polegać na posiadaniu równocześnie i jednej i drugiej rzeczy. Łatwo jest przyjąć to, o czym mowa w Liście do Efezów. Sytuacja zaczyna się komplikować z wprowadzeniem prawd pierwszego Listu do Koryntów. Dla kogoś o duchowym nastawieniu List ten jest w ogóle zbyt praktyczny, a ponieważ tak jest w istocie, zachodzi zawsze

niebezpieczeństwo uchylania się od trudności, jakie przynosi ze sobą wprowadzanie go w życie. Tacy wierzący — zupełnie słusznie zresztą — usiłują uniknąć skrajnego, niewolniczego trzymania się jakiegoś wzoru, czy systemu życia zborowego, który można by stworzyć na podstawie pewnych danych znajdujących się w Nowym Testamencie, z których możemy wnioskować, jak postępowano w owych czasach. Wiedzą o tym doskonale, że w rezultacie otrzymalibyśmy tylko kopię ówczesnych zwyczajów, które panowały w okresie historycznych początków Kościoła — kopię, w której bardzo łatwo zabraknąć by mogło życia. Pragnąc tego uniknąć, kierują wzrok prawie wyłącznie na pełen chwały, niebiański Kościół — tak jak go przedstawia List do Efezów — ale efekt tego jest taki, że popadają w przeciwną skrajność, a mianowicie wizja ich staje się do tego stopnia „duchową", że w dużej mierze, jeśli nie w zupełności, staje się tylko sprawą wyobraźni — daleką od rzeczywistości!

A przecież 1 Koryntian 12 jest bardzo łatwo zrozumiałym urywkiem Pisma Swiętego — ale dlatego właśnie, że jest taki prosty, wielu nie rozumie jego treści. Tutaj nie mamy do czynienia ani z czymś wyłącznie niebiańskim, ani też z czymś wyłącznie ziemskim, ale chodzi tutaj o niebiańskie rzeczy, które znajdują swój wyraz na ziemi. Objawienie Ciała na niebiesiech miało na celu przynosić w sposób spontaniczny konkretne i bardzo praktyczne rezultaty tutaj na ziemi — i o tych właśnie rezultatach jest mowa w tym Liście.

Bożą zasadą jest zasada inkarnacji — chociaż termin ten używać musimy bardzo ostrożnie, gdyż niebezpieczną jest rzeczą iść za daleko porównując Kościół z jego Panem, który przyjął ciało człowieka. Otóż Bóg pragnie okazywać niebiańskie życie tutaj na ziemi — można by powiedzieć, że nawet więcej niż pragnie tego; jest to Bożą koniecznością. Życie to Bóg chce okazywać nie przez aniołów, albo duchy, lecz w ludziach — i to w sposób konkretny i praktyczny. Jest rzeczą nader błogosławioną żyć w atmosferze niebiańskiej Listu do Efezów, ale pamiętaj, że ten sam apostoł, który napisał List do Efezów, napisał również List do Koryntów! Charakter Boży wymaga tego, aby Jego Kościół — powszechny, duchowy, niebiański — miał swój ziemski wyraz w miejscowych zborach, rozmieszczonych w nie mniej ciemnych i przez szatana atakowanych okolicach jak ów koryncki, pogański port. A ponieważ mamy do czynienia z ziemskim

elementem, przez który objawia się Kościół — zawsze spotkamy się z opiniami ludzi, którzy będą się mieszać do Jego spraw. Na swoje usprawiedliwienie mówią: „Musimy n i e k i e d y być ziemskimi!" Ale 1 Koryntów wskazuje na coś innego: pomimo ziemskiego otoczenia Zbór winien kierować się zasadami niebiańskiego Ciała. Miejscowy Zbór nie jest bowiem tylko cieniem, czy typem zewnętrznym Chrystusa, lecz prawdziwym Jego objawianiem się na ziemi w dobie obecnej. „Lecz wy jesteście ciałem Chrystusowym." Tutaj, w Koryncie, wy koryntcy wierzący jesteście powołani, aby w sposób istotny być całym Ciałem Chrystusa.

ODPOWIEDZIALNOŚĆ

Przyglądniemy się więc nieco dokładniej dwunastemu rozdziałowi 1-go Listu do Koryntów i temu, co Paweł mówi o życiowych funkcjach Ciała — Kościoła. W wierszach od dwunastego i dalej można dosyć łatwo stwierdzić istnienie czterech prostych praw, na których opiera się życie tego Ciała.

Pierwsze prawo znajdujemy w wierszach 15 i 16: „Jeśliby rzekła noga: ponieważ nie jestem ręką, nie należę do ciała; czyliż dlatego nie należy do ciała? A jeśliby rzekło ucho: ponieważ nie jestem okiem, nie należę do ciała; czyliż dlatego nie należy do ciała?" Czyli innymi słowy, każdy z nas winien wypełniać swoją funkcję w zależności od tego czym jest, a nie od tego czym chciałby być. Ponieważ nie jesteś kimś innym, to jeszcze nie powód, abyś zaprzeczał, iż jesteś sobą! To tak, jak gdyby noga powiedziała: „Postanowiłam być ręką — a ponieważ okazało się to niemożliwym, nie będę więcej chodziła!" Tego rodzaju odmowa wypływa z porównywania siebie z innymi, a serce, które to czyni, daje dowód, że jest poddane indywidualizmowi — jako że tylko indywidualizm porównuje.

Kto ma zwyczaj porównywania, ten jeszcze nie miał wizji Ciała Chrystusowego. Powiedzcie mi bowiem, **która** część ciała jest lepsza — ręka, czy noga? Po chwili zastanowienia przychodzimy do wniosku, że nie ma możliwości ich porównywać — nie ma odpowiedniej skali porównawczej. Ich funkcja w organizmie jest odmienna i obie te części ciała są na równi potrzebne. A jednak wielu w ten właśnie sposób pomniejsza wartość darów Bożych: ponieważ nie mogą być jakimś członkiem, którego szczególnie podziwiają, odmawiają zajęcia swojego miejsca w ogóle. Bywa też tak, że ludziom

się wydaje, iż wszelkie usługiwanie rozpoczyna i kończy się na publicznym służeniu Słowem — a jeśli nie mają daru, który by umożliwiał im tego rodzaju publiczne usługiwanie, nie robią niczego.

Zachodzi tutaj identycznie to samo, co w sytuacji opisanej w przypowieści Pana Jezusa o sługach, którzy otrzymali od swego pana talenty (Mat. 25, 14 — 30). Był między nimi taki, który otrzymał pięć talentów, inny — dwa, ale główny nacisk w tej przypowieści położony jest na tym słudze, który otrzymał jeden talent. Niebezpieczeństwo polega bowiem na tym, że brat posiadający jeden talent, swój talent zagrzebie. „Skoro nie otrzymałem pięciu talentów, ani nawet dwóch, to cóż będę mógł zrobić z jednym?" „Jeśli nie jestem w stanie usługiwać w jakiś naprawdę widoczny sposób, to czy się w ogóle na coś przydam? Jeśli inni tak wspaniale umieją poprowadzić zebranie modlitewne i nadać swoimi modlitwami ton całemu zgromadzeniu — czy nie lepiej byłoby, abym w ogóle się nie modlił? Nie mogę zajmować poważnego stanowiska — czy wobec tego ma to jakieś znaczenie, abym w ogóle zajmował jakieś stanowisko?"

Ale przypowieść uczy nas, że jeśli pięć talentów mogło urość do dziesięciu, a dwa do czterech — to jeden też może urość do dwóch. Dopiero, kiedy jesteśmy czynni, odkrywamy istotę życia. Największą szkodę ponosi Kościół nie z racji członków, którzy się zbytnio wybijają, mając owych pięc talentów, lecz przede wszystkim z racji powstrzymywania się od pracy tych, którzy mają jeden talent. Życie całego Ciała ubożeje i jest ograniczone z powodu zagrzebywania pojedynczych talentów!

Z chwilą, gdy zdaliśmy sobie sprawę czym jest owo niebiańskie Ciało, będziemy szczęśliwi, jeśli będziemy mieli choćby najmniejszą cząstkę w nim. Oczywiście — fakt, że odmawiamy funkcjonowania w Ciele Chrystusowym, ponieważ mamy tylko jeden talent, może być wynikiem istnienia w naszych sercach pragnień i ambicji, które są sprzeczne z wolą Bożą, lub co gorsza — objawiać niezadowolenie z tej woli. Ale nie tak powinno być! Jeśli upodobało się Bogu uczynić mnie największym członkiem — chwała Panu! Jeśli zamiast tego upodobało Mu się uczynić mnie najmniejszym — chwała Panu również i za to! Czy jestem ręką, czy może nogą? Chętnie będę tym, czym mnie Pan uczynił. Jestem najzupełniej zadowolony z wyboru, który uczynił mój Pan i chętnie będę działał w przewidzianej dla mnie sferze odpo-

wiedzialności, przyjmując Jego dar i używając go — a ten talent, który otrzymałem, może zarobić i drugi, i bardzo prędko może się znaleźć i pięć, a nawet dziesięć talentów.

Paweł napisał: „Podtrzymujcie słabych" (1 Tes. 5, 14), a słowo użyte w tym miejscu oznacza dosłownie „małoduszny". Powinniśmy więc zachęcać brata obdarzonego tylko jednym talentem, nie dla okazałości jego daru, który nie jest przecież duży, ale ponieważ mieszka w nim Duch Święty. Podstawą wszelkich jego nadziei winien być sam Bóg. Jeden z moich najserdeczniejszych kolegów był uważany w okresie poprzedzającym jego nawrócenie za bardzo tępego — można by niemal powiedzieć głupiego. A jednak, gdy Bóg wkroczył w jego życie i Duch Swięty zaczął pracę w jego sercu, zaszła przedziwna zmiana: w niespełna dwa lata zabłysnął jako niezmiernie udarowany nauczyciel biblijny!

Pierwszym więc prawem, które możemy ustalić jeśli chodzi o funkcjonowanie członków Ciała Chrystusowego — jest używanie tego daru, którym zostaliśmy obdarzeni. Nie ma wymówki i nie wolno nam powiedzieć: „Nie jestem tutaj potrzebny." Nie znajdziemy też duchowego pokrzepienia, jeśli udamy się z naszą Biblią i notatnikiem w jakieś ustronne miejsce w celu przygotowania się do jakiejś wielkiej, przyszłej usługi — malującej się w naszej wyobraźni, a równocześnie zaniedbując bieżące obowiązki. Da to może jakieś odświeżenie naszemu ciału, ale nigdy duchowi. Zasadą jest bowiem usługiwać innym tym, co mamy w danej chwili do naszej dyspozycji; a czyniąc tak przekonujemy się, że w miarę gdy służymy innym, sami doznajemy posilenia. Przypomnijcie sobie wydarzenie, które miało miejsce przy studni, gdzie siedział Jezus — zgłodniały zapewne, ponieważ posłał uczniów do miasta w celu zaopatrzenia się w żywność, a także spragniony — ponieważ niewiastę, Samarytankę, poprosił, aby mu dała pić. A jednak, gdy uczniowie Jego wrócili, mógł im oświadczyć, że już jadł. Posileniem Jego była owa usługa wyświadczona jednej potrzebującej duszy — zgodnie z wolą Bożą.

Usługa Ciała idzie zawsze dwoma torami: jest to zarówno otrzymywanie jak również dawanie. Jeśli ktoś chce tylko otrzymywać, to nie ma wówczas mowy o prawdziwej społeczności. Możemy nie być kaznodziejami, a jednak powinniśmy na zgromadzenie wierzących przynieść to, co mamy. Stojący na kazalnicy musi otrzymać pomoc od siedzącego w ławce. Siedzenie tylko i przyglądanie się nie wystarczy.

Musimy innym dać pić — nie koniecznie przez mówienie, ale może też i przez cichą modlitwę. A jeśli nawet nie czynimy niczego więcej jak tylko tyle, że jesteśmy obecni siedząc i słuchając, to powinniśmy rzeczywiście być tam przytomni w duchu, a nie myślami być gdzie indziej!

„Robcie nimi, aż przyjdę" — jak ogromny jest zasięg naszego usługiwania właśnie tam, gdzie się w danej chwili znajdujemy! Cząsteczka usługiwania, która nam została powierzona, ma być wykonana dla dobra całego Ciała — a więc nie ma tutaj miejsca moment zazdrości w stosunku do innych. Nie wolno nam porównywać siebie z innymi i potem żalić się przed bratem: „Bóg używa ciebie, a mnie nie używa". Czy pragnąłby może ktoś z nas być podobnym Piotrowi i pozyskiwać wiele dusz? Niechaj pamięta, że owych jedenastu powstało wraz z Piotrem. Piotr był ustami, ale nigdy nie byłby miał prawa powiedzieć: „Ja pozyskałem te dusze".

Każdy członek ma zatem swoją cząstkę usługiwania w Ciele, a do usługiwania tego został powołany przez samego Pana, który wyznaczył mu jego miejsce. Nie ma znaczenia, kto wykonuje pracę, jeśli chwała zostaje oddana Jemu w zupełności. Musimy na bieżąco rozliczać się z Bogiem przez cały czas zajmowania wyznaczonego nam przez Boga stanowiska, a nie wycofywać się na ustronne miejsca w nadziei, że tam duchowo urośniemy. „Bojąc się tedy, poszedłem i skryłem talent twój w ziemię". Nie ma żadnej chwały w tego rodzaju postępowaniu.

GODZENIE SIĘ Z OGRANICZENIAMI

Drugie prawo, na którym opiera się życie i funkcjonowanie Ciała, zawarte jest w wierszach 17 i 18-tym 12-go rozdziału 1 Koryntów: „Jeśli wszystko ciało jest okiem, gdzież jest słuch? A jeśli wszystko słuchem, gdzież powonienie? Lecz Bóg ułożył członki, każdy z nich z osobna w ciele, jak chciał." Zasada, której uczy nas ten urywek polega na pozostawianiu w naszym wspólnym życiu miejsca dla działalności innych.

Można by powiedzieć po prostu tak: nie usiłuj robić wszystkiego i być wszystkim sam! Żaden człowiek będący przy zdrowych zmysłach nie życzyłby sobie widzieć całego Ciała działającego tylko w jednym kierunku — na przykład, aby całe Ciało było okiem; nie byłoby też rzeczą rozsądną uważać za rzecz słuszną, aby oko usiłowało wykonywać całą

pracę i wszystkie zadania Ciała. Pan ustanowił rozmaitość w ciele: oko, ucho, ale również i nos, a także rękę. Nie ma tutaj mowy o poddawaniu się całości jednemu członkowi, ani też o jakimś zmonopolizowaniu funkcji Ciała przez jeden wyłącznie organ. Tak więc w przeciwieństwie do pierwszego prawa, które odnosiło się do wlokących się z tyłu, to drugie prawo odnosi się do tych, którzy pragną się zbytnio wysunąć do przodu i chcą być całym Ciałem. Ostrzeżenie, które raz jeszcze chciałbym skierować pod ich adresem, to słowa: Nie usiłujcie robić wszystkiego; nie jesteście wszystkim!

Są tacy, którzy nie potrafią na zebraniu modlitewnym przysłuchiwać się modlitwom innych, a chcą tylko modlić się sami. Skłonni są do prowadzenia innych, ale sami nie dają się prowadzić w modlitwie. Chcą, aby inni słuchali ich modlitwę i powiedzieli „Amen", ale są zbyt niecierpliwi, aby słuchać modlitw innych i po nich powiedzieć „Amen". Pragną, aby to, co oni wnoszą do zebrania, było centrum zainteresowania. Są indywidualistami nawet wtedy, kiedy się spotykają na modlitwie z innymi.

Podobnie bywa u takich w rozmowach. Umieją tylko opowiadać o sobie i o swojej pracy i nie mogą wysłuchać jakiejś relacji o pracy innych, bez wmieszania się do tego, o czym się mówi i powiedzieniu czegoś o sobie. Nie mają zdolności przyjmowania. Indywidualizm jest nader smutnym objawem w pracy chrześcijańskiej. Oznacza on, że nasza praca i nasze usługiwanie staje się dla nas czymś tak ważnym, że nie mamy zainteresowania w poczynaniach innych.

Dużo szkody wyrządzają w dobie dzisiejszej i wiele strat powodują ci spośród członków Chrystusa, którzy będąc doświadczonymi sługami Bożymi nie chcą zezwolić innym na funkcjonowanie. N a m została zwierzona przez Pana usługa, i dla tej przyczyny myślimy, że musimy całe brzemię odpowiedzialności dźwigać sami, jeśli inni mają się rozwinąć i urosnąć. Nie zrozumieliśmy tego, iż właśnie takim postępowaniem hamujemy rozwój innych. Pomyłka taka jest niestety w wielu wypadkach źródłem zniechęcenia, a nawet rozerwania, a złe skutki nie kończą się nawet na tym.

Przypuśćmy bowiem, że natrafiłem na jakąś trudność jeśli chodzi o pewną prawdę Pisma Świętego, której nie umiem rozwiązać i znalazłem się, jak gdyby we mgle. Co mam wtedy zrobić? Czyż mam usiłować zadecydować o tej spra-

wie sam, czy też udać się do członka, który obdarzony jest szczególnym darem od Boga w kierunku nauczania i wyjaśniania oraz dopomagania ludziom w znajdowaniu drogi wyjścia z tego rodzaju trudności? Jeśli zdecydowałem się na zrobienie tego pierwszego kroku, to otworzyłem drogę nowej różnicy w uczeniu zasad wiary, ponieważ w takich właśnie momentach narodziły się wszystkie rozerwania. Zamiast zaufać Panu, że rozwiąże mój problem poprzez usługę Swego nauczającego członka i umożliwić innemu członkowi wykonanie jego funkcji dla mego dobra, otworzyłem w sposób oczywisty drogę do sytuacji, w której istnieje możliwość, że będziemy obaj uczyli czegoś innego — a nawet wręcz sprzecznego. Tego rodzaju zamieszanie może również bardzo łatwo zaistnieć, jeśli będąc ewangelistą, podejmę się również nauczania nowonawróconych osób. Powinienem raczej usługiwać — a gdy zadanie moje zostało spełnione, usunąć się na bok i zrobić miejsce dla innego. Podstawową bowiem zasadą Ciała jest, że „ten, który sadzi i ten, który polewa, jedno są" (1 Kor. 3, 8).

Jako członek winienem być gotowy przyjąć to, co inny członek otrzymał ku rozdawaniu. Muszę też być skłonny uznać moją niezupełność. Czy modli się Zbór? Muszę być gotowy milczeć i dać miejsce „słabszym" modlitwom. Czy posiadam może dar opowiadania Słowa? Muszę nauczyć się siedzieć i słuchać innych. A tak zarówno wtedy, gdy moja cząstka jest duża, jak wtedy gdy jest mała, muszę jako członek za wszelką cenę unikać posuwania się poza granice mego daru, jako że na wszystkim, co przekracza swoją miarę jest ślad Krzyża — na wszystkim, co zostało przydane do Ciała w sensie szkodliwego przerostu. Konieczną jest rzeczą, abym był skłonny ograniczyć się wyłącznie do przewidzianej dla mnie przez Boga sfery działania, umożliwiając innym usługiwanie na ich odcinku. Winienem z radością i wdzięcznością przyjmować usługiwanie innych w stosunku do mnie i przyjmować udzielaną mi przez nich pomoc.

DOCENIANIE INNYCH

A teraz przechodzimy do 1 Kor. 12, 21 i 22: „Nie może tedy oko powiedzieć ręce: nie potrzebuję ciebie, albo znowu głowa nogom: nie potrzebuję was. Owszem, daleko więcej członki, które się zdają być słabszymi w ciele, potrzebne są." Możemy prawdę zawartą w tych wierszach wyrazić całkiem po prostu: nie wolno nam nigdy usiłować odciąć innego człon-

ka. Nie wolno nam nigdy myśleć, iż możemy działać w charakterze Głowy i pozbyć się pewnych członków. Słabość lub niezdarność członka nie uprawnia jeszcze do jego odcięcia. Oczywiście jest taka rzecz jak dyscyplina w Kościele — ale o tym będzie mowa później. Nie wolno nam powiedzieć do kogoś: „Nie potrzebuję ciebie." Raczej powinniśmy się przekonać, ile możemy się nauczyć od takich członków, których po ludzku mówiąc skłonni bylibyśmy uważać za nic nie znaczących. Nieraz zajdzie może nawet potrzeba poproszenia o pomoc w modlitwie tych, którymi poniekąd skłonni bylibyśmy pogardzać. Jakże przy tym się obawiamy, że czyniąc to jakby się poniżamy i zstępujemy w dół z naszego wysokiego duchowego stanowiska!... Ale nasz Pan najwyraźniej podkreśla, że potrzebuje i potrafi użyć nawet najsłabszego ze Swych członków.

Przed kilku laty stanąłem wobec ogromnie ważnego problemu w moim życiu. Dotyczył on mego osobistego wyposażenia i napełnienia Duchem Świętym dla służby. W sercu odczuwałem głęboko potrzebę takiego napełnienia, a równocześnie w umyśle moim panował odnośnie do tego zagadnienia pewien zamęt. A Pan jakoś wydawał się niechętny — i to pomimo usilnych modlitw — aby dać odpowiedź na moje pytania, albo też wprowadzić mnie w upragnione przeze mnie doświadczenie. Wiedziałem, że Pan przygotował dla mnie coś więcej, ale pozostawało to poza moim zasięgiem, aż wreszcie doszedłem do przekonania, że muszę w tej sprawie otrzymać światło, albo też nie będę mógł dalej usługiwać. Nie będzie przesadą, jeśli powiem, że całe moje życie jako sługi Pańskiego zawisło jakby na włosku.

Znajdowałem się podówczas w takiej części kraju, w której nie było nikogo z braci, którzy by mieli choć w przybliżeniu tak dobrą znajomość Pana, jaką posiadałem według mego mniemania o sobie. Co do tego, że Pan mnie tam posłał, nie było najmniejszej wątpliwości, ludzie bowiem, którym usługiwałem Słowem, słuchali bardzo pilnie; ale czegoś było brak. Usługiwaniu memu brak było mocy i przynosiło ono bardzo mało owocu. A jednak zdawało się, że nie jestem jak gdyby w stanie przyjąć tego, co Bóg mi chciał dać — i nie mogłem trudności tej pokonać samemu. Nade wszystko potrzebowałem w owym czasie społeczności.

Ale gdzie miałem ją znaleźć? Co prawda było w tej miejscowości kilku wierzących, u których mieszkałem — wieśniaków, ale mnie się zdawało, że oni wiedzieli o Panu tak mało,

że z całą pewnością nie będą mogli mi pomóc w tak wielkim problemie, przed którym stałem. Byłem przekonany, że ledwie mieli dostateczną podstawę wiary, aby się za mnie w tej sprawie inteligentnie modlić — ale w żadnym wypadku nie byliby w stanie mi pomóc w osiągnięciu zwycięstwa. Zapomniałem o znaczeniu Ciała!

Aż nareszcie przyszedł kryzys. Nie pozostało mi nic innego, jak tylko poprosić ich o przyjście mi z pomocą — jeśli nie miałem całkowicie zrezygnować i opuścić tej miejscowości. Tak więc na moją prośbę ci prości wierzący przyszli mi na pomoc w potrzebie. Powiedziałem im w jak najprostszych słowach, na czym polegała moja trudność, po czym zaczęli się modlić — a gdy się modlili, nagle światło rozświeciło się w moim sercu! Sprawa ta nie wymagała wytłumaczenia. Stało mi się to tak jasne, że nie było już potrzeby, aby doświadczenie to miało się powtórzyć. Począwszy od tego dnia rozpoczął się przypływ wód błogosławieństwa.

Jest rzeczą pewną, że Bóg nas niejednokrotnie doprowadzi do punktu, poza który nie jesteśmy w stanie przejść bez pomocy innych. Ten bowiem, który twierdzi, że w życiu jego wystarczy „Bóg i on sam" faktycznie utrudnia Bogu działanie. Tego dnia Bóg mnie nauczył, że istotnie członki, które się zdają być słabszymi w Ciele, są Mu niezmiernie kosztowne.

ZACHOWUJĄC JEDNOŚĆ

Czwarte prawo widzimy wreszcie w 1 Kor. 12, 24 i 25: „Bóg złożył ciało, dając mniej doskonałemu większe poszanowanie, aby nie było rozdwojenia w ciele, ale żeby członki jedne o drugich miały jednakowe staranie". W słowach tych apostoł podkreśla na zakończenie, abyśmy stanowczo sprzeciwiali się rozdwojeniu. Jest ono bezwzględnie zabronione. Wolą Bożą jest, aby w Ciele nie było rozerwania.

W poprzednich rozdziałach mówiliśmy o jedności w sensie ogólnym. Kościół widziany z Bożego punktu widzenia nie może być podzielony. Dzięki Bogu za to, iż jest jeden i że stanowi całość na wieki. Ale tutaj na ziemi w jedności tej mogą zostać uczynione wyrwy. Jeśli chodzi o niebiański charakter życia Kościoła, to pozostaje on oczywiście nienaruszony; ale jeśli chodzi o jego funkcjonowanie tutaj na ziemi, jest smutną prawdą niestety, że jedność ta może zostać nawet poważnie zniekształcona, czego jasnym dowodem była sytuacja, która zaistniała w Koryncie. Paweł potępia ten stan

rzeczy słowami, których znaczenie nie może budzić żadnych wątpliwości.

Na czym polega więc tajemnica jedności? Oto dwie wypowiedzi na ten temat: „Albowiem przez jednego Ducha my wszyscy w jedno ciało jesteśmy ochrzczeni, czy Żydzi, czy Grecy, czy niewolnicy, czy wolni, i wszyscy napojeni jesteśmy w jednego Ducha" (1 Kor. 12, 13). „Jedno ciało i jeden Duch" (Efez. 4, 4). Oba te wiersze objawiają znamienny związek istniejący między Ciałem i Duchem. Ukryta rzeczywistość, jaką jest Duch, ma swój odpowiednik w Ciele, poprzez które się daje poznać otaczającemu światu. Ciało stanowi jedną całość, ponieważ Duch jest jeden. Pamiętać bowiem musimy o tym, że Duch Swięty jest Osobą, a Osoby nie można podzielić. „Bóg złożył ciało", ponieważ jedność Ciała ma objawiać jedność Ducha. W Duchu jedność istnieje zawsze. Jest to fakt Boży, co do którego nie ma żadnej wątpliwości. Zachodzi tylko pytanie, czy my staramy się z a c h o w a ć tę jedność? (Efez. 4, 3).

Zanim posuniemy się dalej w naszych rozważaniach na temat Ducha Świętego i Ciała, zechciejmy sobie raz jeszcze uzmysłowić, że punktem wyjścia dla jedności duchowej jest życie. Może już zwróciliście uwagę na to, że te cztery prawa, o których mówiliśmy powyżej, zupełnie nie są wypowiedziane w formie rozkazów. Zostały one podane w 1 Kor. 12, jako stwierdzenie, do czego Ciało jest p o d o b n e. W zasadach tych odzwierciedlony jest Kościół jako spontaniczne objawianie się życia i wzrostu, podobnie jak ma to miejsce w ciele ludzkim. Jest to rzeczą posiadającą wielkie znaczenie i przyprowadza nas do rozważań na temat bardzo ważnej i charakterystycznej cechy życia, jaką jest świadomość.

Wszelkie życie zwierzęce posiada swoją świadomość, lecz szczególnie stwierdzenie to prawdziwym jest w odniesieniu do życia pochodzącego od Boga. Wszędzie tam, gdzie istnieje życie, istnieje również świadomość. Nie byłoby rzeczą możliwą dla biologa wziąć do ręki życie jako coś odrębnego i dać je nam, abyśmy je oglądali, albo się go dotknęli, a nawet, gdyby coś takiego zrobił — nie mielibyśmy możliwości życia tego widzieć... A jednak wszyscy jesteśmy zgodni z tym, że posiadana przez nas wewnętrzna świadomość jest dowodem, że posiadamy życie. Nie mamy najmniejszej wątpliwości, co do tego, że żyjemy.

To samo odnosi się do nowego życia. Chociaż i tego życia, które nam daje Bóg, nie możemy dotknąć, ani go widzieć,

niemniej jest z całą pewnością rzeczą możliwą być świadomym jego posiadania. Nowe życie znamy dlatego, że wraz z nim obudzoną została w nas nowa świadomość. Gdy jakiś człowiek urodzi się po raz drugi, otrzymuje życie od Boga. W jaki sposób w i e on o tym, że życie to otrzymał? W jaki sposób ktoś z nas w ogóle wie, że posiada nowe życie? Wiemy o tym dzięki nowej świadomości życia. Jeśli gdzieś jest życie, pojawi się tam i świadomość tego życia, i bardzo prędko da ona o sobie znać, a mianowicie zarówno w stosunku do Boga, jak również w stosunku do grzechu. Jeśli zgrzeszymy — pojawia się ból. Tracimy coś z naszego pokoju i radości. Oto co stanowi dowód istnienia życia. Życie z Boga nienawidzi bowiem grzechu i w związku z tym powstaje w nas nowe poczucie grzechu. Jeśli komuś trzeba ustawicznie wytykać jego grzechy, gdyż inaczej sobie z nich nie zdaje sprawy, to pomimo chętnego wysłuchiwania tych upomnień jest rzeczą nader wątpliwą, czy człowiek ten posiada życie.

Obecnie kładzie się wielki nacisk na życie — ale to nie wystarczy. Powinniśmy również podkreślać świadomość życia. Istota nie posiadająca świadomości, wykazuje znikome oznaki życia. Nieporozumieniem jest bowiem uważanie życia za coś abstrakcyjnego. Jest ono czymś konkretnym, realnym. Nowe życie albo jest w sercu człowieka, albo go nie ma, a potwierdzeniem jego obecności jest istnienie świadomości tegoż życia. A objawia się ono nie tylko w sposób negatywny — przez odrazę do grzechu; jest również w błogosławionym sensie pozytywne — w stosunku do samego Boga. „Sam Duch poświadcza duchowi naszemu, żeśmy dziećmi Bożymi" — tak, to prawda, lecz na nic się nie przyda ludziom o tym m ó w i ć! Każdy człowiek albo o tym wie, albo też nie wie. Jeśli posiadają Boże życie — wiedzą o tym przez Ducha. Wielu niestety zanosi do Boga modlitwy, w których nie przejawia się ani świadomość grzechu, ani też miłość ku Bogu. Można by je określić jako modlitwy anielskie, gdyż nie ma w nich żadnych cech modlitw dzieci Bożych.

To, co powiedzieliśmy o życiu jednostek, odnosi się jednak z całą pewnością i do życia całego Ciała. Ci, którzy posiadają życie, mają je wspólnie z innymi, a ci, którzy poznali istotę Ciała, świadomi są wspólnego charakteru życia w Chrystusie. Ciało nie jest bowiem tylko jakąś doktryną, czy zasadą. W pojęciu tym zawiera się również świadomość. Podobnie jak jesteśmy świadomi, iż posiadamy nowe życie — jesteśmy

też świadomi przynależności do Ciała z chwilą, kiedy do niego zostaliśmy przyłączeni.

Niektórzy w stosunku do Ciała zajmują podobne stanowisko jak ci, którzy postanawiają miłować swoich nieprzyjaciół, ponieważ jest to chrześcijańskim obowiązkiem, i nie kłamać, ponieważ jest to nie na miejscu. A tymczasem jakkolwiek ma to wielkie znaczenie, czy kłamiemy, czy też nie kłamiemy — to jednak o wiele większe znaczenie posiada to, czy w sercu odczuwamy, czy też nie odczuwamy niepokoju, jeślibyśmy skłamali. Wewnętrzna świadomość Boga i wewnętrzne odczucie grzechu — oto fundamenty chrześcijaństwa. Nie są zaś nimi w żadnym wypadku jakieś zewnętrzne reguły. Mało zatem pożytku przyniesie usiłowanie, aby żyć stosownie do zasad Ciała, jeśli w sercu nie odczuwamy, że coś jest nie w porządku, gdy według nich nie żyjemy. To jest zupełnie coś innego — samemu coś widzieć, a zupełnie coś innego, jeśli się komuś na coś zwraca uwagę. Świadomość jest tym wewnętrznym zmysłem, który widzi, choć nikt nic nie mówi. I podobnie jak wejście światła Bożego do serca ludzkiego może mu dać świadomość Boga i grzechu, który się Bogu sprzeciwia, światło to może sercu temu dać również świadomość Ciała i zrozumienie, kiedy zachowanie nasze nie jest miłe Chrystusowi, będącemu Głową tego Ciała. Światło Boże obudziło w Pawle świadomość przynależności do Ciała i ukazało mu, że sprzeciwiał się Jezusowi w osobie Jego członków. Bez świadomości, która przychodzi dzięki objawieniu i życiu — wszystko zaiste jest zupełnie puste.

MIŁUJMYŻ JEDNI DRUGICH

Pozwólcie, że przytoczę przykład tego, co nazwałem świadomością Ciała — uwrażliwieniem na Ciało Chrystusowe. Działa ono na pierwszym miejscu w kwestii miłości. „My wiemy, żeśmy przeszli ze śmierci do żywota, dlatego że miłujemy braci" (1 Jana 3, 14). Wszyscy ci, którzy są członkami Ciała — miłują. To jest rzeczą znamienną. Nikomu nie trzeba dopiero przykazywać, aby miłował, lecz czyni tak spontanicznie, bez względu na to, czy o tym myśli, czy też nie. Może być im potrzebne upomnienie, ale tylko w celu pobudzenia czegoś, co się już posiada. Przypominam sobie, że pewnego razu jeden z moich przyjaciół opowiadał mi, jak w momencie, gdy dano mu do rąk jego pierwsze dzieciątko, natychmiast je przytulił do serca i poczuł głęboką miłość do niego. Nikt nie po-

trzebował mu wyjaśniać, że obowiązkiem ojca jest miłować swoje dziecko. Po prostu stwierdził, że w sercu jego jest miłość ku temu maleństwu. Czyż nie jest równie prawdziwym objawem, że bez względu na to, kim lub czym jest dany człowiek, gdy się dowiesz, że jest bratem w Chrystusie, to serce twe napełnia się miłością ku niemu? Oto na czym polega świadomość Ciała.

Odnosi się to również do kwestii rozerwania. Podczas kiedy w wypadku miłości świadomość ta jest czynna i pozytywna, w wypadku rozerwania jest bierna i negatywna. Dla każdego wierzącego, który prawdziwie odkrył jak wielkie znaczenie ma Ciało, obrzydliwością do ostateczności jest wszystko to, co powoduje rozerwania. Robienie różnic między wierzącymi to dla nich jak gdyby obcy świat. Ci, którzy zdają sobie sprawę z istnienia Ciała Chrystusowego, nie mogą wprost chlubić się ze swojej przynależności do takiej, czy innej denominacji — i to bez względu na to, czy ktoś uważa, że takie chlubienie się jest czymś prawidłowym, czy też nie. Duch sekciarski — choćby nawet był uświęcony przez wieloletnią tradycję i praktykę, staje się dla człowieka posiadającego życie, czymś nie do zniesienia.

Trzeba niestety raz jeszcze stwierdzić, że podział na stronnictwa i grupy jest aż nader powszechnie spotykany w dobie dzisiejszej pomiędzy chrześcijanami. Bywa tak, że zgromadza się w Imieniu Pańskim około dwudziestu wierzących — a wszyscy są urodzeni z Ducha; naraz, z chwilą pojawienia się jakiegoś brata oddziela się jakaś grupka, która się skupia wokół niego. To nie jest Ciało, ani też Ciałem stać się nie może. Jeśli natomiast będąc świadomi naszej jedności w Nim, przyłapiemy się na czynieniu czegoś podobnego — to czy nie uświadomimy sobie natychmiast wewnętrznie, że coś nie jest w porządku? Jeślibyśmy tego nie odczuli, z całą pewnością czegoś by nam brakowało. Jeśli Ciało naprawdę ma dla nas jakieś znaczenie, to wszystko, co powoduje rozerwanie — zarówno rzeczy wewnętrzne jak i zewnętrzne — będzie dla nas wstrętne. Nawet danie początku czemuś, co może w efekcie spowodować rozerwanie — już pozbawia nas pokoju. Wiemy doskonale, że nie możemy tak czynić dalej. Nie pozwoli na to świadomość wspólnego życia, a to wystarczy.

To nie jest żadna doktryna, lecz żywa świadomość naszej społeczności w Chrystusie — i jest to coś bardzo kosztownego. W tej samej chwili, kiedy przychodzi do nas życie, budzi ono w nas coraz bardziej potęgujące i pogłębiające się poczucie

„przynależności". Nie możemy już od tej chwili prowadzić życia, którego ośrodkiem zainteresowania byłoby własne „ja", a przy tym nazywać życie takie życiem chrześcijańskim. Natura motyla, który zawsze buja samotnie, ustępuje miejsca naturze pszczoły, która zawsze pracuje dla całości, której wysiłki zawsze koncentrują się w ulu. Świadomość Ciała oznacza więc, że odtąd widzimy siebie stojących przed obliczem Bożym nie jako odrębne jednostki, lecz jako członków jedni drugich.

Z jednostek nie ma wiele pożytku. Nie usługują, można je łatwo przeoczyć albo i opuścić. Czy są obecne, czy też nie — to mało kogo obchodzi, a nawet nie mają wielkiego wpływu na statystyki!... Ale zupełnie inaczej przedstawia się sytuacja z członkami. Nie mogą one pozostawać w Ciele bierne. Nie odważyłyby się tylko stać i przyglądać się, nie ma bowiem większych szkodników od przyglądających się z boku! Nie odgrywa już żadnej roli dla nas, czy bierzemy, czy też nie bierzemy udziału w publicznej usłudze; naszym gorącym pragnieniem jest ustawiczne udzielanie życia tak, że gdy nas nie ma — odczuwają brak. Nie możemy powiedzieć: „Ja się nie liczę"; nie odważylibyśmy się na uczestniczenie w nabożeństwach tylko jako przygodni świadkowie, podczas gdy inni wykonują pracę. Jesteśmy Jego Ciałem, członkami jeden drugiego, a życie płynie obficie dopiero wtedy, gdy wszystkie członki wypełniają swoje zadanie.

Wszystko związane jest bowiem z życiem i z źródłem życia. Centrum życia ludzkiego jest głowa; jeśli głowa dozna obrażenia, natychmiast ustaje wszelki ruch i wszelka koordynacja. Trup bez głowy nie posiada ani życia, ani świadomości życia. Jako członki Chrystusa otrzymujemy nowe życie od Niego — ale życie to jest „w Synu", a nie jest czymś, co byśmy mogli zabrać ze sobą i zanieść gdzieś poza obręb Ciała. Gdybyśmy zostali choć na chwilę odłączeni od Chrystusa, nie mielibyśmy życia. Doskonale wiemy o tym, jak nawet cień, który położy się pomiędzy Nim a nami może zahamować na chwilę przepływ tego życia. Jest ono bowiem w N i m, a nie posiadamy niczego sami w sobie. Ci mają życie, którzy mają Syna.

Dla tej przyczyny Bóg nie zaleca nam mocno się trzymać współczłonków naszych, lecz mocno się trzymać Głowy. Tędy wiedzie droga do społeczności. Chrystus nie jest bowiem podzielony; On jest jeden. Z chwilą gdy się Go mocno uchwycimy, poczujemy wszyscy w sercach naszych coraz to bar-

dziej przybierającą na sile spontaniczną miłość ku wszystkim tym, którzy czynią to samo.

Jedność jest cechą charakterystyczną Chrystusa — a nie nas samych. Ponieważ jesteśmy Jego własnością — **dlatego** jesteśmy jedno. Pogwałcilibyśmy na przykład tę jedność, gdybyśmy rzekli, że mamy społeczność z bratem, ponieważ go lubimy. Wówczas jedność tę koncentrowalibyśmy w sobie. Chociaż z pobudek naturalnych jednych braci lubimy mniej od innych — to jednak ten, kto by pozwolił, aby te rzeczy miały wpływ na społeczność, objawiłby fakt, że społeczność nasza spoczywa na fałszywym fundamencie. Albo inna jeszcze okoliczność: czy uczyniwszy jakiemuś bratu przysługę, później się żalimy, iż odpłaca nam niewdzięcznością? Jeśli tak, to uczyniliśmy daną rzecz w oczekiwaniu na odwdzięczenie się, a nie dla miłości Chrystusa — nie dla tej przyczyny, że na pierwszym miejscu odczuwamy wdzięczność za to, że Chrystus tak bardzo umiłował nas. Motywy naszego postępowania były niewłaściwe, ponieważ nasz stosunek do Głowy był niedoskonały.

Jeśli się kiedykolwiek trzymamy naszych współczłonków (zamiast trzymać się Pana), wówczas tworzą się owe niezdrowe sympatie. Nie, dla tych rzeczy nie ma miejsca w Ciele! Gdy jeden chrześcijanin stanie się „sympatią" drugiego, tak że powstanie niezdrowa przyjaźń, możemy być pewni, że nie upłynie wiele czasu, a przyjaźń ta przemieni się w jakąś grupkę nieprzychylnie nastawioną do innych. Społeczność bowiem, która jest „według ciała" spoczywa na niewłaściwym fundamencie i nieuchronnie prowadzi do boleści. Jeśli dwóch członków przylgnie do siebie w miłości wykluczającej innych, mamy wszelkie dane po temu, aby się obawiać, że miłość ta nie jest prawdziwie z Boga. „Miłowanie jedni drugich" albo ma miejsce w ramach Ciała Chrystusowego — a wtedy jest skoncentrowane w Chrystusie, albo też jest czymś niewłaściwym. Oby Bóg uchronił nas od nieukrzyżowanych, cielesnych poczynań i wybierania sobie w ten sposób jakichś szczególnych przyjaciół, a zechciał nam dopomóc i w tych sprawach być poddanym wskazówkom Ducha.

Pomazanie Ducha jest darem Bożym udzielanym każdemu nowo zrodzonemu dziecku w Chrystusie (1 Jana 2, 18 — 20. 27). Z chwilą gdy przyjęliśmy Chrystusa jako Głowę — przyjęliśmy też owo pomazanie, a gdybyśmy tego pomazania nie mieli, byłoby to poważnym znakiem groźnego stanu — braku połączenia z Nim (Rzym. 8, 9). Jan objaśnia nam,

iż pomazanie to jest rzeczą wewnętrzną, która objaśnia dzieciom w Chrystusie naukę Ducha dotyczącą „wszystkiego" — czyli nie tylko odnośnie do Pisma Świętego. Czy rozumiecie, co mam tutaj na myśli? Posłużmy się praktycznym przykładem: Przypuśćmy, że chciałbym się dowiedzieć, czy jest wolą Bożą, abym się udał w podróż do jakiegoś odległego miasta — w jaki sposób mogę powziąć decyzję? Czy szukam jakiegoś wiersza w Słowie Bożym, albo też radzę się przyjaciół? A może we własnym umyśle decyduję, czy ta rzecz jest właściwa czy też nie? Nie. Jak już kilkakrotnie powtarzałem, podstawą naszego życia nie jest „dobre, czy złe" — ale **pomazanie.** „Czy Duch Święty jest w tej rzeczy? Czy serce moje jest pełne, czy też puste, gdy do tej sprawy podchodzę?" Nie chodzi tutaj więc o uczucia, lub porównywanie, ale o zapytywanie Boga: „Czy Duch świadczy o istnieniu życia? Czy zapewnia mnie On o upodobaniu Ojca w tej rzeczy?" Tylko w ten sposób możemy się upewnić w zupełności. Jakkolwiek bowiem rzecz, którą chcemy zrobić, może sama w sobie być najzupełniej poprawna, to jednak najistotniejszą sprawą jest, czy Duch prowadzi w tym kierunku.

Na tym polega prostota życia dzieci Bożych. Nie zachodzi potrzeba zadawania wielu pytań. Jeśli stajemy się nieposłusznymi naszemu pomazaniu — wnet to odczujemy w sposób bardzo bolesny w obcowaniu z naszym Panem, podczas gdy zawsze „zamysł Ducha to życie i pokój" (Rzym. 8, 6).

Jeśli dzieci Boże będą w ten sposób kierowały swoim życiem, to w obliczu faktu, że Duch jest jeden, nie będzie żadnego problemu, jeśli chodzi o społeczność. Ciału jest znane bowiem tylko jedno prawo — prawo pomazania. Przepisy mogą mieć swoje miejsce w jakimś stowarzyszeniu, ale nie w Ciele. Faryzeusze byli fundamentalistami, jeśli chodzi o literę Starego Testamentu. Oni żyli tą literą — znali wszystkie przepisy, a nam może się wydaje, że i my to wszystko wiemy. Co się jednak stanie, jeśli nasza znajomość tych przepisów sprawi, że podobnie jak ongiś Szaweł z Tarsu, zatwardzilibyśmy nasze serca na głos Ducha Świętego? Znał on co prawda Zakon, ale nie znał zupełnie Syna Człowieczego w niebie (Dz. Ap. 7, 55. 56). A zagaszać Ducha oznacza zacierać tę właśnie świadomość naszego wspólnego życia jako niebiańskiego Człowieka, a wtedy nasz związek z Głową doznaje równie strasznego uszkodzenia, jak uszkodzenie nerwów jakiejś kończyny uniemożliwia kontrolowanie jej przez nadrzędne centra. Wystarczy to właśnie czynić, aby w krótkim cza-

sie stać się podobnym Szawłowi, dyszącemu groźbą i morderstwem.

Życie społeczności rozpoczęło się u Szawła w momencie, gdy zawołał: „Panie! Co chcesz, abym ja czynił?" Oto na czym polega tajemnica. „Mocno się trzymać Głowy" to znaczy być Chrystusowi p o s ł u s z n y m przez Ducha. Naśladować Ducha znaczy być poddanym Panu Jezusowi we wszystkim. Duch tego posłuszeństwa nie będzie nigdy wymuszał na członkach, ale ci, którzy żyją owym pomazaniem, zawsze chętnie, z radością, a nawet instynktownie poddawać się będą Chrystusowi, a czyniąc to odkryją, iż są jedno. Jakże ważną sprawą jest więc oglądać Go jako Tego, który niezaprzeczenie jest naszym Panem!

Rozdział VIII

Podawanie innym życia

Najwyższym celem wyznaczonym przez Boga Kościołowi w dobie dzisiejszej jest budowanie się w miłości poprzez podawanie innym życia i następujący dzięki temu wzrost we wszystkich rzeczach w Chrystusie. Oto meta postawiona przed Kościołem w 4-tym rozdziale Listu do Efezów. A co więcej, w 13-tym rozdziale 1-go Listu do Koryntów, który następuje bezpośrednio po rozdziale, który był tematem naszych rozważań o Ciele — Paweł wskazuje na to, że **miłość, a nie dary,** jest elementem używanym przez Boga ku trwałemu zbudowaniu Kościoła. Dary objawiają się zewnętrznie w uczynkach i w mowie, poprzez cuda, uzdrawiania, proroctwa itd. Miłość zaś jest owocem wewnętrznej pracy Ducha Świętego, objawiającym się dzięki oddziaływaniu Krzyża na życie członków. Dary są zatem metodą używaną przez Boga, niewątpliwie, ale do czasu, podczas gdy w miłości następuje „wzrost dla budowania samego siebie" (Efez. 4, 16). Gdy wszystko inne przemija — miłość pozostaje.

Mamy więc przed sobą przykład tego zagadnienia, które będzie obecnie tematem naszych rozważań, gdy w dalszym ciągu będzie mowa o usługiwaniu Kościoła. Mam na myśli często używane przez Pawła porównywanie dwóch dobrych rzeczy i wybieranie z nich lepszej. Niekiedy podkreśla on to bardzo wyraźnie, kiedy indziej tylko delikatnie daje temu wyraz, ale należy i wtedy wziąć to pod uwagę. Tutaj, w 1 Koryntów 13, kładzie główny nacisk na to, co wiecznie trwa. Chociaż na temat darów duchowych Paweł napisał wiele, to jednak zwraca uwagę na ich krótkotrwałość, gdy je porównuje z miłością (wiersze 8 — 11).

Niekoniecznie musi być intencją Bożą, aby dary duchowe miały w danym wypadku trwać przez długi czas; udzielanie bowiem darów nie musi być zupełnie uzależnione od duchowego wzrostu obdarowanego. Charakter służby darów jest obiektywnej natury, podczas gdy ostatecznym celem Boga w człowieku jest coś zupełnie subiektywnego: wykształtowanie Ducha w nim, a nie tylko czasowe odpoczywanie Jego nad nim. Tak więc dary nazwane są „duchowymi", ponieważ pochodzą od Ducha Świętego, a nie dlatego, że ten, który je otrzymuje jest duchowy.

Dlaczego często spotykamy się z faktem, że wielu z tych, których Bóg używał na wielką skalę, później zdają się być odsunięci na bok? Odpowiadając na to pytanie, chciałbym najpierw zapytać: Skąd wiemy, że Bóg zawsze c h c i a ł używać ich w dany sposób? Czy nie miał może innych planów? Bóg przecież nie podpisuje kontraktów! A zresztą i my nieraz zatrudniamy jakiegoś pracownika tylko na kilka dni w celu wykonania jakiejś pilnej pracy, dobrze wiedząc, że jest to człowiek niewypróbowany i niedoświadczony — ale wówczas nie gwarantujemy mu zatrzymania go u siebie na zawsze, skoro nie posiada kwalifikacji dla danej służby. Zastrzegamy sobie prawo do zrobienia przesunięć. Czyż nie może być podobnie i w służbie Bożej, gdy Pan w mądrości Swojej używa jakiegoś człowieka przez pewien czas, a potem przesuwa go do innej pracy?

Bóg w y p o ż y c z a Swoją moc, i pozostaje ona Jego, a nigdy nie staje się naszą własnością. Samson na przykład miał dar wielkiej siły fizycznej. Wydawało się, że nie ma niczego, czego by nie był w stanie zrobić. A jednak w duchowym zrozumieniu, odnośnie do czystości życia, przedstawiał przed obliczem Bożym małą wartość. Pozostając w swej głupocie poddał się kompromisowi i w ten sposób spowodował własny upadek. Jeśli porównamy go z Samuelem, który był jego następcą, dochodzimy do wniosku, że Bóg mógł użyć go tylko dla wykonania jednorazowego zadania — a nie więcej.

Popełnilibyśmy zatem błąd, mierząc duchowość danego człowieka li tylko na podstawie posiadania przez niego duchowych darów. Same przez się są one niewystarczającą podstawą dla trwałej użyteczności człowieka dla Boga. Mogą one się pojawiać i mogą być kosztowne, ale celem Ducha jest coś daleko większego, a mianowicie wykształtowanie Chrystusa w nas przez działanie Krzyża. Jego celem jest ujrzenie wier-

nego odbicia Chrystusa w wierzących. Nie chodzi więc o to tylko, aby dany człowiek robił pewne rzeczy, względnie mówił pewne słowa, lecz o to, aby był pewnego rodzaju człowiekiem, który sam **jest** tym, co głosi. Zbyt wielu jest takich, którzy chcieliby głosić Słowo, a równocześnie takimi nie być: ale na dłuższą metę Bogu chodzi przede wszystkim o to, czym jesteśmy, a nie o to tylko, co mówimy. Różnica polega zaś na wykształtowaniu w nas Chrystusa.

BÓG DARUJE LUDZI

W 12-tym rozdziale 1-go Listu do Koryntów Paweł definiuje trzy zagadnienia, na których temat chce się wypowiedzieć, a mianowicie: Dary i Duch (wiersz 4), posługi i Pan (wiersz 5), działania i Bóg (wiersz 6). Te trzy główne tematy znajdują swoje objaśnienie w odpowiednich dalszych częściach tego rozdziału: Dary — w wierszach 7 — 11, posługi — w wierszach 12 — 27 (ten odcinek już naświetliliśmy nieco bardziej szczegółowo) i wreszcie działania — w wierszach 28 i 29, i proszę zwrócić uwagę, że w tym ostatnim odcinku pierwszeństwo zostało dane m ę ż o m, o których mowa jako o darach, czyli apostołom, prorokom, nauczycielom.

Duch daje dary: Bóg daje ludzi. Dobrze będzie, jeśli na tę różnicę zwrócimy uwagę. Szczególnie mocno jest ta myśl zaakcentowana w 4-tym rozdziale Listu do Efezów (w. 11 i 12), ale i tutaj w 1-szym do Koryntów, a także we wszystkich swoich pismach, apostoł Paweł kładzie wielki nacisk na charakter mężów, których Bóg może użyć.

Jeśli zadowolimy się tylko podkreślaniem darów i nauczaniem prawdy, i na tym poprzestaniemy, możemy być pewni, że cieszyć się będziemy błogosławieństwem i owocami — ale tylko na tym poziomie. Czy to jednak wystarczy? Czy pragniemy tylko tego, by być użytymi? Samson był użyty. Podobnie użył Bóg też i Balaama i Saula — do czasu. Ale powiedzcie mi, czy to, co oni reprezentują, nas zadowala? Saul był tylko królem przez pewien czas; Balaam prorokiem tylko na pewien czas. Tutaj bowiem też nie chodziło o ich słowa lub czyny, lecz o to, czym oni sami byli. Warto zwrócić uwagę na to, że gdy Pan Jezus cytował Stary Testament, nie mówił „proroctwo Izajasza", lecz „prorok Izajasz". Nie mówił „odrzuciliście proroctwa", lecz „odrzuciliście proroków". Pan nasz kładzie wielki nacisk na onych ludzi. Nie

przyjmować proroków względnie apostołów oznacza nie przyjmować Boga, który ich posłał.

Uważam, że to powinno być podstawą naszego szkolenia. Nie zawsze trzeba się kształcić tylko w uczelniach, gdzie wykładają homiletykę, czy inne podobne przedmioty i gdzie wygłaszają odczyty dotyczące wiedzy biblijnej. Bywały społeczności braterskie, bardzo ubłogosławione, z których wychodziło wielu pracowników na niwie Pańskiej, których Bóg używał w wspaniałej służbie ku chwale Swego Imienia. A co było celem tych braci? Aby trwający w społeczności z nimi młodzieńcy stali się lepszymi ludźmi, a nie tylko nauczyli się więcej, jeśli chodzi o prawdy biblijne, albo nabrali większych umiejętności jako mówcy. Nie tyle nam potrzeba większych darów, ile ludzi, których Bóg mógłby użyć. Zbyt często się zdarza, że z jednej strony ludziom dopomagamy naszymi darami, a z drugiej jesteśmy im przeszkodą z racji tego, jakimi my sami jesteśmy. Żywa woda musiała zadowolić się nieczystymi naczyniami! To wstyd!

Jest to oczywiście prawdą, że Bóg używa też i takich do opowiadania Jego Słowa, którzy nie są tego jeszcze godni — i że po latach dopiero ludzie ci uświadamiają sobie ogromne znaczenie wypowiadanych przez siebie słów; nie chce On jednakowoż, aby ktokolwiek z nas na tym punkcie się zatrzymał. Możemy iść po tej linii przez jakiś czas, ale czy nie jest prawdą, że od chwili, gdy Pan rozpocznie w nas dzieło formowania nas przez dyscyplinę i doświadczenia, zaczynamy sobie powoli uzmysławiać, jak mało w istocie zdawaliśmy sobie sprawę z prawdziwego znaczenia słów, które wypowiadaliśmy? Życzeniem Pana jest, abyśmy osiągnęli poziom, dzięki któremu będziemy mogli mówić o Nim — z towarzyszącymi temu opowiadaniu Słowa darami, lub też bez ich widocznej obecności — dlatego, ponieważ j e s t e ś m y tym, co mówimy. W doświadczeniu życia wiary chrześcijanina duchowe rzeczy Boże stają się w coraz mniejszym stopniu zewnętrznymi, to jest o charakterze daru, a coraz bardziej wewnętrznymi — samym życiem. Dlatego też na dłuższą metę ma znaczenie wewnętrzna głębia naszej pracy. W miarę jak sam Pan staje się nam coraz droższy, wszystkie inne rzeczy — tak, a musi to obejmować nawet Jego dary — mają coraz to mniejsze znaczenie. A wtedy, chociaż nauczamy tych samych prawd, chociaż mówimy te same słowa, wrażenie, jakie robimy na naszych słuchaczach jest zupełnie inne. Wówczas objawia się także i w nich coraz większa głę-

bia, jaką przynosi ze sobą praca Ducha Świętego w ich sercach.

Swoim sługom Bóg daje dar proroctwa; Kościołowi daje On proroków. A prorokiem jest człowiek, który ma za sobą historię obcowania z Bogiem, w którym Bóg dokonał przemian, formując go przez pracę Ducha Świętego. Niekiedy tak zwani kaznodzieje zadają nam pytanie, ile dni winno się przygotowywać kazanie. Odpowiedź jest następująca: Co najmniej dziesięć lat, a prawdopodobnie będzie tutaj dokładniejszą liczbą dwadzieścia! W tej dziedzinie słuszne jest przysłowie: „To, co stare, jest lepsze". Osoba kaznodziei ma bowiem dla Boga co najmniej tak wielkie znaczenie, jak to, co mówi. Bóg wybiera Sobie na Swoich proroków tych, w których już wypracował to, co pragnie podać ludziom jako Swoje poselstwo na dzień dzisiejszy.

Jest to bowiem zupełnie coś innego znać doktrynę, a znać Boga. Spraw duchowych nigdy nie nosi się w głowie. My kładziemy nacisk na dobre słowa — Bóg szuka dobrych ludzi. Jedni mówią — i odczuwamy, że otrzymaliśmy pomoc. Inni mówią te same słowa — a pozostajemy pustymi. Różnica polega na tym, kim jest mówiący. Nie uda nam się oszukać Kościoła, podając mu wartości intelektualne zamiast wartości duchowych. Kościół wie! Nic nie może zastąpić prawdziwych wartości danego sługi Bożego, które są płatne przed obliczem Bożym.

Zasadniczym pytaniem jest więc: czy jesteśmy takimi, jakimi są nasze słowa? „Panie, jeśli Cię nie znam, ani też nie znam znaczenia Twego Krzyża i kształtującej mnie pracy Ducha Twojego, to zechciej mnie zbawić od wmawiania sobie czegoś, co nie istnieje — szczególnie w tym, co głoszę i rozpocznij we mnie — dzisiaj już, cokolwiek uważasz za potrzebne celem zapobieżenia moim brakom. Złam mię, sformuj, doświadcz, wypróbuj — tak, abym mógł mówić to, co rzeczywiście poznałem". Takim musi być krzyk naszego serca. Jeśli będziemy bowiem mówili w Jego Imieniu to, czegośmy nie poznali, to w najlepszym wypadku usłużymy Bożej sprawie bardzo niewiele.

DARY A ŻYCIE

„A różne są dary łaski, ale Duch ten sam. I różne są posługi, ale Pan ten sam" (1 Kor. 12, 4. 5). Już wcześniej stwierdziliśmy, że te wiersze mają swój odpowiednik w wier-

szach 12 — 27, w których jest mowa o Chrystusie i Jego wspólnym życiu ze Swoim Ciałem. Ale w tych dwóch wierszach (4-tym i 5-tym) możemy znaleźć jeszcze jedną ważną myśl, a mianowicie zaznaczona jest w nich różnica między darami i życiem, oraz pomiędzy środkami użytymi do usługiwania — a samą rzeczą, którą chcemy podać.

Dary są środkami otrzymanymi od Ducha Świętego, przy pomocy których daję z rzeczy Chrystusowych Kościołowi. Posługi natomiast są w istocie treścią — tym wszystkim co z Chrystusa daję Ciału. Każda posługa przyczynia się do lepszego poznania Chrystusa, a Paweł porównuje raczej posługi, a nie dary, do funkcji ciała ludzkiego, takich jak wzrok, słuch i poruszanie się. Tak więc, jakkolwiek różni ludzie mogą posiadać ten sam dar, to nie można tego powiedzieć o różnych „posługach" życia, co jasno wynika z tego fragmentu Listu do Koryntów. Każda z nich jest specyficzna — i w sposób szczególny, i jedyny dodaje posiłku, daje życie całości poprzez usługiwanie każdego członka. Może to być coś, co otrzymałeś wyłącznie ty, lub ja — coś, czego Ciało może dotąd jeszcze nigdy nie otrzymało. Dary są bowiem tylko narzędziami do wypełnienia tego usługiwania, polegającego na „dawaniu Chrystusa". Używam ich w tym celu, aby podać Ciału znanego mi w szczególny sposób Chrystusa.

Jest to rzecz niezmiernie ważna, gdyż okazuje się w świetle tej prawdy, że wiele tak zwanych „duchowych przebudzeń" spoczywało na niewłaściwej podstawie. Było tam wiele darów, ale nie było Chrystusa, a to przypomina posiadanie wielu narzędzi, których nie ma do czego użyć. Ale sprawa przedstawia się gorzej jeszcze, gdyż bez Chrystusa dary są nie tylko puste, ale mogą być i zwodnicze. Niektóre z nich przynajmniej można naśladować — co nigdy nie może mieć miejsca przy podawaniu Chrystusa, a dla Ciała największe znaczenie mają nie tyle dary, ile raczej osobista znajomość Chrystusa, którą przy ich pomocy podajemy innym. Dwie siostry szpitalne mogą używać tych samych łyżeczek — ale istotne znaczenie ma to, co one nimi podają; jedna może podawać cenne i przywracające zdrowie lekarstwo, podczas gdy druga może podawać tylko jakiś narkotyk uśmierzający ból, ale nie leczący schorzenia. Największe znaczenie ma to, co podajemy. Zdrowie i wzrost Ciała jest wyłącznie wynikiem podawania Chrystusa; nigdy nie może to być osiągnięte przez same dary jako takie. A chociaż dary są potrzebne (albo-

wiem „każdemu bywa dane objawienie Ducha ku pożytkowi"), nie zastąpią one nigdy Chrystusa. Naszym pierwszym obowiązkiem jest zadać sobie pytanie: „Czy mam coś, co bym mógł dać innym?" — a potem uczyć się przez Ducha, jak dawać Chrystusa Ciału.

W jaki sposób mogę otrzymać specyficzne usługiwanie? Nie otrzymam go dzięki jakiejś doktrynie, lecz przede wszystkim dzięki życiu. Abraham nauczył się wierzyć Bogu w takiej sytuacji, w której pozostała mu tylko wiara w Boga — a nie dzięki poznaniu swoim umysłem jakiejś doktryny. Abel nauczył się przez doświadczenie przelania własnej krwi, co to znaczy wybaczać. Najpierw przychodzi doświadczenie, potem doprowadzenie do ostateczności, praktyczne poznanie prawdy — i wreszcie ż y c i e; dopiero potem doktryna. Bóg udziela nam Swego życia nie przez szukanie, studiowanie, porównywanie, lecz w przełomowym momencie — w godzinie kryzysu. Winniśmy wykorzystać każdą sposobność, aby studiować i uczyć się nowych rzeczy — ale w tym nie znajdziemy naszego usługiwania. Kaznodzieje są w tym wypadku w ustawicznym niebezpieczeństwie, gdyż wciąż szukają nowego światła, jeśli chodzi o Słowo Boże i nowych tematów dla kazań. Ale nie tędy wiedzie droga do prawdziwej usługi. Istotą jej bowiem jest nasze szczególne przeżycie Chrystusa, a doświadczenie wiary naszej sprawia, iż stajemy się wypróbowanymi sługami.

Chciałbym na tym miejscu zwrócić waszą uwagę na charakterystyczną zmianę w podkreślaniu tego, co jest najważniejsze, jaka ma miejsce w pismach samego Pawła. Zachodzi ona między dwoma Listami do Koryntów. 1-szy List wydaje się w szczególności zajmować usługiwaniem darów; 2-gi usługiwaniem życia. W 12-tym i 14-tym rozdziale 1-go Listu do Koryntów wymienionych jest wiele darów: mądrość, umiejętność, dary uzdrawiania, cuda, proroctwo, rozeznawanie duchów, języki, wykładanie itd. Ponieważ zaś wszystkie te dary są udzielane dla dobra całego Kościoła, Paweł zastanawia się tutaj głównie nad pytaniem, jaka jest ich specjalna wartość? Natomiast w 2-gim Liście do Koryntów, w rozdziałach 3-cim i 4-tym, gdy Paweł mówi o swoim własnym usługiwaniu, o darach nie wspomina zupełnie. Najwyraźniej myśl jego skupiona jest wokół wewnętrznego wykształtowania Chrystusa. Chrystus, który jest skarbem w glinianym naczyniu, jest zarówno źródłem, tak jak również tematem usługi Kościoła (2 Kor. 4, 7). „Uściskani, ale nie pognębieni",

„prześladowani, ale nie opuszczeni", „powaleni, ale nie zgubieni": oto triumfalne przetrwanie w życiu Pawła tego skarbu — i na tym polega cała tajemnica. Śmierć Chrystusa, okazująca moc swoją w nim, staje się źródłem życia, którym może się dzielić z ludem Bożym.

Bardzo ważny jest wiersz 10 — tego czwartego rozdziału 2-go Listu do Koryntów: „Zawsze śmierć Pana Jezusa na ciele nosząc..." Zawartą tutaj myśl można by wyrazić innymi słowami tak: „Uśmiercanie Jezusa zawsze sprawuje we mnie śmierć". To działanie śmierci, jak już powiedziałem na innym miejscu, jest czymś odmiennym od naszego ukrzyżowania raz na zawsze, co miało miejsce w przeszłości i jest faktem dokonanym, o czym mowa w Rzym. 6. Tutaj chodzi o trwający ustawicznie na każdy dzień proces, mający miejsce w życiu każdego dziecka Bożego, a prowadzi on na pierwszym miejscu do powstania życia we mnie (wiersz 10), ale na tym się nie kończy — i to właśnie chcę tutaj szczególnie podkreślić — proces ten idzie dalej, aby — Bogu niech za to będą dzięki — sprawić wielką usługę: „życie w was" (2 Kor. 4, 12).

Tylko życie — objaśnia nam Paweł — prawdziwie służy Kościołowi, a mówiąc to równocześnie stwierdza, na czym prawdziwe usługiwanie Kościoła jest oparte. Śmierć działająca w słudze Bożym daje w rezultacie życie; a ponieważ on ma życie, inni również je otrzymują. Kościół otrzymuje życie dzięki temu, że są tacy, którzy godzą się na niesienie Krzyża. Liczy się przede wszystkim przyjęcie przez nich śmierci Jezusa. Oto nowa lekcja, której uczy Koryntów Paweł w tym 2-gim Liście. Dzięki temu, że dzieci Boże chętnie przyjmują doświadczenia i próby, radośnie poddając się Bożej woli, umożliwiają równocześnie Bogu udzielanie życia innym. Ale to kosztowne usługiwanie otrzymują tylko ci, którzy zapłacą za nie cenę noszenia Krzyża. Życie bowiem wypływa wyłącznie ze śmierci i — na to nie ma rady, innej drogi nie ma. Nawet posiadanie darów jest mniej kosztowne od tego usługiwania — a gdy je nawet posiadamy, to i wtedy to, co mówimy lub czynimy w ich mocy, nigdy nie zapełni braków, jakie mamy w tym, czym jesteśmy, jako słudzy Pańscy.

Widzimy zatem, że Ciało jest budowane dzięki dwojakiej usłudze: **darów** i **życia**. Możemy więc zadać sobie pytanie: W której z nich możemy rozpoznać najwyższy cel Boży? Odpowiem następująco: Nie w darach, lecz w życiu, które otrzy-

mujemy od Chrystusa przez śmierć. Nie znaczy to, abyśmy się mieli wyrzekać darów (1 Tym. 4, 14; 2 Tym. 1, 6; 1 Piotr. 4, 10), lecz ten, który na nie kładzie największy nacisk, daje dowód, że w duchowych sprawach jeszcze „myśli jako dziecię" (1 Kor. 13, 11). Dopiero w 2 Kor. rozdziałach 3 i 4 Paweł wskazuje na to, co winniśmy sobie cenić najwięcej, a mianowicie, abyśmy dzięki naszej znajomości Chrystusa, otrzymanej przez pójście drogą, którą On nas poprowadził, mogli usłużyć naszym braciom tym życiem, które Duch ukształtował w nas.

Dzisiaj wielu usługuje darami; **stosunkowo niewielu życiem.** Taka sytuacja może być prawidłowa, jeśli chodzi o miejscowości, w których wierzący są jeszcze młodzi w Panu i gdzie owa miara życia, przychodzącego przez działanie Krzyża w nich, jest jeszcze ograniczona ze względu na krótki czas, w którym przeżywają swoją duchową historię. W takich okolicznościach dary duchowe mają ogromne znaczenie dla zbudowania młodych zborów i pozyskiwania dusz. Nie są one jednak same w sobie oznaką dojrzałości, a w żadnym wypadku nie wolno się z nich chlubić. Gdy dary się pokazują, powoduje to gruntowanie się wiary. Ale w miarę, jak rośnie życie duchowe w zborze, potrzeba polegania na nich się zmniejsza, a równocześnie zmniejsza się niebezpieczeństwo pychy, która często idzie z nimi w parze. Tego rodzaju postęp nie oznacza, że to, co się mówi lub czyni ulega koniecznie jakiejś zmianie, lecz rośnie w sercu sługi Bożego znaczenie tych rzeczy. Słowa jego może pozostają takie same, lecz wypływają one obecnie z głębszej wewnętrznej świadomości. Miarą duchowego wzrostu człowieka nie są więc dary, lecz o d d z i a ł y w a n i e K r z y ż a. Tylko głupi chlubić się będzie ze słów, które mu dał Bóg; czyż nie udowodnił On bowiem, że jeśli zajdzie tego potrzeba, przemówi nawet przez osła?

Czy Bóg poszczególnym jednostkom pozwoli zachować pewne dary, a nawet je pomnoży — to Jego sprawa. Jedno natomiast jest pewne, że w sprawowaniu rozwoju J e g o K o ś c i o ł a, Bóg w coraz większej mierze posługuje się życiem, a coraz mniej darami. Odnosi się to przynajmniej do bardziej widocznych objawów. Dla skutecznej usługi Kościoła ani wymowa, ani cuda, ani języki nie mają decydującego znaczenia. Bóg używa ludzi jako Swoich ust przez jakiś czas, a potem może ich odsunąć na bok, jeśli uważa za stosowne.

Ale życie Ciała idzie dalej. Jest zatem rzeczą wielce niewłaściwą, jeśli się ufa w darach — chyba, że służą w celu podawania życia, pochodzącego od Dawcy życia.

SMIERĆ ATAKUJE KOŚCIÓŁ

Podczas pobytu na tej ziemi Pan Jezus był sam naczyniem Bożego życia. Ludzie, którzy się Go dotykali, dotykali się Boga; gdy Go widzieli — widzieli Boga. Cała pełność Bóstwa mieszkała w Nim cieleśnie. (Kol. 1, 19; 2, 9.) W dobie dzisiejszej to Boże życie zostało powierzone Kościołowi, który jest Jego Ciałem. On jest naczyniem zawierającym to życie, które zostało przygotowane ku napełnieniu do całej pełności Bożej (Efez. 1, 23; 3, 19). To wszystko, co jest z Chrystusa winno być — stosownie do woli Bożej — widziane w Kościele, gdyż to jest celem, dla którego został on tutaj na ziemi pozostawiony przez Boga. Ma w nim przebywać i przezeń objawiać się życie Jego Syna.

Pan Jezus jest Światłem, Drogą, Prawdą; On jest Synem, Królem, owym „JESTEM". Ale na czym polega Jego najznamienniejsze zadanie? W Ewangelii Jana 11, 25 Pan Jezus odpowiada na to pytanie słowami: „Jam jest zmartwychwstanie i żywot". Z całą pewnością to właśnie jest najcharakterystyczniejszą właściwością naszego Pana. Pierwsze rozdziały Objawienia Jana wskazują nam, że Bóg życzy sobie, aby Kościół poznał Go jako zmartwychwstałego i żyjącego, tak aby się również tymi cechami odznaczać. Zadaniem Kościoła jest bowiem objawiać życie i zmartwychwstanie Chrystusa.

Już od samego początku, od raju aż do dnia dzisiejszego, pomiędzy Bogiem a szatanem istniała walka właśnie na tle kwestii życia i śmierci. (Dla przykładu przeczytaj 1 Mojż. 3, 3. 4; Rzym. 5, 12. 17. 21; 1 Kor. 15, 22). To wszystko, co pochodzi od Boga, charakteryzuje się życiem; to, co od szatana — śmiercią. Tutaj nie chodzi tylko o świętobliwość, gdyż istnieje obecnie na świecie dużo sfałszowanej świętobliwości, przy pomocy której można łatwo zostać oszukanym, podczas gdy życie jest jedyną rzeczą, której nie da się podrobić. Czy jest we mnie życie? Czy dotykam się życia w innych? Oto zasadnicze pytania. Życie jest bowiem czymś głębszym od myśli, czymś bardziej realnym niż uczucia, lub doktryna. Tam gdzie jest życie, tam jest Bóg. Różnica pomiędzy Chrystusem a wszystkimi innymi polega na tym, że podczas gdy wszyscy

inni umarli — Chrystus żyje. Śmierć nie mogła się Go dotknąć. A Bóg, który zniszczył śmierć przez Chrystusa, dziś używa Kościoła dla tego samego celu. W dobie dzisiejszej jest on Bożym naczyniem życia, powołanym do objawiania zmartwychwstałego życia Jego Syna i do przyprowadzania ludzi do znajomości tego życia.

Jeśli więc na tym polega praca i usługiwanie Kościoła, nie będzie trudno się domyślić, na czym będzie polegał atak przypuszczony nań przez szatana. Narzędziem jego będzie śmierć. Proszę zwrócić na to uwagę, gdyż jest to rzecz ogromnie ważna. Gdyby atak ten przychodził przy pomocy grzechu, wpływu otaczającego nas świata, albo w jakiś bezpośredni sposób, wiedzielibyśmy, jak się przed nim ustrzec. Ale nawet wtedy, gdy sprawa grzechu już jest załatwiona i gdy nawet świat już nas więcej nie pociąga — szatan wciąż jeszcze ma moc. To nie pomożę, jeśli zatkamy jedną dziurę w naczyniu, gdy jeszcze jest kilka innych!

Grzech jest zaledwie drogą — celem jest śmierć. Ten, który się rozprawia z grzechem, wciąż jeszcze nie dotknął się śmierci. Jeśli już przybyłeś do jakiejś miejscowości — zniszczenie drogi tam wiodącej nie powoduje, abyś się znalazł poza jej obrębem. Moc szatana nie jest ugruntowana tylko na miłości tego świata, lub na grzechu, ani też na żadnym bezpośrednim ataku, obojętnie czy na umysł, ciało, czy cokolwiek innego. Nad tym wszystkim możemy odnieść zwycięstwo — a jednak nie być w pełni zwycięzcami, gdyż szatan nadal jeszcze ma moc, a posiada ją przez śmierć.

Chwała niech będzie naszemu Panu za to, że od samego początku wskazał nam, z jakiego kierunku przyjdzie atak na Kościół. Możemy się go spodziewać ze strony „bram piekielnych" — „bram Hadesu" to jest ze strony śmierci. To wyrażenie występuje tylko jeden raz w Nowym Testamencie, ale tam właśnie, w Ewangelii Mateusza 16, 18 występuje ono na swoim właściwym miejscu. Szatan najbardziej boi się tylko jednej rzeczy: aby Kościół nie sprzeciwił się jego mocy śmierci. Nie zależy mu natomiast wcale tak bardzo na sprzeciwianiu się jemu, jeśli chodzi o grzech, miłość tego świata, czy też bezpośrednie ataki. Szatan zdobył bowiem swoją potęgę dzięki śmierci — i gdziekolwiek ma on władzę, tam wszędzie mamy do czynienia ze śmiercią. Najcharakterystyczniejszym jego dziełem nie jest ani opętanie przez demony, ani grzech — lecz śmierć. Dla tej przyczyny Chrystus nie mógł w wykonaniu Swego dzieła poprzestać na odkupieniu.

Sercem Jego dzieła było, aby przez śmierć zniszczył tego, który miał władzę śmierci (Żyd. 2, 14). To jest fakt o olbrzymim znaczeniu. W śmierci Jezusa Chrystusa moc szatana, polegająca na posiadaniu przez niego mocy zabijania — została raz na zawsze złamana. Ta śmierć w swoim ogromnym znaczeniu przewyższyła wszystkie inne rodzaje śmierci. Śmierć w Adamie nie jest końcem istnienia człowieka, ale jest nim śmierć w Chrystusie. Jak potężną jest ta śmierć! Wszyscy ci, którzy zasłużyli na śmierć, umarli w Chrystusie, czego rezultatem stało się to, iż ten, który miał władzę śmierci, już więcej nad nimi nie ma panowania — gdyż już umarli. A z popiołu już nigdy nie można wzniecić ognia. Jeśli jakiś dom raz spłonął doszczętnie i pozostała z niego tylko kupka popiołu, wówczas nie ma możliwości jeszcze raz sprawić pożaru tego domu; jeśli bowiem pierwszy pożar dokonał swego dzieła, to dla następnego nie ma już miejsca.

W ten sposób spór pomiędzy życiem i śmiercią, który rozpoczął się w ogrodzie Eden, zakończył się w Getsemane i na Golgocie. Tam śmierć została pokonana, zgładzona, a żywot wywiedziony na jaśnie i nieśmiertelność (2 Tym. 1, 10). Nie tylko został zniszczony szatan, lecz i dla nas, odkupionych grzeszników, śmierć przestała być terrorem, przestała istnieć, ponieważ już umarliśmy w Chrystusie i staliśmy się uczestnikami i właścicielami żywota wiecznego, nieskazitelnego.

Nie wolno nam jednak uważać tego sporu za zakończony całkowicie nawet tam. Jeśli jest mowa o „bramach piekielnych" jako o jakiejś potędze, to słowa „nie przemogą" wskazują na bój, który jeszcze trwa. Trwa jeszcze i dziś. Szatan postawił sobie bowiem za cel w szczególny sposób rozszerzać śmierć wewnątrz Kościoła. Przez ten króciutki okres czasu śmierć nadal jeszcze jest jego mocą. Jeśli uda mu się teraz przynieść śmierć ludowi Bożemu — jest zadowolony. Nie przeszkadza mu to, jeśli objawia się nawet wiele cnót, jeśli tylko wraz z nimi jest obecna i czynna śmierć.

„Zamysł ciała to śmierć; ale zamysł ducha to życie i pokój... A tak, bracia, nie jesteśmy dłużnikami ciała, abyśmy według ciała żyli. Albowiem jeślibyście według ciała żyli umrzecie; ale jeślibyście duchem sprawy ciała umartwili, żyć będziecie" (Rzym. 8, 6. 12, 13). Takie słowa skierowane są pod adresem wierzących — stąd winniśmy wziąć przestrogę, aby się trzymać życia. Jest jednak wielu pośród nas, którzy pozostawiwszy nawet grzech, i tak przynoszący śmierć jako

zapłatę, nie zdają sobie sprawy, że ci wszyscy, którzy w stosunku do życia zajmują stanowisko wyłącznie pasywne, w rzeczywistości winni są rozszerzania się śmierci! Czyniąc to, dajemy bowiem miejsce ciału.

Posłużmy się dobrze znanym przykładem. Nic tak nie sprzyja rozszerzaniu się śmierci, jak rozszerzanie wiadomości o jakimś nieprzystojnym wydarzeniu oraz krytykowanie, i to bez względu na to, iż fakty, o których się mówi, są najzupełniej prawdziwe. Bóg życzy sobie, abyśmy milczeli — ale języki nasze muszą pracować! Pragnie, abyśmy pozostali u Jego nóg w ciszy — ale nasze nogi muszą chodzić! Jeśli zaś chodzimy, gdy Pan życzy Sobie, abyśmy pozostali na miejscu, i jeśli mówimy, gdy Pan chce, abyśmy milczeli — czynimy rzeczy, które pochodzą z pożądliwości ciała na równi z innymi, bardziej jeszcze potępienia godnymi objawami. A zatem ten, który do pracy Bożej wprowadza ciało — nawet w „neutralnej" postaci, otwiera drogę skutecznemu atakowi Hadesu i jego bramom; a tak jeśli ktoś mówi, gdy Bóg sobie tego nie życzy, z całą pewnością słowami swymi rozszerza śmierć.

Nie można wytłumaczyć, co to jest życie. Jeśli się z nim zetkniemy, natychmiast wiemy, że mamy z nim do czynienia. Ale w jaki sposób? Nie dzięki myślom, czy uczuciom, albo dzięki jakiemuś „szóstemu zmysłowi". Ci, którzy wiedzą — wiedzą, a ci, którzy nie wiedzą — nie wiedzą. Ci, którzy wiedzą, co to jest życie, nigdy nie są w stanie wytłumaczyć tym, którzy nie wiedzą, i to tak długo, aż sami nie będą wiedzieli. Ci, którzy poznali i otrzymali życie, rozpoznają je również u innych. Ci natomiast, którzy mają w sobie śmierć, nie rozpoznają ani życia, ani śmierci. Człowiek naturalny, cielesny, umie rozróżnić ciepło od zimna, dobrą naukę od złej, nie jest w stanie natomiast odróżnić życia od śmierci. Wielu myśli, że tak długo, jak długo w Kościele nie dzieje się nic takiego, co można by naocznie stwierdzić, że jest złe — wszystko jest w porządku. Ale tego rodzaju brak rozeznania pomiędzy życiem i śmiercią może pociągnąć za sobą fatalne następstwa. Nie będziemy sobie zdawali sprawy z tego, że jesteśmy atakowani! Oby Pan zechciał darować nam tego rodzaju rozpoznanie!

Właśnie dlatego, że ziemskie wyobrażenie Chrystusa, jakim jest Kościół, jest Panu naszemu tak drogim, szatan pragnąłby na jego terenie z powrotem się uplasować, jeśli byłoby to możliwe, jako władca, a każdy z nas, który tam

rozsiewa śmierć, dopomaga mu w tym zamiarze. Niestety wielu z nas to właśnie robi! Cała nasza ta „zdolność" do wykonywania pracy Bożej, z której tak się chlubimy, staje się po prostu narzędziem w ręku szatana. Nasz naturalny geniusz i nasze talenty, jeśli nie są powstrzymywane i regulowane przez Krzyż, przynoszą Kościołowi śmierć. Nawet nasza prawidłowa nauka, jeśli uchwyci ją cielesny umysł — ba! nawet nasz „dar" duchowy, jeśli posiada go jakiś cielesny człowiek, który go niewłaściwie używa — sprawia tylko rozszerzanie się śmierci! Przypomnijcie sobie, jak to było z Samsonem! Nic nie może przynosić życia, co nie jest prawdziwie z Boga, Studni Żywota. Wszystko inne przynosi wyłącznie śmierć. Krótko można by to zdefiniować w następujący sposób: gdy ludzie dotkną się czegokolwiek, co jest ze mnie — dotykają się śmierci. Jeśli zaś dotkną się Chrystusa we mnie — dotykają się życia.

W tej sprawie wszelkie udawanie na nic się nie przyda. Prawda zawsze wyjdzie na jaw. A wrażenie, jakie robimy zawsze zależne jest od naszego duchowego stanu. Jeśli mieszka w nas śmierć — ludzie nie spotkają się w nas z niczym innym, jak tylko ze śmiercią. Jeśli jest tam życie — spotkają się z życiem.

Rozszerzanie życia lub śmierci jest czymś bardzo powszechnym, objawia się na każdym kroku: w domu, w zborze, na zebraniu modlitewnym — wszędzie. Niekiedy można stwierdzić, że łatwiej jest głosić Słowo, gdy są obecni pewni ludzie, a trudniej, gdy są obecni inni. Dlaczego?. Nie ma to nic wspólnego z osobami jako takimi, lecz z wlewaniem, względnie z wysysaniem życia. Ponieważ Ciało jest wyrazem Chrystusa, możemy mu usługiwać i przydawać mu błogosławieństwo tylko przez podawanie Chrystusa; Chrystus zaś jest życiem. Posiadający życie usługują nim i podają obecnym na nabożeństwach Chrystusa. U innych nawet ich „Amen" jest martwe! Duchowa moc na zgromadzeniach dla Łamania Chleba i modlitwy uzależniona jest od tego, czy obecni tam ludzie są tylko negatywnie nastawieni, czy też wnoszą do tego zgromadzenia życie. Tutaj bowiem, w obecnym wieku, w dalszym ciągu odbija się głośnym echem ów spór, o który zawrzał bój w ogrodzie Eden i na Golgocie. Czy jest obecne zmartwychwstałe życie? Oto pytanie dotyczące nas wszystkich. Każdy członek ma odpowiedzialność wobec Boga, aby przynosić do Jego Domu usługiwanie zmartwychwstałego Chrystusa.

Wciąż na nowo musimy sobie uświadamiać, że Ciało Chrystusa jest jedno. Paweł w szczególny sposób na to zwraca uwagę słowami: „I jeśli jeden członek cierpi, cierpią z nim wszystkie członki; a jeśli jest uczczony jeden członek, radują się z nim wszystkie członki" (1 Kor. 12, 26).

Treść tych słów należy uważnie rozpatrzeć. Czytamy tutaj, że jeśli cierpi jeden członek, to inne członki nie tylko powinny cierpieć, lecz faktycznie c i e r p i ą razem z nim! Podobnie, jeśli jeden członek jest uczczony, to inne nie tylko powinny być uczczone razem z nim, lecz istotnie są uczczone wraz z nim. Jeśli jedność Ciała nie byłaby faktem, to powyższa wypowiedź nie byłaby niczym innym jak tylko pięknym, sentymentalnym frazesem. Ale jedność Ciała jest Bożym niezmiennym faktem i dlatego z cierpiącym członkiem cierpią wszystkie członki. Wiersz ten należy czytać nie jako pouczenie dla chrześcijan, jak winni postępować, lecz jako stwierdzenie tego, co istotnie ma miejsce. Ponieważ ciało jest odwieczną jednością, całość cierpi, gdy jeden członek cierpi i całość doznaje wywyższenia, gdy jeden członek zostaje wywyższony.

Niekiedy dzieci Boże uświadamiają sobie tę prawdę dzięki szczególnym doświadczeniom. Pewien mój przyjaciel opowiadał mi, że poczuł wyraźnie radość duchową w czasie, gdy w Walii miało miejsce duchowe przebudzenie, choć o wydarzeniach tych nie otrzymał jeszcze znikąd konkretnych wiadomości. Inny znów napełnił mnie wielkim zdziwieniem, gdy w trakcie opowiadania mu o okresie dużych trudności w naszej pracy misyjnej rzekł: „Oczywiście, że odczuliśmy to tutaj jeszcze na długo przed otrzymaniem od was listów, w których o przeżyciach tych nas powiadamialiście".

Tutaj nie chodzi jednak o to, czy o sprawach tych zostajemy poinformowani, czy też nie. Pozostaje faktem, że zawsze ilekroć ma miejsce jakieś poruszenie dotyczące naszego Pana, zawsze następuje reakcja w Ciele, której podlegają wszystkie członki. Uświadamiamy sobie te rzeczy nie dzięki otrzymanym informacjom, lecz dzięki znajomości Pana, przez Ducha żywota.

Jeśli jeden członek popełni jakiś ciężki grzech, lub przechodzić musi przez wielkie cierpienia, pozostali członkowie duchowego Ciała odczują niechybnie ciężar. Podobnie też, jeśli jednemu członkowi przypadł w udziale nowy przy-

pływ życia, wszyscy inni członkowie, którzy są w żywotny sposób złączeni w Ciele, z całą pewnością odczują podniesienie na duchu. Niekiedy otrzymujesz światło od Boga po długich i ciężkich zmaganiach; kiedy indziej przychodzi ono jakby samo. Uważam, że w pierwszym wypadku ma miejsce bój o dotarcie do nowego zasilenia strumieniem życia, którym masz usłużyć innym, podczas gdy w drugim wypadku korzystasz z cierpień innych, dzięki którym wzrost został w spontaniczny sposób udzielony całemu Ciału.

Ale sprawę tę trzeba rozpatrzyć z innego jeszcze punktu widzenia. Jeśli należysz do tych, którzy pragną wzrostu dla osobistych korzyści, wówczas odprowadzasz strumień życia, który winien był płynąć do całego Ciała, i skierowujesz go tylko ku sobie. A nawet jeśli udałoby ci się otrzymać upragniony wzrost, to nie tylko nie będzie on dla ciebie pożytkiem, lecz będzie w istocie zgubny zarówno dla ciebie, jak i dla pozostałych członków Ciała. Wierne odbicie wspomnianego stanu rzeczy znajdujemy w chorobie zwanej rakiem.

Schorzenie to spowodowane jest nadmiernym rozrostem jakiejś komórki. Rozwija się ona bez kontroli i ograniczenia, a czyniąc to, pochłania wszelki pokarm, który znajduje się w pobliżu, zamiast przepuszczać go do pozostałych części ciała. Działając jako odrębna jednostka, zaczyna wywierać nacisk na otaczającą ją tkankę, narzucając jej swój spaczony charakter. A podczas gdy spontaniczna samoobrona organizmu z natury usprawnia go do zwalczania chorób zakaźnych, to w wypadku raka samoobrona ta nie skutkuje, gdyż im więcej życia wlewa organizm do schorzałej części, tym więcej pochłania rak dla swego rozwoju. Ponieważ odpływ jest zatrzymany, przypływ potęguje tylko nieszczęście. Jak bardzo potwierdza się to w duchowych rzeczach! W normalnych warunkach nowy przypływ życia, przychodzący do jednego z członków Ciała, natychmiast służy wzrostowi całości; jeśli natomiast jeden członek się odosabnia poprzez pragnienie osiągnięcia osobistej korzyści, wówczas dzieje się tak, iż im więcej członek ten rośnie, tym większym staje się niebezpieczeństwem dla całego Kościoła Chrystusowego.

Jakże kosztownym zatem jest Krzyż Chrystusa! Jest rzeczą możliwą dla każdego członka, aby przyczyniać się do spotęgowania fali życia w całym Ciele, pod warunkiem, iż pozwoli na to, by Krzyż drastycznie rozprawił się z naturalnym życiem istniejącym w nim. Módlmy się zatem dla dobra Cia-

ła Chrystusowego jako całości w ten sposób: „Panie, zechciej zniszczyć we mnie wszystko, co jest egoistyczne i indywidualistyczne, co miałoby osłabić Twoje Ciało, a dla dobra i wzrostu Twojej własności dozwól mi dotknąć tych regionów życia, których jeszcze nigdy dotąd nie osiągnąłem!"

Widzieliśmy już, jak śmierć Chrystusa, działająca w jednym miejscu (2 Kor. 4, 10: „na ciele" i w wierszu 12: „w nas"), umożliwia naszemu Panu okazywanie Swego zmartwychwstałego życia w dwóch miejscach („na ciele naszym" — wiersz 10 i „w was" — wiersz 12). Oto na czym polega owocność życia i owocność usługiwania. Obie te rzeczy w istocie się pokrywają, a jedyna różnica polega na miejscu ich objawiania się. Najpierw życie objawia się tam, gdzie czynna jest śmierć; w drugim wypadku czynne jest ono gdzie indziej. A zatem jeśli życie objawia się we mnie, nazywam to m o i m ż y c i e m, jeśli w innych, nazywam to u s ł u g i w a n i e m.

Gdzie nie ma Krzyża, nie ma życia, ani usługi życia. Cierpienia dane są w tym celu, aby zaistniało pełne i obfite usługiwanie. Tego nie potrafi zrobić teoria. Ubóstwo w usługiwaniu wynika z wyboru łatwej drogi. Ci, którym się dobrze powodzi i którzy żyją sobie bez trudu, bardzo często innym mogą dać bardzo niewiele. Nie mają zrozumienia dla potrzeb ludzkich. Nie mam oczywiście na myśli, abyśmy umyślnie szukali nieszczęścia, lub też nasze ciała surowym obejściem maltretowali. Duch Święty sam zajmie się sprawą naszych przeżyć i poprowadzi nas drogą, na której napotkamy takie doświadczenia dotykające się naszego ciała, serca lub ducha, jakie są potrzebne dla wzbogacenia naszego usługiwania. Do nas należy tylko posłuszne chodzenie tam, dokąd Pan nas posyła.

Zapytasz mię może, w jaki sposób możesz być użyty, aby usłużyć życiem Ciału. Z pewnością nie przez umyślne zaplanowanie wielkiego programu, ani też poprzez uciekanie w samotne miejsca i nie robienie niczego. Należy tylko pozwolić na to, aby Krzyż oddziaływał na twe życie w trakcie zwykłego, codziennego chodzenia z Panem. Ci, których usługiwanie polega wyłącznie na słowach lub czynach stwierdzają, że nie mają żadnej możliwości usłużenia, gdy przyjdzie im nic nie robić lub milczeć. Ale usługi twej nie mierzy się ilością wykonanej pracy. Pozwól tylko, aby „śmierć Pana Jezusa" działała w tobie, a wówczas życie z c a ł ą p e w n o ś c i ą objawi się w innych. Nie może być inaczej, gdyż jest nie-

zmiennym prawem Ciała, że „śmierć okazuje moc swoją w nas, ale życie w was". Nie potrzebujesz więc specjalnie się wysilać, aby Ciału w ten sposób przynosić wzrost, gdyż idąc tą drogą spontanicznie przyniesiesz owoce, dzięki temu, że Bóg daje ci takie przeżycia, w których Krzyż wykonuje swą pracę.

Nie ma też potrzeby, abyś wiele mówił, ponieważ i bez świadczenia o twoim doświadczeniu śmierci, stanie się ono źródłem życia dla innych. Jeśli tylko gotów jesteś na śmierć, inni z całą pewnością p o z n a j ą życie. Rzeczywistość mówi sama za siebie; nie potrzeba, by o niej dopiero mówili inni. My „nie lekceważymy proroctw", niemniej stwierdzamy, że służba Boża nie polega wyłącznie na głoszeniu Słowa lub świadczeniu. To, co potajemnie przeżywamy z Panem, całkowicie wystarczy, aby usłużyć życiem Jego członkom. Jeśli cierpimy dla Pana, cierpienie to przyniesie innym wzrost, nawet wtedy, jeśli nikomu nie powiemy o tym, cośmy przeżyli. Mówienie o tym nie tylko jest zbyteczne, lecz w niektórych wypadkach jest nawet obrzydliwością.

Jeśli przebaczysz bratu, to fakt tego przebaczenia usłuży Ciału życiem zupełnie niezależnie od jakiegokolwiek mówienia o tym (chociaż w takim wypadku Pan może zażądać od ciebie, abyś powiedział o tym innym). Jeśli prawdziwie miłujesz brata — miłość ta będzie zbudowaniem dla Ciała, choćbyś temu bratu nigdy nie powiedział, jak bardzo go miłujesz. Miłość i społeczność braterska w Panu przezwycięża wszelkie bariery: narodowe, rasowe i inne — i nie potrzeba nawet słowami jej wyrażać.

Ciału Chrystusowemu nie usługuje się więc na pierwszym miejscu kazaniem lub pracą, lecz wewnętrzną rzeczywistością. Duch Swięty interesuje się tylko tym, co jest rzeczywiste i prawdziwe, a nigdy nie przyzna się i nie będzie świadczył o czymś co nie jest prawdziwe. To, co wypowiadasz ustami jest niejako echem tego, coś już przyniósł Kościołowi z Chrystusa, powiedzieliśmy już bowiem, że usługa Ciała polega na objawieniu życia. Życie to jest zaś udzielane innym całkiem prosto i spontanicznie w miarę gdy w nas działa śmierć. Nie chodzi więc o to, jak dużo robisz czy mówisz, ale o to, jak wiele przeżywasz pod ręką Bożą.

Wszelkie usługiwanie, które opiera się na jakiejkolwiek innej podstawie niż jedność Ciała, nie jest prawdziwym usługiwaniem. Dopóki ktoś z nas nie ujrzał tego faktu, ustawicznie się martwi o to, w jaki sposób może właściwie funkcjo-

nować. Skoro jednak prawdę tę ujrzymy, wiemy, że w tym samym momencie, gdy my sami coś otrzymaliśmy — otrzymało tę rzecz i całe Ciało. Co jest twoim — jest własnością Ciała i nie ma potrzeby dokonywania wielkiego wysiłku, aby daną rzecz podać dalej. Czy pragniesz zbudowania Zboru? Pozwól więc, aby został zbudowany w tobie. To, co ty otrzymujesz od Głowy, Kościół, który jest Jego Ciałem, otrzyma również, i to samorzutnie. Ale tego, czegoś nie otrzymał, Kościół nigdy otrzymać nie może przez ciebie. Zagadnienie usługiwania jest załatwione wraz z zagadnieniem otrzymywania. Otrzymujemy zaś dzięki „noszeniu na ciele naszym śmierci Pana Jezusa".

SŁOWA, KTÓRE SĄ DUCH I ŻYWOT

Rzecz jasna, że usługa Słowem ma swoje miejsce — i że jej bardzo potrzeba. Moglibyśmy podzielić dary duchowe na dary czynu (takie jak uzdrowienia i cuda) i dary słowa (takie jak prorokowanie, nauczanie, języki itd.), a uczyniwszy tak zauważymy, że apostoł Paweł wydaje się większy nacisk kłaść na te drugie. Jakkolwiek wymienieni na pierwszych trzech miejscach listy podanej w 1 Kor. 12, 28 apostołowie, prorocy i nauczyciele mogli mieć i inne dary, nie ulega jednak wątpliwości, że na pierwszym miejscu usługiwali Słowem Bożym. Czytamy na przykład, że ta usługa, wraz z modlitwą, była głównym zajęciem owych Dwunastu, i że dla tej przyczyny starali zwolnić się od czynności natury administracyjnej (Dz. Ap. 6, 4). Paweł kończy więc swój komentarz na temat tej listy zachętą, aby się starać o „lepsze dary", a wracając do tego tematu po rozdziale mówiącym o miłości, dodaje: „lecz najwięcej, abyście prorokowali" (1 Kor. 12, 31; 14, 1). Widzimy też, że rozdział 14-ty zajmuje się wyłącznie darami mowy, zupełnie pomijając cuda albo dary czynu.

Dla zbudowania Swego Kościoła Bóg stawia więc na pierwszym miejscu nie usługę czynu, a raczej usługę Słowa. Kościół winien nie polegać na cudach, gdyż te mogą prowadzić tylko do zewnętrznych rzeczy. Izrael na puszczy ustawicznie dotykał się poczynań Bożych, a jednak nie doznał zetknięcia się z Bożym życiem. Podobnie było z owymi tłumami, o których czytamy w Ewangeliach, które były świadkami pełnych łaski czynów Pana Jezusa, ale nie wiedziały niczego o życiu, którego udzielenie było celem Jego przyjścia. Nawet uczniom Jego nie dostawało wzrostu w tej spra-

wie, gdyż pomimo tego, że sami nawet czynili cuda, w końcu zaczęli się spierać między sobą, który z nich będzie największy!... W tym nie było budowania się w miłości.

Niemniej „rozsiewca rozsiewa Słowo". Nic poza Bożym Słowem żywota nie ma wielkiego znaczenia. Czynienie cudów może wspierać świadectwo Słowa, ale samo przez się nie jest w stanie usłużyć życiem; Kościół może rosnąć tylko dzięki wiecznemu Słowu naszego Pana.

Wiele zła wkradło się do Kościoła w dobie obecnej dzięki temu, że chrześcijanie zadawalają się obiektywnym tylko przyjęciem doktryny. Starają się zdobyć zewnętrzne, intelektualne światło odnośnie do Słowa Bożego, ale nie przeżywają subiektywnego zastosowania Słowa Bożego w osobistym doświadczeniu. Biblia przedstawia dla umysłu wiele trudnych do rozwiązania problemów i wydaje im się, że światło jest rozwiązaniem tych problemów. Dla wielu prawda dotycząca wszystkich zajęła miejsce prawdy dotyczącej ich samych. Uważają na przykład, że wszystko jest w porządku, jeśli pozostają „konserwatywnymi" lub „fundamentalnymi", jeśli chodzi o wyznawane prawdy, i jeśli wyrozumieniem swoim przychylają się do takiej rzeczy, a zaprzeczają innej. Rozumując w ten sposób fundamentaliści uważają, że stoją na daleko wyższym poziomie aniżeli moderniści; a jednak w oczach Bożych ich wzrost duchowy liczy się tylko w tej mierze, w której posiadają prawdziwe wewnętrzne objawienie się Chrystusa — a nic więcej. Mogą we wszystkim mieć r a c j ę, a jednak jeśli nie mają życia, to brak im jest najistotniejszej i najważniejszej rzeczy.

W dobie obecnej Kościół posiada literę Słowa — i wdzięczni jesteśmy Bogu, że ją posiada! Posiadamy nasze Biblie i nasze tłumaczenia — i wdzięczni jesteśmy Panu i za to. Ale litera — nawet fundamentalna litera — zabija; tylko Duch ożywia (2 Kor. 3, 6). Jeśli chcemy przynosić życie innym, nie tylko winniśmy głosić Słowo stosownie do Bożych myśli, które zostały wypowiedziane przed setkami lat, lecz musimy również wiedzieć, w jaki sposób Duch zastosowuje to Słowo do ludzi dzisiaj.

„Prorokiem" w sensie nowo-testamentowym jest bowiem ten, kto, podobnie jak Eliasz, czy Jan Chrzciciel, ogłasza cele Boże dla Swego ludu w dobie dzisiejszej, co nadaje jego usłudze szczególnie wielkie znaczenie. Proroka charakteryzują trzy rzeczy: historia osobistych przeżyć z Bogiem, wewnętrzne poczucie brzemienia odpowiedzialności, i przez

Boga dane słowa, dzięki którym może wyrazić i wyjaśnić na czym brzemię to polega, tak że usłużywszy Słowem, wraca do domu z poczuciem, że brzemię odpowiedzialności złożył z siebie.

W dobie dzisiejszej dla tego rodzaju usługi koniecznie potrzebne jest studium Słowa Bożego. Każdy jako tako inteligencją obdarzony człowiek może się oczywiście wiele nauczyć z Biblii w przeciągu roku, ale jeśli sprawę traktujemy serio z naszym Panem, nie pozwoli On na to, aby minął nawet i rok bez upewnienia się, że to, czym jesteśmy, odpowiada temu, co mówimy. Zrozumienie Słowa Bożego przychodzi bowiem w dwojaki sposób: jednym sposobem to po prostu studiowanie go, ale poznać można też Słowo dzięki znajomości Pana i chodzeniu za Nim w ślad — a pomiędzy tymi dwoma sposobami zachodzi ogromna różnica. Absolwent teologii może na podstawie intelektualnego zrozumienia prawd biblijnych doskonale i systematycznie wyłożyć wszystko, co zawiera Pismo Święte. A jednak nie będzie mowy o prawdziwym głoszeniu Słowa, dopóki Słowo to nie przyjdzie do niego wprost od Boga, a serce jego na Słowo to nie zareaguje. Inny zaś może usługiwać dzięki głębokiej znajomości Boga — choć nigdy nie studiował teologii jako przedmiotu nauczania, a to dlatego, że do niego przemówił przez Swoje Słowo Bóg i ponieważ ilekroć On to czyni, bez sprzeciwu jest posłuszny.

Gdy jakiś brat wstaje, aby przemawiać, można natychmiast odczuć, czy chodzi mu o wyłożenie jakiejś doktryny, czy też o podanie życia. Jeśli mu chodzi o tę pierwszą sprawę — nie będzie nigdy ryzykował; będzie się w doskonały i staranny sposób trzymał w ramach swojego doktrynalnego systemu, aby zapewnić sobie zupełne bezpieczeństwo i nie narazić się na nieporozumienie. Szereg swoich wywodów przedstawia w logicznym porządku, aż nareszcie, drogą wnioskowania dochodzi do niezaprzeczalnej konkluzji. Ten jednakowoż, który kładzie nacisk na życie, będzie się daleko mniej troszczył o poprawność techniczną, albo o wyczerpujące potraktowanie swego tematu. Podejście jego będzie zupełnie inne, gdyż on sam poznał warunki, w których sama doktryna nie była mu nigdy w stanie pomóc. Jeśli mu się więc uda osiągnąć jedyny cel, którym jest przedstawienie swoim słuchaczom Chrystusa, nie będzie czuł, że jest rzeczą absolutnie konieczną spreparować kompletny logiczny i nienaganny wywód.

Nawet sama Biblia nie jest bowiem w ten sposób napisana. W Słowie Swoim Bóg nigdzie nie dał nam całkowitego i systematycznego wyświetlenia jakiejkolwiek doktryny — ani razu; to jest w takim sensie, w jakim my rozumiemy systematyczność. Biblia nie dochodzi do swoich konkluzji drogą wnioskowania, dzięki czemu jest wiele takich miejsc, które można by nawet niewłaściwie zrozumieć. Niekiedy bywa może i tak, że gdzieś w głębi naszego serca rodzi się myśl, że gdybyśmy byli pisarzami tej Księgi, to bylibyśmy przedstawili szereg problemów o wiele jaśniej! Wielkie duchowe fakty i potężne wieczne prawdy Boże wydają się być jak gdyby po części zakryte w Jego Słowie, tak że nie jest łatwą rzeczą dla naturalnego, cielesnego człowieka je odkryć i zrozumieć. A jednak dzięki Duchowi Świętemu rzeczy, które były niezrozumiałe dla mądrych i uczonych, zostały objawione niemowlętom. Błogosławiony niechaj będzie Bóg za to, że taką była Jego droga! Zbawienie, usprawiedliwienie przez wiarę, poświęcenie, życie — czy wszystkie te rzeczy znamy tylko jako naukowe tematy, czy też jako rzeczywistość? Zamiarem Bożym jest, abyśmy rzeczy te poznali nie tylko naszym umysłem, lecz doświadczyli ich w życiu.

Duża znajomość Biblii nie zastąpi maleńkiej nawet znajomości Pana. Musimy znać Jego przede wszystkim, a Biblię jako Jego Słowo, objawienie Jego woli odnośnie do Swego ludu. Może ktoś zapyta: „Czy jest rzeczą możliwą, abyśmy mogli poznać wolę Bożą?" Odpowiedź brzmi: Oczywiście, ponieważ Bóg nie zamknął się w Sobie. I dziś, jak przed laty, mówi do nas przez Swoje Słowo. Mówi do nas i dziś, w dobie, w której Kościół doznaje tylu smutnych porażek. I dziś wybiera Sobie takich, którzy mają szereg doświadczeń i przeżyć przed Jego obliczem, aby byli Jego ustami i przez nich przemawia do pokolenia ludzi, wśród których żyją. W dobie, w której ludzkość jest w tak małym stopniu zainteresowana Bożymi rzeczami, najpilniejszą potrzebą Kościoła jest posiadanie ludzi, którzy mają tego rodzaju znajomość Boga.

Bóg w Swoich świętych pragnie mieć prawdziwe sługi i dla tej przyczyny przeżywamy tak ciężkie chwile! Nie wolno nam pytać „dlaczego?", jeśli Pan nas wprowadzi w jakieś niespodziewane przeżycie, możemy bowiem być pewni, że jeśli tak czyni, to ma na uwadze jakiś szczególny cel. Usługiwanie Ciału płynące z osobistej znajomości Chrystusa może bowiem podnieść każdego członka tegoż Ciała na nowy, wyższy po-

ziom duchowego życia. Największą naszą usługą byłoby może to, gdybyśmy umożliwili naszemu Panu dokonanie z nami czegoś niespotykanego, dzięki czemu całe Ciało Chrystusa doznać by mogło nowego wzbogacenia.

Czy nie powinniśmy zatem chętnie się oddać w ręce Chrystusa, aby w życiu naszym znalazło się jakieś nowe doświadczenie Jego życia, którym moglibyśmy usłużyć? „Panie spraw, abym mógł otrzymać od Ciebie jakąś cząstkę życia tak, aby Ciało mogło otrzymać nowe posilenie, jakiego dotąd jeszcze nie miało, aby lud Twój mógł być wzbogacony, a Twoje serce zadowolone!"

Rozdział IX

Zebrani w Imieniu

W poprzednich rozdziałach kładliśmy wielki nacisk na jedność Kościoła. Widzieliśmy go zawsze i wyłącznie jako jedną i niepodzielną całość. Teraz jednak wypada nam zapytać się, czy poglądu tego nie należałoby rozszerzyć, jako że Słowo Boże mówi nie tylko o „Kościele" ale też o „zborach" (w greckim o b a słowa brzmią: ecclesia. Przyp. tłum.) Gdzie i w jakim momencie staje się Kościół szeregiem zborów?

Jeśli się temu zagadnieniu przyjrzymy uważniej, stwierdzimy, że podstawą podziału (jeśli to w ogóle można nazwać podziałem) jest tylko jedna okoliczność: odległość miejscowości, w których zbory powstają. Jeśli za przewodnika służyć nam będzie Nowy Testament, to zauważymy, że j e d y n y m powodem podziału są względy geograficznej natury. Nie ma w Słowie Bożym miejsca dla tego rodzaju podziałów, jak na przykład na podstawie historii powstania zborów, doktryny, przynależności do jakiegoś towarzystwa misyjnego lub osobistej sympatii, a nawet ze względu na szczególne zadania, czy szczególny rodzaj usługiwania. Nazwy dawane zborom w Słowie Bożym nieodmiennie są nazwami poszczególnych miejscowości czyli miejscowego centrum życia społecznego. Czytamy o „Zborze Bożym, który jest w Koryncie", o „Zborze Tesalońskim", o „siedmiu zborach, które są w Azji" (przy czym każdy z nich nazwany jest od miasta, w którym się znajdował), i tak dalej. Tylko takie określenia podziału Kościoła Bożego spotykamy w Słowie Bożym, a Biblia nie zna wyjątków.

Ale to przyprowadza nas do innej jeszcze kwestii, a mianowicie musimy zwrócić uwagę na to, że w greckim języku

nie ma nawet różnicy, jeśli chodzi o pisownię słowa Kościół, dużą czy małą literą — w odniesieniu do całego Kościoła, jak i do miejscowych zborów jest użyte to samo określenie. Czytamy więc o Kościele, „który jest Ciałem Jego", ale czytamy też o „zborze Bożym, który jest w Koryncie" i o zborze, „który jest w domu twoim" (czytaj Efez. 1, 23; 1 Kor. 1, 2; Filem. 2). Niewątpliwie oznacza to, że zbór znajdujący się w danej miejscowości jest Kościołem, który jest Ciałem Jego — z całym niezmiernym bogactwem głębi i znaczenia, które słowo to posiada — znajdującym swój wyraz w danej miejscowości, w danym czasie.

Ale jeśli to stwierdzenie jest prawdziwe, to rzuca ono zupełnie nowe światło na sprawę, której wagi dotąd może nie uświadomiliśmy sobie jeszcze, a mianowicie na wielkie znaczenie, jakie ma w oczach Bożych miejscowe wyobrażenie Jego Ciała, jakim są wszyscy członkowie Chrystusa. znajdujący się w danej miejscowości. W Koryncie, w Laodycei, w Rzymie czy w Listrze, wszyscy ci, którzy stali się członkami Chrystusa przez nowe urodzenie, zostali powołani do działalności na tle świeckiego otoczenia jako wyobrażenie jednego Ciała. Wszelki podział, który miałby miejsce na jakiejkolwiek innej podstawie, mógł tylko mieć szkodliwy wpływ na ich życie i świadectwo.

Pomijając chwilowe zbieranie się braci i sióstr dla wykonania jakiegoś szczególnego zadania dla Pana, raz jeszcze podkreślam, że Kościół obejmuje wszystkich wierzących i że nie ma w nim miejsca dla jakichś sekciarskich powiązań. Był to właśnie jeden z zarzutów, jaki wysunięto pod adresem zboru w Koryncie, że zaczęły się w nim pojawiać jakieś grupy i partie, które przyznawały się do poszczególnych osób, odrzucając inne. W dobie dzisiejszej tego rodzaju podziały zostały powszechnie przyjęte i mają zastosowanie w rozmaitych formach — niemniej w stosunku do nich wszystkich słowa Pawła brzmią jasno i wyraźnie jako surowy zarzut, potępiający je na równi z tymi, które miały miejsce za jego dni: „Czy rozdzielony jest Chrystus? Czy Paweł za was ukrzyżowany? Lub czyście w imię Pawła ochrzczeni?" (1 Kor. 1, 13).

W urywku, który znajdujemy przy końcu Listu do Rzymian, w którym również jest mowa o życiu Kościoła, Paweł rozpoczyna argumentację słowami „Bóg go przyjął", a kończy ją słowami „Chrystus przyjął nas" (Rzym. 14, 3; 15, 7). W słowach tych znajdujemy całą podstawę naszego współżycia i społeczności z innymi; oni należą wszak do Pana, a my też

Rozdział IX

Zebrani w Imieniu

W poprzednich rozdziałach kładliśmy wielki nacisk na jedność Kościoła. Widzieliśmy go zawsze i wyłącznie jako jedną i niepodzielną całość. Teraz jednak wypada nam zapytać się, czy poglądu tego nie należałoby rozszerzyć, jako że Słowo Boże mówi nie tylko o „Kościele" ale też o „zborach" (w greckim o b a słowa brzmią: ecclesia. Przyp. tłum.) Gdzie i w jakim momencie staje się Kościół szeregiem zborów?

Jeśli się temu zagadnieniu przyjrzymy uważniej, stwierdzimy, że podstawą podziału (jeśli to w ogóle można nazwać podziałem) jest tylko jedna okoliczność: odległość miejscowości, w których zbory powstają. Jeśli za przewodnika służyć nam będzie Nowy Testament, to zauważymy, że j e d y n y m powodem podziału są względy geograficznej natury. Nie ma w Słowie Bożym miejsca dla tego rodzaju podziałów, jak na przykład na podstawie historii powstania zborów, doktryny, przynależności do jakiegoś towarzystwa misyjnego lub osobistej sympatii, a nawet ze względu na szczególne zadania, czy szczególny rodzaj usługiwania. Nazwy dawane zborom w Słowie Bożym nieodmiennie są nazwami poszczególnych miejscowości czyli miejscowego centrum życia społecznego. Czytamy o „Zborze Bożym, który jest w Koryncie", o „Zborze Tesalońskim", o „siedmiu zborach, które są w Azji" (przy czym każdy z nich nazwany jest od miasta, w którym się znajdował), i tak dalej. Tylko takie określenia podziału Kościoła Bożego spotykamy w Słowie Bożym, a Biblia nie zna wyjątków.

Ale to przyprowadza nas do innej jeszcze kwestii, a mianowicie musimy zwrócić uwagę na to, że w greckim języku

nie ma nawet różnicy, jeśli chodzi o pisownię słowa Kościół, dużą czy małą literą — w odniesieniu do całego Kościoła, jak i do miejscowych zborów jest użyte to samo określenie. Czytamy więc o Kościele, „który jest Ciałem Jego", ale czytamy też o „zborze Bożym, który jest w Koryncie" i o zborze, „który jest w domu twoim" (czytaj Efez. 1, 23; 1 Kor. 1, 2; Filem. 2). Niewątpliwie oznacza to, że zbór znajdujący się w danej miejscowości jest Kościołem, który jest Ciałem Jego — z całym niezmiernym bogactwem głębi i znaczenia, które słowo to posiada — znajdującym swój wyraz w danej miejscowości, w danym czasie.

Ale jeśli to stwierdzenie jest prawdziwe, to rzuca ono zupełnie nowe światło na sprawę, której wagi dotąd może nie uświadomiliśmy sobie jeszcze, a mianowicie na wielkie znaczenie, jakie ma w oczach Bożych miejscowe wyobrażenie Jego Ciała, jakim są wszyscy członkowie Chrystusa. znajdujący się w danej miejscowości. W Koryncie, w Laodycei, w Rzymie czy w Listrze, wszyscy ci, którzy stali się członkami Chrystusa przez nowe urodzenie, zostali powołani do działalności na tle świeckiego otoczenia jako wyobrażenie jednego Ciała. Wszelki podział, który miałby miejsce na jakiejkolwiek innej podstawie, mógł tylko mieć szkodliwy wpływ na ich życie i świadectwo.

Pomijając chwilowe zbieranie się braci i sióstr dla wykonania jakiegoś szczególnego zadania dla Pana, raz jeszcze podkreślam, że Kościół obejmuje wszystkich wierzących i że nie ma w nim miejsca dla jakichś sekciarskich powiązań. Był to właśnie jeden z zarzutów, jaki wysunięto pod adresem zboru w Koryncie, że zaczęły się w nim pojawiać jakieś grupy i partie, które przyznawały się do poszczególnych osób, odrzucając inne. W dobie dzisiejszej tego rodzaju podziały zostały powszechnie przyjęte i mają zastosowanie w rozmaitych formach — niemniej w stosunku do nich wszystkich słowa Pawła brzmią jasno i wyraźnie jako surowy zarzut, potępiający je na równi z tymi, które miały miejsce za jego dni: „Czy rozdzielony jest Chrystus? Czy Paweł za was ukrzyżowany? Lub czyście w imię Pawła ochrzczeni?" (1 Kor. 1, 13).

W urywku, który znajdujemy przy końcu Listu do Rzymian, w którym również jest mowa o życiu Kościoła, Paweł rozpoczyna argumentację słowami „Bóg go przyjął", a kończy ją słowami „Chrystus przyjął nas" (Rzym. 14, 3; 15, 7). W słowach tych znajdujemy całą podstawę naszego współżycia i społeczności z innymi; oni należą wszak do Pana, a my też

do Niego należymy, a to jest wystarczające. Nie łączymy się z nimi z tej racji, że zarówno oni, jak i my należymy do tego samego ugrupowania religijnego, albo dlatego, że zawdzięczamy nasze chrześcijaństwo pracy tej samej misji, ani też dla tej przyczyny, że lubimy tego samego kaznodzieję czy jego naukę, ani nawet z tego powodu, że mamy wspólne poglądy, jeśli chodzi o jakąś doktrynę. Nawet to, że oni przeżyli jakieś szczególne doświadczenie życia wiary, a my też je przeżyliśmy, nie stanowi podstawy naszej jedności. Łączymy się z nimi tylko i wyłącznie dlatego, że są własnością Pana, a my też do Niego należymy. Tylko w Nim jesteśmy jedno.

Nie zamierzam na tym miejscu określać wszelkiego denominacyjnego chrześcijaństwa jako zło i atakować je. Mogę natomiast raz jeszcze stwierdzić, że Ciało Chrystusa może objawiać się skutecznie w danej miejscowości tylko na tej podstawie, że istnieje prawdziwie żywotny związek każdego z członków z jego Panem i że każdy z nich gotów jest poddać Mu się jako Głowie. Nie chcę też opowiadać się w ten sposób za tymi, co skłonni są stworzyć nową sektę, która nazywałaby się „lokalizmem" — a polegałaby na starannym oddzieleniu zborów według miejscowości, jako że i taki wypadek mógłby się łatwo zdarzyć. Jeśli uczynilibyśmy dziś coś w wyniku objawiania się życia, co jutro miałoby się przerodzić w bezduszną metodę, tak że dzięki temu niektórzy, będący własnością Pana, mieliby być ze społeczności wyłączeni, to niechaj Bóg się nad nami zlituje i rzecz tę zniweczy! Wszyscy bowiem, w których Pan nasz w Duchu Świętym ma swobodę działania, są naszymi, a my jesteśmy ich. Nie. Ja jedynie staję w obronie tych, którzy chcą widzieć tylko i wyłącznie swego Niebiańskiego Pana i Jego Ciało, i którzy w swoim życiu i społeczności będą przestrzegali tej zasady! Chrystus jest Głową Ciała — a nie innych „ciał", grup, czy religii. I tylko połączenie się w duchowym ciele w Chrystusie daje nam gwarancję, że się do nas przyzna nasz Pan, nasza Głowa, jako do Swoich członków — a nic innego.

„ALE ... NAS BÓG POWOŁAŁ"

Musimy teraz rozważyć sprawę przyznawania się Boga do Kościoła z trzech punktów widzenia: kierownictwa, dyscypliny i modlitwy. Jeśli chodzi o kierownictwo, Bóg darował nam trojakie wskazówki upewniające nas, iż się znajdujemy na właściwej drodze w naszej pielgrzymce chrześcijańskiej: dany

nam został Duch Swięty, Słowo Boże, a także dane nam zostało Ciało Chrystusowe. Słowo Boże wskazuje mi wolę Bożą odnośnie do mojej osoby; Duch Święty objawia wolę Bożą we mnie; Ciało zaś, przedstawiając tę wolę w szerszej perspektywie celu Bożego, pokazuje mi, jaki wpływ ma mieć dana rzecz na mój stosunek do innych członków tegoż Ciała. (To niewątpliwie przywiedzie nam na myśl uwagi, któreśmy wcześniej już zrobili na temat woli Bożej „A" i „B"). Nasza reakcja w stosunku do tyranii Rzymu, który w tak wielkiej mierze spowodował istnienie politycznego, świeckiego Kościoła — spowodowała niestety całkowite odrzucenie przez nas tej trzeciej grupy Bożych darów. Każdy błąd wynika jednak ze zniekształcenia prawdy. Prawdą bowiem jest fakt, że Ciało j e s t jedno, i że społeczność w tym Ciele pozostaje istotnym czynnikiem w moim duchowym oświeceniu. Wolę Bożą muszę poznawać nie tylko poprzez Słowo Boże skierowane do mnie, ani też tylko dzięki Duchowi Świętemu we mnie, ale wraz z tymi dwoma czynnikami — poprzez zajęcie mego miejsca wraz z resztą ludu Bożego w Jego Domu — Kościele.

Wszyscy się zgodzimy, że istnieje taka rzecz, jak indywidualna modlitwa, ale też i coś, co nazywamy modlitwą Kościoła. Istnieje jednak także udzielanie światła jednostce, ale także dawanie światła całemu Kościołowi. Czy nie jest to prawdą, że bywają chwile, kiedy naraz w czasie nabożeństwa w zborze otrzymujemy światło odnośnie do jakiegoś zagadnienia — choć o nim nic nikomu nie mówiliśmy, podczas gdy nie mogliśmy tego światła otrzymać w domu przy czytaniu Słowa? Dlaczego tak się dzieje? Z całą pewnością powód leży w tym, że Kościół jest Domem Bożym i miejscem objawienie się Bożego światła. Na zewnątrz możemy mieć światło naturalne, ale w świątnicy nie ma naturalnego światła. Jedynym światłem oświetlającym jej wnętrze jest chwała Samego Boga.

Ta zasada społecznego otrzymywania kierownictwa była jedną z podstaw życia i usługiwania Pawła. Widzimy to wyraźnie w 13-tym rozdziale Dziejów Apostolskich, gdzie czytamy, jak wspólnie z kilku innymi służbę Pańską odprawiał i jak Duch Święty rzekł im wtedy: „Odłączcież mi Barnabasza i Saula, do tego dzieła, do którego ich powołałem". Zaznaczyliśmy już wcześniej, że pomazanie Ducha dane jest w celu udzielania osobistego kierownictwa poszczególnym wierzącym, a zgodne jest to z tym, co czytamy o Saulu, który przynajmniej dwukrotnie otrzymał osobiście od Pana polece-

nie udania się do pogan (Dz. Ap. 26, 16 — 18; 22, 21). Teraz jednak i sposób, i czas wyruszenia zostaje objawiony kilku osobom równocześnie. Łukasz powiada, że „odprawili ich", ale równocześnie pisze o nich jako o tych, którzy byli „wysłani od Ducha Świętego" (Dz. Ap. 13, 3. 4). Tutaj widzimy jak Kościół działa wspólnie z Duchem Świętym, przy czym inicjatywa jednego Ducha wyrażona jest w działalności jednego Ciała.

Raz jeszcze przy końcu rozdziału 15-go Dziejów Apostolskich czytamy jak Paweł i Syla zostają „poruczeni łasce Bożej przez braci" w momencie, gdy udawali się do Syrii i Cylicji. A chociaż nigdy nie wolno tylko na podstawie milczenia wyciągać wniosków, to jednak jest znamienne, że odejście Barnabasza, w związku z którym nie czytamy o tego rodzaju odprawie ze strony Zboru, czyli że miało charakter raczej osobistego postępku sprawia, że począwszy od tego momentu nie czytamy o nim więcej w Słowie Bożym (wiersze 36 — 41).

Nieco później w Troadzie ukazało się Pawłowi widzenie i usłyszał wezwanie: „Przepraw się do Macedonii i pomóż nam". Opisawszy to widzenie Łukasz pisze dalej: „Zaraz chcieliśmy udać się do Macedonii, będąc pewni, że nas Pan powołał, abyśmy im opowiadali Ewangelię" (Dz. Ap. 16,9.10). Pan często daje widzenie jednostce, ale właściwe przystąpienie do czynu nie jest oparte wyłącznie na tej jednostce, lecz na wspólnym szukaniu oblicza Bożego przez Zbór. Widzimy to również w tym urywku Słowa: inicjatywę przejmuje Duch Święty (Dz. Ap. 16, 6. 7). Dzięki temu, że poruszamy się z Duchem Świętym stwierdzamy, że poruszamy się również wraz z Ciałem. Rzeczywistym sprawdzianem prawdziwości wizji będzie zawsze świadectwo, jakie o niej wydaje Duch prawdy.

„NAPRAWIAJCIE TAKIEGO"

W 18-tym rozdziale Mateusza Pan poucza mię, że może zaistnieć okoliczność, w której będę musiał przyjąć upomnienie od mego brata, a w wypadku, gdybym nie chciał przyjąć tego, co do mnie mówi, może przyjść moment, w którym cały zbór może zostać wezwany na świadka, aby mnie przywieść do poznania mego błędu. (Oczywiście może też być na odwrót — że mój brat będzie tym, który popełnił grzech). Natychmiast nasuwa się myśl: jakże całkowicie nie na miejscu jest ćwiczenie dyscypliną jednego grzesznika przez drugiego! Jeśli mielibyśmy kiedykolwiek mieć jakąś cząstkę w tego

rodzaju usłudze, to nigdy na podstawie naszej wyższości w stosunku do tej osoby, której mamy usłużyć. Zarówno ona, jak my zgrzeszyliśmy, i jedyna nadzieja w naszych poczynaniach polega na łasce Bożej, która wskaże grzesznikowi jego upadek, tak jak pokazała go nam.

A teraz przypuśćmy, że w danym wypadku ty jesteś osobą, w stosunku do której popełniono przestępstwo, a więc jesteś też i tym, który jest powołany do załatwienia sprawy z winnym. Jak się do tego zabierzesz? Zapalić się gniewem na niego oznaczałoby potraktowanie go jako wroga, dalekiego ci ze wszystkim. Równie niewłaściwym byłoby jednak przebaczenie mu i zignorowanie całej tej sprawy. Wówczas potraktowałbyś go bowiem jak obcego i stojącego niżej od ciebie; kiedykolwiek po tym wypadku by cię zobaczył, przypomniałby sobie, że ci wyrządził krzywdę, a ty za każdym razem uświadomiłbyś sobie, że mu wielkodusznie przebaczyłeś.

Nie. On jest twoim bratem, a twój sposób obchodzenia się z nim winien być taki, jak przystało na brata mającego do czynienia z bratem. Winieneś podejść do sprawy tak samo, jak gdyby przewinienie zostało popełnione przeciw komuś innemu, a nie przeciw tobie. Podejdź do sprawy tak, jakbyś był osobą trzecią (podobnie jak ten brat, którego będziesz może musiał wezwać, aby t o b i e dopomógł). A Pan stwierdza wyraźnie jaki cel ma ci w tym przyświecać: nie chodzi tutaj o wygranie twojej sprawy, lecz o to, byś „pozyskał brata swego".

Takie nastawienie winno cechować nas przez cały czas załatwiania danej sprawy, czyli że gdy brat ten cię nie posłucha, zajdzie potrzeba wezwania dwóch dalszych braci jako świadków i odwiedzenie tego brata powtórnie; powinieneś iść do niego w tym samym duchu: nie jako oskarżyciel, lecz jako usiłujący pozyskać brata. A nawet gdy dojdzie do ostateczności i cały Zbór będzie musiał być wezwany — to też nie powinna zaistnieć zmiana nastawienia, ani zmiana przyświecającego nam celu. Pozostaje nim bowiem przy stosowaniu wszelkiej dyscypliny tylko i wyłącznie pozyskanie brata. Nawet ten, który znajduje się w sytuacji duchowo lepszej od drugiego, niechaj nie waży się zachowywać tak, aby dać odczuć, iż uważa się za stojącego na wyższym poziomie i powołanego do karcenia kogoś stojącego niżej. „Wy, jako duchowi, naprawiajcie takiego w duchu łagodności, dając baczenie na samego siebie, abyś i ty nie był kuszony" (Gal. 6, 1).

To prowadzi nas o krok dalej, gdyż w rozważanym fragmencie Mateusza 18 czytamy też znamienne słowa dotyczące autorytetu członków Ciała działających wspólnie: „Cokolwiek zwiążecie na ziemi, będzie związane i w niebie; i co rozwiążecie na ziemi, będzie rozwiązane i w niebie" (Mat. 18, 15 — 18). A co to znaczy? Nie ma tutaj jakiejś tyranii starszych Kościoła, ani też wyroku większości przeciw mniejszości, lecz oto widzimy jak postępuje Kościół, aby dokonać oczyszczenia Kościoła.

Dyscyplina stosowana w stosunku do jakiegoś członka nie powinna nigdy być li tylko urzędowym załatwianiem sprawy, a raczej powinna być serdeczną troską całego Zboru. Jest obrzydliwością, jeśli sprawę zastosowania dyscypliny wobec dziecka Bożego traktuje się jako błahostkę, jakby to było coś mało ważnego; ale równie obrzydliwą rzeczą jest, jeśli cechuje ją powaga — ale taka powaga, która powinnaby mieć miejsce tylko na sali sądowej. Żadne wymierzanie kary nie powinno się obejść bez wylewania łez przez tych, którzy ją muszą wymierzać — inaczej też być nie może, jeśli uświadomią sobie, czym jest Kościół. Paweł napisał: „Jest między wami wszeteczeństwo". Nie wskazywał on na pierwszym miejscu na osobę bezpośredniego winowajcy, lecz wskazuje na istnienie grzechu w Zborze. Dalej pisze: „Wyście się nadęli, a nie zasmucili się raczej" (1 Kor. 5, 1. 2). Grzech ciążył na całym Ciele i dlatego wstyd i smutek winien był spoczywać nie tylko na jednym członku, lecz na wszystkich.

W dyscyplinie kościelnej powinniśmy widzieć jedność Ciała Chrystusowego, ale równocześnie winniśmy widzieć nie tylko sam fakt, lecz i potencjał grzechu. Najpierw muszę odkryć w sobie grzech, który objawia się w moim bracie, a dopóki nie osądzę tego grzechu w sobie, nie wolno mi się odważyć na osądzanie go w nim. Dzięki łasce Bożej może nie popełniłem tego samego czynu, niemniej mam w sobie grzech, który sprowokował ten czyn.

Dyscyplina winna mieć zawsze charakter zapobiegawczy i mieć jako cel pozyskanie grzeszącego brata. Winno tak być nawet w najdrastyczniejszych wypadkach, „ażeby duch był zbawiony w dzień Pana Jezusa" (1 Kor. 5, 3 — 5). Pan w stosunku do Swoich dzieci jest pełen miłosierdzia, dlatego też gdy sądzimy któreś z Jego dzieci w Jego Imieniu, czy to jako cały Zbór, czy też jako pojedyńczy członkowie, winniśmy być pełni miłosierdzia. Nawet wtedy, gdy nasze postępowanie zew-

nętrznie będzie musiało być wymierzeniem kary, wewnętrznie winniśmy być pełni miłości.

Po zmartwychwstaniu nasz Pan rzekł do Swych uczniów: „Weźmijcie Ducha Świętego", a po tych słowach dodał zaraz: „Którymkolwiek grzechy odpuścicie, są im odpuszczone; i którymkolwiek zatrzymacie, są zatrzymane" (Jan 20, 22. 23). Rzym przywłaszczył sobie niewłaściwą interpretację tych słów, a reakcją przeciwko temu jest całkowite odrzucenie tego stwierdzenia przez nas. Ale jak bardzo dużo straciliśmy — my protestanci — wskutek tego! A jak wiele Bóg traci! To bowiem, co Bóg dał Kościołowi jest kosztowne i nie można tego bezkarnie odrzucać. Nawet wtedy, gdy „Kościołem" jest zaledwie mała garstka wierzących, zbierająca się w zapadłej wsi, w skromnej chacie, jeśli widzą siebie w Chrystusie jako Jego Ciało przez nich objawiające się w danej miejscowości i jeśli wyznając przed Nim swoją słabość powołują się na obietnice, mocą których Pan obiecał darować im Swoją mądrość i moc — On się do nich przyzna. „Albowiem gdzie są dwaj albo trzej zgromadzeni w Imię Moje, tam jestem w pośrodku ich".

BÓG SIĘ OGRANICZA

Przyjrzeliśmy się zagadnieniu kierownictwa i dyscypliny w Kościele; obecnie przejdziemy do zagadnienia modlitwy Kościoła. Jak już powiedzieliśmy, istnieją zasadniczo dwa rodzaje modlitwy. Pierwszy rodzaj, to modlitwa indywidualna, uwielbiająca Pana. Wciąż na nowo czyni o niej wzmiankę apostoł Jan w swojej Ewangelii, przy czym wzmianki te ujęte są w formie następujących obietnic: „O cokolwiek prosić będziecie w Imieniu Moim, uczynię to, aby był uwielbiony Ojciec w Synu" (Jan 14, 13; porównaj z wierszem 14-tym i rozdziałami 15, 7. 16; 16, 23. 24). Nie ma tutaj podanych żadnych warunków. Są to obietnice dane każdemu poszczególnemu członkowi Chrystusa, co sprawia, że modlitwa staje się rzeczą o ogromnym znaczeniu. Jeśli w świetle takich stwierdzeń Bóg jednak nie wysłuchuje i nie odpowiada na nasze indywidualne modlitwy, możemy być pewni, że coś z modlitwami tymi nie jest w porządku.

Ale drugi rodzaj modlitwy zawiera w sobie rodzaj pierwszy i idzie jeszcze dalej. Opisany jest on w wspomnianym już 18-tym rozdziale Mateusza, w wierszu 19-tym: „Znowu powiadam wam: gdyby się z was dwaj zgodzili na jaką rzecz

na ziemi, wszystko, o co by prosili, stanie się im od Ojca Mego, który jest w niebiesiech". Oto na czym polega zadanie Kościoła i darowana mu przez Boga usługa modlitwy. Obietnica dana tutaj jest bowiem uwarunkowana: musi być co najmniej dwóch modlących się i muszą być zgodni.

A dlaczego modlitwa ich zostaje wysłuchana? Wyjaśnia to następny wiersz: „Albowiem gdzie są dwaj albo trzej zgromadzeni w Imię Moje, tam jestem w pośrodku ich". Oni „są zgromadzeni" (strona bierna); to nie jest po prostu spotkanie. Zwróćmy na to uwagę. Być zgromadzonym oznacza bowiem coś więcej jak tylko pójść gdzieś z własnej woli; oznacza to być pędzonym przez Ducha Świętego, podobnie jak to miało miejsce w Hebronie, gdy naród Izraelski zgromadził się, aby uczynić Dawida królem. Wierzący schodzą się bowiem w takim wypadku nie w celu załatwienia jakichś osobistych spraw, lecz dlatego, że mają na sercu wyłącznie — i to wszyscy: sprawę swego Pana. Oto, co ich łączy „w Jego" Imieniu. A gdy tak jest istotnie, wówczas wypełnia się prawdziwie i reszta tego, co jest tutaj napisane — „jestem w pośrodku ich". I Pan prowadzi, objawia, daruje nowe światło. Dzięki niech będą naszemu Bogu, że nie jest to tylko obietnicą, lecz stwierdzeniem f a k t u! **Wiemy** kiedy Pan jest obecny i dlatego, że jest obecny, dwaj na ziemi posiadają tak ogromną moc.

Bóg czeka na modlitwy Swoich dzieci, aby wprowadzić Swoje Królestwo. Jeśli bowiem ten wiek jest ważny, wiek, który po nim nastąpi, jest nieskończenie ważniejszy. Wszystkie przywileje i moc, którą się cieszymy obecnie, są zaledwie przedsmakiem potęgi wieku, który niebawem nastąpi. Wówczas dopiero zostanie objawiona pełność Boża, która dotąd pozostaje zakryta. Dopiero jeśli to mamy na uwadze, możemy sobie w właściwej mierze uświadomić ogromne znaczenie tak zwanej „Modlitwy Pańskiej". Przez tysiące lat Bóg przykazywał ludowi Swemu, aby się modlił, ale przez wszystkie te wieki nie dał im żadnej wskazówki jak się mają modlić i o co mają prosić — za wyjątkiem tego jedynego wzoru modlitwy.

„Przyjdź Królestwo Twoje!" Mamy się o to modlić. Jeśliby Królestwo Boże miało przyjść samo, nie otrzymalibyśmy od Pana takiego rozkazu. Ale lud Boży otrzymał rozkaz, aby się o to modlić dlatego, ponieważ Pan dzieło Swoje dokonuje zawsze w odpowiedzi na wołanie Jego ludu. Modlitwa Pańska jest dla mnie nie tylko wzorem modlitwy, lecz jest również

i objawieniem serca Bożego. „Prawdziwa modlitwa rozpoczyna się w sercu Bożym, staje się wiadoma sercom ludzkim i wznoszona jest z powrotem do Boga — a Bóg na nią odpowiada". To jest coś więcej niż definicja; jestem przekonany, że jest to Boża zasada, w myśl której Bóg działa w całym wszechświecie.

„Bądź wola Twoja!" Tak — ale gdzie? „Na ziemi", jest to bowiem jedyne miejsce w dobie obecnej, gdzie wola Boża nie jest wykonywana. W jaki więc sposób może zostać zaprowadzone Królestwo Boże tutaj na ziemi? Dzięki połączeniu się naszej, stworzonej woli, z niestworzoną wolą Bożą w wspólnym usiłowaniu wyrzucenia precz buntowniczej woli diabła. Modlitwa jest bowiem zawsze skierowana w trzech kierunkach. Obejmuje ona Tego, do którego się modlimy, tego o kogo się modlimy i tego, przeciw któremu się modlimy. A na ziemi j e s t ktoś, przeciw komu należy się modlić — a jest nim szatan, którego wola sprzeczna jest z wolą Bożą. Przeciwko tej buntowniczej woli Bóg nie chce działać sam — czeka On na nasze modlitwy.

Wiele jest miejsc w Ewangeliach, z których jasno wynika, że Bóg dobrowolnie się poddał pewnym ograniczeniom. Czytamy jak Jezus nie mógł wejść do pewnego miasta galilejskiego, kiedy indziej znowu nie pozwolono Mu przejść przez samaryjską wioskę, a tam znowu nie był w stanie uczynić żadnego cudu w Nazarecie (Przeczytajmy Mar. 1, 45; Łuk. 9, 53; Mar. 6, 5). „Jakże mi tęskno!" — wołał niekiedy nasz Pan. „Ilekroć chciałem zgromadzić dzieci twoje... a nie chcieliście". „I nie chcecie przyjść do Mnie, abyście żywot mieli". (Łuk. 12, 50; Mat. 23, 37; Jan 5, 40.) Dla tej przyczyny owo ziarno pszenicy nie miało innej drogi, jak tylko „wpadłszy do ziemi obumrzeć"; a nawet i dzisiaj Słowo Boże musi być siane „między ciernie" (Jan 12, 24; Mat. 13, 22). Tę samą rzecz widzimy i później w nowotestamentowej historii, a spotykamy ją oczywiście wszędzie i w Starym Testamencie. Woda Bożego wybawienia uzależniona jest od przygotowania przez ludzi rowów. Oliwa Ducha Świętego płynie tak długo, dopóki nie zabraknie naczyń. „Oto nie jest ukrócona ręka Pańska, aby zbawić nie mogła; a nie jest obciążone ucho Jego, aby wysłuchać nie mogło. Ale nieprawości wasze..." (2 Król. 3, 16. 18; 4, 6; Izaj. 59. 1. 2).

W jaki sposób się to stało, że Wszechmoc mogła zostać ograniczona przez człowieka? I czy będzie tak już przez całą wieczność? Przecież Bóg zaiste jest El Szaddai, „Bóg Wszech-

mogący"; cała wieczność leżąca za nami i cała wieczność leżąca przed nami nie zawiera w sobie niczego, co mogłoby Go ograniczyć, wstrzymać, Jemu przeszkodzić, lub Go opóźnić!

Ale Bóg ma wolę. Szuka On społeczności z ludem, który by dzielił z Nim Jego życie i objawiał Jego Syna. W tym celu stworzył niebo i ziemię — a także człowieka. Ale wtenczas rozpoczęła się tragedia. Stosownie do Swego założenia i celu, Bóg stworzył człowieka jako istotę obdarzoną wolną wolą, postanawiając nie dokonać Swego dzieła i nie osiągnąć Swego celu bez dobrowolnej współpracy człowieka. Jest to zasada posiadająca największe znaczenie i nie ma poważniejszego zagadnienia na świecie. Oznacza to bowiem, że podczas gdy w wieczności Bóg był absolutem, to w czasie upodobało Mu się ograniczyć Swoją wszechmoc, aby dać człowiekowi wolność wyboru, nie przymuszając Swego stworzenia do czynienia czegokolwiek. Człowiekowi została dana możność utorowania drogi mocy Bożej lub też jej powstrzymywania.

Bóg był gotów poddać się temu ograniczeniu, wiedząc o triumfie Swej miłości, który jako rezultat takiego postawienia sprawy objawiać się będzie przez całą wieczność. Oto cel, do którego zdąża; oto nad czym pracuje Bóg. Chwałą Jego jest to, że w przyszłych wiekach wolna wola człowieka będzie identyczna z wolą Bożą. Wszechmoc będzie wówczas jak gdyby jeszcze większa niż była w przeszłych wiekach, ponieważ będzie istniała możliwość jej ograniczenia; człowiek w dalszym ciągu będzie miał możność być nieposłusznym, ale nigdy nie wybierze już drogi nieposłuszeństwa. Oddzielna, stworzona wola człowieka będzie całkowicie oddana Bogu; i na tym polega chwała.

Wiemy o tym, jakim było ryzyko, na które się zdecydował nasz Stwórca w celu osiągnięcia tego celu: jak w obliczu sytuacji, którą spowodował pierwszy niewłaściwy wybór człowieka, Bóg posłał Swego umiłowanego Syna, aby odkupił, co było zginęło. Oto był Ktoś, którego wola była całkowicie i doskonale zidentyfikowana z wolą Bożą — i chwała Bogu! — przez Jego śmierć i zmartwychwstanie i dzięki mocy Ducha Świętego zostało stworzone Ciało, którego członkowie będą w równej mierze oddani owej Niestworzonej Woli. W nich ograniczenia, które narzucił Sobie Bóg, na zawsze zostaną usunięte. Zadaniem Kościoła jest więc zapewnienie Bogu możności wylewania Jego mocy tutaj na świecie, dzięki czemu zło, które rozkrzewiło się w królestwie duchowym, może zostać pokonane i zniweczone. Innymi słowy — a mówię to

z najgłębszą czcią — zadaniem Kościoła jest przywrócenie Bogu Jego własnej i właściwej Mu wszechmocy.

Modlitwa jest takim właśnie używaniem mojej woli dla dobra sprawy Bożej w obecnym czasie, a dzieje się tak dzięki stwierdzaniu przez nas, że Jego wola będzie wykonana. Prawdziwa modlitwa polega bowiem na tym, że wyrażamy to, co Bóg objawił. Człowiek chce to, co Bóg już chciał poprzednio — i daje temu wyraz. Nie pytamy przy tym siebie samych: „Czy moja modlitwa o d p o w i a d a woli Bożej?" lecz „Czy j e s t ona wolą Bożą?" Wola Boża jest punktem wyjścia — my tylko ją obwieszczamy, a Bóg ją wykonuje. Ale jeślibyśmy jej nie obwieszczali — nie będzie wykonana! W ten sposób nasze modlitwy stają się torem, po którym może zstąpić moc Boża. Mocy Jego — jak gdyby jakiejś potężnej lokomotywie — nie można się oprzeć, niemniej nie może ona nas dosięgnąć bez szyn. Gdy ludzie przestają się modlić, Bóg przestaje pracować, gdyż bez ich modlitw niczego nie chce uczynić i niczego nie uczyni. Leży to w mocy ludzi, aby kierować potęgę nieba do miejsc, gdzie istnieją ludzkie potrzeby.

Przeczytajcie raz jeszcze Mateusza 18, 18 — 20 i zauważcie, jak olbrzymi jest zasięg odpowiedzialności Kościoła, jeśli chodzi o modlitwę. Miara Kościoła jest miarą Boga na ziemi w dobie dzisiejszej. Podobnie jak swego czasu był On objawiony przez Jezusa Samego w Jerozolimie i Galilei, tak teraz jest objawiony przez Swój Kościół na każdym miejscu, gdziekolwiek na całym świecie można znaleźć gromadkę wierzących — Zbór Pański. Nie może on wykraczać poza ramy Kościoła, ponieważ tylko Kościół reprezentuje przyszłe pokolenie ludzkości. Kościół jest przedstawicielem Boga na ziemi, a cokolwiek zwiąże lub rozwiąże, związuje i rozwiązuje i niebo. Dziś moc Boża jest tylko tak wielka na ziemi, jak dalece sięgają modlitwy Kościoła; nie większa! Wszystko, cokolwiek Bóg czyni w związku z Swoim wiecznym celem, czyni przez Kościół, a w tej samej mierze, w jakiej Kościół winien jest zaniedbywania swej pracy — Bóg jest ograniczony.

Kościół nie może pomnożyć mocy Bożej, ale może ją ograniczyć. Nie może on nakłonić Boga do czynienia tego, czego On nie chce czynić — może natomiast przeszkadzać Mu w czynieniu tego, co ma zamiar czynić. Wiele jest takich rzeczy, które Bóg chciałby związać i rozwiązać w niebie — związać to, co przeszkadza, a rozwiązać to, co posiada wartość duchową — ale poczynania na niebie muszą poprzedzać poczy-

nania na ziemi, a Bóg zawsze czeka na to, by Kościół Jego uczynił pierwszy krok.

„O co by prosili": są to bardzo cenne słowa. Tutaj niebieskie rzeczy mierzone są ziemską miarą, gdyż w niebie jest zawsze większa moc, aniżeli wynosi miara naszych próśb; jest zawsze więcej tego, co czeka na związanie lub rozwiązanie w niebie, niż my potrafimy prosić tutaj na ziemi. Dlaczego pragniemy uwolnienia z tyranii grzechu? Dlaczego wołamy do Boga, błagając Go o napełnienie? Jeśli ktoś się modli: „Bądź wola Twoja" — to zrobił dobry początek, ale musimy iść dalej i prosić: „Bądź wola Twoja n a z i e m i". Dzieci Boże zajęte są obecnie stanowczo zbyt drobnymi sprawami, podczas gdy przeznaczenie ich modlitwy to wyzwalanie potężnych aktów nieba. Tego Sobie życzył Bóg, nakazując nam modlić się. Modlitwa o łaskę dla mnie lub dla moich najbliższych i o pomoc w wykonaniu bezpośrednich obowiązków musi prowadzić do modlitwy o Królestwo. I tutaj znajdujemy odpowiedź na pytanie: Na czym polega usługa Kościoła? Powinna ona być wylotem nieba, przewodem, dzięki któremu wyładowywać by się mogły potężne siły nieba, narzędziem, dzięki któremu wypełnić by się mogły cele Boże. Wiele rzeczy nagromadziło się w niebie z powodu tego, że Bóg nie znalazł jeszcze drogi wylania ich na ziemię; ponieważ Kościół jeszcze się nie modlił!

W jaki sposób Bóg to osiągnie? W jaki sposób sprawi, że Kościół stanie po Jego stronie? Tylko w ten sposób, że każdy z nas będzie pamiętał, że w obliczu wiekopomnych chwil, które przeżywamy w obecnym czasie, to właśnie usługiwanie w charakterze toru, wzdłuż którego schodzi Boża moc na tę ziemię, jest największą pracą, do jakiej ktokolwiek może w ogóle zostać powołany. Bóg nam wskazuje na to, czego Sobie życzy; my stajemy przed Nim i prosimy — a Bóg działa z nieba: oto na czym polega prawdziwa modlitwa, którą powinniśmy w szczególny sposób pielęgnować na naszych zebraniach modlitewnych. Jeśli Zbór tutaj w Londynie — nie mówiąc już o innych miejscowościach — nie zna tego usługiwania — niechby Bóg nam przebaczył! Bez niego wszystko inne jest zupełnie puste; w takim wypadku Bóg nie ma w danej miejscowości naczynia. „Nie każdy, który mi mówi: Panie, Panie! wnijdzie do Królestwa niebieskiego; ale ten, który czyni wolę Ojca mojego, który jest w niebiesiech" (Mat. 7, 21). W obliczu zagadnienia nadchodzącego Królestwa Bożego, wszystko co mamy i wszystko czym jesteśmy musi być odda-

ne woli Bożej. Bóg tego potrzebuje. Musi On mieć kilku takich ludzi na tym świecie, którzy trwają w modlitwie i którzy poprzez wbicie klina w moc szatańską sprawią nadejście następnego wieku. Na tym polega przezwyciężanie. Niezależnie od tego, czy członków jest wielu czy mało, oby Bóg zechciał podtrzymać nasze siły, abyśmy mogli pracować dla Niego w głębokiej, silnej i przemagającej modlitwie.

ZŁUPIENIE DOMU MOCARZA

„Owszem będziecie gonić nieprzyjacioły wasze, upadną przed wami od miecza. Pięciu waszych będą gonić stu, a stu waszych dziesięć tysięcy gonić będą, i polegną nieprzyjaciele wasi przed wami od miecza" (3 Mojż. 26, 7. 8). Taką obietnicę dał Bóg Izraelowi jako narodowi. Gdy jednak przychodziło do bitwy, rachunek wydawał się być jeszcze bardziej zdumiewający, gdyż dowiadujemy się, że jeden powodował ucieczkę tysiąca, a dwóch zmuszało do ucieczki dziesięć tysięcy (5 Mojż. 32, 30). Z całą pewnością w cytowanych tutaj słowach znajdujemy znakomitą ilustrację modlitwy, zarówno indywidualnej, jak zbiorowej, gdy jest zgromadzonych dwóch lub trzech. Tam bowiem, gdzie dwóch się zgodzi na ziemi, niebo wiąże dziesięć tysięcy wrogów! Jak często doświadczył tego lud Boży w godzinie kryzysu! Gdy na przykład Piotr znajdował się w ową noc w więzieniu, cały zbór w Jerozolimie udał się na kolana i żarliwie się modlił, a wobec odpowiedzi nieba na tę modlitwę cała moc Heroda na nic się nie zdała. Inne Królestwo dokonało cudu — i nawet ciężka brama więzienna musiała się poddać i otworzyła się sama.

Wkroczyła moc z nieba. Aby lepiej jeszcze wyjaśnić to określenie, przytoczę następujący przykład z historii nowożytnej. Większość obywateli państw zachodnich zdaje sobie sprawę z tego, że sto lat temu wielkie mocarstwa uprawiające handel z Chinami użyły mocy oręża, aby narzucić narodowi chińskiemu tak zwaną „eksterytorialność" — prawo, przeciw któremu w sercu każdego Chińczyka powstała gorycz i niechęć. Zasada ta powodowała, że na tych terytoriach chińskich, które zostały poddane obcemu panowaniu, obywatele tych obcych mocarstw stawali się wolni od odpowiedzialności sądowej wobec władz chińskich za naruszanie praw obowiązujących w Chinach. Mogli być sądzeni wyłącznie przez konsula lub innego przedstawiciela swego własnego kraju i stosownie do prawa obowiązującego w tymże obcym kraju. Był

to nader brutalny sposób uprawiania handlu i dziś wszyscy przyznają, że narzucenie takiego prawa było aktem rażącej niesprawiedliwości. A jednak możemy użyć tego przykładu bez obawy, aby wynikło stąd nieporozumienie, w celu zilustrowania czegoś zupełnie odmiennego i w żadnym wypadku nie mającego w sobie ani cienia niesprawiedliwości, a mianowicie wkroczenia łaskawej mocy nieba do domeny diabła tutaj na tej ziemi.

W jaki sposób ilustracja ta odnosi się do nas? W dwojaki sposób. Na pierwszym miejscu, jeśli chodzi o nas samych, Bóg uczynił nas „królami" (Obj. 1, 5. 6), zaś w stosunku do tego świata, jesteśmy pielgrzymami przechodzącymi przez „Miasto Próżności" — jak nazywa to John Bunyan w „Wędrówce Pielgrzyma". Wyzwoleni z mocy króla ciemności, nie jesteśmy więcej jego poddanymi, chociaż podwładnymi jego jest tak wielu spośród tych, którzy nas otaczają. Jesteśmy natomiast poddani Królowi niebieskiemu i Jego niebiańskiemu prawu. Dlatego w stosunku do „króla tego świata", którym jest szatan — posiadamy „eksterytorialne" prawa.

Ale mamy też pewne prawa do tej ziemi. Człowiek został bowiem stworzony w celu panowania nad nią — a to, co utracił, odzyskał Syn Człowieczy. Dzisiaj uzurpują duchowe władze ciemności tę władzę, ale Kościół jest powołany do odebrania jej od nich i zadokumentowania, że nie do szatana należy panowanie, lecz do Pana Jezusa. Chociaż szatan ma tytuł „księcia", jest w istocie uzurpatorem, bezprawnie panoszącym się nad dziedzictwem Bożym.

Przypuśćmy, że jakiś człowiek dostanie się do twego domu i zajmie go bez twego zezwolenia. Co wówczas robisz? Udajesz się do sędziego i powołując się na prawa obowiązujące w twoim kraju, prosisz o wydanie wyroku przeciw niemu. Uzbrojony w taki dokument udajesz się do domu i wyrzucasz intruza. Może być rad, że nie wychodzi w kajdankach! Ale sytuacja w świecie duchowym nie różni się niczym od podanego przykładu. Boże Słowo, które jest „Kodeksem Nieba" już wydało wyrok przeciw szatańskim mocom, bezprawnie panoszącym się na całym świecie. Szatan będzie musiał pójść precz! Ale w jego oczach prawo Królestwa Niebieskiego jest prawem „zagranicznym"! Golgota ustanowiła jednak przewagę tego Królestwa. Na Krzyżu Chrystus obalił całą prawną podstawę władzy szatana. A zadaniem Kościoła jest wprowadzenie tego nowego prawa w życie. Powinien wo-

łać, podobnie jak owa wdowa w przypowieści: „Pomścij się krzywdy mojej na przeciwniku moim!" i otrzymawszy nakaz eksmisyjny, wyrzucić onego złośnika precz! Bóg czeka na to wołanie. Stosownie do Jego Słowa winniśmy w danej sytuacji naszego duchowego boju postawić nogę na kawałku duchowego terytorium okupowanego przez moce złego i żądać uznania naszych praw własności do niego — dla Boga.

Jakiego rodzaju ludzie potrzebni są do takiego zadania? Powtarzam raz jeszcze: prości wierzący — a może ich być zaledwie dwóch lub trzech pospołu, ale z Panem swoim w pośrodku ich. Nie jest bowiem naszym zadaniem związanie onego mocarza — to zostało już dokonane — ale tylko przypominanie mu, że nie ma dla niego żadnej ucieczki z jego łańcuchów! Pozwólcie, że dla przykładu opowiem wam o pewnym wydarzeniu.

W jakimś mieście, w którym panowało jeszcze pogaństwo, żyły dwie siostry. Nie posiadały wysokiego wykształcenia i po ludzku mówiąc nie odznaczały się błyskotliwą inteligencją, ale już od dłuższego czasu znały Pana. Pewnego dnia zetknęły się z kobietą opętaną przez demona i to demona groźnego i gwałtownego, w związku z czym niewiasta ta była w okropnej sytuacji. Udały się w tej sprawie do Pana w modlitwie, po czym podeszły do opętanej i w Imieniu Pana Jezusa rozkazały demonowi wyjść precz. Ku ich wielkiemu zasmuceniu nie nastąpiła żadna zmiana i już miały chęć udać się do kogoś bardziej doświadczonego i poprosić o pomoc. Poczuły jednak, że nie byłoby to właściwe i znów podniosły swe serca w modlitwie ku Bogu, błagając o udzielenie im rady, co mają zrobić — a wtedy nagle przyszedł im na myśl zupełnie nowy pomysł. Bezzwłocznie wróciły do opętanej niewiasty i zwracając się do złego ducha zaczęły mu opowiadać o Jezusie. Duch ten zaczął więc zaraz przez usta kobiety, ale swoim własnym dziwnym głosem mówić co następuje: „O tak, ja znam Jezusa! Oddawałem mu cześć Boską przez całe moje życie!" Po tych słowach opętana niewiasta wstała z krzesła i przeszedłszy na drugą stronę pokoju wskazała im na znajdującą się w podwórzu kapliczkę, w której znajdował się posąg jakiegoś bożka.

Wtedy zrozumiały! Demon usiłował je oszukać, wiedziały więc co zrobić. Zaczęły raz jeszcze od początku, mówiąc: „Czy pamiętasz, jak dwa tysiące lat temu Jezus z Nazaretu wygonił wielu z twoich współ-demonów, aż nareszcie rzucili

się oni wszyscy na Niego i zabili Go? Niemniej powstał On od umarłych, obnażając wszystkie potęgi i władze duchów ciemności, a obecnie jest wywyższony ponad wszelkie królestwa i ponad wszelki autorytet. Zostało też uczynione obwieszczenie, że w Jego Imieniu ugnie się wszelkie kolano w niebie, na ziemi i pod ziemią! Czy pamiętasz o tym? A teraz w t y m Imieniu rozkazujemy ci wyjść precz!" I demon usłuchał.

Gdy je później zapytałem, skąd otrzymały takie kierownictwo, nie były w stanie wytłumaczyć. Wiedziały tylko, że sam Pan przyszedł im na pomoc i zdemaskował chytrość wroga. Wydarzenie to z całą pewnością daje jednak odpowiedź na nasze pytanie, jakiego rodzaju ludzie potrzebni są do tego rodzaju zadań? Odpowiedź brzmi, że żaden człowiek nie jest zdolny ostać się w obliczu szatana. Demony respektują tylko Chrystusa. „A jeśli ja Duchem Bożym wyganiam demony, tedy przyszło do was Królestwo Boże" (Mat. 12, 28). Wróg nasz jest dla nas zbyt przebiegły i niebezpieczny, ale dana nam jest w Ciele Chrystusowym nie tylko dostateczna moc, lecz także i ochrona. Wszyscy możemy przywdziać Chrystusa jako naszą zbroję. Przeciwko Niemu strzały szatana na nic się nie przydadzą — Pan pozostaje zwycięski!

To zwycięstwo dane jest tylko Kościołowi.

Duchowy bój jest sprawą całego Kościoła, a nie pojedynczego członka. Przyjmujemy często 6-ty rozdział Listu do Efezów dla siebie indywidualnie — a nie chcę twierdzić, że nie ma w o g ó l e indywidualnego zastosowania tej zbroi; ale pojedynczy członek nie jest w stanie „wziąć z u p e ł n e j zbroi Bożej" i to zupełnie tak samo, jak nie jest w stanie samemu pojąć bezmiernej miłości Chrystusa. Sądząc z całości Listu do Efezów jestem przekonany, że jest to zbroja dla całego C i a ł a — przy czym każda jej część przeznaczona jest dla poszczególnych członków tegoż Ciała. Każdy bowiem, kto by zamierzał bój ten prowadzić sam, narazi się na bolesne porażki ze strony wroga, który nie boi się pojedynczych osób, ale ogromnie się lęka owego jednego Ciała. Bez tej ochrony, którą daje zupełna zbroja Boża, uda mu się unicestwić nas, jeśli pojedynczo pójdziemy do boju. Ale pod jej ochroną jesteśmy bezpieczni; on dotknąć nas nie może.

Oto przyczyna, dla której, ilekroć stajemy przed jakimś prawdziwie ważnym zadaniem w dziedzinie niebiańskiego

boju, czujemy, że koniecznie musimy o rzecz tę pomodlić się wspólnie — a chociażby tylko wraz z jednym tylko jeszcze bratem czy siostrą. Pan nasz nie może używać bohaterów, lecz niechaj Mu będą dzięki — może użyć nawet bardzo słabe członki Ciała!

JEGO PEŁNIA

Na zakończenie rozdziałów, których tematem był Kościół, chciałbym na chwilę się zatrzymać i zadać sobie i wam jedno pytanie. Niektórzy z nas służą Panu na polu misyjnym, inni zaś w domu, i wielbimy Pana za powołanie, jakim ono jest. Zapytajmy siebie jednak, czy nasza usługa polega wyłącznie na ewangelizowaniu, jako na czymś wystarczającym, czy też połączona jest z czymś jeszcze nieskończenie większym? A skoro dzięki objawieniu Bożemu, darowanemu nam szczególnie przez pisma Pawła, ujrzeliśmy chociaż odrobinę z tej pełni myśli Bożych, czyż moglibyśmy poprzestać li tylko na przyprowadzaniu dusz do Pana, bez zatroszczenia się również o ten większy cel, do którego dusze te Bóg przeznaczył?

Drodzy Bracia i Siostry, to pytanie winno głęboko poruszyć nasze serca. Wiem o tym, że wielu uważa, że w tych ostatnich dniach Bóg żąda od nas tylko jednej rzeczy: abyśmy przyprowadzali dusze do Chrystusa dzięki naszemu ewangelicznemu nastawieniu; ale czy tak jest istotnie? Wielbimy Boga za początkowe usługiwanie Piotrowe, bez którego Dom Boży nie miałby „żywych kamieni". Gorąco pragniemy widzieć ludzi zbawionych od zginienia i pozyskanych dla Jego chwały. Co więcej, Bóg nie tylko dał Kościołowi Swemu ewangelistów (Efez. 4, 11), aby wypełniali to zadanie, lecz nie ulega wątpliwości, że pod adresem każdego z nas skierowany jest ów rozkaz: „Spełniaj posługiwanie swoje — wykonuj dzieło ewangelisty" (2 Tym. 4, 5).

Czy jednakowoż na tym poprzestaniemy? Jeśli widzimy trzy lub cztery tysiące nawróconych ludzi, wszystkich zbawionych i wszystkich rosnących dosyć dobrze duchowo, czy wówczas czujemy, że nasze zadanie zostało spełnione? Czy nie powinniśmy uważać dzieła tego za dopiero rozpoczęte? Czy nie powinniśmy się raczej zapytać, ilu z tych trzech, czy czterech tysięcy ludzi uchwyciło już coś z wizji owego jednego niebiańskiego Człowieka, do którego Bóg ich wprowadził? Czy są oni dotąd jeszcze jednostkami, rybami w sieci, cyframi na

liście „nawróconych w czasie takiej a takiej kampanii ewangelizacyjnej", albo też w duszach ich zapłonęła już ta nade wszystko wspaniała wizja? Z całą pewnością nie zapali się ona w ich sercu, dopóki nie zapłonie w naszym. Dlatego raz jeszcze pytam, czy na sercu naszym leży ten ciężar odpowiedzialności za ich wzrost we wszystkim w Chrystusie, który jest Głową — podobnie jak miało to miejsce w życiu i działalności apostołów?

Dobrze sobie z tego zdaję sprawę, że z pytaniem tym wiążą się wcale nie proste następstwa. Wprowadzenie czegoś takiego w życie może oznaczać wejście w konflikt z poglądami i tradycjami, w których takie wysokie myśli już dawno przestano brać pod uwagę. Trzeba będzie może przewartościować wiele z naszej pracy. Trzeba będzie może uciąć wiele „głów", wiele poglądów skontrolować i zmienić, rozmaitym autorytetom — z naszym włącznie — trzeba będzie ująć znaczenia, całkowicie poddając się Głowie, Panu, który wszystkich skupia w jedno.

Przyznam się, że pragnę jednak błagać was — i jeśli to byłoby możliwym przekonać was — abyście za wszelką cenę parli naprzód do zrealizowania pełni myśli Bożej. Wszelkie perswazje, prośby i błagania na nic się jednak nie przydadzą, jeśli nie zobaczymy tego, co Bóg postanowił; nie mam tutaj na myśli, że uczyni to ten, komu przemówi do przekonania słuszność tego problemu. Wtedy bowiem musielibyśmy bardzo często przypominać sobie, w jaki sposób doszliśmy do takiego wniosku — w przeciwnym razie bardzo prędko moglibyśmy od realizowania takich poglądów wrócić do starego trybu postępowania. Jeśli jednak rzeczywiście ujrzeliśmy nowego Bożego Męża w Chrystusie, otworzyła się przed nami niebiańska rzeczywistość, wtedy wszystko będzie nam się wydawało nowym, a do starego poglądu nigdy już wrócić nie będziemy mogli. Wiele razy rozum może będzie chciał nam podsunąć taką myśl: „To może być właściwe w niektórych częściach świata, ale w mojej sytuacji tutaj te rzeczy są trudne, a nawet zgoła niemożliwe. Nie widzę żadnej możliwości, aby zrealizować to, co widzę w Słowie, będę się zatem musiał zadowolić prostszymi rzeczami". Ale moi drodzy Przyjaciele, jakkolwiek zawsze powinniśmy oceniać błogosławioną pracę sieci, która nas przywiodła do Pana, prośmy o łaskę, abyśmy wraz z Pawłem mogli przejść do wizji Ciała, tego ziemskiego namiotu, w którym Bóg pragnie mieszkać wpośród Swej własności i objawiać Swą pełnię w dobie dzisiejszej.

Kościół bowiem jest — według słów Pawła — „pełnością Tego, który wszystko we wszystkich napełnia". Jest on naczyniem, które ma zawierać i wyrażać Jego mądrość, życie i moc. **Takiej pełni nie można poznać indywidualnie.** Apostoł podkreśla to z wielkiem naciskiem. Tylko pospołu stajemy się mieszkaniem Bożym w Duchu. Mądrość Boża objawia się mocom duchowym tylko przez Kościół. Tylko razem z wszystkimi świętymi możemy pojąć w całej pełni miłość Bożą. Tylko jako Ciało Chrystusa napełnieni zostajemy do całej pełności Bożej, schodząc się w miarę zupełnego wieku Chrystusowego. Tylko obleczeni w zupełną zbroję Bożą, możemy ostać się, gdy przyjdzie ciężki bój z szatanem. (Efez. 1, 23; 2, 22; 3, 10. 18. 19; 4, 13; 6, 11.) Każdy przykład, którego używa apostoł w Liście do Efezów, podkreśla jak najwyraźniej jego pogląd, że **Kościół, a nie jednostka, jest naczyniem pełni.**

Oto co jest przyczyną, że lud Boży w dobie dzisiejszej stał się niejako przeciekającym naczyniem: dzieci Boże nie funkcjonują wspólnie jako Ciało. Co się stanie, jeśli rozbijesz szklankę? Każdy fragmencik szkła może skupić w sobie odrobinkę wody — ale nie ma porównania z ilością wody, która się mieściła w całej szklance. Podobnie się przedstawia sprawa w życiu duchowym. Jednostka otrzymuje niejako w dwóch wymiarach — Kościół w trzech. Dziesięć tysięcy chrześcijan — to zupełnie coś innego, aniżeli dziesięć tysięcy członków Ciała!

Objawienie jest doskonałe tylko wtedy, jeśli jest objawieniem darowanym całemu Kościołowi. Dziś Głowa ma mnóstwo rzeczy, które chce darować, lecz Ciało jest przeciekającym naczyniem, niezdolnym do zachowania tych skarbów. To prawda, że jednostki robią postępy w niektórych szczegółach życia wiary — ale tylko jako jednostki. Dlatego też nie przyczyniają się ani o jotę do wzrostu miary pełności Chrystusowej. Potrzeba nam nawrotu do jednego naczynia — nie do wierzenia w tę samą doktrynę, ani używania tych samych metod, ani nawet do pielęgnowania społeczności z wszystkimi; żadna z tych rzeczy nie wystarczy. Musimy ujrzeć siebie samych jako członków tego samego Ciała, które jest jedno w Chrystusie Jezusie. Prośmy więc naszego Pana, aby zechciał oświecić nasze serca.

Rozdział X

Jan — a prawda

W miarę gdy przybliżał się koniec życia apostoła Pawła, w pismach jego zaczęła brzmieć bardzo smutna nuta — co widzimy szczególnie w ostatnim z zachowanych jego Listów, skierowanym do swego młodego współpracownika, Tymoteusza. Tematem tego Listu jest tragiczna okoliczność, a mianowicie upadek duchowego życia i odpadanie od prawdy. Ale właśnie dlatego, że upadek duchowy zaczął pojawiać się jeszcze przed śmiercią apostołów, na stronicach Nowego Testamentu znajdujemy wskazówki dla świętych, żyjących w podobnej sytuacji w dniu dzisiejszym.

Łatwo jest stracić głowę w dobie, w której wielu traci wiarę i nadzieję i obniża poziom swego chrześcijańskiego życia. Przychodzi pokusa, aby powiedzieć: „Jeśli wiara dzieci Bożych może się zmieniać w ten sposób, czy istnieje wobec tego coś, co nie mogłoby się zmienić? Oczywiście prawda pozostaje, że nasz Pan nigdy się nie zmienia; chociaż możemy więc podnosić wzrok ku górze i wielbić Go, to jednak gdy spojrzymy wokoło — serca nasze napełnia niepokój. I dla tej przyczyny Duch przez Pawła wskazuje nam na coś więcej, co się nie zmienia. „A wszakże niewzruszonym stoi fundament Boży, mając tę pieczęć: Zna Pan tych, którzy są Jego, i: Niech odstąpi od niesprawiedliwości wszelki, który wymawia imię Chrystusa" (2 Tym. 2, 19).

Tak. Ludzie mogą odstąpić; Fygellus, i Hermogenes, Hymeneusz i Aleksander — ba, nawet i wszyscy, którzy są w Azji mogą okazać się niewiernymi Panu; a gdy jeden za drugim istotnie niewiernymi się okazują, wówczas zaczynamy się zastanawiać, patrząc wokoło, na kim w ogóle można pole-

gać, na kogo liczyć? Ale zna Pan tych, którzy są Jego: oto pierwsza pieczęć, jaka została położona na tym pewnym fundamencie. My możemy się mylić — Bóg nigdy. My często musimy wyznawać, że oceniliśmy coś niewłaściwie — On jednak patrzy wprost na serca. My ponad miarę wychwalamy jakiegoś człowieka, ponieważ Bóg w łasce Swojej go używa; ale Bóg używał i nas — a On Sam wie, jak bardzo potrzebujemy Jego zmiłowania! Strzeżmy się przed twierdzeniem, że już znamy naturę człowieka! Tylko Bóg ją zna. Ludzie mogą zawieść — ale czy ktokolwiek z nas kiedyś Pana nie zawiódł?

A tak po otrzymaniu tej pieczęci, położonej na fundamencie Bożym, z kolei dany jest rozkaz, skierowany pod adresem tych, „którzy wzywają Pana z czystego serca": winni oni odstąpić od niesprawiedliwości. Stwierdza to niewzruszony fundament Boży. Gdy wokół siebie widzimy ludzi załamujących się duchowo, winniśmy spojrzeć na samych siebie; ci bowiem, którzy są własnością Pańską, winni być ludźmi poświęconymi. Myśl tę szczególnie dokładnie rozwijają dalsze wiersze tego rozdziału, gdzie jest mowa o wielkim domu, w którym znajdują się rozmaite naczynia — złote, srebrne, drewniane, gliniane, nadające się do rozmaitych celów. Do naczyń tych przyrównani są ludzie, chociaż apostoł zachęca, aby każdy starał się zająć tam miejsce naczynia przeznaczonego ku uczciwości — poświęconego dla wszelkiej dobrej sprawy.

Czym jest ów „wielki dom" wraz z naczyniami przeznaczonymi dla uczciwości względnie zelżywości, i jakie wartości moralne reprezentują wymienione tutaj słowa? W pierwszym Liście do Tymoteusza apostoł stwierdza, że Kościół Boży jest domem Bożym (3, 15); tutaj jednak odnoszę wrażenie, że Paweł ma na myśli coś innego — zewnętrzne wyznanie chrześcijaństwa. „Kościół Boga żywego" jako taki nigdy nie mógłby być ruiną; nigdy nie mógłby się zdegenerować w taki „wielki dom", w którym istniałaby taka mieszanina. Ale zewnętrzne świadectwo Kościoła może, niestety, w danym czasie przedstawiać ruinę.

Co stanowi więc różnicę pomiędzy tymi naczyniami? Natychmiast zauważamy, że wspomniany jest tylko materiał, z którego są zrobione, a nie zadanie, które spełniają. Z tego jasno wynika — jak zresztą wskazywaliśmy już na to poprzednio — że na pierwszym miejscu i tutaj ma znaczenie nie tyle użyteczność danego naczynia, ile materiał, z którego jest

zrobione. Naczynia ze złota i srebra są mniej praktyczne w codziennym użytku od mebli drewnianych lub naczyń glinianych, ale Bóg nie dyskutuje z nami tutaj na temat ich przeznaczenia i do czego będą użyte. Osądza ich trwałą wartość dla Siebie. W dobie upadku Bóg patrzy dalej aniżeli tylko na pożyteczność; pragnie posiadać w nas istotnie wartościowe dzieci. Wiemy o tym, że kilka gramów złota może przewyższać w wartości pełną salę drewnianych ławek! Mówiąc językiem duchowym — dwóch ludzi może wypowiadać niemal identyczne słowa, ale moc nie leży w tym, co mówią, lecz w tym czym są. Zarówno Izajasz, jak i Balaam mówili o Królestwie, ale dobrze wiemy, do którego z tych dwóch zwrócilibyśmy się o pomoc w potrzebie!...

Co cenimy w dniach, w których wartości stają się płynne: czy drzewo i glinę ludzkiej mądrości i ziemskich źródeł, czy też złoto i srebro Bożego pochodzenia i odkupienie, które otrzymujemy dzięki Krzyżowi? Wiele rzeczy otrzymało zbyt niską cenę w chrześcijaństwie w dobie dzisiejszej, niemniej nie ma jakiejś dróżki „na krótsze" w duchowych wartościach. Wygłaszanie kazań, modlitwa, świadczenie — to wszystko może nie wydawać się trudne, ale prawdziwie kosztowne i owocne będzie tylko wtedy, gdy wiele lat spędzimy w dyscyplinie Bożych poczynań z nami, a być może w doświadczeniach, które pociągną za sobą ofiarę naszej krwi. „Naczyniem ku uczciwości" jest mąż, który czekał i trwał u stóp Bożych, aż go Duch nauczy, i który nie wstydził się przyznać — zanim dostał Boże światło w danej sprawie — że nie wie, jak daną rzecz wytłumaczyć. Przychodzi bowiem dla każdego dzień, w którym doświadczony jest jego prawdziwy charakter. Głoszenie Słowa Bożego przedstawia w dniach odstępstwa małą wartość, jeśli ludzie w nim nie oglądają Boga. Szczególnie w takich czasach słuchacze doskonale umieją stwierdzić, czy człowiek wypowiadający dane słowa istotnie z łaski Bożej sam tych rzeczy doświadczył. To, co nie dotknęło głęboko jego serca i życia, będzie miało bardzo małą moc i nie dotknie serc innych ludzi.

Jakkolwiek samo pojęcie „naczynia" sugeruje poniekąd ukształtowanie dla jakiegoś celu, to 2-gi List do Tymoteusza daje nam jednak do zrozumienia, że istnieją okoliczności, w których dobrze uczynimy pozostawiając Bogu przeznaczenie naczyń, a troszcząc się przede wszystkim o ich wartość — o ich gatunek. „Jeśliby tedy kto siebie samego oczyścił od tych rzeczy, będzie naczyniem ku uczciwości" (2 Tym. 2, 21).

I nareszcie dochodzimy do rozważań dotyczących umiłowanego ucznia. Jeśli chodzi o chronologię, pisma jego przypadają na okres po Pawle, a stosownie do tego, jak już powiedzieliśmy, główny nacisk położony jest w nich na moment przywrócenia, co jest jego szczególnym wkładem do nowo-testamentowego objawienia. W czasie, w którym Kościół zaczął zajmować się głównie zewnętrznymi rzeczami — kosztem wewnętrznego życia, na widownię wszedł Jan, aby przypomnieć ludziom, na czym polegały prawdziwe Boże wartości. To, jak już zaznaczyliśmy na wstępie, charakteryzuje usługę Jana; od samego początku bowiem ilustracją jego działalności jest moment powołania go przez Pana Jezusa, który i Jana i jego brata Jakuba znalazł „w łodzi, naprawiających sieci" — czyli przywracających je do poprzedniego stanu, po uszkodzeniach, jakich doznały w czasie połowu w ubiegłą noc.

Jan był oczywiście również w całym tego słowa znaczeniu „rybakiem" — i to na równi z Piotrem; wydaje się też, że w swoim zakresie był „budowniczym" nie gorszym od Pawła. Czytając Dzieje Apostolskie widzimy go w całej pełni uczestniczącego w głoszeniu Ewangelii i w społeczności wczesnego okresu Kościoła. Podobnie jak Paweł, potrafi on też z całą powagą apostolską zwracać się „do Zboru" (3 Jana 9). Niemniej z całości Nowego Testamentu wynika bezspornie, że najcharakterystyczniejszą i najwybitniejszą cechą pism Jana jest to szczególne usługiwanie, polegające na przywracaniu rzeczy do ich pierwotnego, przez Boga przewidzianego stanu.

Jak wszyscy wiemy, Ewangelia Jana jest ostatnią z czterech Ewangelii. Listy jego również są ostatnimi Listami, a Objawienie umieszczone jest na samym końcu Księgi Bożej. Wszystkie jego pisma noszą więc charakter „ostatnich". Fakt ten przejawia się w szczególności niemal na każdej stronicy Ewangelii Jana. Mówi on bardzo niewiele o czynach Pana Jezusa, co cechuje na przykład Ewangelię Marka. Nie zajmuje się też przykazaniami naszego Pana, tak jak je zapisał Mateusz, podając nam je w wielkim Kazaniu na Górze. Nie obchodzi go tak dalece, co powinieneś robić, gdy ktoś ci zabierze płaszcz, lub czy w wypadku, gdyby sąsiad twój nalegał na ciebie, winieneś iść z nim jedną milę, czy też dwie. Nie o to mu teraz chodzi. Na sercu leży mu głównie sprawa do-

tycząca życia w wieczności i twój właściwy stosunek do tego zagadnienia. Z pism jego wynika, że jeśli ktoś o tych rzeczach pomyśli i tymi rzeczami się zajmie, to wszystko inne pójdzie w ślad. W tym wielce się różni również od Łukasza. Nie zajmuje się zewnętrznymi i doczesnymi rzeczami — datami i rodowodami, choćby prowadzić miały wstecz aż do Adama. Na sercu leży mu tylko to, abyśmy się ponad tymi wszystkimi rzeczami dostali do jądra wszystkiego — do Życia. Tutaj obecnie wszystko pogrążone jest w rozpaczy. Wróć zatem do tego Życia, które „z nieba zstąpiło", a gdy się z powrotem tam dostaniesz, wówczas zachowane zostanie to wszystko, co reprezentuje Piotr, a także i Paweł. W pewnym sensie Jan nie ma nic nowego do powiedzenia. Nie prowadzi on nas gdzieś dalej jeszcze w sprawach Bożych, ponieważ najdalsze sprawy już zostały poruszone przez Boga. Celem objawienia, które zostało zwierzone Janowi, jest przywrócenie ludzi do tego pierwotnego celu poprzez skontaktowanie ich na nowo z Samym zmartwychwstałym Panem życia.

Czytając Ewangelię Jana, nie możemy oprzeć się wrażeniu, że pierwszy rozdział jest kluczem do wszystkiego, co zostało powiedziane potem. Już w tym pierwszym rozdziale znajdujemy łaskę i prawdę — te dwa strumienie, płynące z Pana Jezusa Chrystusa. „Zakon przez Mojżesza był dany, a łaska i prawda przez Jezusa Chrystusa stała się" (Jan 1, 17). W całej tej Ewangelii możemy widzieć szczególny nacisk, jaki autor kładzie na te dwie rzeczy — na prawdę z jednej strony, a łaskę z drugiej. Prawda zawsze będzie stawiała wymagania, a łaska znajdzie się zawsze ku pomocy, aby wymaganiom tym uczynić zadość. W wypadku, o którym czytamy w rozdziale ósmym, jasnym blaskiem zaświeciła prawda. Mowa tam o niewieście, którą przyłapano na cudzołóstwie. Pan Jezus nie powiedział jej: „Wszystko jest w porządku; nie zgrzeszyłaś". Nie powiedział Żydom, że uczynek jej nie był jakimś poważnym grzechem i że go to wielce nie obchodziło. Nie. Nasz Pan powiedział natomiast: „Kto z was jest bez grzechu, niech pierwszy na nia kamieniem rzuci" (Jan 8, 7). Prawda jest oczywista: „Zgrzeszyła, a więc stosownie do wymogów Zakonu winna być ukamienowana"; niemniej widzimy tutaj i łaskę, gdyż w momencie, gdy wszyscy wyszli, On zwrócił się do niej i rzekł: „I ja cię nie potępiam". Możemy stwierdzić, że w całej Ewangelii Jana prawda znajduje zadośćuczynienie dzięki łasce w ten właśnie sposób.

Gdy jednak przejdziemy do Listów Jana, znajdziemy coś więcej jeszcze. Słyszymy w nich mniej o łasce i prawdzie jako takich, jako że Listy te zostały napisane znacznie później, a zaszła tymczasem konieczność jeszcze gruntowniejszego uzdrowienia sytuacji. Dla tej przyczyny stwierdzamy, że Jan wskazuje na czasy jeszcze dawniejsze. „Bóg jest to światłość" (1 Jan. 1, 5). „Bóg jest miłością" (1 Jan. 4. 8). Podczas kiedy w Ewangelii Chrystus przychodzący od Ojca objawiony jest pomiędzy ludźmi jako łaska i prawda, Chrystus mieszkający u Ojca objawiony jest ludziom jako światłość i miłość. To, co w Ewangelii było prawdą, w Listach staje się światłością. To, co w Ewangelii było łaską, w Listach staje się miłością. Dlaczego tak się dzieje? Ponieważ to, co u Boga jest światłością, z chwilą gdy zostaje przekazane ludziom, staje się prawdą; a to, co u Boga jest miłością, darowane ludziom, staje się łaską. Miłość wraca do Boga — łaska natomiast zostaje tutaj. Wszystko, co jest w Bogu jest światłością i miłością, ale przychodząc do ludzi staje się prawdą i łaską. Zawsze istnieje możliwość, aby łaskę nadużyć, prawdę sprofanować; ludzie rzeczy te przywłaszczyli sobie i użyli ich niewłaściwie. Bóg jednakowoż jest światłością i Bóg jest miłością, a nikt z nas nie jest w stanie wdrapać się tam, w górę, i tych rzeczy się dotknąć; są one poza zasięgiem jakiegokolwiek zepsucia. Metoda Jana polega więc na prowadzeniu nas z powrotem aż tam, do Tronu, i to nie w celu udzielenia nam czegoś nowego, lecz w celu skonfrontowania nas raz jeszcze z oryginałem. Dzięki udaniu się do Źródła możemy odzyskać i zachować to, cośmy stracili.

Gdy przyjdziemy wreszcie do ostatniej, a w pewnym sensie najważniejszej Księgi Biblii, do Objawienia, zauważymy, że w niej zasada apostoła Jana ma szczególnie szerokie zastosowanie, a uważam, że wszyscy się na to zgodzimy, że w tej Księdze szczególny nacisk jest położony na Panu Jezusie jako na Tym, który jest „Prawdziwy" (Obj. 3, 7). Czytając tę Księgę możemy z łatwością zauważyć, że przedstawia ona obraz zupełnego przywrócenia porządku we wszystkim. Jest niejako zupełnym odwróceniem sytuacji, jaka zaistniała w 1-szej Księdze Mojżeszowej. To wszystko, co zepsuł grzech, rozczarowania i załamania, jakie miały miejsce na początku — zostały w zupełności naprawione; wszystko, co zostało stracone — zostało odzyskane; na wszystkie pytania, które powstają w owym czasie, znajdujemy tutaj odpowiedź.

W 1-szej Mojżeszowej widzimy węża. Co z tego wyniknie? Widzimy przekleństwo. Jaki będzie tego koniec? Widzimy śmierć i grzech. Na czym się to skończy? Widzimy człowieka, któremu wzbroniony został przystęp do Drzewa Żywota. Co wyniknie z takiego obrotu sprawy? Widzimy początek tych rzeczy, ale jaki będzie ich koniec? A jaki będzie mój koniec? Bóg w łasce Swojej zapoczątkował coś ze mną, ale co by się stało, gdyby zbawienie miało się zakończyć z doczesnością? Celem Księgi Objawienia jest udzielenie odpowiedzi na wszystkie te pytania poprzez przedstawienie Jezusa jako żyjącego na wieki wieków, będącego Początkiem, ale t e ż Końcem — czyli „Pierwszym i Ostatnim".

Objawienie jest bowiem odsłonięciem, A p o k a l i p s ą Jezusa Chrystusa. Odciąga na bok zasłonę i objawia Jego Osobę. Celem tej Księgi nie jest na pierwszym miejscu udzielenie nam światła odnośnie do przyszłych wypadków, takich jak przyjście antychrysta, przypuszczalne odnowienie Rzymskiego Imperium, zachwycenie Kościoła, tysiącletnie królestwo, czy też ostateczny los szatana. Jan daje nam lek na wszelkie nasze boleści — a nie jest nim sprawa tylu i tylu pieczęci, czy tylu i tylu trąb, nie jest nim też odpowiedź na pytanie, czy zachwycenie Kościoła będzie „częściowe", czy też „całkowite". Księga ta w swojej istocie nie ma zupełnie na celu zaspokojenia naszych intelektualnych spekulacji, natomiast celem jej jest zadośćuczynienie naszym duchowym potrzebom przez objawienie Jezusa Chrystusa w całej Jego pełni — tak, abyśmy mogli Go **poznać**.

Co prawda Objawienie odpowiada na pytania dotyczące nas samych, i to w sposób przechodzący wszelkie nasze marzenia i sny. To bowiem, co Jan pokazuje nam na końcu, stanowi znacznie więcej, aniżeli utraciliśmy na początku. Bóg rozpoczął w ogrodzie, a kończy Miastem. W 1-szej Księdze Mojżeszowej odwiedzał człowieka, którego stworzył; w Objawieniu miejsce jego zamieszkania — ba, sam Jego tron, znajduje się w pośrodku ludzi. Co było bowiem Kościołem u Pawła, staje się u Jana Świętym Miastem. A jednak Bożym zamiarem było od samego początku nie co innego; a to, co Bóg postanowił uczynić na początku, niewątpliwie też wykona. Objawienie zaś zapewnia nas, że w Swoim sercu Bóg już to uczynił. Tak więc zasadniczo Jan nie przynosi nam właściwie niczego nowego; pokazuje nam tylko, że to, co Bóg postanowił, faktycznie też urzeczywistni.

To wszystko Jan czyni, jak już powiedziałem, poprzez przyprowadzanie nas do Bożego oryginału. Jakie jest przeznaczenie świata? Jaki będzie wynik konfliktu Kościoła z mocami ciemności? Jaki będzie mój koniec? Wszystko, jak zapewnia nas Jan, znajduje odpowiedź i wypełnienie w Panu Jezusie Chrystusie. Czy Chrystus jest moim początkiem? Tak, ale jest On również moim końcem. Czy jest On moją Alfą? Tak, ale On jest też moją Omegą. Chrystus jest odpowiedzią na wszystkie moje pytania. Jeśli mi jest jasne wszystko to, co dotyczy Jego Osoby, dowiem się również wszystkiego, co dotyczy przyszłych wydarzeń — poznam ich przyczynę i uzasadnienie. Taki jest Boży porządek, i w żaden sposób odwrócić go nie można. Nikt nie jest zdolny do studiowania wizji zapisanych przez Jana, jeśli najpierw nie miał wizji samego Pana Jezusa. Dzięki tej wizji dowiadujemy się bowiem kim On jest, a mianowicie iż jest zmartwychwstałym i zwycięskim Królem królów, a wydarzenia, które mają miejsce potem, są wynikiem tego zasadniczego, wspaniałego faktu.

Tak było i z samym Janem. Nawet on, który był umiłowanym uczniem Pana Jezusa, który zwykł był leżeć na Jego piersi — potrzebował objawienia swego wiecznego Pana, aby zostać skruszonym i rzuconym w proch. Dopiero potem mógł otrzymać widzenia „rzeczy przyszłych". To pierwsze widzenie było fundamentem dla otrzymania wszystkich dalszych. Mamy bowiem przed sobą Królestwo, a tylko Król i Jego poddani — a nie jacyś eksperci wiedzy filozoficznej, czy znawcy proroctw — biorą udział w wojnie wydanej temu wszystkiemu, co się sprzeciwia temu Królestwu Ducha, prawdy i miłości. Oznajmienie przyszłych wydarzeń nie ma na celu danie pożywki próżnym spekulacjom; ich celem jest obalenie wroga — szatana i powszechne panowanie Chrystusa.

Tak więc w Objawieniu Bóg pokazuje nam aspekt Swego Syna, którego nie oglądamy w Ewangeliach. W Ewangeliach widzimy Go jako Zbawiciela, natomiast w Objawieniu jako Króla; w Ewangelii według Jana jako Alfę, w Objawieniu jako Omegę. Ewangelia opisuje Jego miłość — Objawienie Jego majestat. W onym wielkim pokoju usłanym Pan Jezus przepasał się ręcznikiem w celu usłużenia Swoim uczniom; na wyspie Patmos objawia nam się jako przepasany na piersiach, aby prowadzić wojnę. W Ewangeliach łagodne spojrzenie Pana Jezusa rozbroiło Piotra; w Objawieniu wzrok Jego jest jako płomień ognia. Tam głos Jego był delikatny, wołający owieczki Jego po imieniu i z ust Jego wychodziły słowa

pełne łaski; tutaj głos Jego jest straszny — jak głos wielu wód, a z ust Jego wychodzi ostry obosieczny miecz, zadający śmierć Jego wrogom.

Nie wystarczy, abyśmy znali Jezusa jako Baranka Bożego i jako Zbawiciela świata; musimy Go również znać jako Bożego Chrystusa, Bożego Króla, Bożego Sędziego. Gdy Go widzimy jako Zbawiciela, z piersi naszej wyrywa się okrzyk: „O, jaki On jest kochany!" i kładziemy się na Jego łonie. Gdy Go widzimy jako Monarchę, wołamy: „O, jaki On jest potężny!" i padamy u Jego nóg. To pierwsze daje w efekcie dziękczynienie, to drugie zaś oddawanie czci Boskiej. Jeśli ktoś Go ujrzy obecnie jako Króla, to można by omal o nim powiedzieć, że ujrzał „innego Chrystusa" i że doświadczył „innego zbawienia". W Objawieniu oglądamy Go bowiem jako Świadka wiernego i sprawiedliwego, który gwarantuje, Bożym autorytetem, iż jakkolwiek cele Boże mogą zostać opóźnione, to jednak nigdy nie będą mogły być zniweczone.

TEN, KTÓRY JEST PRAWDZIWY

Przy studiowaniu Objawienia należy zachować ostrożność, aby nie przeholować w nadmiernie duchowym pojmowaniu tego, co czytamy. Nowe niebo i nowa ziemia, o której mówi Jan, są czymś prawdziwym, a nie wyimaginowanym; prawdziwym też jest jego nowe Jeruzalem, tak jak prawdziwym jest nasz zmartwychwstały Pan. Ci ludzie, którzy nie posiadają sami niczego konkretnego, wszystko zamieniają na „duchowe" wartości. Wielu drogich nam ludzi używa niestety duchowych i proroczych prawd w celu zbudowania sobie jakiegoś nierealnego świata, a kto tak czyni, ucieka od rzeczywistości i dzieje się w takim wypadku podobnie jak już mówiliśmy poprzednio, gdy ktoś chętnie się godzi żyć w duchowej atmosferze Listu do Efezów, a nie jest przygotowany na to, by zająć konkretne stanowisko wobec praktycznych wymogów podanych nam w pierwszym Liście do Koryntów. Pamiętajcie jednak, iż takiemu właśnie złudzeniu uległa Laodycea, co stało się przyczyną, że wreszcie uwierzyli kłamstwu.

Oznaką duchowej dojrzałości zawsze będzie uświadamianie sobie Bożych rzeczy jako czegoś realnego dzięki temu, że Chrystus jest nam bardzo bliski i realny. Widzimy Go jako prawdziwe życie, prawdziwą świętobliwość — i w całej rozciągłości jako „prawdę". Używam tutaj słowa „prawda" w zu-

pełnie odmiennym sensie od tego, w jakim użyłem go powyżej, gdy mówiłem o prawdach proroczych. Wielu miesza pojęcie prawdy z pojęciem doktryny, chociaż te dwie rzeczy są czymś odmiennym. Doktryną nazywamy to, co o wiecznych prawdach mówi się tutaj na ziemi. W języku greckim słowo prawda znaczy „rzeczywistość". Ten sam Jezus, który powiedział: „Poznacie prawdę" (Jan 8, 32), jest ucieleśnieniem wszystkiego, co jest prawdziwe (Obj. 3, 7; porównaj 1 Jan. 5, 20), i jako takiego winniśmy Go znać.

Prawda „jest w Jezusie" (Efez. 4, 21) i (podobnie jak łaska) przyszła „przez Jezusa Chrystusa" (Jan 1, 17). Z radością witamy Jego łaskę — ale czy znamy Jego prawdę? Łaska stała się nam dzięki historycznemu faktowi, że Pan Jezus ofiarował się na Krzyżu. Ale i prawda jest w nie mniejszym stopniu ściśle związana z Jego Osobą i pracą, a nie jest tylko czymś wypływającym z Jego kazań. Skoro więc dosięga nas obecnie łaska, to i prawda powinna dosięgać nas w nie mniejszym stopniu, nas, którzyśmy zostali zespoleni z Nim dzięki wierze w Jego dokonane dzieło.

A jednak, choć wielu zna Go w dobie dzisiejszej jako Drogę i Życie, zaledwie niewielu zna Go jako Prawdę. To jest poważnym brakiem, ponieważ jak już powiedzieliśmy **prawda jest rzeczywistością.** Przed Nim nie było rzeczywistości — i poza Nim nie ma rzeczywistości, a jeśli tylko pragniemy, możemy poznać prawdę, ponieważ Jego dokonane dzieło pozostaje dla nas najprawdziwszą rzeczą na świecie i dziś. Tym czym jesteśmy przed obliczem Bożym, jesteśmy w r z e c z y w i s t o ś c i dlatego, że Pan dokonał tego dzieła na Krzyżu dla nas.

Ma to ogromne znaczenie dla naszego praktycznego codziennego życia. Teoretycznie moja trudność polega na tym, że ilekroć staję przed obliczem Bożym, okazuje się, że w porównaniu z Jego świętością, to, co ja czynię i czym jestem tutaj na ziemi — jest aż nazbyt często złe. To, czym mię uczyniło dzieło Chrystusa — to jedna rzecz, ale to, czego doświadczam tutaj na ziemi, zbyt często wydaje się przeczyć prawdziwości tego faktu. W jaki sposób rozprawić się z tą rozbieżnością? Jak mam żyć, aby moje zachowanie tutaj konsekwentnie wyrażało to, co jest prawdą tam?

Konieczną jest rzeczą, abym ujrzał i zrozumiał, że dzięki pracy Chrystusa, to czym Bóg mię uczynił w Nim j e s t r z e c z y w i s t o ś c i ą, i że jest to podstawą wszystkich moich prawdziwych doświadczeń w życiu chrześcijańskim.

Żadnej innej podstawy nie ma. To, czym się stałem dzięki znalezieniu się w Chrystusie, jest wieczną prawdą. Jedynym błędem jest zajmowanie się moimi uczuciami i doświadczeniami, moimi usiłowaniami i upadkami, moimi wątpliwościami i nadziejami — zamiast tego, abym się uchwycił wiarą Osoby Tego, który jest „Prawdziwy".

Wszystko skupia się w Nim. W samym sercu Słowa Bożego widzimy Chrystusa na Krzyżu. W Jego śmierci i my umarliśmy, a gdy On powstał z martwych, również zmartwychwstaliśmy wraz z Nim, będąc członkami Jego Ciała. Jan objawia nam Go takim, jakim jest dzisiaj, a dzięki niechaj będą Bogu, że Jego wniebowstąpienie i Jego chwała są też naszą własnością! Skąd jednakże mamy pewność odnośnie do tych rzeczy? Nie otrzymujemy jej dzięki naszym uczuciom, ale dzięki prawdziwości Jego Osoby i Jego dzieła. To, co Chrystus uczynił, jest miejscem odpocznienia dla naszej wiary. „Wyswobodzi nas" tylko prawda — a nie nasze uczucia, czy nawet nasza wiedza. Jan 8, 32 wskazuje nam na fakt, że dopóki tych rzeczy nie widzieliśmy, byliśmy zniewoleni, ale ponieważ dzieło Chrystusa jest rzeczywistością i ponieważ to, czym się staliśmy w Nim również jest prawdziwe, już samo odkrycie tych faktów otwiera im drogę, aby stosownie do ich natury niewolę naszą przywieść do końca.

Na tym polega wielka wartość nowego odsłonięcia nam Jezusa przez Jana. Jeśli patrzylibyśmy się z czysto ludzkiego punktu widzenia — na przykład z punktu widzenia rzymskiego zesłańca na wyspę Patmos — zwycięstwo Chrystusa mogłoby wydawać się czymś bardzo dalekim od rzeczywistości. Tak było wówczas i tak jest dzisiaj. Modlimy się więc i prosimy o zwycięstwo, a czyniąc tak zadajemy kłam zwycięstwu odniesionemu na Golgocie! Prawdą i cudowną rzeczywistością jest fakt, że Chrystus już zwyciężył, a nie że dopiero zwycięży To, co Bóg czyni dzisiaj, jest dziełem, które już się w y k o n a ł o w Chrystusie. Największą naszą potrzebą jest to właśnie ujrzeć.

„Ześlij światłość Twoją i prawdę Twoją" (Ps. 43, 3). Te dwie rzeczy ze sobą się łączą. Prawda jest zupełna i doskonała w Chrystusie, ale potrzebą naszych serc jest wylanie na nią Bożego światła. Wszelkie duchowe doświadczenia przychodzą dzięki Bożemu światłu, oświecającemu naszym sercom wieczne prawdy. Prawda, którą się głosi bez posiadania światła, staje się doktryną; gdy jednak oświeci ją Boże świat-

ło — staje się objawieniem. Zawsze staje się ona naszym udziałem w jednej lub w drugiej postaci. Ale Prawdą, wieczną rzeczywistością, jest sam Chrystus Pan, a potem również to, czym Bóg, dzięki Swojej łasce, uczynił nas w Nim.

CHRYSTUS A CZAS

Duchowa rzeczywistość odznacza się tą wybitną charakterystyczną cechą, że nie ma na niej znaków czasu. Współczynnik czasu znika z chwilą, gdy dotkniemy się tej rzeczywistości. Weźmy na przykład proroctwo w sensie przepowiadania przyszłych wydarzeń. Z ludzkiego punktu widzenia, proroctwo jako takie istnieje — ale z Bożego, czegoś podobnego nie ma zupełnie. To prawda, że czytamy: „Syn mój jesteś ty, Jam ciebie dziś spłodził", ale dla Boga „dziś" oznacza „zawsze". Nasz Pan powiada, że On jest Pierwszy i Ostatni, Alfa i Omega; ale proszę pamiętać, że On jest tym **równocześnie!** To nie znaczy, że raz jest Pierwszym, kiedy indziej zaś Ostatnim; On jest zarówno Pierwszym i Ostatnim. Nie jest też tak, aby przez chwilę będąc Alfą, potem się stawał Omegą; On jest Alfą i Omegą od wieczności do wieczności! Oczywiście w oczach ludzi nie jest On jeszcze Omegą do czasu, aż się jako Omega wszystkim ludziom pokaże — ale w oczach Bożych jest Omegą w tej chwili. Dla człowieka przeszłość i przyszłość są czymś oddzielnym i odmiennym; u Boga pojęcia te się synchronizują — przed Jego obliczem wszystko jest odwiecznym „teraz"! U mnie pojęcie „ja" z dnia wczorajszego różni się od pojęcia „ja" w dniu dzisiejszym, a także od pojęcia „ja" w dniu jutrzejszym; Chrystus natomiast jest ten sam wczoraj, dzisiaj i na wieki. On jest onym wiecznym JAM JEST.

W tym właśnie względzie znajomość Boga staje się dla nas szczególnie cenna. Nasz Pan powiedział do Nikodema: „I nikt nie wstąpił do nieba, tylko ten, który zstąpił z nieba, Syn człowieczy, który jest w niebie" (Jan 3, 13). Proszę zwrócić uwagę, jak te dwa stanowiska zbiegają się w czasie w Chrystusie. U Niego nie ma zmiany czasu lub miejsca. On znajduje się równocześnie tam i tu. Podobnie czytamy o Bogu jako o Ojcu światłości, „u którego nie masz odmiany, ani cienia zmiany" (Jak. 1, 17). Jest On takim Sam w Sobie, jest takim w Chrystusie — a uwielbione niech będzie Jego Imię, jest takim również w Swoim Kościele!

Czy napotkałeś już kiedyś na Zbór, który Paweł określa w Liście do Efezów 1, 18 słowami: „bogactwo chwały dziedzictwa Jego w świętych"? Albo też na taki, zobrazowany słowami zapisanymi w 1-szym Liście do Koryntów 6, 11 jako zgromadzenie tych, którzy zostali „omyci,... poświęceni,... usprawiedliwieni w imieniu Pana Jezusa, i przez Ducha Boga naszego"? Ach, może powiesz, że słowa te obrazują s t a n o w i s k o Kościoła, Zboru Pańskiego. Nie jest tak: słowa te obrazują f a k t y c z n y s t a n Kościoła. Pisząc do Rzymian Paweł użył śmielszych terminów, aniżeli uczynili to niektórzy jego tłumacze. (Na szczęście w polskim tłumaczeniu znajdujemy wierne oddanie oryginału. Przyp. tłum.) W rozdziale 1-szym wierszu 7-mym napisał on „powołanym świętym". Chwała Panu! J e s t e ś m y świętymi! Efezów 2, 10 brzmi w naszym tłumaczeniu: „Jego bowiem dziełem jesteśmy". Wiersz ten moglibyśmy też przetłumaczyć: „Jego bowiem arcydziełem jesteśmy". Kościół jest szczytowym, najlepszym dziełem Bożym, którego nigdy poprawić by już nie można. Oglądamy się wokoło i zastanawiamy się: „Do czego Kościół dojdzie?" Ale pozwólcie, że z całym naciskiem stwierdzę, że Kościół do niczego nie będzie dochodził, gdyż on j u ż d o s z e d ł. Aby ujrzeć cel i dokończenie Kościoła nie potrzebujemy patrzeć w przyszłość; patrzymy wstecz. Bóg osiągnął Swój cel w Chrystusie przed założeniem świata, a my poruszamy się do przodu z Nim na podstawie tego, co już istnieje. A w miarę jak poruszamy się w świetle tego wiecznego faktu, jesteśmy świadkami jego stopniowego realizowania się.

Postępy w życiu chrześcijańskim nie są zagadnieniem osiągnięcia jakiegoś abstrakcyjnego poziomu, ani też przeciskaniem się ku osiągnięciu jakiejś dalekiej mety. Zależą one w całości od ujrzenia Bożego poziomu. Robisz duchowe postępy dzięki stwierdzaniu, czym w rzeczywistości jesteś, a nie dzięki usiłowaniom, aby się stać czymś, czym masz nadzieję zostać w przyszłości. Nie osiągnęlibyśmy w ten sposób celu pomimo największych wysiłków. Wtedy, gdy w i d z i s z, że umarłeś — umierasz; gdy w i d z i s z, że zmartwychwstałeś — zmartwychwstajesz; gdy w i d z i s z, że jesteś święty — stajesz się święty. Droga, która prowadzi do zrealizowania jakiegoś faktu w twoim życiu prowadzi poprzez ujrzenie tego faktu, jako już dokonanego. Cel więc zostaje osiągnięty na pierwszym miejscu przez otrzymanie wizji, a nie przez pragnienie lub wysiłki. Jedynym sposobem uczynienia ducho-

wych postępów jest zrobienie odkrycia prawdy, jak ją widzi Bóg; prawdy dotyczącej Chrystusa, prawdy dotyczącej nas samych w Chrystusie i prawdy dotyczącej Kościoła, który jest Ciałem Chrystusa.

W Liście do Rzymian 8, 30 Paweł wyjaśnia, że ci, których Bóg przeznaczył, tych i powołał; a których powołał tych i usprawiedliwił; a których usprawiedliwił, tych i uwielbił. A więc stosownie do Słowa Bożego, wszyscy ci, którzy zostali powołani, zostali już uwielbieni. Meta jest osiągnięta. Kościół już został uwielbiony!

„Ach, ależ to jest zbyt trudne!" może ktoś zawoła. „Przecież Kościół z całą pewnością potrzebuje oczyszczenia! Proszę mi wytłumaczyć, co wobec tego znaczą słowa, które znajdujemy w Liście do Efezów 5, 26 mówiące o oczyszczeniu kąpielą wodną przez Słowo?" Całkiem słusznie — ale proszę najpierw zwrócić uwagę na kontekst. Jest tutaj mowa o tym, jak winni się zachowywać mąż i żona. Od męża wymagana jest miłość, a od żony uległość. Nie chodzi więc o to, w jaki sposób się stać mężem i żoną, lecz w jaki sposób winniśmy żyć ze sobą — już będąc mężem i żoną. Nie ma więc tutaj mowy o tym, że musisz miłować, aby stać się małżonkiem, albo być posłuszną, aby stać się żoną; w tym rozdziale wyraźnie jest mowa o osobach już poślubionych, które dlatego iż są małżeństwem tak a nie inaczej powinny się zachowywać: mąż powinien miłować, a żona być uległą.

Czyż ta sama zasada nie obowiązuje także w odniesieniu do Kościoła? Boży powołany lud nie zostaje obmyty w tym celu, aby stać się Kościołem; otrzymuje kąpiel wodną przez Słowo, ponieważ jest Kościołem. Dla tej przyczyny Paweł, jak już wspomniałem poprzednio, sięga spojrzeniem poza zagadnienie grzechu. Celem umycia może być odświeżenie i usunięcie prochu tego świata w takim sensie, w jakim czytamy o tym w Ewangelii Jana 13, 10 gdzie o tym mówi sam Pan Jezus. I to uważam również za cel umycia, o którym jest mowa w Liście do Efezów 5. Kościół został bowiem j u ż umyty (1 Kor. 6, 11), dlatego też ta kąpiel ma na celu tylko utrzymanie jego świeżości. Mąż zachowuje się jak mąż, ponieważ jest mężem; żona zachowuje się jak żona, ponieważ jest żoną; Kościół zostaje omyty, ponieważ już był umyty. Kościół już osiągnął przewidziany dlań poziom i dlatego udzielana mu jest pomoc, aby żył stosownie do tego poziomu — podczas gdy to, co nie jest Kościołem, nigdy nie mo-

głoby się stać Kościołem tylko dzięki myciu — choćby mycia tego było nie wiadomo ile.

W jednym z poprzednich rozdziałów zwróciliśmy już na to uwagę, że podczas gdy w Liście do Rzymian Paweł dochodzi do stwierdzenia „tych i uwielbił" (Rzym. 8, 30) po rozwinięciu wprzód całej historii odkupienia, to w Liście do Efezów niejako umyślnie pomija moment czasu i przechodzi wprost do wieczności przeszłej i przyszłej, a za swój punkt wyjścia bierze wieczną pełność. Bóg patrzy bowiem zawsze na ostateczną rzeczywistość, a o Kościele Swoim mówi w świetle tejże rzeczywistości. Moment czasu przedstawia dla umysłu ludzkiego jedną z największych trudności napotykanych w Biblii, niemniej znika ona natychmiast w chwili, gdy nasze serca zostają oświecone blaskiem znajomości chwały dziedzictwa Jego w świętych. Bóg widzi Kościół jako nieskazitelnie czysty, całkowicie doskonały. Dlatego też jedynym pewnym sposobem, aby móc żyć życiem pełnym chwały tutaj na ziemi jest poznanie ostatecznej chwały Kościoła, jaką posiada w niebie.

OBYWATELE NIEBA

Jest to smutnym, niemniej niezaprzeczonym faktem, że wielu chrześcijan widziało tylko zewnętrzną formę chrześcijaństwa. Nigdy jeszcze nie mieli wizji wewnętrznej rzeczywistości, wobec czego nie posiadają jeszcze znajomości istoty jej natury. I nic dziwnego, skoro w dobie obecnej do chrześcijaństwa zostało wmieszanych tak wiele rzeczy czysto zewnętrznych, że trudno jest odróżnić, co naprawdę jest z Boga. A przecież koniec końcem chrześcijaństwo nie jest jakimś tylko systemem zewnętrznych funkcji. Chrześcijaństwo jest „P r a w d ą".

Ewangelia Jana przychodzi nam z pomocą w tym względzie, przedstawiając nam Ducha Świętego jako Ducha prawdy i zapewniając nas, że wprowadzi On nas we wszelką prawdę. Będziemy mówić jeszcze na ten temat bardziej szczegółowo w końcowym rozdziale. W każdym razie z takiego określenia istoty Ducha Świętego możemy wyciągnąć wniosek, że wszystko, co do nas przychodzi, a co nie jest nauką i światłem pochodzącym od Ducha Świętego, jest czymś mniej niż P r a w d ą. Wszystko, do czego możemy dojść przez nasze dociekania i studia, przez oglądanie okiem lub

słuchanie uchem — znajduje się poza obrębem wiecznej Prawdy; nie jest duchowo rzeczywiste.

Umysł ludzki przyjął bardzo krańcowe poglądy jeśli chodzi o sprawy duchowe. Na przykład Kościół Rzymski usiłował wyjaśnić je przy pomocy sakramentów — rzeczy dotykalnych. Ludzie utkwili wzrok w materialnej wodzie chrztu i przyznali jej moc ku odrodzeniu. Podobnie i materialne elementy Wieczerzy Pańskiej uważa się za cudownie przemienione na fizyczne ciało i krew Chrystusa, podając nam tym samym ową słynną doktrynę o przemienieniu. W oparciu o te poglądy zewnętrzna forma Kościoła — tak jak ją pojmuje Rzym — uważana jest przez rzymskich katolików za jedyny prawdziwy Kościół. Z drugiej strony widzimy inną krańcowość, a mianowicie intelektualistę, dla którego oczywisty brak konsekwencji wynikający z takiego poglądu stanowi prawdziwą zagadkę, i który starał się niekonsekwencje takie usunąć lub znaleźć dla nich wyjaśnienie poprzez wytworzenie innego poglądu, który moglibyśmy nazwać reformowanym poglądem na te sprawy, czyniącym różnicę pomiędzy zewnętrzną ceremonią chrztu, a jego wewnętrzną rzeczywistością; w chlebie i winie przy Wieczerzy Pańskiej widzi tylko symbole, które przedstawiają Ciało i Krew Pańską, ale są zaledwie ich cieniem i wzorem. Problem Kościoła rozwiązuje zaś przez odróżnianie prawdziwego od fałszywego, niebieskiego od ziemskiego i tak zwanego „Kościoła w Kościele".

Zadajmy sobie pytanie: Czy któryś z tych krańcowych poglądów istotnie odpowiada prostym i wyraźnym wypowiedziom Pisma Swiętego? Słowo nie mówi nigdzie o prawdziwym i fałszywym, ani też o reprezentowaniu i symboliźmie, natomiast z całą wyrazistością stwierdza fakt: „Pogrzebieniśmy tedy z Nim przez chrzest w śmierć" (Rzym. 6, 4; Kol. 2, 12) — jak powiada Paweł. Dla niego nie istnieje coś takiego jak chrzest, który nie zawierałby w sobie umierania i zmartwychwstania z Chrystusem. Nigdy mu na myśl nie przyszło, aby chrześcijanin mógł doświadczać chrztu jednego dnia, a kiedyś później wstępować w doświadczenie śmierci i zmartwychwstania z Chrystusem. Podobnie w słowach naszego Pana odnośnie kielicha „to jest krew Moja" mamy dowód, że chodzi tutaj o coś daleko więcej, jak tylko zwykły symbolizm — chociaż z drugiej strony, wypowiedziane po chwili niemal jednym tchem słowa „nie będę pił odtąd z tego owocu winnej latorośli" w równej mierze zadają kłam nauce o przemienieniu. To jest Jego krew, ale równocześnie jest to

również kubek wina. Nie ma tutaj czegoś „reprezentatywnego" i „prawdziwego", cienia i wypełnienia — jest tylko jedna Boża rzeczywistość.

Aby to ujrzeć potrzebne nam są oczy, które otrzymały Boże pomazanie. Tylko Duch prawdy może nas wprowadzić w prawdziwe zrozumienie prawdy dotyczącej chrztu i Wieczerzy Pańskiej. Gdy on to uczyni, przestanie dla nas istnieć jakaś „doktryna" dotycząca tych spraw; pozostanie tylko i wyłącznie rzeczywistość. Będziemy wtedy może używali słów, które dla reformowanych brzmieć będą w sposób alarmująco przypominający wypowiedzi Rzymu, ale będziemy równocześnie oglądali coś, czego Rzym nigdy nie widział. Dla człowieka bowiem, który ujrzał owego Doskonałego, przeżycie to sprawia, że zarówno doktryna jak i pojęcie cienia — wzoru ustępują miejsca tej właśnie wizji. Pozostaje wówczas tylko P r a w d a.

Ale to, co powiedzieliśmy na temat prawdziwości chrztu i Stołu Pańskiego, w nie mniejszym stopniu odnosi się do prawdziwości Kościoła. Obecnie, gdy ktoś wspomni o „Kościele" wielu ewangelicznych chrześcijan zaczyna się czuć bardzo nieswojo. Ilekroć wypada na ten temat mówić, czyni się wszystko, co tylko jest możliwe, aby wyjaśnić sprawę jak najwyraźniej, tak aby w umysłach słuchaczy nie powstało najmniejsze nawet pomieszanie pojęć. Z największą starannością podkreśla się różnicę, jaka zachodzi pomiędzy prawdziwym, a fałszywym Kościołem. Ale w Słowie Bożym i w myślach Pana naszego nie ma takiego podziału. Pan nie zrobił odnośnika w Piśmie Świętym u dołu stronicy, gdy mówił o Kościele. Nie usiłował On zabezpieczyć duchowej rzeczywistości poprzez podkreślanie różnicy pomiędzy wewnętrznym i zewnętrznym, prawdziwym i nieprawdziwym. Nawet nie zaznaczył wyraźnej linii podziału pomiędzy miejscowym i powszechnym Kościołem. W Słowie Bożym mowa jest tylko o „Kościele".

Pomimo tego temat Kościoła w dalszym ciągu jest ogólnie uważany za podlegający dyskusji, temat, co do którego są sprzeczne zdania, i którego należy dla dobra ewangelicznej jedności starannie unikać. Na pewnej wielkiej konferencji wierzących w Anglii zapytałem jednego z pracowników: „Dlaczego na tej konferencji nikt ani słowem nie wspomina o Kościele?" Na to otrzymałem następującą odpowiedź: „Ach, ponieważ konferencja ta ma na celu pogłębienie życia duchowego". Jeśli pogląd tego człowieka miałby reprezentować

pogląd wielu innych, moglibyśmy stąd wyciągnąć wniosek, że wielu uważa, że nie ma związku pomiędzy Kościołem a życiem duchowym wierzącego, podczas gdy w rzeczywistości nic nie jest tak ściśle ze sobą związane jak życie duchowe dzieci Bożych z Kościołem.

„Ja chciałbym być jak Jezus", oto słowa, które może śpiewać pojedynczy człowiek — ale nie może tak śpiewać Kościół, ponieważ on jest niebiańskim Ciałem Chrystusa. Ten, kto to odkryje, doznaje całkowitego zrewolucjonizowania swego życia chrześcijańskiego. Jakkolwiek bowiem wielu chrześcijan przyznaje, że nie jest rzeczą właściwą, aby zmagać się i usiłować posiąść niebiańską doskonałość, to jednak pomimo to się zmagają i usiłują. Nauczono ich, że doskonałość ta jest czymś, co należy osiągnąć i dlatego dla nich chrześcijaństwo jest usiłowaniem, aby się stać czym nie są i czynić to, czego czynić nie potrafią. Usiłują nie miłować świata dlatego, ponieważ w głębi serca faktycznie go miłują; usiłują się upokorzyć, ponieważ w głębi serca są właściwie pewni siebie. Takimi są doświadczenia „tak zwanego chrześcijaństwa", lecz powtarzam, nie jest to doświadczenie Kościoła. Możemy bowiem żmudnie wypracować naszą drogę na drugą stronę Atlantyku lub Pacyfiku, lecz nie możemy wypracować naszej drogi z ziemi do nieba. Niebo nie jest miejscem, do którego Kościół się dostanie dopiero kiedyś w przyszłości. Kościół już tam jest i nigdy nie był gdzieś indziej.

Niebo jest zarówno miejscem powstania jak i miejscem pobytu Kościoła, a w żadnym wypadku jego przeznaczeniem i celem, do którego by zdążał. A skoro Kościół nigdy nie znał innej sfery, jak tylko niebo, nie może istnieć dla niego zagadnienie usiłowania, aby się tam dostać. To może wydawać się drastycznym powiedzeniem, niemniej jest to faktem. Podobnie jak wszystkie inne prawdy w Słowie Bożym jest to coś, co możemy ujrzeć i pojąć tylko dzięki objawieniu tej rzeczy naszemu sercu przez Ducha Swiętego. A naszego niebiańskiego powołania nie poznamy dopóty, dopóki tego nie ujrzymy. Powołanie to nie wzywa nas do nieba, lecz oznajmia nam, że pochodzimy z nieba i że jesteśmy w niebie. Kościół nie jest więc gromadą ludzi usiłujących dostać się do nieba, lecz grupą będącą już teraz obywatelami nieba. Pamiętajcie o tym, że „nikt nie wstąpił do nieba, tylko ... Syn człowieczy, który jest w niebie". Kościół nie potrzebuje modlić się, aby stać się podobnym Chrystusowi. Potrzebuje tylko ujrzeć

swoje miejsce w Nim, tam w niebie — w połączeniu ze swoim Panem.

Musimy poddać rewizji nasz sposób myślenia o Kościele. Nie jest to jakaś organizacja, której rozwój można by zaplanować, ani też tylko grupa ludzi, którą należałoby skompletować. Nie jest to pomysł, który należałoby zrozumieć, ani ideał, który należałoby osiągnąć. Podobnie jak wiele innych rzeczy, które są naszą własnością w Chrystusie, Kościół jest rzeczywistością, którą winniśmy oglądać przy pomocy Ducha Świętego poprzez Słowo. Gdy zdajemy sobie sprawę z prawdziwie niebiańskiego charakteru Kościoła, wówczas zaczynamy dopiero rozumieć i pojmować na czym polega niebiański charakter naszej własnej odnowionej natury, a wtedy już w i e m y, że naszym punktem wyjścia w życiu chrześcijańskim nie jest ziemia, lecz niebo.

Kościół jest doskonały, tak doskonały, że go już w żaden sposób nie można poprawić. Teologowie powiedzą: „Ależ dotyczy to tylko stanowiska Kościoła; jego stan natomiast nie jest taki". Ale w oczach Bożych w Kościele nie ma żadnej niedoskonałości i to na całą wieczność. Dlaczego wciąż na nowo męczyć się tysiącami pytań dotyczących starego stworzenia? One wszystkie po prostu znikają z chwilą, gdy ujrzymy wieczną rzeczywistość. Kościół jest tym środowiskiem, w którym tutaj na ziemi objawia Swój autorytet Bóg, a w chwili obecnej, wpośród skalanego grzechem wszechświata, posiada On jednak jako Swoje mieszkanie, takie właśnie nieskazitelnie czyste środowisko.

ZŁOTE ŚWIECZNIKI

Jakżeż niespokojni jesteśmy jeśli chodzi o Kościół! Jak niechętni, aby zaufać, iż istotnie jesteśmy jego członkami! Mówimy: „A co by się stało, gdyby Kościół się mylił? Co będzie, jeśli doszedł do niewłaściwych wniosków?" Ale ze Słowa Bożego najwyraźniej wynika, że w tym wypadku Bóg nie przewiduje żadnej możliwości zrobienia pomyłki lub sprawienia zawodu. Wydaje się, że w Jego myśli nie mogła nawet powstać żadna taka niepewność. O Zborze w Koryncie myślimy jako o zborze, który znajdował się daleko niżej od wymaganego przez Boga poziomu; a jednak do tego właśnie zboru Paweł napisał słowa: „aleście omyci ... poświęceni ... usprawiedliwieni". Nawet będąc w Rzymie, przy końcu swego życia, apostoł Paweł wspominając Demasa i Aleksandra i całe mnóstwo innych fałszywych braci, nie wspomina o nich jako

o tworzących jakiś fałszywy kościół, który należałoby starannie odróżnić od prawdziwego. Zawsze, ilekroć Paweł w Listach swoich wspomina o Kościele, mówi o nim jako o najzupełniej doskonałym i nigdzie nie dodaje jakichś uzupełniających uwag w celu uniknięcia nieporozumień.

W pismach Jana sytuacja przedstawia się identycznie. W drugim i trzecim rozdziale Objawienia pokazany nam jest Syn człowieczy przechadzający się pomiędzy świecznikami i stwierdzający odpowiedzialność każdego z nich w stosunku do Siebie samego. Kierując wzrok nasz w kierunku, w którym patrzą Jego oczy, możemy z łatwością stwierdzić, że w zborach tych jest wiele niedociągnięć i upadków; czy jednak Jan gdziekolwiek zaznaczył różnicę, jaka zachodzić by miała pomiędzy zborami, które są w porządku, a tymi które nie są w porządku? Pomimo tak wielu stwierdzonych w nich ułomności, pisze o nich tak, jak widzi je w dalszym ciągu nasz Pan, a mianowicie jako o „siedmiu świecznikach złotych", czyli o siedmiu świecznikach w całości zrobionych ze złota.

Tym wszystkim, którym zaczęła świecić ta Boża rzeczywistość, stało się oczywiste, że istnieje tylko i jedynie ta rzeczywistość. Mówimy niekiedy: „Z Bożego punktu widzenia Kościół winien być tym, czy tamtym". Nie! Kościół jest taki! Kościół jest tym — z Bożego punktu widzenia — czym być powinien, ponieważ Chrystus tym jest. Gdy tylko ujrzymy wieczną rzeczywistość w Chrystusie, natychmiast przestaniemy robić różnice pomiędzy tym, czym Kościół jest potencjalnie, a w rzeczywistości. Z chwilą też, gdy Pan otworzy nasze oczy, przestaniemy pogardzać małymi rzeczami. Już wtedy nie powiemy, widząc gdzieś tylko garstkę wierzących: „Na co się to przyda Panu? Jest ich tutaj tak mało!" Przestaniemy narzekać: „Jest tutaj w tym całym pogańskim mieście zaledwie jeden brat ze mną!" Przyglądamy się Dziejom Apostolskim i przestajemy się martwić z powodu małej liczby wierzących, gdyż taka właśnie mała garstka powzięła, jak się okazało, ważne decyzje, mające znaczenie dla wielu przyszłych pokoleń (o czym czytamy w rozdziale 13-tym). Przestajemy myśleć takimi kategoriami, jak: „Znajdowała się tam niewystarczająca ilość przedstawicieli Kościoła; tego rodzaju poważne decyzje i poczynania powinien był załatwić ogólny zjazd wszystkich czołowych braci, filarów Kościoła".

Nie. Wystarczy nam wiedzieć, że ci wierzący ujrzeli niebiańską rzeczywistość i dla tej przyczyny nie martwili się

zbytnio o ładną formę technicznych szczegółów załatwiania owego rodzaju spraw. Tak będzie i z nami, jeśli ujrzymy, podobnie jak i oni, rzeczywistość Kościoła. Rozpoznamy wówczas jego działanie jak tylko się z nim zetkniemy, i to wszędzie, nawet jeśli będzie wchodziła w grę tylko mała garstka wierzących, nie posiadających — jak by to określili ludzie — żadnego specjalnego stanowiska, predestynującego ich do działania w charakterze „oficjalnie do tego celu wyznaczonych reprezentantów". Jeśli wierzący ci są bowiem prawdziwie poddani we wszystkim swojej Głowie, i jeśli wysoko stawiają nie tyle samych siebie, czy Kościół, ale Chrystusa, to wówczas Duch Boży zawsze będzie się do nich przyznawał.

Weźmy jako przykład wypadek o krańcowym wprost charakterze. W Damaszku do Saula udał się Ananiasz — całkiem sam, i włożył nań ręce. „To jest nie w porządku!" wykrzykniesz. „To jest zupełnie sprzeczne z zasadami Ciała! Z całą pewnością postępek ten był uczyniony samowolnie!" Nic podobnego! Ananiasz był tylko prostym uczniem, to prawda, ale poczynania jego były kierowane przez Głowę — i tak powinno być zawsze z wszystkimi członkami Ciała. A w tej godzinie oczy Pańskie były nie tylko skierowane na Ananiasza, ale też i na tego drugiego męża. Ten właśnie czyn, dokonany w stosunku do nowego brata — Saula, wyrażał najwyraźniej poddanie się Ananijasza kierownictwu Chrystusa; a skoro tak było istotnie, wraz z jego ruchem wykonywał ruch cały Kościół, wykonywało go całe Ciało.

Jeśli stała ci się jasna wieczna rzeczywistość Kościoła, może przyjść nawet taki dzień, w którym i ty zostaniesz powołany, aby w danym momencie powiedzieć coś i uczynić w imieniu całego Kościoła. Czy wtedy się na to nie zgodzisz? Czynność wykonana przez jakiegokolwiek członka Ciała prawdziwie poddanego Duchowi Chrystusowemu — jest dziełem całości. Życie takiej jednostki w danym momencie staje ponad wszelkimi rzeczami li tylko zewnętrznymi, gdyż ludzie poznają, że przez tego członka działa Bóg.

Ma to ogromne znaczenie. Nie naszą rzeczą jest patrzeć na sprawy z punktu widzenia Rzymu, czy Reformacji — to jest materialnie, czy intelektualnie, ale winniśmy patrzeć na wszystko z Bożego punktu widzenia. Bóg widzi „siedem świeczników złotych". On zna tylko jeden Kościół, a gdy pozwolimy Duchowi prawdy wprowadzić nas w poznanie duchowej prawdy o Kościele, będziemy oglądali Kościół takim, jakim go widzi Bóg.

Gdy mówię o tych rzeczach do chrześcijan w różnych krajach, stwierdzam, że wszędzie, wszyscy — ze starszymi braćmi włącznie — kwestionują te same rzeczy. „Czy brat chciałby mi powiedzieć", wołają, „że istnieje możliwość posiadania czegoś odpowiadającego Bogu **już tutaj na ziemi?** Jest brat idealistą i ściga chimerę! Ale nawet jeśliby brat miał rację i jeśli byłoby to możliwym oglądać wypełnianie się tych rzeczy w pewnej mierze za życia brata, to co będzie z następnym pokoleniem? To, co brat przeżywa teraz, spotka ten sam los, co wszystko inne. Charakter tego przeżycia zmieni się i po kilku latach pozostanie przy życiu zaledwie karykatura wizji, którą brat posiadał". Jakkolwiek mamy z łaski Bożej dowody, że Bóg przyznawał się do tego świadectwa i licznym wierzącym pozwolił przetrwać i srogie burze zwycięsko — na tego rodzaju pytania trzeba by odpowiedzieć, że zastrzeżenia byłyby słuszne, gdyby patrzeć na nie wyłącznie z punktu widzenia usługi Pawła w Nowym Testamencie. Ale dzięki Bogu mamy jeszcze i usługę Jana. To, co Bóg uczynił przez tych mężów ma wydźwięk w całej wieczności — nie jest czymś, co ma trwać tylko dziesięć czy dwadzieścia lat. W usłudze domu Bożego nie istnieje taka rzecz jak chrześcijanie „pierwszej generacji" i „drugiej generacji" — czyli ci, którzy nawrócili się do Chrystusa bezpośrednio z pogaństwa w wyniku przejścia pierwszej fali ewangelicznego ruchu misyjnego i ci, którzy stawali się chrześcijanami później — często tylko z imienia. Usługa ta trwa „od narodu do narodu" — „od pokolenia do pokolenia". To, co Bóg ma na uwadze, nigdy nie ulegnie zmianie dla tej prostej przyczyny, że i On się nie zmienia. Czy moglibyśmy odważyć się przyjąć jakiś innny poziom? Ktoś, kogo nie stać na kupienie sobie sznura pereł, kupuje imitację i z niej się cieszy. Ale jeśli raz mógł sobie pozwolić na kupienie prawdziwych pereł, nie pomyśli już nawet o tym, by nosić jakąś imitację. Dla osoby tej od tej chwili istnieją tylko prawdziwe perły! Jakieś świecidełka przypominające swym wyglądem perły przestają dla niej istnieć. Uznaje tylko perły prawdziwe.

„Obróciwszy się, ujrzałem siedem świeczników złotych". „I zaniósł mię w duchu na górę wielką i wysoką, i pokazał mi miasto wielkie, świętą Jerozolimę, zstępującą z nieba od Boga, mającą chwałę Bożą; i światłość jej podobna do kamienia najkosztowniejszego..." Mając wzrok utkwiony na każdy czas tam, możemy wielbić Boga za usługę Jana!

Rozdział XI

Ten, który przezwycięża

Apostoł Jan upewnia nas, że cel Boży jest całkowicie pewny, i że metoda Jego postępowania w obecnym czasie jest zgodna z tymże celem. I zupełnie tak samo, jak kiedyś w niebiańskim Mieście zasada Ciała Chrystusowego osiągnie najpełniejszy wyraz i najdoskonalsze stadium rozwoju, prawdą jest również odwrócenie tego stwierdzenia: ilekroć dajemy życiu wieczności swobodnie popłynąć w nas dzisiaj, zauważymy, że objawiać się będą przez Ciało Pana Jezusa tutaj na ziemi wszystkie charakterystyczne cechy tego niebiańskiego Miasta i wszystkie właściwości Jego charakteru. A czy jest możliwym, aby ktoś zadowolił się czymś mniej wspaniałym, jeśli kiedyś już zakosztował choćby odrobinę tej wspaniałości i ujrzał wzrokiem serca choć cząstkę Bożego niebiańskiego Człowieka?

Teraz jednak musimy przejść do praktycznej strony tego zagadnienia i przyjrzeć się temu wszystkiemu, co się wokoło nas dzieje. Większość z nas zgodzi się z tym, że patrząc na zewnętrzny stan chrześcijaństwa stwierdzamy sytuację nader opłakaną. Można w nim dopatrzeć się wszystkich tych słabości i schorzeń, które cechują otaczający nas świat. Działalność jego ogranicza się do odrobiny głoszenia Słowa Bożego i odrobiny niesienia pomocy materialnej biednym. Wpływ chrześcijaństwa na otaczających nas ludzi jest minimalny. Tak wyglądają fakty. Ale nas, dzieci Boże, winno jeszcze więcej zasmucić to, że tragicznie wprost przedstawia się okoliczność, iż fakty te tak mało poruszają sumienie ludu Bożego. Przyjmujemy wszystko jako zło konieczne, a wielu wydaje się myśleć, iż wszystko powinno niemal być tak, jak jest. Chrze-

ścijanie doby obecnej nie wierzą w to, że objawione nam w pismach Pawła rzeczy są możliwe. Tego rodzaju niewiara powinna nas rzucić w objęcia usługi Jana i zmusić nas do przyjrzenia się raz jeszcze jej szczególnemu charakterowi.

To, co Pan objawił przez Pawła odnośnie do Ciała Chrystusa miało na celu, jak o tym była mowa poprzednio, urzeczywistnienie tych rzeczy w miejscowych zborach, z których każdy jest wyrażeniem tego Ciała. W poszczególnych miejscowościach ma się w praktyczny sposób objawiać nie całe mnóstwo rozmaitych ciał, lecz jedno Ciało. Takim był Boży zamiar i w ten sposób wszystko się rozpoczęło. Wiemy jednak, jak boleśnie ludzie w tym zawiedli i jak Pan musiał osobiście z nieba raz jeszcze przemówić. Czyniąc tak dotknął nowej struny i dowiedzieliśmy się czegoś nowego o Zborze i zborach. Dla tej przyczyny drugi i trzeci rozdział Objawienia są nam tak wielką pomocą. W tych rozdziałach Pan Jezus używa bowiem Jana w celu przywiedzenia na jaw dalszej Bożej pomocy dla Swojego Kościoła. Mam na myśli siedem obietnic danych Kościołowi, a zapisanych przy końcu tych siedmiu listów. W obietnicach tych znajdujemy specjalne poselstwo Jana, darowane nam w czasie ogólnego odstępstwa. Poselstwo to stwierdza, że pośród panującego wszędzie rozkładu i ruiny, Bóg szuka pomiędzy Swoim ludem tych, którzy byliby przezwyciężającymi na terenie swoich zborów.

Jakie znaczenie ma słowo „przezwyciężający"? Aby uniknąć nieporozumień, zechciejmy sobie uświadomić przede wszystkim, że nie są to chrześcijanie aż nienormalnie dobrzy. Nie znaczy to, iż jako jednostki są lepsi od innych i że dla tej przyczyny predestynowani są do otrzymania większej chwały. Proszę pamiętać, że ci, którzy przezwyciężają, są po prostu n o r m a l n y m i chrześcijanami. Wszyscy inni stali się chwilowo mniej niż normalnymi.

W przeszłej wieczności Bóg miał konkretny plan, którego nigdy nie zaniechał. Przezwyciężającymi są ci, którzy ujrzawszy wzrokiem ducha ten plan, zdecydowanie stanęli — dzięki łasce Bożej — na stanowisku, aby plan ów zrealizować. Nie są to jacyś fantaści, którzy by chcieli pójść jeszcze dalej niż Paweł, lub pójść po linii odmiennej od tej, która została objawiona za pośrednictwem Pawła. Powtarzam — przed oczami Bożymi nie są oni niczym więcej jak tylko normalnymi chrześcijanami. Nie mają podstaw do przypisywania sobie jakichś szczególnych zasług.

(W Objawieniu Jana, w rozdziałach 2-gim i 3-cim czytamy w polskim tłumaczeniu: temu, co zwycięży. Tak winien więc był brzmieć tytuł rozdziału, lecz użyto słowa „przezwycięża", ponieważ oddaje ono lepiej znaczenie angielskiego słowa „overcometh". Przyp. tłum.).

Przezwyciężanie o jakim czytamy w pismach Jana znaczy coś więcej niż osobiste przezwyciężanie grzechu, które można by lepiej określić wyzwoleniem z mocy grzechu. Nie oznacza ono też zdobycia osobistej świętobliwości, czyli tak zwanego „zwycięskiego życia". Przezwyciężanie w sensie takim, o jakim mówi Jan, oznacza, że znalazłszy się w jakiejś trudnej sytuacji, człowiek wierzący powołuje się na autorytet Boży i nie ustępuje, ale ratuje ją ku chwale Bożej. W godzinie, w której poselstwo Pawłowe zostało przez tak wielu odrzucone, chrześcijanie ulegają pokusie aby powiedzieć: „Tak jest i tak pewnie musi być. Cóż na to poradzimy? Będziemy musieli starać się utrzymać samych siebie na właściwej drodze, ale na niektóre rzeczy będziemy musieli machnąć ręką, gdyż są beznadziejne. Już ich się nie da naprawić. Nie możemy zrobić niczego, aby je uratować lub je poprawić". Osaczeni będąc trudnymi okolicznościami — prawdziwymi, czy też domniemanymi, z których po prostu nie wiemy jak wybrnąć, uważamy za najłatwiejszą drogę pogodzenie się z poglądem, że dana sytuacja jest nie do naprawienia. Zbyt wiele rzeczy trzeba by uregulować, trzeba by podjąć wiele bolesnych wysiłków, aby daną sprawę wyprostować — a to wszystko jest niemożliwością.

W takiej właśnie godzinie ten, który przezwycięża, potwierdza wciąż na nowo przez życie i świadectwo, że Bóg nie jest jako człowiek, aby się miał zmieniać. Podkreśla, że Jego poziom nie uległ zmianie i że Pan w dalszym ciągu trwa przy Swoim postanowieniu, aby w końcu mieć niebiańskie Miasto, a w dobie dzisiejszej niebiańskiego Człowieka. To, co cały Kościół, jako Kościół winien był czynić, ale pozostawił niezrobione, to wykonują ci przezwyciężający, jako reprezentanci Kościoła i w jego zastępstwie, w tym właśnie celu będąc powołani przez Boga. Trwają na stanowisku w mocy zwycięskiego niebiańskiego Człowieka. Oto o jakim przezwyciężaniu jest mowa w Piśmie Świętym na tym miejscu.

W Objawieniu Jan wskazuje na teren działania przezwyciężających. Terenem tym jest pokonany zbór obecnej doby. Dla Boga wielką wartość w obecnej chwili przedsta-

wiają ci, którzy trwając na swoich stanowiskach, w obronie ich odnoszą zwycięstwo — dla Boga. W planie Bożym jest cząstka dotycząca każdego z nas — z uwzględnieniem miejsca, w którym się właśnie znajdujemy, a dla jej wypełnienia Bóg potrzebuje przezwyciężających. Raz jeszcze powtarzam, że nie odznaczają się oni jakąś szczególną dobrocią; charakteryzuje ich jedynie to, że nie są nienormalnie wprost złymi! Trwają na Bożym poziomie — i to wszystko. Ale dzięki temu, że ludzie ci znają życie chrześcijańskie, niebiańskie powołanie Ciała i bój z duchami ciemności, jaki prowadzi Kościół, są w rękach Bożych jak gdyby dźwignią, przy której pomocy Bóg może wyważyć szatana i zrzucić go z jego tronu. Zastawiają się o sprawę Bożą i walczą za Kościół. Cały swój wysiłek ofiarują nie dla własnej sprawy, lecz dla dobra Ciała. A ponieważ oni są gotowi — Bóg widzi Kościół przygotowany jako Oblubienicę. Oni niejako zapalają pochodnię, a to, co stanowi dziedzictwo tych przezwyciężających, stanowi też i dziedzictwo całego Kościoła.

WAM, MŁODZIEŃCY

Druga, trzecia i czwarta Księga Mojżeszowa w sposób nader interesujący przypominają doświadczenia życia chrześcijańskiego. Chciałbym je porównać z tymi trzema częściami Listu do Efezów, których analizą zajmowaliśmy się w pierwszej części niniejszej książki (porównaj Efez. 1, 20; 4, 1; 6, 13), gdzie była mowa o „siedzeniu", „chodzeniu" i „staniu". 2-ga Księga Mojżeszowa przedstawia Izraela wybawionego z Egiptu potężną ręką Bożą i uczynionego ludem Bożym przez niezmienne i nieodwracalne Jego dzieło. W trzeciej Księdze Mojżeszowej został położony fundament dla społeczności tegoż ludu z ich Bogiem przez krew, a dla ich chodzenia w świętobliwości przez Krzyż. Czwarta Księga Mojżeszowa opowiada nam, w jaki sposób lud ten został policzony i uczyniony pocztem przygotowanym do wojny, której celem miało być osiągnięcie przez Boga im darowanego dziedzictwa i cieszenie się nim. O tym czytamy całkiem wyraźnie na początku tej Księgi w rozdziale 1-szym, w wierszu 3-cim, gdzie jest mowa o rozkazie danym Aaronowi, aby policzył „wszystkich wychodzących na wojnę z Izraela".

Tuż przed tą wypowiedzią, w ostatnim rozdziale 3-ciej Księgi Mojżeszowej Pan ustala niejako wartość tych z pomiędzy Swoich dzieci, które dla Niego przedstawiają naj-

większą cenę. Mam na myśli wskazówki, które tam są podane odnośnie do okupu za ślub, którym człowiek poślubił duszę Panu, czyli dobrowolnych ofiar (3. Mojż. 27, 1 — 8). Winniśmy starannie stwierdzić wielką różnicę, jaka zachodzi pomiędzy tymi wskazaniami, a 30-tym rozdziałem 2-giej Księgi Mojżeszowej, w którym jest mowa o okupie za duszę każdego policzonego pomiędzy synami Izraela. Ten okup obowiązywał każdego Izraelitę i wysokość tego okupu mówi o tym, czym Bóg będzie dla nas. Natomiast w 27-mym rozdziale 3-ciej Księgi Mojżeszowej chodzi o to, czym my mamy być dla Niego, i dlatego jest tutaj mowa o dobrowolnej ofierze, a nie o czymś, co byłoby nam przykazane. „Gdyby człowiek ślubem poślubił duszę Panu, według szacunku twego da okup..." i tutaj następuje skala wartości w syklach, w zależności od wieku i płci, którą moglibyśmy przedstawić przy pomocy następującej tabelki:

Wiek	dla mężczyzn	dla kobiet
Poniżej 5 lat	5 syklów	3 sykle
5 — 20 lat	20 „	10 syklów
20 — 60 lat	50 „	30 „
Ponad 60 lat	15 „	10 „

Bóg nie pomija nikogo, nawet dzieci i niemowląt, ale należałoby zapytać: Dlaczego tak wysoką ocenę otrzymali ci, którzy mają ponad 20 lat? Z całą pewnością ma to związek z tym, co czytamy zaraz na początku następnej Księgi, w której wyszczególnieni są ci, którzy mają iść na wojnę, to jest od „dwudziestu lat, i wyżej". Oznacza to niewątpliwie, że wartość przez nas ofiarowanego Panu serca, umysłu, woli i całego życia mierzona jest przez Niego w zależności od naszej zdolności, aby iść na wojnę. Z naszej strony jest to tylko ślub — a niechaj Bóg broni, aby ktoś z nas miał być chrześcijaninem, który niczego Panu nie ślubował! Ale z Bożej strony ujęte to jest konkretnymi wartościami. Tak, dobrą jest rzeczą przyprowadzać dusze do Chrystusa, dobrze mieć osobistą świętobliwość, dobrą jest rzeczą uczynić tysiąc i jedną rzecz pożyteczną dla Boga, ale ponad wszystko ogromnie cenną rzeczą dla naszego Pana jest to, abyśmy byli zdolni do

uczestniczenia w odwiecznej wojnie Pańskiej, której celem jest wyrzucenie owych wrogich potęg duchowych, usadowionych na powietrzu (Efez. 2, 2), tak aby Jego lud mógł wejść do radości swego dziedzictwa w Nim. Jehowa jest Mężem walecznym, dlatego też najbardziej ceni zdolność do boju!

Największą tragedią Starego Testamentu była utrata zdolności i kondycji bojowej przez starzejących się mężczyzn. Tutaj jednak musimy natychmiast przenieść się do Nowego Testamentu, albowiem tam „chociaż nasz zewnętrzny człowiek niszczeje, wszakże wewnętrzny z dnia na dzień się odnawia" (2 Kor. 4, 16). Drzewo zasadzone u strumieni wód nie więdnie. W życiu prawdziwego chrześcijanina nie ma popołudnia, nie ma upadku sił. Jak Kaleb w 4-tej Księdze Mojżeszowej był tym, który prawdziwie przezwyciężał wroga, nasza zdolność do duchowego boju w wieku lat osiemdziesiąt może być równie wielka jak w wieku lat czterdziestu, a zależy to tylko od tego, czy całym sercem idziemy za Panem.

Tę myśl zapewne rozwija Jan w swoim Liście, gdy powiada: „Piszę do was, młodzieńcy, boście zwyciężyli złego". Młodzi ludzie z natury są pełni życia, a powyższe stwierdzenie raz jeszcze podkreśla uznanie, jakie dla ich duchowej energii i jej owoców ma Bóg. Musimy jednak pamiętać, że klasyfikacji, którą w stosunku do swoich czytelników przeprowadził Jan, a mianowicie na dziatki, młodzieńców i ojców — nie wolno identyfikować z podziałem podanym w 3-ciej Księdze Mojżeszowej. Tutaj Jan mówi do duchowych dzieci, które jednakowoż już posiadają pewność, że grzechy ich są im odpuszczone, do duchowych rycerzy, w których mieszka Słowo Boże, do duchowych ojców, którzy zgromadziwszy w sercu swoim wszystkie te kosztowności, jakie nagromadzili od czasu gdy byli niemowlętami, dziećmi i rycerzami, posiedli wreszcie pełne poznanie Tego, który jest Źródłem i Początkiem wszystkiego. Dzisiaj żadna grupa ludzi nie jest wyłączona z boju duchowego z przyczyny wieku (a wiek nie stanowi o przynależności do którejś z tych duchowych grup). Co prawda nie powinno mieć miejsca opóźnione dojrzewanie w życiu chrześcijańskim, jak również nie powinno być i wieku emerytalnego w sprawach duchowych. Musimy też zauważyć, że słowa „młodzieńcy" odnoszą się również do młodych niewiast, jako przedstawiających bojową wartość w duchowej skali wartości, a w pewnym sensie miało to już miejsce również i w 3-ciej Księdze Mojżeszowej.

Jak długą by więc nie była historia naszego duchowego życia, każdy z nas musi zadać sobie następujące pytanie: Jaką wartość przedstawiam dla Świątnicy dzisiaj? Bóg ma Swój własny, a niezwykle dokładny sposób oceniania wartości, jaką każdy z nas dla Niego przedstawia. On zna nas każdego z osobna, a wartość jaką przedstawia każdy z nas dla Świątnicy mierzona jest miarą duchowej mocy, jaką posiadamy. Nie ma potrzeby, aby ktokolwiek z nas musiał być oceniony zaledwie na 15 syklów, podczas gdy moglibyśmy zostać ocenieni tak wysoko: na 30, a nawet 50 syklów. Ach, obyśmy umieli wszyscy dziś być takiego samego bojowego ducha, jakiego był Kaleb!

POTWARCA BRACI

Jan pisał do swoich „dziatek" o pewności odpuszczenia grzechów. W pewnym sensie pozostajemy zawsze — jak Jan to nazywa — dzieteczkami, gdyż w tym życiu nigdy nie dochodzimy do takiego punktu rozwojowego, w którym nie potrzebowalibyśmy więcej kosztownej Krwi. Jest ona niewątpliwie na pierwszym miejscu bronią tego, który przezwycięża. Pisząc w 12-tym rozdziale Objawienia o potwarcy braci, „który na nich skarżył przed Bogiem naszym we dnie i w nocy", Jan wyjaśnia nam, że przezwyciężyli go oni „krwią Baranka i słowem świadectwa swego, i nie umiłowali duszy swojej aż do śmierci" (Obj. 12, 10. 11).

Podstawą dla przezwyciężania w duchowym boju jest zawsze bezcenna Krew. Nikt nie może się bez tej Krwi kiedykolwiek obejść. Szatan jest mordercą i oszustem, kusi i atakuje, ale w dobie obecnej specjalizuje się w oskarżaniu — jest potwarcą. Jest nim w stosunku do braci w sposób bardzo istotny, i w tym Pan nasz staje w ich obronie jako Kapłan i Pośrednik. Niebo potwierdza istnienie działalności szatana, musi więc zdać sobie z niej sprawę również i każdy wierzący. Oskarża on nas we dnie i w nocy, a oskarżenia jego skierowane są przeciw naszemu sumieniu, jako że na tym punkcie większość z nas czuje się za słabą, aby móc z nim walczyć. Celem jego jest doprowadzić nas do zawołania w rozpaczy: „Czyż ze mnie może Bóg mieć jakiś pożytek?" Dlaczego tylu wierzących robi sobie od rana do nocy wyrzuty, wołając: „Beznadziejnie zawiodłem. Bóg niczego ze mną uczynić nie może!"? Przyczyną jest po prostu to, iż pozwolili sobie na przyjęcie zarzutów wroga jako takich, na które nie ma odpo-

wiedzi. Jeśli zaś uda mu się doprowadzić nas do tego stanu, wówczas istotnie jest zwycięzcą, gdyż samiśmy się mu poddali. Jeśli zamiast patrzeć na chwałę Bożą, przyjmujemy jego oskarżenia i na tym poprzestajemy, z całą pewnością nie starczy nam sił, aby z nim walczyć.

Sumienie jest czymś bardzo cennym, ale jeśli ktoś nieustannie powtarza: „Na nic się nie przydam!" — to n i e o k a z u j e w ten sposób chrześcijańskiej pokory. Jest rzeczą zdrową wyznawać nasze grzechy, ale nie wolno nam w naszym wyznawaniu dochodzić do punktu, w którym nasze grzechy wydają się większe niż dzieło Chrystusa. Diabeł wie o tym, że nie ma lepszej broni, przy pomocy której mógłby bojować przeciw chrześcijaninowi, jak wytworzenie w nim takiej właśnie iluzji. A jakie jest na ta lekarstwo? Należy najpierw powiedzieć Panu: „Panie, nie nadaję się na nic!", ale potem spojrzeć na kosztowną Krew i dodać: „Ale, Panie, pozostaję w Tobie!"

Szatan nie oskarża bezpodstawnie. Istnieje niewątpliwie wiele grzechów, na które nam może wskazać. Ale krew Jezusa Chrystusa oczyszcza nas od wszelkiego grzechu. Czy wierzymy w to? Jeśli tak, to mamy odpowiedź na jego oskarżenia. Grzech wymaga przelania Krwi, Biblia nie uczy nas jednakowoż, że wymaga oskarżenia — to znaczy, że nie wolno nam pod żadnym warunkiem uznać się za winnych, dla których nie ma przebaczenia. Oczywiście Jan ostrzega nas, że jeśli powiemy, że grzechu nie mamy, to tym samym otwieramy szeroko drzwi potwarcy. Jeśli natomiast stojąc w świetle Bożym, wyznajemy Panu naszemu nasze grzechy, wówczas Krew ma moc nas oczyścić, a wszystkie oskarżenia szatana stają się bezsilne. Dzięki Bogu za takiego Obrońcę - Adwokata! Dzięki Mu za takiego Kapłana! Nie odważmy się przenigdy odpowiadać szatanowi poprzez chlubienie się naszym dobrym zachowaniem się, ani też poprzez opłakiwanie naszych grzechów, ale zawsze i wyłącznie przez Krew. Ona jest naszą całkowicie wystarczającą obroną.

Kosztowna Krew Chrystusa jest naszą obroną; słowo naszego świadectwa zaś jest orężem, którego używamy w ataku. Stwierdzenie to mówi o naszym świadectwie składanym wobec ludzi — ale nie tylko wobec ludzi. Świadectwo o tym, że zwycięstwo należy do Chrystusa, że On faktycznie panuje, że królestwo Jego już jest bliskie, że zostaliśmy przeniesieni z królestwa szatana do Jego Królestwa — wszystkie te fakty należy obwieszczać, i to nie tylko ludziom: należy je rów-

nież obwieszczać potęgom ciemności. Mów o tym, że On jest Królem, że Syn Boży jest Zwycięzcą, że szatan jest pokonany i że królestwa tego świata wkrótce się staną Królestwem Boga i Jego Chrystusa. To są pozytywne duchowe fakty, stanowiące oszczepy, przy których pomocy możemy atakować wroga. Szatan boi się takiego obwieszczania duchowych faktów i dlatego słowo świadectwa naszego może poruszyć i odeprzeć natarcie nawet samych bram piekieł. Ogłaszaj, że Jezus jest Panem; że Jego Imię jest ponad wszelkie imię. Oświadczaj, że tak jest! Mów to wrogowi. Wiele razy tego rodzaju świadectwo daje lepsze rezultaty niż modlitwa.

Modlitwa jest czymś dwustronnym: z jednej strony odnosi się do Boga i jest skierowana ku Niemu, a z drugiej strony zwracamy się z nią do góry: „Gdybyście i tej górze rzekli: podnieś się i rzuć się w morze, stanie się". Możemy szatanowi powiedzieć: „Opuść to miejsce!" Piotr i Jan powiedzieli chromemu: „W Imieniu Jezusa Chrystusa Nazareńskiego wstań i chodź". Oni w tym wypadku działali bezpośrednio, podczas gdy dziś zapewne w podobnej sytuacji zwołalibyśmy zebranie modlitewne. Nie zaniedbuj modlitwy, lecz licząc na moc i skuteczność najdroższej Krwi — wypowiadaj również słowa świadectwa. Często bywa tak, że gdy zbliżamy się do Boga, atmosfera naładowana jest jakimś wrogim elementem i nie możemy się modlić. Co winniśmy zrobić w takim wypadku? **Nie wolno nam zrezygnować z modlitwy,** lecz biorąc jako oręż Słowo Boże winniśmy się zwrócić do szatana i zacząć mówić do niego. Oświadczyć mu, że Pan zwyciężył. Oświadczyć mu, że Pan nam dał moc, abyśmy deptali po wężach i po niedźwiadkach (skorpionach) i po wszystkiej mocy nieprzyjacielskiej — a **potem** się módlmy!

Niestety, zbyt wielką uwagę zwracamy w dobie dzisiejszej na doktrynę Ewangelii, a za mało zwracamy uwagi na fakty. A bez faktów nie mamy żadnego świadectwa. A przecież Golgota to rzecz historyczna. Ewangelia — dobre wieści o tym fakcie — jest naszą własnością. Przez niemal dwa tysiące lat fakt Ewangelii był tutaj na ziemi. Pan dał nam zarówno Swą kosztowną Krew, jak również nieporuszone słowo świadectwa. Stawiajmy czoło wrogowi jednym i drugim.

A w końcu ci, którzy przezwyciężają, są mężami i niewiastami, którzy wiedzą, co to znaczy być przybitym do Krzyża, czyli innymi słowy co to jest przestać się liczyć jako

jednostki, tak, że cokolwiek zostanie dokonane przez nich, przynosi chwałę nie im, lecz wyłącznie Panu. Nie potrzeba, abyśmy raz jeszcze się teraz na ten temat rozwodzili, ale pamiętajcie, że nie kto inny jak szatan rzucił Bogu wyzwanie odnośnie do Ijoba. „Skórę za skórę, i wszystko, co ma człowiek, da za duszę swoją" (Ijob 2, 4). Ale obecnie — niejako w odpowiedzi na to, wielki głos w niebie poświadcza, jeśli chodzi o tych, którzy przezwyciężyli: „Nie umiłowali duszy swojej aż do śmierci" (Obj. 12, 11). Nic dziwnego, że ten sam głos mógł oznajmić: „Teraz stało się zbawienie i moc, i królestwo Boga naszego i władza Chrystusa Jego" (Obj. 12,10).

PANIE, A CO Z TYM?

Mówiliśmy o bardzo podniosłych sprawach, ale nie chcąc się stać jednostronnym, będę obecnie chciał poświęcić uwagę pokrótce czemuś bardzo praktycznemu, zwracając się w szczególności do moich młodych braci, którzy zamierzają służyć Panu. W ostatnim rozdziale Ewangelii Jana nasz Pan powiedział Piotrowi szereg takich rzeczy, które stanowiły dla tego ucznia osobiście powód do głębokiego zastanowienia się. Piotr był powściągliwy w dawaniu odpowiedzi, a wreszcie, jakby chcąc odwrócić od siebie uwagę swego Pana, zaczął naraz objawiać wielkie zainteresowanie losem swojego współ-rybaka, Jana. Obróciwszy się, ujrzał „idącego za nim ucznia, którego miłował Jezus i rzekł do swego Mistrza: „Panie, a co z tym?" (Dosłownie: „Panie, a co się stanie z tym mężem?"). Pan Jezus nie zgodził się jednak na przeniesienie uwagi na kogoś innego i raz jeszcze zwraca się do Piotra ze słowami, które głęboko zapadły do jego serca: „Co ci do tego? Ty pójdź za Mną!" Wypadek ten uczy nas bardzo ważnej lekcji: nikt z nas nie będzie mógł uchylić się od obowiązku zadania Panu tego samego pytania — lecz w odniesieniu do siebie samego: „Panie, a co się stanie z tym mężem?" — albo używając słów, które wypowiedział Paweł: „Cóż mam czynić, Panie?" (Dz. Ap. 22, 10).

Przed kilku laty zostałem zaproszony przez grupę młodych ludzi, młodzieńców i panienek, aby spędzić z nimi kilka chwil. Większość z nich przygotowywała się podówczas do służenia Panu na polu misyjnym. Zadali mi pytanie, co moim zdaniem stanowiło istotę kwalifikacji misjonarza. Odpowiedziałem, że faktycznie stoję na stanowisku, że okres, w którym praca misjonarza jest konieczna, jeszcze trwa i że Bóg

powołał Swoje sługi z wszystkich narodów, aby zgodnie ramię przy ramieniu pracowali na polu misyjnym. Niżej podane notatki zawierają najważniejsze spośród myśli podanych wówczas tym młodym ludziom. Czytelnicy zapewne stwierdzą, że myśli te są niejako echem spraw poruszonych na stronicach tej książki.

Pewność zbawienia. To jest punktem wyjścia, a doświadczenie uczy nas, że nie jest nigdy wskazane uważać tę rzecz jako samo przez się zrozumiałą przy układaniu tego rodzaju listy kwalifikacji, albo jeśli się zwracamy do jakiejkolwiek grupy mężczyzn czy kobiet. Podstawą kwalifikacji dla wszelkiej służby Pańskiej jest przeżycie osobistego spotkania z Nim i poznanie Go, dzięki czemu otrzymuje się całkowitą pewność, że w Nim jesteśmy na wieki zbawieni.

Chrystus naszym życiem. Obowiązkiem naszym jest przypomnieć chrześcijanom doby obecnej, że wiele religii Wschodu posiada prawa, wymagające wysokiego poziomu etycznego i moralnego. Jeśli chodzi na przykład o Chińczyków, to jakkolwiek w pewnych sprawach nie są może tak wymagający jak inne narody, to jednak jeśli chodzi o gniew, czy niecierpliwość objawiające się w mężczyźnie czy kobiecie, uważa się je za poważne i karygodne objawy braku panowania nad sobą. Tymczasem w życiu misjonarzy, którzy sami nie znają zwycięskiego życia w Chrystusie, niejednokrotnie te rzeczy się objawiały, i nie zdawali sobie nawet sprawy z tego, że w rezultacie świadectwo ich ogromnie cierpiało. Ci bowiem, którym chcieli świadczyć, uważali się dzięki temu za stojących pod względem religijnym i moralnym na wyższym poziomie. Jeśli więc chcemy świadczyć o Chrystusie skutecznie ludziom, którzy już poniekąd pielęgnują „kult panowania nad sobą" i którzy niekiedy uważają nawet rozrywkę i komfort za coś godnego pogardy, zachodzi konieczność, abyśmy poprzez świadectwo naszego życia dali prawdziwą i przekonywującą odpowiedź na pytanie, w jaki sposób się ustosunkowujemy do naszego „ja". Musimy znać Krzyż jako nasze wyzwolenie z mocy grzechu i ciała, i znaleźć w zmartwychwstałym Chrystusie wystarczającą moc do chodzenia w nowości życia.

Całkowita zależność od Pana. Znacznie łatwiej jest ufać Panu w grupie, a znacznie trudniej zaufać Mu, gdy się jest samemu, równocześnie nie odwracając od Niego wzroku i nie skierowując go w kierunku ewentualnego źródła, skąd moglibyśmy otrzymać jakąś pomoc. Niestety

każdy z nas może stwierdzić, że w sercu istnieje taka podstępna tendencja wyglądania pomocy materialnej od ludzi, którą można by określić jako „życie wiary i podsuwania innym pewnych myśli o naszych potrzebach", albo jak ktoś inny to określił bardzo dowcipnie: „wiara i znaczki pocztowe". Jest rzeczą najzupełniej niewłaściwą, aby słudzy Boży mówili albo pisali na temat „pracy"; każdy z nich musi być bardzo szczery wobec swego Pana, jeśli chodzi o te sprawy. Im mniej nasza ręka dotyka Bożych cudów w tej dziedzinie — tym lepiej! Nie powinniśmy się obawiać spotkania z wielkimi trudnościami, jeśli jest to potrzebne dla służby Pańskiej — nawet do tego stopnia wielkimi trudnościami, że nie odważyłby się przyłączyć do nas nikt, kto nie ma wyraźnego powołania od Pana. Najlepszym zabezpieczeniem się przed niebezpieczeństwem w tym względzie jest zatroszczenie się o potrzeby innych. Troszczmy się o nich, a Bóg będzie się troszczył o nas.

Specyficzne usługiwanie. Jako dzieci Boże mamy wszyscy obowiązek świadczyć o naszym Panu; niemniej sługa Boży powinien pójść nieco dalej. Powinien się odznaczać jakąś szczególnie przez Ducha mu darowaną znajomością Pana, która jest odrębna i wyłącznie dana jemu. To winno być sprężyną jego usługiwania. Mały będzie z nas pożytek, jeśli nie będziemy umieli niczego więcej, jak głosić Ewangelię tylko ogólnikowo. Tego się wymaga od każdego chrześcijanina, ale od brata służącego Słowem, wierzący wymagają jednak czegoś więcej; spodziewają się po nim jakiejś specyficznej usługi. Nie zaspokoimy jednakowoż ich potrzeb, jeśli przyniesiemy im tylko jakąś nową doktrynę, lub też szczególny sposób wykładania jakiegoś zagadnienia, choćby wykład ten był nie wiem jak wspaniały. Zaspokoimy ich tylko takim poznaniem Pana, które jest charakterystyczne dla nas, ponieważ zostało nam dane osobiście. Niekiedy narzekamy, że ludzie nie objawiają głodu Słowa, ale wierzcie mi, że na pewno głód taki by się u nich objawił, jeśli mielibyśmy coś szczególnego, co byśmy mogli im podać. Czy stwarzamy u ludzi pragnienie posiadania Boga już naszą obecnością? Sam widok jedzenia dostatecznie apetycznie przyrządzonego i podanego, może spowodować u człowieka uczucie głodu. W identyczny sposób ludzie stają się głodni duchowo, jeśli widzą mężów i niewiasty napełnionych Duchem, pełnych miłości i nie tylko wygłaszających kazania, lecz udzielających w swojej usłudze duchowych bogactw, które noszą na sobie zna-

miona osobistego działania samego Pana w ich sercach i życiu. Tak, z całą pewnością coś z nami nie jest w porządku, jeśli nie wywołujemy w ludziach ducha owego głodu!

Nastawienie ucznia. W Anglii każdy obywatel ubiegający się o prawo jazdy, musi przez pewien czas jeździć z tarczą, na której namalowana jest wielka litera „L" (skrót od „learner" — uczący się; przyp. tłum.) przymocowaną do samochodu, a my jako chrześcijanie winniśmy sobie stąd wziąć wzór pokory i również niejako nosić na swoich plecach tablicę z napisem „uczeń!" Ci, którzy zaczynają od tego, że chcą innych nauczać, stawiają samych siebie w niebezpiecznej sytuacji. Wielu posuwa się za daleko, a mówiąc o rzeczach, których sami jeszcze nie doświadczyli praktycznie we własnym życiu, stwarzają w umysłach prostych braci i sióstr wiele niepokojących ich problemów. Bywa i tak — jeśli jesteśmy zbyt pewni siebie — że powiemy coś prędko i bez zastanowienia, a wówczas zachodzi konieczność przypominania sobie, jaką odpowiedź daliśmy w danym wypadku na zadane nam pytanie, łatwo się bowiem może zdarzyć, że na to samo pytanie damy po jakimś czasie jakąś inną odpowiedź! Im więcej będziemy dufać w siebie, że dużo wiemy, w tym większym stopniu narazimy się na krytykę naszych słuchaczy, z tej prostej przyczyny, że zachowanie nasze sprawi, iż się będą spodziewali po nas czegoś nadzwyczajnego. Tego rodzaju poczucie wyższości płynące ze świadomości, że coś wiemy, nieznacznie lecz pewnie zamyka drzwi do serc innych ludźi, chociaż byśmy nawet istotnie mieli wiele kosztowności, którymi winni bylibyśmy podzielić się z nimi. Powinniśmy raczej prosić o łaskę przyznawania się do tego, że mało wiemy i proszenia Pana o światło. Musimy być gotowi, aby powiedzieć: „Nie wiem". Ludzie ustosunkują się zupełnie inaczej do pracownika, którego cechować będzie takie nastawienie. Jak mile powitają taką na przykład wypowiedź: „Jeśli ktoś z was ma coś do powiedzenia, chętnie posłucham, ponieważ ja również jestem uczniem Pańskim". Radzę wam zatem bardzo długo zostawać uczniem. Ową tablicę z dużą literą „L" noście na swoich plecach co najmniej przez dziesięć lat!

Historia poczynań Bożych. Dalej, jestem przeświadczony, iż każdy sługa Boży winien w historii swego życia mieć takie wydarzenia, które pozostałyby trwałym dowodem obecności i mocy Bożej, czynnej w jego życiu. W trzecim rozdziale pierwszej części tej książki przytoczyłem

przykład, jak Bóg w cudowny sposób wysłuchał modlitwę wiary o deszcz. Wszyscy, którzy byli uczestnikami tego przeżycia, nie zapomną go do końca życia. Ale my wierzący tutaj na Zachodzie wypracowaliśmy sobie dla pewnych spraw wytłumaczenie i jako chrześcijańscy nauczyciele mamy gotowe na poczekaniu wyjaśnienie, które umiemy poprzeć wywodem doktrynalnym, dlaczego obecnie mamy stosunkowo tak niewiele cudów. Tego rodzaju objaśnienia nigdy nie zostaną przyjęte przez prostych wierzących, często bowiem bywa tak, że oni sami mają możność oglądać działanie wszechmocnej ręki Bożej.

Pamiętam spotkanie z pewnym skromniutkim wierzącym człowiekiem, który z zawodu był krawcem. Do czasu mojego spotkania się z nim nie znał jeszcze żadnego innego wierzącego, ponieważ jedyną rzeczą, którą posiadał, był egzemplarz Ewangelii Marka, którą przeczytawszy znalazł Zbawiciela i uwierzył Weń. Wreszcie przyszedł w trakcie czytania do zastanawiania się nad tak zwanym „wątpliwym odcinkiem" w rozdziale 16-tym — a przeczytawszy go uważnie, rzekł: „Panie, jestem tak mało znaczącym człowiekiem, że mnie wystarczy tylko jeden mały dar. Proszę mi dać dar uzdrawiania!" Po wypowiedzeniu słów tej modlitwy, natychmiast wyszedł ze swego domu i zaczął wyszukiwać chorych, chodząc od domu do domu po całej wiosce, i modląc się za nimi. Gdy po jakimś czasie zapytaliśmy się go, jak wyglądało jego usługiwanie i gdy poprosiliśmy go o opowiedzenie nam bardziej szczegółowo na czym ono polegało, dowiedzieliśmy się, że dzięki jego pokorze, z którą łączyło się najzupełniejsze zaufanie w Bogu — i to bez względu na rodzaj i stopień zaawansowania chorób, z którymi miał do czynienia i bez względu na jakieś natychmiastowe dowody wysłuchania jego modlitw — w wiosce tej istotnie miało miejsce wiele wspaniałych wydarzeń. Wielu przekonało się o mocy naszego Pana i uwierzyło w Niego. A jednak brat ten pozostał nadal skromnym, nie uważającym się za kogoś wielkiego, i nadal spokojnie świadczył o Panu Jezusie, wykonując w dalszym ciągu swój zawód skromnego wiejskiego krawca.

Pewien brat, który przybył z Dalekiego Wschodu na jakąś wielką konferencję szczerze wierzących braci, odbywającą się na zachodzie Europy, przysłuchiwał się przez dłuższą chwilę coraz bardziej zaogniającej się dyskusji na temat pewnego trudnego problemu doktrynalnego, aż nareszcie czuł się zmuszony przerwać ją słowami: „Moi drodzy bracia! W moim

kraju cała wasza znajomość tych pięknych szczegółów Słowa Bożego na nic by się wam nie przydała, jeślibyście w razie potrzeby nie wiedzieli jak wyganiać demony!" W dobie dzisiejszej staliśmy się aż nazbyt cywilizowani, co jest powodem, że niejednokrotnie uniemożliwiamy Bogu działanie. Niekiedy wydaje mi się, że Bóg przyprowadza nas do pewnego punktu, w którym nam daje sposobność uczynienia kroku we wierze, dzięki któremu uczyniłby cud, objawiający Boże życie — a my, zamiast krok ten uczynić polegając na Panu wiarą, powodowani naturalną ostrożnością od uczynienia tego kroku powstrzymujemy się i w rezultacie zamiast cudu życia otrzymujemy tylko jakąś nową naukę. Z całą pewnością winniśmy jednak oczekiwać tego, że Bóg będzie potwierdzał Swoje Słowo znakami i cudami. Jeśli prawdziwie znamy Boga — Jego cudowne poczynania nie mogą być dalekimi od nas. A dzisiaj tron szatana możemy zaatakować tylko naszą wiarą w żywego Boga.

BOŻE POWOŁANIE

Żaden pan nie posiada tylu sług, co nasz Pan; a przy tym ma On dla każdego odpowiednie zajęcie. Józefowi zwierzył szczególne zadanie wybawienia Izraela od głodu. Samuel przyszedł w wyznaczonej przez Boga godzinie, w celu dokonania specjalnego zadania usunięcia kapłana, aby mógł zapanować król, podobnie jak później Eliasz przyszedł, aby usunąć króla, gdyż zastąpić go miał prorok. Mała dzieweczka znalazła się w domu Naamana we właściwym momencie, by mu móc usłużyć świadectwem, gdy był w potrzebie. Nawet osiołek się znalazł w odpowiedniej chwili — aby na nim Pan Jezus mógł wjechać do Jerozolimy.

Wielu narzeka na stanowisko, które im Bóg wyznaczył, albo na zadanie, które mają do wykonania w Ciele. Oni chcieliby robić to, a Bóg im zleca czynienie czegoś innego. Mają ambicję, aby Mu służyć tutaj, a tymczasem Bóg zaplanował dla nich inne miejsce. Kiedy stają przed nami tego rodzaju pozorne sprzeczności, winniśmy pamiętać, że zadanie, jakie nam przeznaczył Bóg w Swoim Kościele, zostało zaplanowane jeszcze przed naszym nawróceniem się, Pan nasz bowiem jako wszystko wiedzący przygotował okoliczności i drogę naszego życia na długo przed naszym przyjściem na świat! Izajasz pisze o sobie, iż był wybrany od urodzenia (Izaj. 49, 1), apostoł Paweł pisze: „Gdy się upodobało Bogu,

który mię odłączył z żywota matki mojej, i powołał..." (Gal. 1, 15); Jeremiasz został powołany jeszcze wcześniej, czytamy bowiem jak Bóg mówił do niego: „Pierwej niżelim cię utworzył w żywocie, znałem cię..." (Jer. 1, 5). To prawda, że w wypadku nawrócenia się Szawła, Ananiasz był zdumiony, szczególnie po tym wszystkim, co słyszał od innych o tym „wybranym naczyniu"! Ale faktem pozostaje, że cała droga życia jest dla Bożych sług cudownie przygotowana przez samego Pana. On ustala, czyim dzieckiem mamy być, chociaż by nam się niekiedy zdawało, że urodziliśmy się jako członkowie niewłaściwej rodziny! Niektórzy z nas są zadowoleni ze swoich rodziców, lecz woleliby mieć innych braci czy siostry, albo innych krewnych... Ale Józef rzekł: „Posłał mię tedy Bóg przed wami, abym was zachował..." Jeśli nie zauważyliśmy, w jaki sposób czynna była Boża ręka w wybieraniu wszystkich okoliczności naszego życia — tracimy wiele sposobności, aby Go uwielbiać.

Dzieło Dawida rozpoczęło się od zabicia Goliata — lecz tego, czego mu do wykonania tego dzieła było potrzeba, nauczył się jako pastuszek. Mógł on powiedzieć o sobie: „Pan, który mię wyrwał z mocy lwa..." Piotr był rybakiem, doskonale obznajmionym z sieciami. Może dla tej przyczyny był w stanie lepiej zrozumieć znaczenie owego wielkiego „płótna", które oglądał w widzeniu w Joppie. Akwilę i Pryscyllę Paweł znalazł dzięki swojej umiejętności wyrabiania namiotów. Nie było więc potrzeby, aby ktoś nie znający tego zawodu musiał się go dopiero uczyć w celu udzielenia pomocy tym dwojgu, którzy, jak się okazało później, stali się statecznymi wykładowcami drogi Bożej. Gdy zaś nastał czas, że w Efezie zaczął się objawiać upadek życia duchownego, znalazł się pod ręką taki Tymoteusz, który od dzieciństwa znał Pisma Święte!

Bóg niczego nie czyni nagle; On zawsze długi czas się przygotowuje. Nie ma więc przyczyn dla szemrania i narzekania, ani też powodów do pychy — jeśli chodzi o powołanie Boże. Nie należy też nikomu zazdrościć, ponieważ dodatnie cechy życia innych, nic nie mają do czynienia z nami. „A przetoż nie zależy od tego, który chce, ani od tego, który biegnie, ale od zmiłowania Bożego" (Rzym. 9, 16). Nasze dziedzictwo, nasze urodzenie, nasze naturalne wyposażenie — wszystko już zostało z góry ustalone przez Boga. My, jako zawsze się uczący, możemy po drodze nauczyć się jeszcze tego czy innego — ale droga zawsze pozostaje Jego drogą. Spoglądając wstecz na nasze życie skłaniamy głowy swoje w głębokiej

czci przed naszym Bogiem, stwierdzając, że wszystko było przygotowane. Nie ma najmniejszej przyczyny, abyśmy się mieli obawiać, żeśmy coś ominęli, czegoś nie dostąpili. Kto ma tego rodzaju nastawienie serca, ten cieszy się prawdziwym odpocznieniem, prawdziwym pokojem.

Bóg jest Bogiem czynu — a pracę Swą rozpoczął przed wielu laty. Jeśli potrzebuje jakiegoś szczególnego sługi, albo jeśli Kościół potrzebuje jakiejś szczególnej pomocy — Bóg nie jest nieprzygotowany. Dla Niego nie istnieje taka rzecz jak niespodziewany kryzys! Na każdym kroku możemy oglądać Jego rękę w historii Jego ludu. Podobnie i każdy z nas, po chwili zastanowienia się będzie musiał powiedzieć, że istotnie „przez całe moje życie szło za mną dobrodziejstwo i miłosierdzie Jego". Bardzo dobrze ujmują tę prawdę słowa Pawła w 1 Kor. 7, 20 — jakkolwiek zostały napisane w związku z czymś innym — równocześnie wskazując właściwe nastawienie do Bożego kierownictwa: „Każdy w tym powołaniu, w którym powołany jest, niech pozostaje". Gdy mamy przed oczami cel Boży, tego rodzaju słowa nabierają ogromnego znaczenia. Bóg powołał każdego z nas i przygotowuje każdego z nas do zadań przedtem już Mu znajomych. Na innym miejscu Paweł pisze: „Ale dążę, czy nie pochwycę, gdyż i pochwycony jestem przez Chrystusa Jezusa". (Tłumaczenie dawniejsze wiersz ten podaje w następującym brzmieniu: „Ale ścigam, ażbym też uchwycił to, na com tez (albo według ang. tłum.: dla którego celu też) od Chrystusa Jezusa uchwycony" (Filip. 3, 12).

DUCH PRAWDY

Na koniec chciałbym powiedzieć jeszcze kilka słów na temat pracy Ducha Świętego. W poprzednich rozdziałach, szczególnie gdy była mowa o usługiwaniu Pawła, często wspominaliśmy o konieczności posiadania objawienia Bożych rzeczy. Kilkakrotnie powtarzaliśmy, że jest rzeczą zasadniczą u j r z e ć cel Boży, u j r z e ć Osobę i dzieło Chrystusa, u j r z e ć Kościół, będący Ciałem Chrystusa. Wobec takich wypowiedzi niektórzy Czytelnicy czuli się może zmuszeni zawołać — jeśli chodzi o jedną czy drugą z tych rzeczy: „J a n i e w i d z ę tego! Co byś mi, bracie, poradził, co mam wobec tego robić?"

W odpowiedzi chciałbym raz jeszcze wskazać na Ducha Świętego — na Ducha prawdy, przypominając, że jest On Osobą, bardzo nam bliską — ba, więcej jeszcze — mieszka-

jącą obecnie w naszych sercach, gotową pośpieszyć każdemu z nas z pomocą w potrzebie. To apostoł Jan właśnie opowiada nam o tym, jak w chwilach wielkiej niepewności i lęku, Pan Jezus zapewnił uczniów Swoich o przyjściu Ducha Świętego, który będzie świadczył o Nim i który ich wprowadzi we wszelką prawdę.

Zarówno na samym początku, gdy Boże sprawy zaczynają się stawać jasne naszemu sercu dzięki objawieniu ich łaskawie przez tegoż Ducha prawdy, jak też później, gdy przeżywać musimy okres dyscypliny, która jest konieczna, aby rzeczy te stały się rzeczywiście częścią składową nas samych — stwierdzimy, jak ważną jest rzeczą wciąż na nowo uciekać się do tego łaskawego Pomocnika z naszymi rozmaitymi niedostatkami. Tylko dzięki Jego objawieniom możemy bowiem oglądać duchową rzeczywistość i tylko Jego pełna miłości dyscyplina wprowadza nas w te konkretne fakty duchowego życia. Przez objawienia otwiera On więc bramę do zrobienia kroku naprzód w życiu duchowym — a potem prowadzi nas przez dyscyplinę drogą rozwoju i robienia postępów. To pierwsze jest fundamentem, a to drugie nadbudową. Bez objawienia Ducha nie możemy rozpocząć naszej drogi, ale bez dyscypliny Ducha nie możemy drogi tej dokończyć. Oba te aspekty działania Ducha Świętego są równie ważne i konieczne, i zarówno w jednym jak i w drugim możemy z całą ufnością na Nim polegać i być całkowicie pewni, że nam dopomoże.

Ojciec nakreślił plan; Syn go wykonał; a teraz Duch Swięty objawia nam, co dla nas uczynił Syn Boży. Jesteśmy gotowi przyznać, że dzieło Syna zostało doskonale wykonane, gdy rzekł: „Wykonało się" — po czym usiadł po prawicy Bożej, w Majestacie chwały niebios. Jeśli więc nie wątpimy, że Syn doskonale wykonał dzieło powierzone Mu do wykonania przez Ojca, to dlaczego mielibyśmy wątpić, że Duch Swięty doskonale wypełni zadanie zwierzone Mu przez Syna?

Praca Syna posiada równie wielkie znaczenie, jak praca Ojca. Ani na jotę poza nią nie wychodzi, ale też ani na jotę nie pozostaje za nią w tyle. Praca Syna równa jest pracy Ojca; a praca Ducha Świętego jest równie wielka, jak praca Syna. Nie ma ani jednej cząstki pracy wykonanej przez Syna dla nas, której by nie dokończył Duch Święty w nas. Cała pełnia duchowej rzeczywistości znajdującej się w Chrystusie, zostaje udzielona nam przez Ducha Chrystusowego. Pan Jezus powiedział o Sobie: „Jam jest Prawda" — słowo to można by

przetłumaczyć również „Rzeczywistość". O Duchu Świętym zaś powiedział: „Wprowadzi was we wszelką prawdę (rzeczywistość)". Zagadnienie wejścia do pełni duchowej rzeczywistości nie jest zatem uzależnione od nas, lecz od Ducha Świętego. Nie wchodzi tutaj w rachubę nasza umiejętność pojmowania, nasza pojętność, ani nasza zdolność, ale doskonała wierność Ducha Świętego Bożego. Czy można Mu zaufać, że wykona wszystkie zadania otrzymane od Syna? Musimy się nauczyć Mu ufać. Musimy nauczyć się polegać na Jego dwojakiej pracy: po pierwsze na objawianiu nam istoty i ogromu Bożej rzeczywistości, a następnie wprowadzaniu nas w każdą odrobinę nawet tejże rzeczywistości.

Gdy spoglądamy wokół siebie, nie możemy nie zauważyć tragicznego wprost braku doświadczeń życia wiary u bardzo wielu chrześcijan. Niczego nie ma w ich życiu, co wskazywałoby na prawdziwą pełnię. Nie mają dosyć aby zaspokoić własne potrzeby — a cóż tu dopiero mówić o dzieleniu się z innymi! Dlaczego są tak ubodzy? Czyż nie dlatego, że nie znają dyscypliny Ducha Świętego? Psalmista powiada: „Boże... w ucisku dałeś mi swobodę" (przestrzeństwo (Ps. 4, 2), wg Szerudy). Celem wszelkiego uciśnienia jest udzielenie nam swobody, przestrzeństwa — radości, wolności. Jakub pisze coś podobnego w swoim Liście: „Czyż Bóg nie wybrał ubogich na tym świecie, aby byli bogatymi w wierze?" (Jak. 2, 5). Celem chwilowego ubóstwa jest wieczne bogactwo. Nigdy nie było zamiarem Bożym, aby doświadczenia i ubóstwo nie miały odnieść jakiegoś konkretnego skutku. Jego celem jest, aby każdy ucisk dał w wyniku swobodę i przestrzeństwo, a wszelkie ubóstwo — wielkie wzbogacenie się. Metą, do której Bóg chce doprowadzić Swój lud nie jest przecież w żadnym wypadku ustawiczny ucisk, czy ustawiczne ubóstwo! Są one tylko środkami wiodącymi do Bożego celu.

Przeczytajcie raz jeszcze 21-szy rozdział Objawienia. Jak wspaniały obraz pełni przedstawia się w nim naszym oczom! Może ktoś z nas wiele czasu spędzał na studiowaniu księgi Objawienia, a jednak stwierdził, że mało rozumie z tego, co w niej jest napisane, ale ta jedna rzecz z całą pewnością jest jasna i oczywista: 21-szy rozdział mówi o bogactwie, o obfitości, o chwale, której ta ziemia nigdy nie znała — nawet za czasów Salomona, o których czytamy jakby w bajce. Czy był kiedykolwiek na ziemi już taki czas, gdy ulice wykładano złotem? Czy ziemia ta mogła już kiedyś obejść się bez słońca, które ją oświeca? Co za bogactwo! Co za wspaniałość! Jeszcze

żadne ziemskie mocarstwo nie było tak pełne blasku jak Nowe Jeruzalem. A jaki ogrom! Jeszcze nie było na ziemi miasta, które by choć w jednej setnej dorównywało mu swymi wymiarami. A czytamy, że ten, który przezwycięży, odziedziczy te wszystkie skarby!

Niektórzy zapytywali, dlaczego w Słowie Bożym czytamy w związku z nowym niebem i nową ziemią o Bogu i o Baranku, a nie jest tam wspomniany Duch Święty. Z całą pewnością przyczyna jest identyczna jak w wypadku Chrystusa i Jego dokonanego dzieła — którego wynikiem jest Kościół; gdy Duch Święty dokończy Swego dzieła — wówczas wynikiem będzie Nowe Jeruzalem. Wszystko bowiem, co tam się znajduje, jest rzeczywistością — pełnym urzeczywistnieniem przez Ducha Świętego tych spraw, które przyszedł wykonać. Gdy w dobie dzisiejszej dotykasz Kościoła — dotykasz Chrystusa; nie w mniejszym stopniu będzie prawdą, że gdy wówczas dotkniemy Miasta Świętego — dotkniemy się Ducha Chrystusowego. Tam Kościół zostanie napełniony Duchem Bożym w Jego siedemkroć spotęgowanej mocy; tam Kościół jako Miasto objawi sam w sobie zupełność dokonanego dzieła Ducha Świętego, będzie bowiem tak święty, jak świętym jest jego Pan.

Ale w jaki sposób osiągnie Kościół tę metę? Tylko poprzez pielgrzymowanie ścieżką wiodącą od ucisku do swobody i przestrzeństwa, i od ubóstwa do bogactwa. Może ktoś zapyta, co mamy na myśli mówiąc: do swobody i przestrzeństwa przez ucisk? Gdy trzech zamkną w ognistym piecu, a tych trzech zamienia się w czterech — to jest swoboda — przestrzeństwo, osiągnięte przez ucisk. Niektórym się wydaje piec za ciasnym miejscem dla trzech osób — i dlatego starają się znaleźć drogę ucieczki; inni przyjmują ten ucisk — a czyniąc tak robią miejsce dla Czwartego! Tak więc swoboda otrzymana przez ucisk darowana nam jest wtedy, gdy nie pozwolimy na to, aby uciski nas odcięły od Boga i zamknęły nam drogę do społeczności z Nim, ale jeśli umożliwimy im zamknięcie nas ku Niemu, abyśmy się dzięki nim znaleźli tam, gdzie znajduje się nasz Wszechmocny Bóg! Dla Pawła i Syli bramy więzienia mogły sprawić tylko jedno: odgrodziły ich od zewnętrznego świata, a wewnątrz nich znajdował się Bóg. W ten sposób więzienie zamiast ich krępować, otworzyło im bramy do większej jeszcze pełni. Bóg dopuścił, aby na Ijoba przypadało jedno doświadczenie za drugim — ale wszystkie te doświadczenia sprawiły tylko, że Ijob znajdował się coraz

bliżej Bożego, wspaniałego celu. Janowi, znajdującemu się na wyspie dla świadectwa, sam Pan otworzył drzwi i tenże Zmartwychwstały pokazał mu pełne chwały dokończenie wszystkich spraw. Niektórzy dzięki uciskowi osiągają Boży cel; inni kończą swe życie w ucisku i umierają pod brzemieniem boleści. Ale są tacy, którzy dzięki tejże boleści znajdują pełnię życia. Niektórzy narzekają, gdy przyjdą na nich doświadczenia i widzą w nich tylko ograniczenia i śmierć; inni wielbią Boga pośród doświadczeń i znajdują w nich drogę do swobody, wolności i obfitości życia.

Wielu chrześcijan jest tak biednych, że nie starczy im na własne potrzeby. Biada temu, kto by do nich się udał o pomoc! Inni chrześcijanie natomiast są tak niewymownie bogaci, że bogactwa ich nie da się zmierzyć ani zliczyć. Nie ma takiej trudności w życiu, której oni by już nie przeszli; nie istnieje taka sytuacja, w której nie byliby w stanie dopomóc. Mają ogromne zapasy, z których mogą czerpać i zaspakajać potrzeby wszystkich, udających się do nich o pomoc. Wielu jest takich chrześcijan, którzy tylko dlatego zupełnie nie bankrutują, ponieważ inni im usługują, nieustannie przekazując bogactwo swe Ciału. Tacy chrześcijanie w małym stopniu zdają sobie sprawę, ile zawdzięczają innym wierzącym — i to takim nawet, którymi niekiedy mieliby pokusę pogardzić. Może się zdarzyć, że gdy przyjdzie do nas jakiś przyjaciel z drogi, spodziewając się znaleźć w naszym domu chleb, Pan pozwoli na to, abyśmy się zwrócili do sąsiada z prośbą o użyczenie mu czegoś; może być, że Pan powie nam jednak: „Dajcie wy im jeść!"

Ubóstwo duchowe i nędza duchowa są dwoma z największych problemów w Kościele — ale zarówno ubóstwo jak nędza duchowa są skutkiem, a nie przyczyną. Przyczyną bowiem jest brak dyscypliny Ducha Świętego. Bogatymi i cieszącymi się swobodą są tylko i wyłącznie ci, którzy dyscyplinie tej się poddali. Przeszli przez głębię i mają za sobą bogatą historię przeżyć z Bogiem dlatego, że dla dobra całego Ciała cierpieli. Ich choroby, ich problemy życia rodzinnego, ich niepowodzenia — to wszystko przyczyniło się do wzrostu Chrystusa w sercach Jego ludu. Ci natomiast, którzy uchylają się od tego rodzaju dyscypliny, wybierając zamiast niej życie pełne wygód, komfortu — na drodze obfitości i bogactwa — są tymi właśnie, których dotyka bieda i nędza duchowa. Na próżno do nich przychodzą o pomoc będący

w potrzebie. Nie opływają w nic — nie mogą więc niczego użyczyć.

Czy komuś z was wydaje się, że kazanie, to tylko samo głoszenie Słowa? Albo, że usługiwanie to wszystko? Wierzcie mi, że tak nie jest. Służenie Bogu nie polega jedynie na słowach i pracy, ale zależy od tego, ile w życiu swoim przeszedłeś. Jeśli nigdy nie pozwolisz Duchowi Świętemu na to, aby cię zaniepokoił, będziesz przez całe życie skazany na ubóstwo. Nigdy się nie dowiesz, jak wielkim błogosławieństwem jest czerpanie pełni od samego Pana — i to nie dla siebie samego, lecz dla innych. I n a t y m właśnie polega usługiwanie.

Objawienie jest niejako sługą dyscypliny. W miarę jak przyjmujemy dyscyplinę Ducha Świętego, otwiera On nam drogę do poznawania przez dalsze objawienia rzeczywistości, jaką jest Chrystus i to wszystko, co w Nim można znaleźć, równocześnie nas w te rzeczy wprowadzając. Jeśli jednak odmówimy Mu możności ćwiczenia nas w tej dyscyplinie, pozbawiamy Go możności uczynienia tego. Bóg codziennie szuka sposobności, aby nam użyczyć większego bogactwa i większej swobody, ale my unikamy trudności, gdy się pojawią na drodze naszego życia i gdy przychodzą doświadczenia — omijamy je. Ach, jaką ogromną przy tym ponosimy stratę! A jaką przy tym stratę ponosi i lud Boży! Oczywiście nie ma sposobu uniknięcia Bożego karania, jeśli świadomie uczyniliśmy coś sprzecznego z Jego wolą; to jest jednak coś innego, a ma na celu naprowadzenie nas na właściwą drogę i uleczenie nas. Tego nie możemy ominąć. Możemy natomiast uniknąć, jeśli sobie tego życzymy, twórczych aktów dyscypliny Ducha Świętego. Jeśli jednak gotowiśmy powierzyć się Jego pracy, wówczas ujmie nasze życie w Swoją dłoń i zaprowadzi nas aż do Bożego celu. Czy jesteśmy gotowi powiedzieć naszemu Panu: „Panie, kielich, który mi dajesz, wypiję do ostatniej kropli; będę niósł krzyż i nie będę szukał ulgi, choćby w kielichu tym była żółć i ocet"? Oby lud Boży zechciał całkowicie się poświęcić i w ten sposób umożliwić Bogu uczynienie dla niego tego wszystkiego, co w sercu Swoim zaplanował! To doprowadzi do pełni — do pełni Nowego Jeruzalemu! Nie ma w tym Mieście ani jednego grama złota, które nie byłoby wypróbowane w ogniu; ani jednego kosztownego kamienia, który by nie przeszedł próby ognia; ani jednej perły, która nie powstałaby przez cierpienia.

Jaką odpowiedź otrzymał Piotr, gdy zadał Panu Jezusowi owo pytanie dotyczące Jana? „Jeśli chcę, żeby on został, aż przyjdę, co ci do tego?" Aż przyjdę! Usługiwanie Ducha prawdy, o którym pisze Jan, trwać będzie tak długo, dopóki historia ta nie zostanie dokończona; a nic nie może stanąć na przeszkodzie i spowodować zatrzymania biegu wypadków. Cel Boży, jaki został wytknięty przez Niego Kościołowi, zostanie wypełniony. Nic nie jest w stanie pokrzyżować Bożych planów. Wizja Świętego Miasta, przygotowanego jako Oblubienica przyozdobiona dla męża swego, niewątpliwie się wypełni i my Miasto to zobaczymy! Nikt nie śmie naruszyć tego słowa Pana Jezusa: „Aż przyjdę". Sprawa ta jest ustalona w niebie.

Czyż nie powinniśmy zatem złożyć samych siebie ufnie w wszechmocne ręce naszego Ojca, aby mógł pokierować naszym życiem tak, jak On Sobie tego życzy? On się już o to postara, aby przemiana dokonana wewnątrz nas przez Ducha Świętego była nie mniej doskonała i nie mniej pewna, niż było dzieło odkupienia, które najpierw zostało dokonane dla naszego zbawienia przez Jego umiłowanego Syna.

KONIEC

AMULOWANO